O DZISIEJSZÉM STANOWISKU
KATOLIKÓW FRANCUZKICH
W OBEC SPRAW DOCZESNYCH
A MIANOWICIE
o ostatniéj książce pana de Montalembert.

---

1) **List Margr. Valdegamas do wydawcy dziennika HERALDO** (*Univers* z 21. kwietnia 1852. r.)
2 **Du progrés dans les siècles de décadence, deux leçons prononcées à l'ouverture du cours de littèrature étrangère par A. F. Ozanam.** Paris chez C. Douniol 1852.
3) **Des intèrêts catholiques au XIX. siècle par le Comte de Montalembert.** Paris chez Lecoffre 1852.
4) **Artykuły Ludwika Veuillot w dzienniku UNIVERS,** w końcu miesiąca października i w ciągu miesiąca listopada r. 1852.
5) **Instruction pastorale pour la libertè de l'Eglise par Mgr. Dupanloup éveque d'Orléans.** (*Le Correspondant*, t. XXXI., 5 livr., dècembre 1852.)

Nowy ruch katolicki we Francyi, ruch prędszy i młodszy, ruch noszący znamiona siły, uniesienia, nadziei, rozpoczął się nie dawniéj jak w ostatnich latach restauracyi. Zapewne, życia w kościele francuzkim nie brakowało i pierwéj; duchowieństwo za wielkiéj rewolucyi męczeństwem oczyszczone dawało przykład pobożności, cnót, tudzież nauki; Chateaubriand otworzył był wyobraźniom wrota świątyń pańskich; de Maistre wskazując na doświadczenia krwawo nabyte z wielką potęgą rozumowania dowodził, że niema dla ludzi i dla narodów innéj podstawy jak podstawa katolicka; bractwa, stowarzyszenia dobroczynne wykluwały

się wszędzie na téj rodzajnéj ziemi; wszelako nie było tam jeszcze owego popędu, owéj jedności usiłowań, popędu i jedności jakie zwykle widzimy w epokach odnowienia a wzrostu.

Za cesarstwa kościół francuzki zaprzątnięty gojeniem ran przez rewolucyą zadanych, nadto skrępowany urządzeniami administracyjnemi, chronił i podpierał raczéj niźli działał wstępnie.

Zkądinąd w epoce restauracyi nastały fałszywe połączenia religii z polityką, a i to dodać należy, że ster w sprawach kościelnych oddano wtedy Gallikanom, którzy wówczas mogli się przynajmniéj poszczycić piękną osobistością ks. Frayssinous.

Okoliczności długo niesprzyjały większemu poruszeniu w umysłach, aż nakoniec wystąpił ks. Lamennais, który się jął krzątać śmieléj nawet zaczepniéj, zbierając powoli zastęp młodzieży pełnéj poświęcenia, zapału i zdolności.

Wszelka praca z Bogiem i dla Pana Boga przedsięwzięta to ma do siebie, że jéj potém ani upadki systematów, ani zmiana okoliczności, ani odstępstwo ludzi zachwiać nie mogą. I zdaje się nieraz jakoby Pan Bóg umyślnie dopuszczał by się łamały narzędzia dobrego, chcąc przez to pokazać, że nie ludzie sprawami zwłaszcza kościelnemi zarządzają, chcąc także doświadczyć siły i czystości przekonań u wielu.

We Francyi stało się, że kiedy ks. Lamennais uniesiony namiętnością rzeczy politycznych, odpadł od nauki zbawienia, kościół w jego uczniach i przyjaciołach znalazł wiernych a wypróbowanych zapaśników.

Od rewolucyi lipcowéj usiłowania katolików francuzkich przedstawiają już ciąg, wytrwałość, razem wzrost pomyślny.

Odtąd znakomite osobistości występują raz po raz na ich czoło. Widzimy ozdobionego purpurą kardynalską świątobliwego arcybiskupa Chévérus; na stolicach biskupich zasiadają kss. Gousset, Donnet, Affre, Parisis, Dupanloup; z kazalnicy dają się słyszeć głosy ks. ks. Lacordaire i Ravignan; na katedrach uniwersyteckich widzimy profesorów Lenormant i Ozanam; w piśmiennictwie robią sobie imie ks. Bautain, Franz de Champagny, de Falloux, Jourdain, de Carné, Foisset, Poujoulat, ks. Gaume, ks. Gerbet, Audin, Nicolas; na trybunie parlamentarnéj rośnie w potęgę p. de Montalembert; w dziennikarstwie Ludwik Veuillot dochodzi prawdziwéj znamienitości, wielkich uczonych przedsięwzięć imają się ks. Guéranger, ks. Pitra i ks. Migne.

Nadewszystko w życiu kościoła francuzkiego przez te lat ośmnaście uderza owa mnogość bractw i stowarzyszeń pobożnych założonych w owym krótkim przeciągu czasu, albo wspaniale wśród trudności wszelkiego rodzaju rozwiniętych. Dość wspomnieć bractwo Rozkrzewienia wiary, stowarzyszenie ś. Wincentego, arcybractwo, zakon *Dobrego pasterza,* stowarzyszenie śgo Franciszka Regis, i stowarzyszenie zakonne *siostrzyczek ubogich,* by umysły uderzyć a nawet obudzić przekonanie, iż gorliwości katolików francuzkich, katolicy żadnego innego kraju niedorównywają.

Znajdowały się we Francyi niektóre dawne zakony, zakony co były za cesarstwa lub za restauracyi popowracały. Od roku 1830 weszli do kraju Benedyktyni pod wodzą uczonego swojego opata ks. Guéranger i Dominikanie za sprawą ks. Lacordaire.

Rząd Ludwika Filipa szanował religią, nie sprzyjał jednak religijnym usiłowaniom, których przewodnicy ani gallikańskiéj niewoli, ani opieki administracyjnéj nie przyjmowali. Często zachodziły starcia między systematem starego liberalizmu odmawiającym wolności kościołowi, zachowującym monopolium nauczania, przestrzegającym praw w podejrzliwości i nienawiści ukutych przez dziedziców podań starych parlamentów, a zastępem katolickim domagającym się dla kościoła wolności przyznawanych w sferze politycznéj i cywilnéj. Najpamiętniejszą z walk stoczonych jest walka o wolność wychowania.

Wszelako rządowi Ludwika Filipa jednę sprawiedliwość oddać należy. Rząd ten zawsze najgodniejszych na stolice biskupie powoływał.

Pod koniec tego czasu roboty świeckie katolików uporządkowały się, jedne przewodnictwo przyjmując, i stanął *komitet wolności religijnéj*, mający za naczelnika pana de Montalembert.

Katolicy odtąd już jako katolicy w życiu politycznem występowali; przyczém długoletnie usiłowania pana de Montalembert żeby wszelki bliższy sojusz katolicyzmu z jakiémbądź stronnictwem politycznem zerwać pomyślny skutek uwieńczył.

Należy wspomnieć, że między katolikami nie wszyscy rozumieli potrzebę tego niezależnego a godnego położenia dla kościoła; znaczna ich część nie przestała sprawy religii ze sprawą starszéj linii Burbonów mięszać.

Była także szkoła nieliczna, głośna przecież, szkoła pana Buchez, która usilnie wykładała, że dopiero rewolucya francuzka w wielkiéj mierze urzeczywistniła pojęcia katolickie.

Z wstąpieniem Piusa IX na stolicę apostolską, demokratyczne kółko między katolikami wzrosło w liczbę i siłę. Wtedy to zacny i uczony profesor Ozanam przyrównywając położenie kościoła w obec dzisiejszéj demokracyi do położenia kościoła w obec barbarzyńców, co obalili państwo rzymskie, napisał: „Za wodzą Piusa IX. przejdźmy do obozu barbarzyńców.”

Ale pan de Montalembert jaśniéj przeglądał bieg wypadków, tak jak lepiéj rozumiał dobro kościoła, potrzebę społeczeństwa tudzież znaczenie robót nowego papieża; zachowując trzeźwość sądu śród uniesień wszelkiego rodzaju, i śmiało spoglądając w czarną przyszłość, wypowiedział on w izbie parów na krótko przed rewolucyą lutową przekonanie, jako katastrofy nad światem ciążą.

Rewolucya lutowa zastała wielką liczbę katolików poważnie koło chorągwi niepodległości kościoła skupionych. Z demokratów katolików Bucheziści zasiedli w rządzie, zaś nie tak daleko posunięci, bardziéj kościołowi sprzyjający, zarazem nowéj rzeczypospolitéj gorąco życzliwi, zaczęli wydawać dziennik *Ere nouvelle*.

Pismo *Ere nouvelle* nie miało się na czém oprzeć, bo w rządzie przeważał stanowczo wpływ bezbożny koteryi dziennika *National;* polemizowało ono czas jakiś na swoją rękę z dobrymi katolikami, wiele ludzi obałamuciło i niebawem upadło.

Ogromna większość katolików łączyła się wówczas w jeden zastęp ku obronie religii, rodziny i własności przeciw parciu dzikich namiętności i przeciw rozumowéj walce przez komunizm rozpoczętéj.

Na chwilę znikły różnice, ale obok tego organizacya dla innych potrzeb stworzona upadła.

W miarę zwycięztw władzy i rozmaitych przemian ostatnich czasów poczęła się jedność rozprzęgać, co więcéj chorągiew niezależności kościoła od stronnictw politycznych upuszczono śród zamieszki.

I zdało się, dziś się nawet zdawać może, że kościół francuzki rozerwany został między Napoleona a Henryka V, raczéj że prawie cały Napoleonowi służy.

Tak przecież nie jest.

Kościół katolicki czuje wdzięczność dla Napoleona za opiekę od niego doznawaną, cieszy się ze swobód jakich mu odmawiano od kilku wieków, a które naraz odzyskał; z polityką jednak napoleońską nie może się związać.

W téj oto chwili podniosły się dwa głosy poważne, dwa głosy dobrze znane katolikom, głos p. de Montalembert i głos ks. Dupanloup, oba przypominające obowiązek godności i niezależności potrzebę. Mamy przekonanie, że znaczna większość katolików jest z nimi.

Wszelako choć katolicy muszą się zgodzić na główne prawidła, istnieją między nimi różnice wielkiéj wagi, różnice w następstwa płodne.

Jedni zrażeni wypadkami lat ostatnich swój pesymizm podparli systematem religijnym; to szkoła pana Donoso Cortes i dziennika *Univers.*

Drudzy tkwią w optymizmie i łagodnie a świetnie przyszłość poetyzują; tu wymienimy p. Ozanam.

Trzeci nakoniec stając pośrodku, chcą zatrzymać wszelkie oddziałanie i umysły katolickie zwrócić na drogę poważnéj a praktycznéj wolności; takie stanowisko zajął pan de Montalembert (wystąpienie ks. Dupanloup jest więcéj kościelne).

Żadna z tych opinii nie tkwi w ostatecznościach, (modlitwa i praktyka miłości chrześciańskiéj wyznawców ich od ostateczności broni), wszystkie mają z sobą punkta zgody i zetknięcia, niemniéj odcienia w jakich się rozchodzą znaczą wiele w sprawach doczesnych.

Przejdziemy po kolei zdania, o jakich wspomnieliśmy dając długie przytoczenia z pism, któreśmy na czele artykułu wymienili. Wnioski obszerniejsze zostawiamy na koniec.

Zaczynamy od p. Donoso Cortes, którego kładziemy między naczelnikami ruchu religijnego we Francyi dla niezaprzeczonego wpływu jaki mianowicie na dziennik *Univers* wywiera.

Wszyscy pewnie pamiętają znakomite głosy pana Donoso Cortes w parlamencie hiszpańskim. Stawał on wtedy a stawał z wielką śmiałością naprzeciw zwycięzkiéj rewolucyi, przypominając niezmienne prawa boże jako pierwszy warunek istnienia społeczeństwa, co więcéj głosząc zupełną zależność logiczną porządku politycznego od porządku religijnego. Odtąd wydrukował ważne dziełko: *Essai sur le Catholicisme, le Libéralisme et le Socialisme* (Paris 1851), w którém z wielką siłą rozumowania choć nie bez skłonności do paradoksu, kreśli obraz porządku katolickiego, stawiając obok siebie zasadnicze pojęcia wpływu nadprzyrodzonego bożego, wolnéj woli człowieczéj, grzechu pierworodnego i solidarności ludzkiego rodzaju. Że rozbiór tego dzieła za dalekoby nas zaprowadził, kładziemy je na bok a bierzemy przed siebie list p. Donoso Cortes do wydawcy dziennika hiszpańskiego *Heraldo*, list w krótkiéj treści pojęcia autora o rzeczach doczesnych wykładający.

Oto co pisał p. Donoso Cortes dn. 15. kwietnia 1852. r.

Dziennik Heraldo z dnia 8. t. m. ogłasza artykuł mający na celu obronę *racyonalizmu, liberalizmu* i *parlamentaryzmu*. W tym artykule wyliczasz pan wielkie korzyści dyskusyi odwołując się na wyrazy wyrzeczone przezemnie r. 1836 w *Ateneum* madryckiém. Podnosiłem wtedy głos mój przeciw prawu bożemu królów, wymownie wedle pana, co najwięcéj dźwięcznie wedle mnie samego.

Zresztą od dawna już nie zasługuję na pochwały tego rodzaju. Między zasadami jakie pan popierasz i które były mojemi kiedym jeszcze nie wiele lat liczył, a zasadami które wyznaję teraz, zachodzi sprzeczność zupełna, wstręt niezwyciężony. Pan mniemasz że *racyonalizm* daje osiągnąć wszystko co *rozsądne*, że *liberalizm* jako teorya prowadzi do *wolności* w praktyce, że *parlamentaryzm* ułatwia zaprowadzenie dobrego *rządu*, że *dyskusya* tém jest dla *prawdy* czém *środek* dla *celu*, w końcu, że królowie nie są niczém innėm jeno wcieleniem prawa ludzkiego.

Owoż co się tyczy prawa: ja mniemam, że prawo ludzkie nieistnieje i że niema innego prawa tylko prawo boże. W Bogu jest prawo, ześrodkowanie wszystkich praw, w człowieku obowiązek ześrodkowania wszystkich obowiązków. Człowiek nazywa prawem swojém korzyść jaka dla niego płynie z wypełnionego obowiązku obcego; wyraz prawo na ustach jego jest błędném orzeczeniem; skoro zaś posunie się on daléj i swoje błędne orzeczenie w teoryę przemieni, teorya ta burze na świat sprowadza.

Dyskusya tak jak pan ją rozumiesz, jest wedle mnie źródłem wszelkich błędów i początkiem wszelkich szaleństw.

Co się zaś tyczy *parlamentaryzmu, liberalizmu* i *racyonalizmu* mniemam, że pierwszy jest zaprzeczeniem *rządu*, drugi zaprzeczeniem *wolności*, trzeci uznaniem *szaleństwa*.

Spyta się kto: cóż jesteś ty co nie chcesz dyskusyi takiéj jaką mamy w społeczeństwie dzisiejszém, co się wyrzekasz liberalizmu, parlamentaryzmu, racyonalizmu? Trzebaż cię policzyć między absolutystów? Odpowiadam. Byłbym absolutystą, gdyby absolutyzm stał w radykalnéj sprzeczności z tém wszystkiém; tymczasem historya uczy mnie, że istnieją absolutyzmy oparte na racyonalizmie, a nawet takie co liberalizm i dyskusyą w pewnéj mierze przypuszczają; z drugiéj strony pojawiają się czasem parlamenta absolutne. Absolutyzm jest przeto co najwięcéj zaprzeczeniem zewnętrznėm, a nie zaprzeczeniem istotném owych pojęć wielkością spustoszeń znamienitych. Absolutyzm nie zaprzecza tym pojęciom, bo nie może być zaprzeczenia między rzeczami odmiennéj natury; to forma i nic więcéj jak forma.

Jeden katolicyzm jest zaprzeczeniem pojęć przeciw którym występuję. Daj pan jaki chcesz kształt zewnętrzny nauce katolickiéj; pomimo tego kształtu wszystko w jednéj chwili się odmieni i ujrzymy postać ziemi odnowioną.

Z katolicyzmem niema pojawu któryby się nie wmieścił w porządek hierarchiczny pojawów, ani rzeczy któraby w porządek hierarchiczny rzeczy nie weszła. Rozum przestaje tam być racyonalizmem, bliżéj mówiąc przestaje być ową latarnią świecącą sama przez się, a któréj nikt niezapala i ukazuje się nam jako cudowna jasność zawierająca w sobie, razem wydająca po za siebie, wspaniałe światło dogmatu, najczystsze odbicie Boga, światła wiekuistego istniejącego samo przez się.

Co się tyczy wolności, wolność katolicka nie jest prawem sama w sobie ani też tranzakcyą w kształcie swoim zewnętrznym; nie zachowuje się ona za pomocą wojny, nie powstaje z umowy, nie nabywa się podbojem. Wolność katolicka to nie bachantka pijana jak wolność demagogiczna; nie idzie ona pomiędzy narody przystrojona niby królowa jak wolność parlamentarna; trybunowie nie służą jéj za dworzan; szmer tłumów jéj nie usypia; nie ma armii stałych składających się z gwardzistów narodowych; na wozie tryumfalnym rewolucyi miękko rozpierać się nie lubi.

Przykazania boskie są chlebem żywota. Tam gdzie katolicyzm włada, Bóg je podaje zarówno rządzącym i rządzonym, sobie zostawując prawo nie mogące być ustąpionèm, do posłuszeństwa ze strony rządzących i ze strony rządzonych. Pod wezwaniem ludzież w obecności Boga panujący i poddany zawierają jakoby małżeństwo uświęceniem zbliżające się w istocie swojéj do sakramentu raczéj niż do umowy. Przykazania boskie wiążą obie strony. Poddany przyjmuje obowiązek słuchania z miłością panującego, którego Pan Bóg postawił, a postawiony panujący przyjmuje obowiązek władania z miłością i łagodnością poddanymi, których Bóg oddał w jego ręce. Kiedy poddani nie przestrzegają posłuszeństwa i miłości, Pan Bóg dopuszcza tyranii; kiedy panujący nie przestrzega miłości i łagodności, Pan Bóg dopuszcza rewolucyi. Tyranie zwracają poddanych do posłuszeństwa, rewolucye zwracają panujących do łagodności. Owoż podobnie jak człowiek wyprowadza złe z dobrego, które jest dziełem bożém, Pan Bóg wyprowadza dobre ze złego, które jest dziełem ludzkiém. Dzieje nie są niczém inném, jeno opowiadaniem o rozmaitych kolejach téj olbrzymiéj walki między dobrem a złem, między wolą bożą, a wolą ludzką, między Bogiem najmiłosierniejszym a człowiekiem zbuntowanym.

Tam gdzie przykazania boże są ściśle wykonywane, gdzie książęta rządzą łagodnie, a ludy słuchają, łagodność i posłuszeństwo ożywiając miłością, to zobopólne poddanie się rozporządzeniom bożym, wywiązuje się w pewien porządek społeczny, w pewien ład towarzyski, w pewną pomyślność zarazem osobistą i wspólną, które nazywam ***stanem wolności.*** Stan to wolności rzeczywiście, bo sprawiedliwość tam panuje, a właśnie sprawiedliwość czyni nas wolnymi. Owoż na czém się zasadza wolność dzieci bożych, wolność katolicka. Wolność ta nie jest rzeczą określoną, szczegółową i konkretną, nie stanowi części składowéj organizmu politycznego ani się liczy między rozmaite instytucye towarzyskie. Jest to coś innego a razem coś więcéj; jest to wypadek ogólny dobrego rozporządzenia wszystkich instytucyi, jakoby zdrowie ogólne organizmu, które więcéj znaczy niżli jeden członek zdrowy; jakoby życie ogólne ciała towarzyskiego i politycznego, droższe od życia jednéj kwitnącéj instytucyi. Wolność katolicka równie jak dwie rzeczy, o których mowa, rzeczy wyśmienite między najwyśmienitszemi, znajdując się wszędzie, nie znajduje się wyłączniéj w żadnéj pojedynczéj części. Wolność ta jest tak święta, że ją każda niesprawiedliwość rani; tak mocna a razem tak krucha, że z jednéj strony wszystko ją ożywia,

z drugiéj najmniejsze nieporządne wstrząśnienie zachwiewa; tak kochająca że ludzi do miłości prowadzi; tak łagodna, że pokój między ludźmi czyni; tak cicha i skromna, że choć przyszła z nieba by zapewnić szczęście wieku, znana jest mało od kogo, niczyich oklasków nie wywołuje; sama ona nie wie jak się nazywa, a jeśli wie to milczy i dzieje się, że świat nie zna jéj imienia.

Co się tyczy dyskusyi nie więcéj jest podobieństwa między dyskusyą katolicką, a dyskusyą filozoficzną, jak między wolnością katolicką a tém co nazywają wolnością polityczną. Oto jak postępuje katolicyzm: Katolicyzm bierze promień światła, który z nieba otrzymał, daje ten promień człowiekowi by go w rozumie swoim upłodnił, a słaby promień światła staje się potokiem jasności rozlewającym się na całe horyzonty. Przeciwnie filozofizm; filozofizm zaczyna od tego, że zręcznie grubą zasłoną przykrywa prawdę i światło któreśmy z nieba otrzymali, zaś rozumowi podaje nierozwiązalne zagadnienie, jak wyprowadzić w płodny sposób prawdę i światło z wątpliwości i ciemności, rzeczy przeciwnych wszelkiéj płodności w rozumie ludzkim. Widzimy, że filozofizm żąda od człowieka rozwiązania trudności, które jest niepodobne do otrzymania dopóty, dopóki wprzód prawa odwieczne a niezmienne obalone nie zostaną. Wedle jednego z tych praw upłodnienie następuje wtedy tylko, kiedy zarodek upładnia się wedle warunków własnéj swojéj przyrody i w sposób sobie właściwy; tak ciemne z ciemnego, jasne z jasnego, podobne z podobnego wychodzi: ***Deum de Deo, lumen de lumine.*** Temu prawu posłuszny rozum ludzki, upładniając wątpliwość, doszedł do zaprzeczenia, a upładniając ciemność do cieniów dotykalnych; wszystko drogą przeobrażeń logicznych i stopniowych na naturze rzeczy opartych.

Nic dziwnego, że tak sprzecznemi idąc drogami, katolicyzm i filozofizm tak odmienne dają owoce. Od ośmnastu wieków katolicyzm w swój sposób dyskutuje, a ten sposób zapewnił mu zwycięztwo w każdéj dyskusyi. Wszystko w obec niego przemija, rzeczy czasowe i samże czas, on tylko jeden nieprzechodzi. Katolicyzm pozostaje tam gdzie go Pan Bóg postawił, niewzruszony wśród wielkich zawieruch jakie sprawia życie ogólne. On jeden żyje życiem właściwém w świecie, w którym wszelkie życie jest do czasu. Na ciemnym padole, gdzie śmierć wszechwładna panuje, do niego jednego dostąpić jéj nie wolno. By dać dowód sił swoich raz on sobie powiedział: wybiorę wiek barbarzyński i cudami go memi uświetnię; i wybrał trzynaste stulecie i ozdobił je czterma pomnikami najwspanialszemi z pomników jakie wzniósł jeniusz ludzki. Pomnikami o których mówię były ***Summa teologiczna*** Śgo Tomasza, ***Kodex de las Partidas*** Alfonsa mądrego, ***Boska komedya*** Danta i Katedra kolońska.

Racyonalizm od czterech tysięcy lat dyskutuje po swojemu, i cóż zostawił by unieśmiertelnić pamięć swoją? Oto zostawił dwa nieśmiertelne pomniki, Panteon, w którym leżą poobalane wszystkie filozofie i Panteon, w którym leżą poobalane wszystkie konstytucye.

Co się tyczy parlamentaryzmu niepodobna mi o niém mówić. Zapytam się tylko coby się z nim stało w narodzie prawdziwie katolickim, tam gdzie człowiek wie od swojego urodzenia, że winien jest Panu Bogu rachunek ze słów nieużytecznych?

Mamy przed sobą zdanie surowego chrześciańskiego filozofa, zobaczmyż teraz co mówi pełen łagodności a natchnienia poetycznego mistrz młodzieży katolickiéj.

Oto są słowa p. Ozanam wyrzeczone z katedry w Sorbonie:

Wród burz jakie miotają naszą epoką, bacząc do tego na krótkość życia, czuję szczególny pociąg do studyów nad dziejami piśmiennictwa. W dzie-

jach owych szukam przedewszystkiém wzrostu oświaty, któréj literatura jest kwieciem, zaś w ciągu rozwijania się oświaty upatruję szczególniéj postępu przez Chrześciaństwo.

Zaprawdę dziś kiedy najlepsze umysły nie uznają nic prócz upadku, teorya postępu dziwną się może wydać. Ciężko odświeżyć zdanie zestarzałe i okrzyczane, co dawniéj było niedogodne dla swojéj pospolitości, a teraz na niebezpieczeństwo zostania pomówionym o paradox naraża. Szlachetne to przekonanie, jeśli chcecie to urojenie naszéj młodości, teraz przedstawia się jedynie umysłom jako dumna opinia, którą potępia sumienie, któréj dzieje zaprzeczyły. Wszyscy zbyt zapominają że postęp można pojmować dwojako. Wedle pojęcia jakie się wyrobiło w szkołach sensualistów, idea postępu nie jest niczém inném jeno uprawnieniem namiętności; idea ta obiecuje ludziom raj ziemski u kresu kwiecistéj drogi, a gotuje im piekło ziemskie tam gdzie koniec zawodu krwi. Z drugiéj strony wedle pojęcia jakie z natchnienia chrześciańskiego powstało, postęp zależy na zwycięztwie ducha nad ciałem; wszystko, co taki postęp obiecuje, obiecuje jedynie jako nagrodę walki i właśnie dla tego że zaszczepia wojnę w człowieku, sam jeden może narodom pokój zapewnić.

Chcę mówić na nowo o postępie przez chrześciaństwo a to ku pocieszeniu siebie i innych w tych dniach powszechnego niepokoju. Popróbuję usprawiedliwienia doktryny postępu wskazując związek jaki między nią a zasadami religijnemi i filozoficznemi zachodzi, zarazem otrząsając ją z błędów za których powodem poszła w służbę tylu spraw niegodziwych......

Idea postępu nie jest ideą pogańską. Przeciwnie starożytność pogańska uznawała prawo niepowetowanego upadku: ród ludzki pamiętał z jakich zstąpił wysokości a nie wiedział jeszcze jak na nie powrócić. Księgi święte Indyan głoszą że w pierwszym wieku „sprawiedliwość stoi bezpie-„cznie na czterech nogach, prawda panuje, a śmiertelni żadnéj z rzeczy „przez siebie posiadanych niezawdzięczają niegodziwości — w wiekach na-„stępnych sprawiedliwość traci jednę nogę po drugiéj i za każdą razą pra-„we nabytki o czwartą część się zmniejszają.“ Hezyod bawił Greków opowiadaniem o czterech wiekach, w ostatnim z których znikły wstyd i sprawiedliwość „zostawując jedynie śmiertelnym dojmujące zgryzoty i nienagrodzone nieszczęścia.“ Rzymianie najrozsądniejsi z ludzi ideał roztropności czcili w przodkach swoich; za Tyberyusza senatorowie siadali u stóp wizerunków dziadowskich i pocieszali się w swojém poniżeniu powtarzając z Horacym:

Aetas parentum, pejor avis, tulit
Nos nequiores, mox daturos
Progeniem vitiosiorem.

Jeżeli tu i owdzie naprzykład u Seneki pojawia się cudowne przeczucie przyszłości, jeśli ten pisarz przepowiada wspaniałemi słowy o objawieniach jakie nauka wiekom następnym gotuje, światłości te są tylko odbiciem Chrześciaństwa, które co tylko było wstało nad światem, a już promienie nawet najdalszym od siebie rozumom rzucało.

Doktryna postępu poczyna się dopiero z Ewangelią, która nie dość że uznaje możności udoskonalenia się i uczy ludzi jak się udoskonalić, ale jeszcze doskonałość prawem czyni. „Bądźcie doskonałymi. *Estote perfecti*“ mówi Ewangelia i to jéj wyrzeczenie skazuje człowieka na postęp bez zatrzymania się, ile że kres tego postępu widzimy umieszczony w nieskończoności: „Bądźcie doskonałymi jako Ojciec niebieski jest doskonały.“ Tu prawo ogłoszone człowiekowi staje się także prawem dla społeczeństwa: Śty Paweł przyrównywając kościół do wielkiego ciała, chce by to ciało rosło aż do zupełnéj dojrzałości, aż do pełnego urzeczywistnienia człowieczeństwa Chrystusa: „Ażbyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i poznania

ona go orzeźwia a każe mu iść dalej wskazując na Beatrix, to jest na ideał w niebiosach.

Oto jak filozofia chrześciańska prawo postępu oznacza.'

Pyta się dalej siebie p. Ozanam, czy prawo postępu jest prawem moralném i koniecznem, któremu się ludzkość może opierać lub którego słuchać musi i odpowiada, że prawo postępu jest koniecznem a wszechwładném w świecie, założenie swoje długim a pełnym żywej obrazowości szeregiem dowodów historycznych popierając.

Pierwszą z dwóch lekcyi tak kończy:

Tak więc ludzkość dąży koniecznie ku doskonałości, której nigdy nie osiągnie, do której przecie każdy wiek ją zbliża. Owoż właśnie ta nieprzeparta konieczność przeraża niejeden roztropny umysł i dwojaką trudność przeciw zasadzie postępu nasuwa. Są co ją odpychają jako pojęcie w dumie zrodzone, prowadzące do przypuszczenia, że ludzie każdego następnego pokolenia są lepszymi od swoich ojców, wszczepiające pogardę przeszłości, lekceważenie podań. Są co ją piętnują znamieniem fatalizmu, mówiąc, jeśli przypuścimy kolej postępu, wiek ostatni z porządku będzie zawsze największy, a że przychodzą wieki w których cień pada na cnotę i na jeniusz, postęp ograniczy się do jednej roboty, która idzie nieprzerwanie, tą robotą ciągłe krzątanie się około pomnożenia dóbr materyalnych. Trudności które wspomnieliśmy rozproszą się, skoro różnicę między człowiekiem a ludzkością uczynimy. Bóg nie bez zamiaru ludzkość stworzył i ten zamiar wiekuisty wsparty potęgą nieskończoną nie może pozostać bez skutku. Wszechwola, która rozrządza ruchami ciał niebieskich, wskazuje również drogę jaką się ma prąd oświaty posuwać. Ztémwszystkiém ludzkość wypełniająca przeznaczenie konieczne składa się z osobistości wolnych. [1]) Potrzeba więc abyśmy wydzielili w przeznaczeniach człowieczeństwa cząstkę wolności, inaczej mówiąc, cząstkę błędu i zbrodni. Bywają dnie słabości, lata obłąkania, napotyka się stulecia, które niepostępują naprzód i stulecia, które się cofają. Nikt nie powie, że szkaradne ozdoby szpecące łuk tryumfalny Konstantyna W. należy więcej cenić jak rzeźby Partenona, albo że Francya była potężniejsza za Karola VII jak za Filipa Augusta lub Śgo Ludwika. Dalej pójdę, w moich oczach XIV wiek z nieustannemi wojnami, wiek XVIty z anarchią w sumieniach a samowładztwem na tronach, wiek XVIII z rozwięzłością umysłów i obyczajów, są epokami obłąkania. Znamiona powrotu do lepszego upatruję dopiero we wspaniałym popędzie z r. 1789, który w złą stronę skierowano, ale który naprowadzał do podań prawa publicznego chrześciańskiego. W takich czasach rozstroju Bóg pozostawia pojedynczym osobom wolność działania, wszakże kierunku społeczeństw z rąk nie wypuszcza; nie pozwala im przekroczyć granicy naznaczonej, a skoro na niej staną oprowadza je drogą trudu i boleści i przywodzi bliżej téj doskonałości, o której przez chwilę zapomniały. Nie pozwala On żeby się cała ludzkość i we wszystkiém zbłąkała. Zawsze światło gdzieś zostaje; światło to posuwa się naprzód a w końcu pociąga za sobą pokolenia zbałamucone. Kiedy jasność Ewangelii zbladła na wschodzie, wtedy zaraz silnie się zapaliła na północy. W chwili w której szkoły Włoch zamykały się z obawy najazdu Lombardów, namiętność do umiejętności obudziła się w klasztorach irlandzkich. Wielekroć razy postęp przerwany w instytucyach, odzyskuje popęd w sztukach pięknych; gdy się znów sztuki znużone zatrzymują, umiejętność przewodnictwo bierze . . . .

---

[1]) W podobny sposób lat temu pięć teoryę postępu sformułowaliśmy w *Przeglądzie* (Zob. numer grudniowy *Przeglądu* z r. 1847. i osobno odbite *Sprawy włoskie*.)

Wszelako podczas kiedy ludzkość wypełnia nieuniknione swoje przeznaczenie, człowiek pozostaje wolnym. On może prawu postępu opór stawić, boć to prawo choć go obowiązuje nie jest dla niego konieczne. Wolno mu stłumić wewnętrzny pociąg, który go nagli, wolno mu oprzeć się pędowi społeczeństwa, który go do lepszego niesie. Zkądinąd dwie rzeczy są osobiste i nie zależą od biegu czasu, temi dwoma rzeczami natchnienie i cnota. *Boska komedya* przechodzi *Illiadę* o całą wyższość chrześciaństwa, wszelako Dante nie jest bardziéj natchniony jak Homer. Leibnitz wiedział niesłychanie więcéj od Arystotelesa, ale czyż więcéj od niego myślał? Podobnie misyonarze z czasów barbarzyńskich nie pokazali więcéj bohaterstwa od pierwszych chrześcian, tak jak znaleźli równych sobie w nieustraszonych kapłanach, którzy za dni naszych spieszą po palmę męczeńską do Tonkinu lub Korei. Piękne dusze wieków średnich, Ś. Ludwik, Ś. Franciszek, Ś. Tomasz z Akwinu kochały Boga i ludzi z jednaką siłą, służyły sprawiedliwości i prawdzie z jednaką wytrwałością, jak szlachetne charaktery XVII wieku. Czas rozpowszechniając oświatę, łagodząc gwałtowność obyczajów, czyni tylko umiejętność przystępniejszą a cnotę łatwiejszą i w ten sposób powiększa dług wdzięczności jaki dostajemy w spuściznie po ojcach. Tak doktryna oskarżana o pogardzanie przeszłości przeciwnie całą przyszłość z wnętrza przeszłości wyprowadza; ona nie zna postępu dla wieków nowych bez tradycyi stojącéj na straży tego co zdziałały wieki poprzednie. Tak doktryna pomawiana o dumę i o fatalizm niszczy zarazem fatalizm i dumę; rzeczywiście dla niéj dzieje postępu nie są jedynie dziejami człowieka, ale dziejami Boga szanującego wolną wolę ludzką a przytem czyniącego nieodmiennie swoje dzieło za pośrednictwem wolnych rąk ludzi, prawie zawsze bez ich wiadomości a bardzo często wbrew ich woli.

Zaiste podobne przekonanie nie sprzyja materyalizmowi, i nic dziwnego że byli za niém wielcy spirytualiści i wielcy chrześcianie, jak że nie wspomnimy jeno zmarłych Chateaubriand, Ballanche, a nawet de Bonald, który w końcu uznał, że „nawet rewolucye, te zgorszenia w świecie towarzy„skim, stają się w rękach Najwyższego Rozrządziciela srodkami udoskona„lenia budowy społecznéj." Jeśliby nam co zarzucić można, to prędzéj że w uwielbieniu dla ducha zapominamy o materyi; w istocie mówiąc o trzech rzeczach boskich: o prawdzie, o dobrem i o pięknem, nie wspomniéliśmy o niższéj i ludzkiéj rzeczy, o użytecznem; również po umiejętności, instytucyach towarzyskich i sztukach pięknych nie położyliśmy przemysłu. Nie utrzymujemy żeby należało przemysłem pogardzać, zwłaszcza kiedy staje on w zależności od rzeczy wyższych, szuka światła w naukach przyrodzonych, czerpa natchnienie w pobudkach dobra publicznego i przywiązuje się do prawideł dobrego smaku, które poprawnością formy grubość materyi osłaniają. Gdy umiejętność, sztuka i dobro publiczne oświecą przemysł potrójnym promieniem, wtedy on się ożywia, przyjmuje w siebie tchnienie moralne i przykłada się do postępu umysłów. Tak było w rzeczpospolitych włoskich, które jeśli się chciały zbogacić, chciały się także unieśmiertelnić, i jeśli śmiało przedsiębrały morskie wyprawy, śmiało téż wznosiły pomniki. Ale kiedy rozwinięcie przemysłowe zamiast iść za postępem umysłów, wyprzedza go lub wstrzymuje, spodlone społeczeństwa wchodzą do czasu na drogę upadku.

W drugiéj lekcyi znowu z niemałym przepychem obrazów historycznych dowodzi p. Ozanam, że w chwilowych nawet upadkach tkwią zarody nowego postępu.

Oto jest koniec domówienia:

Złe w wiekach średnich rozpaczą napełniało świętych, kaznodziei i moralistów współczesnych. Ci surowi sędziowie widzieli przedewszystkiém

niedostatki swojéj epoki, a wielu z nich ani się domyślało na jakie dobro pracują. Zgorszenia które omyliły tak wysokie umysły, pokazują nam, że czas ów nie dokończył dzieła oświaty chrześciańskiéj, a okoliczność że równie wysokie umysły mogły się omylić, uczy nas w tym naszym widocznym upadku nie zaprzeczać postępowi, którego nie widzimy. Prawda przyszliśmy w złą chwilę, ale pamiętajmy że chrześciaństwo, które nas niesie, gorsze przebyło i powtarzajmy to co Eneasz mówił zniechęconym towarzyszom: *O passi graviora, dabit Deus his quoque finem*..

Bierzemy teraz przedsię książkę p. de Montalembert, która nam główny powód do rozpoczęcia niniejszéj pracy podała.

W książce téj zawierającéj bardzo piękne i bardzo uderzające rzeczy, ale napisanéj nierówno, jest jakoby dwie części. W pierwszéj dobrze rozmierzonéj, wykończonéj i ogładzonéj autor kreśli obraz porównawczy dwóch położeń kościoła w r. 1800 i dzisiaj, wymownie a przekonywająco dowodząc, że na wstrząśnieniach europejskich zyskał jedynie katolicyzm. W drugiéj dopiero noszącéj nieraz znamiona pospiechu, tokiem całym przypominającéj raczéj mównicę jak cichy gabinet, podaje uwagi o stanowisku obecném katolików francuzkich.

Właściwie ostatnia część dzieła jest nam wyłączniéj potrzebna, nie chcemy przecież i tamtéj pominąć, bacząc na pożytek polskich czytelników.

Oto wspaniały szkic historyczny, od którego się dzieło rozpoczyna:

W dniu 1. stycznia r. 1800 kościół nie miał zgoła papieża. Wygnaniec i więzień bezbożnéj rzeczypospolitéj francuzkiéj Pius VI umarł był przed kilkoma miesiącami w Valence. Rzym zaledwo wychodził z rąk tłuszczy pogańskiéj, która na chwilę zaprowadziła tam niby rzeczpospolitę, zaczynając od ogłoszenia, że papieztwo na zawsze obalone. Ośm miesięcy najniebezpieczniejszego bezkrólewia miało przedzielać śmierć Piusa VI od wyboru Piusa VII. Kardynałowie wypędzeni z Rzymu nie mogli się zebrać jeno za osłoną wojska schyzmatyckiego, co przyciągnęło z głębi krain moskiewskich, by wstrzymać na chwilę ojcobójcze najazdy ludu, niegdyś najpierwszego między katolickiemi. Kilku starców zjechało się z tyłu armii rosyjskiéj na jednéj z wysp lagun Wenecyi, téj dumnéj i przebiegléj Wenecyi, która odznaczywszy się na drodze dokuczliwéj nieprzychylności przeciw kościołowi rzymskiemu, ona w średnich wiekach podpora i zaszczyt kościoła, była niedawno upadła. Sto cztery dni pozostali w zamknięciu kardynałowie, nie mogąc zgodzić się na jedno, skłopotani w obec okoliczności, które jeden ze współczesnych mieni *stanem jawnéj zdrady ze strony katolickiéj Europy:* w końcu zbiegły się ich głosy na zakonnika nieznanego i z tego chyba względu zaleconego do wyboru. Austryacy zajmowali legacye; Neapolitańczycy byli panami w Rzymie. Jedni i drudzy nie bez trudności zwrócili Piusowi VII posiadłości, które Napoleon miał mu znowu niedługo potém wydrzeć.

Zobaczmy teraz co się działo z religią katolicką w królestwie Chlodwiga i Ludwika śgo.

Wszyscy biskupi poszli byli na wygnanie; gilotyna i deportacya dziesiątkowały duchowieństwo; wierni ścigani bezustannie, długo skazani na wybór między pozorną apostazyą a śmiercią, ledwo że zaczynali oddychać, korzystając w cichości z tego, że choć nimi gardzono, tolerowano ich przynajmniéj.

Nie przedstawiały się znikąd ani materyalne ani moralne zasoby; bogate dziedzictwo kościoła, które składała powoli miłość i dobra wola czter-

dziestu pokoleń w proch się było obróciło; po dziesięciu wiekach chwały i dobrodziejstw zakony leżały zniweczone; trzy tysiące klasztorów obojéj płci zniesiono, a z niemi wszystkie kolegia, wszystkie kapituły, wszystkie miejsca święte, wszystkie schronienia pokuty, samotności, nauki i modlitwy.

Francya skalana dziesięciu latami rewolucyi właśnie była sobie wzięła pana w osobie młodego zwycięzcy co ją od razu uwolnił od anarchii i wolności pozbawił, który wedle Sieyésa umiał wszystko, mógł wszystko i chciał wszystko, który we Włoszech narzucił był stolicy apostolskiéj nielitościwe przymierze Tolentyńskie, który w Egipcie ujmował był sobie islamizm, i który choć miał niebawem chwalebnego dzieła podniesienia kościoła dokonać, do owéj pory kościołowi znany był tylko jako plaga.

Uśmierzone zaledwo prześladowanie ustąpiło było miejsca niezaprzeczonéj przewadze złego. Prawodawstwo, wychowanie, obyczaje, przedstawiały gotową pastwę wszystkim teoryom XVIII wieku. Rodzina rozprzęgała się za sprawą rozwodów. Boga zewsząd wypędzano. Bernardin de Saint Pierre za to, że imię Jego wymówił, został zelżony w akademii. Wolter byłby się wydał za skromny, a Rousseau za mistyczny w społeczeństwie, które jeśli nie było zaprzątnione wojną albo się nie zajmowało nieomylnością nauk matematycznych, spieszyło rozkoszować w wierszach Parnego i powieściach Pigault-Lebrun.

Anglia uratowana od rewolucyi wymową Burkego i jeniuszem Pitta z zadziwieniem spoglądała na cnoty i odwagę biskupów, tudzież księży katolickich, których wygnanie w ogromnéj liczbie na jéj brzegi sprowadziło; nic jednak nie zapowiadało bliskiéj zmiany w owém srogiém prawodawstwie, które niegdyś wykorzeniło katolicyzm w W. Brytanii a w Irlandyi go zgniotło. Wszyscy używali dobrodziejstw pięknych i trwałych instytucyi angielskich z wyjątkiem krajowych papistów. Kodeks angielski hańbiły jeszcze dzikie kary naprzeciw publicznemu praktykowaniu wyznania Alfreda i Edwarda śgo. Z wysokości krzeseł trybunalskich ogłaszali sędziowie, że prawo żadnemu katolikowi legalnego istnienia nie przyznaje. Najdostojniejsze rodziny angielskie były jeszcze pozbawione dziedzicznych swoich krzeseł w izbie parów. Najodważniejszy z żołnierzy, jeśli katolik, nie mógł wysłużyć sobie wyższego stopnia jak stopień pułkownika. Ani przymioty, ani zdolność, ani zasługa choć najgłośniejsza, nie wystarczały by otworzyć wrota izby niższéj temu, któryby odmówił uznania przysięgą swoją, że przytomność istotna jest bałwochwalstwem a msza świętokradztwem. Jerzy III wolał się wyrzec usług Pitta jak zezwolić by choć drobną zmianę w tych zbrodniczych szaleństwach zaprowadzono. Przed dwudziestu jeszcze laty można było widzieć w tym szczególnym kraju brudne zakątki, stodoły i stajnie, w których się nieliczni wierni Londynu, skrycie dla uczestnictwa w świętych tajemnicach zbierali. W Irlandyi odprawiano msze pod golém niebem; biedni Irlandczycy zgłodniali, łachmanami okryci kupili się koło księży prześladowanych, niedaleko pustych i sprofanowanych katedr wydartych im przez Elżbietę i Cromwella.

W Niemczech kościół zdawał się coraz głębiéj zapadać w przepaść poniżenia, jaką przed nim otworzyła wojna trzydziestoletnia. On co dawniéj posiadał połowę tego kraju wykarczowanego przez zakonników, wydartego barbarzyństwu przez biskupów, wkrótce miał stracić niepowrotnie ostatnie szczątki swego dziedzictwa. Polowa posiadłości kościelnych już była przyłączona do Francyi, drugą miano pokrajać i rzucić na pastwę wszystkim owym książętom, tudzież magnatom katolickim i protestanckim, którzy późniéj w Lunewilu i w Ratyzbonie przyszli żebrać z rąk zwycięzkiéj rewolucyi o cząstkę w łupieży kościelnéj..... Katolicyzm zgoła nic nie znaczył w polityce i literaturze narodu, co wielbił na kolanach Fryderyka W. i nie posiadał się z uciechy a uniesienia w obec pogaństwa Goethego.

Teologia dawała chwilami słabe poznaki życia, ale tylko aby walczyć z Rzymem w kolei natchnień Febroniusza i jego współzawodników. Jako ostatni czyn swego historycznego istnienia, trzej elektorowie duchowni, moguncki, koloński i trewirski, zjechali się z arcybiskupem salcburskim, prymasem Germanii w celu spisania *punktacyi* Emskiéj (r. 1786), owego kodeksu buntu i niewdzięczności względem Stolicy apostolskiéj. I stało się, że właśnie trudnili się zaprowadzaniem swoich uchwał, kiedy wojska rzeczypospolitéj przyszły ich zrzucić z tronów, wymierzając karę, jakiéj sami zawczasu usprawiedliwienie dali. Zresztą nie odzywał się ani jeden głos w obronie prawdy chrześciańskiéj, praw papieztwa, a choćby tylko owych władz duchownych, pod których opieką panująca od tysiąca lat pomyślność w przysłowie poszła.[1]) Nic jeszcze, nawet z daleka, nie zapowiadało przyjścia Stolberga, Schlegla, Görresa. Wśród tego niezmiernego rozbicia, można było wodzić wzrokiem po całych Niemczech katolickich i nie dopatrzyć ni jednego pisarza, ni jednego doktora, ni jednego biskupa godnego swéj dostojności.

We Włoszech to samo spustoszenie i poniżenie to samo. Demagogi zachowywali i wykonywali ustawy przez monarchów absolutych Neapolu, Parmy, Turynu i Florencyi przeciw kościołowi zaprowadzone. Obce wojska kraj w zdłuż i w szersz przechodziły; na chwilę tu i owdzie powstawały rzeczpospolite i zaraz nikły; przerażone ludy patrzały na profanacyą kościołów i zniszczenie klasztorów, a nigdzie nie pojawiali się już nietylko męczennicy ale nawet żołnierze.

W Austryi kościół drzymał na łożu Prokusta, jakie dlań Józef II sporządził. Na gruzach dwóch tysięcy klasztorów zagrabionych przez jego apostolską mość dwa lata wpierw niźli zgromadzenie konstytucyjne tę samą teoryą zastosowało, biurokracya cesarska kuła swobodnie łańcuchy aksamitem wyłożone, któremi do dziś dnia niewolnicę swoją skrępowaną trzymała. Józef II był napisał: ***W państwie mojém filozofia prawa stanowi***, zaś wierny jego naukom następca Leopold II jako źródło wszelkiego złego władzę szlachty i duch zakonny przed stanami Niższéj Austryi wskazywał. Belgia ukochana i wierna córka katolickiego Habsburskiego domu była mu na zawsze wydarta. Zniweczona dwustronném parciem rewolucyi monarchicznéj Józefa II i podboju rewolucyjnego terrorystów upadła była nakoniec, wszelako nie bez szlachetnego wysilenia w obronie religii i wolności, które już wtedy zapowiadało odrodzenie katolickie i narodowe, jakieśmy z pociechą za dni naszych ujrzeli.

Polska to *prawowierne* królestwo, długo niezwyciężona zapora Europy i kościoła od islamizmu tudzież schizmy greckiéj, potępiona przez Voltaira wpierw nim ją Katarzyna na zgubę skazała, Polska skrwawiona i rozdarta, szamotała się z początkiem stulecia pod szponami potentatów, którzy po raz pierwszy od ery zbawienia byli dokonali mordu na chrześciańskim narodzie.

Hiszpania odarta ze starożytnéj wolności, a przez dziwaczne zapomnienie swojéj przeszłości nieśmiertelnéj zamieniona w osobistą posiadłość swoich królów [2]), wycieńczona dwoma wiekami despotyzmu bez chwały, świadek milczący niesłychanéj zbrodni jakiéj się Karol III. przeciw zakonowi Jezuitów dopuścił, wlokła mizerny żywot pod zarządem prostego gwardzisty, kochanka królowéj zarazem ulubieńca królewskiego.

Portugalia, gdzie Pombal odnowił był przeciw Jezuitom okrucieństwa cesarzów rzymskich przeciw pierwszym męczennikom, nachylała się do

---

[1]) Unter dem Krummstab ist es gut wohnen.

[2]) Po śmierci Karola IIgo rejencya w te słowa pod datą 3. listopada r. 1700 do Filipa V. pisała: „Oznajmujemy W. kr. mości, że dziedzic nieboszczyka króla, może „niezwłocznie objąć państwo w posiadanie, by niém rządzić tak jak swoją prywatną „własnością.“ Tak dalece była spadła Hiszpania Cyda i Izabelli katolickiéj.

oderwania od kościoła rzymskiego. Trzeba czytać nieocenione opowiadanie kardynała Pacca, wówczas nuncyusza na dworze Jéj najwierniejszéj królewskiéj mości, by osądzić, jak dalece były upadły stara chwała, stara wolność i stara wiara, królestwa założonego niegdyś przez Alfonsa Burgundzkiego, w skutek odniesionego zwycięztwa i cudownego widzenia, za swobodném przyzwoleniem baronów i ludu, a za upoważnieniem Stolicy apostolskiéj otrzymaném przez Ś. Bernarda [1]).

Pół wieku upłynęło, a wszystko jest inaczéj. Znowu religia miejsce naczelne wszędzie trzyma; wszyscy uznają kościół za potęgę pierwszego rzędu... Zwróćmy oczy na niwy Europy głęboko przez rewolucye i wojny zorane, ażaliż nie widzimy, że na nich katolicyzm rośnie, odkwita, podnosi odmłodniałą głowę i napowrót wzbija się ponad przeznaczeniami świata. Jak w czasach potopu skoro się wody zniżyły, widać było z kolei szczyty wysokie; tak dziś ukazują się jedne po drugich prawdy, które kościół ogłasza od ośmnastu wieków, instytucye które powznosił na niewzruszonym obietnicy bożéj fundamencie.

Zapewne nieszczęśliwa Polska nie odzyskała téj niepodległości, którą papież Klemens XIII. w tak rzewny a w tak nakazujący sposób znikczemniałym królom zachodu polecał. Ofiara najopłakańszego opuszczenia, niespostrzega ona jeszcze zorzy zadosyćuczynienia, które się jéj przynależy, skoro będzie mogła odrzucić sojusz z duchem rewolucyjnym. Wszelako kto tylko wie, jak dalece nieszczęście poprawia narody co o sobie nie zwątpiły, kto zna skarby odwagi i rezygnacyi żyjące w głębi strapionych serc polskich, kto się przekonał o silnym powrocie do praktyki religijnéj, o niezaprzeczonéj poprawie obyczajów i o niezłomnéj wierności dla wiary prawdziwéj, jakie się objawiają w każdém westchnieniu, w każdéj boleści tego nie do wytępienia narodu, kto nakoniec ufa w miłosierdzie i sprawiedliwość, ten nie może wyrzec się nadziei lepszéj przyszłości i uwierzyć, że Polska upadła niepowrotnie w wieku, w którym Irlandya i Grecya ożyły.

Polska przedstawia najżałośniejszy widok, ale po niéj każdy katolik w Szwajcaryi napotka najwięcéj powodów do strapienia. Czego nad Wisłą i Dnieprem dokonał despotyzm schizmatycki, to samo bezbożna rewolucya u stóp Ś. Gotarda i Ś. Bernarda zamierza. Świętokradztwo panuje tam wszechwładnie, nikną jeden po drugim klasztory, których pierwsi mieszkańcy zaprowadzili oświatę w starożytnéj Helwecyi; bezecna tyrania gniecie w imię wolności lud rozbrojony i duchowieństwo któremu chyba zbytek cierpliwości zarzucić można. Wszelako odwieczne a czerstwe pokolenie chłopów, choć jęczy pod przemocą, demagogii napocząć się nie daje; jarzmo ciąży na osobach i majątkach, nie na sercach niezwalczonych. Krew męczennika Leu chłopa z Lucerny, zamordowanego przez radykalistów za to, że ich był szlachetnie w szrankach prawności pokonał, niewola i wygnanie biskupa fryburskiego, bez wielkich następstw nie pozostaną.... Oto już stolica kalwińska Genewa widzi z przestrachem katolicyzm w mury swoje wracający. Mędrcy dumnego tego miasta mniemali, że dokazali cudów, skoro uzyskali na kongresie wiedeńskim, by miasteczka i wsie katolickie zabrane domowi Sabaudzkiemu, przyłączone zostały do kantonu genewskiego; nieprzewidywali wtedy, że z łaski zasady wolności religijnéj którą ich ojcowie wymyślili, a która się teraz przeciw nim obraca, właśnie sobie nieprzyjaciela do warowni wprowadzają. Gdyby wrócili na świat Ś. Franciszek Salezy i Teodor de Bèze, oba równieby się zadziwili na widok, że we dwa

---

[1]) *Notizie sub Portugallo con una breve relazione della nunziatura di Lizbona, dall' anno* 1795 *fino all' anno* 1802 *dal cardinale* Bartolommeo Pacca; Velletri 1835.

wieki po nich istnieją w mieście Kalwina pisma katolickie, co więcéj że jest tam dwa kościoły za mało, by tłum wiernych pomieścić.

Zapewne, dwa półwyspy południowéj Europy, Włochy i Hiszpania nie przebiegły jeszcze całego koła błędu, równie jak nie odpokutowały tyle, ile się zawsze na drodze poniżenia za krzywdy religii wyrządzone odpokutować musi. Kraje te długo wyrzucone poza obręb wielkich ruchów europejskich, albo zapóźnione za resztą Europy, kierowane wpływami obcemi, sztucznemi, wyparte ze swojéj sfery normalnéj, są teraz tam gdzieśmy byli przed laty i potykają się o kamienie probiercze, które już dawno zawadzać nam przestały. Ztémwszystkiém ileż powodów uspokojenia się i pociechy znajdujemy w Hiszpanii. W kraju owym najazd napoleoński obudził na nowo uczucie siły i godności, o których już byli mieszkańcy pod długo trwającym, a nikczemnym despotyzmem zwątpili. Późniéj choć równie jak my pogrążyła się Hiszpania w krwawych okropnościach rewolucyi i wojny cywilnéj, tyle miała szczęścia, że katolicyzm przeżył w niéj spustoszenie i grabież kościołów, profanacye tudzież pożary klasztorów, co gorzéj mordy zakonników. *Nowe wyobrażenia* filozoficzne i religijne doprowadziły tam jeno do przedrzyźniań śmiechu godnych. W końcu znalazło się przecież dwóch ludzi, którzy jakoby zwiastują bliskie podniesienie się z upadku i oba ci ludzie są katolicy. Jeden Donoso Cortes zdobył sobie od razu cześć Europy z oczekiwaniem połączoną, drugi Balmès zajaśniał jako historyk, filozof, teolog, głównie jako wielki polityk i tylko na nieszczęście zgasł zbyt młodo. Balmès rozumiał wszystkie potrzeby i wszystkie warunki wolności dzisiejszéj, a znał wszystkie ułomności urządzeń demokratycznych; umiał on przytém godzić jasną swoich czasów świadomość z niewzruszoném przywiązaniem do zasady nieomylności kościoła, bez czego żaden Hiszpan nie jest godzien należeć do ojczyzny Ximenesa i Calderona. Zaiste musi oddziałanie katolickie długo ciche i niepostrzeżone, mieć w Hiszpanii głębokie korzenie, kiedy takich wyobrazicieli znalazło. Zrozumieli to ludzie Stanu przewodniczący tam rzeczy publicznéj i niedawno zawarli z Rzymem konkordat korzystniejszy dla Stolicy apostolskiéj od wszystkich innych, na jakie w czasach bliższych nas państwa katolickie przystały. Jeśli ten konkordat szczerze będzie wykonywany, rychło pogodniejsze słońce dla kościoła hiszpańskiego zaświeci.

W Niemczech widzimy wszędzie konkordaty, ale że brak dobréj wiary w ich wykonywaniu, nie mogły one ran zadanych religii w tym wielkim kraju wygoić. Potrzeba tam było innych lekarstw i innych nauk; nauk nie zabrakło, lekarstwa przyszły za niemi. Dziś jaka zmiana, jaki postęp! Protestantyzm niemiecki na wylot poprzeszywany strzałami racyonalizmu i panteizmu, niema duszy w sobie: istnieje jedynie jako ciało sztucznie utrzymywane energiczną wolą państwa. Życie go ubiegło, zaś nauki już nieposiada, ogłaszać jéj nie śmie... Niechby kto porachował protestantów niemieckich gotowych podpisać tekst pierwotny wyznania augsburgskiego. Ponoby wszystkich takich w jednéj wiosce pomieścić można.

Wprawdzie istnieje w Berlinie kółko rozumnych i odważnych *pietystów*, z którego wymyka się od czasu do czasu zabłysk prawdy, a nawet sprawiedliwości względem katolików; wszelako, jeśli się nie mylę, znajdzie w tém kółku więcéj polityków i wojskowych, jak teologów, i rzecz godna uwagi, raczéj oni na tronie jak u ludu współczucie znajdują. Poza nimi protestantyzm jest tylko imieniem służącém za pokrywę wszystkim przeczącym i burzącym teoryom, jakie nowsza filozofia wywołała. Nazywać się protestantem, jest to właściwie mówić, że się nie jest katolikiem, a częstokroć że się już nie jest chrześcianinem. Pośród tych piasków pustyni, katolicyzm wznosi się z niezachwianą swoją nauką i swoją surową karnością, taki jakim go widziano na soborze Trydenckim i jaki się ostał

daremnym napaściom dziesięciu pokoleń reformatorów, którzy bezpotomnie przeminęli. Nic mu nie zrobiły wojny domowe i obcy zabór; wytrzymał ciosy dyplomatów i jurystów; przetrwał despotów i demagogów.... Waląc się stary gmach świętego cesarstwa, zgruchotał tylko więzy, które go krępowały i nowe mu drogi otworzył. Upadła niegodziwa maksyma prawa niemieckiego: ***Cujus regio illius religio****....*[1]). Prusy zagarniając obszerne katolickie prowincye, przymuszone zostały wejść w umowy z kościołem i otworzyć mu wstęp do krain, z których prawdziwa wiara od trzech wieków była wygnana.

Ze wszech stron widać gromadki wiernych katolików zbierające się pod cieniem obszernych starych kościołów, które protestantyzm przywłaszczył sobie, ale których nie umiał zapełnić. Przezwyciężając wstyd światowy, a niebacząc na powszednią niepopularność i na gniewy racyonalnéj prasy, co chwila ktoś się nawraca z pomiędzy szlachty i z pomiędzy uczonych, które to dwie klasy dużo do odpokutowania mają. Dostojny hr. Stolberg otwiera szereg, p. de Florencourt nie będzie w nim ostatnim. [2]) Przechodzą do kościoła ludzie wielkiéj wartości, kiedy tymczasem jak gdzieindziéj tak i w Niemczech herezya katolicyzmowi ani jednego nazwiska godnego żalu lub zasługującego na wzmiankę niezabrała.

Prędko ruch katolicki ze sfery życia prywatnego do sfery życia publicznego przeszedł, zaś hasło ocknienia się dał kościołowi niemieckiemu rząd pruski, rękę na arcybiskupa kolońskiego nierozważnie ściągając. Nieśmiertelnéj pamięci Klemens August v. Droste poświęcił w sprawie małżeństw mięszanych swoją spokojność i wolność swoją najświętszym interesom sumienia i rodziny, ale poruszył duchowieństwo od jednego końca Niemiec do drugiego. Odtąd wszystko się odmienia i kościół jest uratowany. Na innym krańcu państwa pruskiego polski arcybiskup w Poznaniu, współzawodnik brata swego kolońskiego, tak jak on staje się wyznawcą i więźniem dla wiary. Jeniuszem obdarzony pisarz Görres uznaje w ks. von Droste nowego Atanazyusza, a ryk tego lwa starego odbija się w całym kraju. Odtąd już wiedzą przyjaciele i nieprzyjaciele, że kościół nie umarł. Pojawiają się pisma katolickie, zbierając w jedno i porządkując usiłowania katolików. Nawet rewolucya r. 1848 toruje drogę do najniespodziewańszego tryumfu kościoła. Na zgromadzenie frankfurckie przybywają księża, mowcy, teologowie katoliccy, by się upomnieć o wolność nauczania i wolność religijną. W konstytucyach co chwila pojawiających się w Wiedniu, w Berlinie, Frankfurcie i Erfurcie zostaje zapisana na domaganie się katolików zasada wolności sumień w porządku politycznym. Zarazem kościół upomina się o swoją wolność, o swoją boską konstytucyę długo gwałconą i krępowaną przez władze świeckie. Nikt nie śmie odmówić kościołowi, i oto po raz pierwszy od punktacyi Emskiéj zbierają się w Wirzburgu biskupi by w spokoju a powadze śród krwawych zawieruch polityki obradować. Ich wyroki są przyjęte z uszanowaniem; ich życzenia wypełnione zostają bez wielkiego wstrętu.

Tam gdzie Ronge, nędzny przedrzeźniacz Lutra przepowiadał śród oklasków demokratów i filozofów, ostateczny upadek papiezkiego Babilonu, dziś

---

[1]) Na mocy téj zasady uświęconéj pokojem zawartym w Passawie w roku 1552 mieszkańcy Palatynatu musieli czterykroć raz po razie w przeciągu lat dwudziestu siedmiu (1556—1583) przechodzić z luteranizmu do kalwinizmu i naodwrót, stosownie do woli czterech książąt, którzy w tym czasie godność elektorów palatynów piastowali.

[2]) Godzi się tu jeszcze wspomnieć księżnę Galiczyn, która w pierwszych latach obecnego stulecia była w Monastyrze środkiem znamienitego ruchu religijnego, Adama Müllera, radcę Schlossera, wymownego publicystę Dra Jarcke, uczonego i nieustraszonego profesora Philippsa, hrabinę Idę Hahn-Hahn, w końcu Hurtera autora ***Dziejów Innocentego III***.

zakonnicy, Jezuici i Franciszkanie ukazują się w okrzyczanych swoich a długie lata wygnanych sukienkach i odprawując misye, które są jedném z najbardziéj uderzających zdarzeń naszego czasu, tłumy niezmordowane w chciwości słuchania u stóp kazalnic zbierają... Tam gdzie stowarzyszenie Gustawa Adolfa mające pod godłem zniszczyciela Niemiec rozszerzać protestantyzm na ruinach zabobonów papiezkich, głośno się rozwielmożało, dziś zawiązują się, zakorzeniają i rozprzestrzeniają coraz bardziéj wielkie stowarzyszenia Piusa IX., Ś. Karola Boromeusza, Ś. Bonifacego mające zdobyć Niemcy wiarą i miłością.... W końcu tam gdzie Klemens August napotykał wzgardę władzy swojéj u księży obłąkanych Hermezyanizmem i urzędników, których zaślepienie miała wkrótce potém ukarać rewolucya, prosty wikaryusz a dawny robotnik ks. Kolping, zakłada bez innych zasobów jak wymowne a pociągające słowa i rozpowszechnia z niesłychaném powodzeniem stowarzyszenie czeladników (Gesellenverein), mające na celu moralne i fizyczne podniesienie robotników...

Biskupi zajmują się myślą urządzenia uniwersytetu wyłącznie katolickiego w Fulda, by młodych lewitów uchronić od złego wpływu sławnych uniwersytetów, na które ich posyłać było trzeba.

W Prusiech król protestant, ale rozumny i szlachetny, obiecał, że pod jego rządami kościół nie zazna dawnego ucisku. W Austryi młody i kawalerski cesarz otwiera swoje panowanie zniesieniem prawodawstwa Józefa IIgo.

Biskupi austryaccy zasłonięci dawniéj przed współczuciem świata katolickiego tym murem chińskim co ich od reszty kościoła oddzielał, spieszą współubiegać się z braćmi swymi francuzkimi na drodze wierności dla papieża i gorliwości o dusz zbawienie. Oto już jeden z nich w pobożnéj pieczołowitości zwrócił baczenie na miliony Słowian przez schizmę od jedności oderwanych.[1])

Jeżeli biurokracya przesycona podaniami racyonalizmu i absolutyzmu, niepocieszona z tego, że religia, wychowanie i dobroczynność z pod jéj jarzma się uchylają, stawia tysiączne przeszkody urzeczywistnieniu obietnic monarchów; jeśli Bawarya niewierna najpiękniejszym podaniom swojéj historyi upornie z daleka za Austryą a nawet za Prusami zostaje i policyjnemi środkami stara się w dokuczliwy, tudzież poniżający sposób wpływowi kościoła zagrodzić; jeśli rządy Badenu, Meklemburgu i kilku innych państw drugiego rzędu pokazują skłonność do hołdowania niechęciom, jakie odrzuciły precz większe mocarstwa, niema to wszystko wielkiéj wagi i gorliwości braci naszych niemieckich wstrzymywać nie powinno. Zwycięztwo przy nich w końcu pozostanie. Prawda, wiele jeszcze zostało do zrobienia by zakwitły wolność i sprawiedliwość; wszelako postęp jest już niezmierny. Kiedy kto wydostawszy się z przepaści, po stroméj pochyłości w górę się drapie, nie powinien ciągle patrzyć na wierzchołek by go mozoł nie odstraszył, zniechęcenie nie ogarnęło; raczéj niech raz i drugi spojrzy po za siebie, a skoro zmierzy okiem całą przestrzeń, która go odedna przedziela, ubezpieczy się i zaufania w pomyślny koniec nabierze.

Belgia zachowała wierniéj niżli którykolwiek inny naród obyczaje tudzież instytucye starego katolickiego świata, co więcéj, nigdy tam dworactwo średniowiecznych podań nie zwichnęło. Owoż słuszna, że kraj ten pierwszy wezwany został by zastosować warunki i zebrać owoce działania katolicyzmu w nowszych czasach. Chlubnie odzyskana narodowość belgij-

---

[1]) Książę biskup Lawantu w Karyntyi urządził wspólność modlitw, by uprosić nawrócenie Słowian schizmatyków: w swoim liście pasterskim z dnia 18 czerwca 1852 r. oznajmia on, że usiłowania swoje łączy z usiłowaniami stowarzyszenia zawiązanego w tym samym celu we Francyi.

ska opiera się na konstytucyi, której zaprowadzenie i wierne do dziś dnia utrzymanie jest zaszczytem katolików. Konstytucya zatwierdziła wszystkie życzenia i wszystkie zdobycze dzisiejszego katolicyzmu: bezwzględną niepodległość kościoła, swobodny wybór biskupów przez papieża, w końcu zupełną wolność wychowania i stowarzyszeń religijnych. Stopniowo okrył się kraj cały klasztorami, gimnazyami, zakładami pobożnemi. On jeden w Europie ujrzał wskrzeszenie uniwersytetu takiego, jakie istniały w wiekach wiary, uniwersytetu o wyłącznym celu uczenia i obrony prawdy. [1]) Bezwątpienia złe nie zostało tam bezpowrotnie zwyciężone. Codzień rozpasane na wszystko pisma czasowe, popychają do przywrócenia podań Józefizmu i sieją zepsucie materyalne, że konstytucya zasłania wychowanie i wolność stowarzyszeń, nieprzyjaciele religii starają się w niegodny sposób swobodę robót dobroczynnych ograniczyć. Wszystko to przecież mało szkodzi, skoro równą bronią walczyć można. Są bojaźliwe umysły, co zapominają o dobrodziejstwach zdobytych w roku 1830 instytucyi i o chwale lat ostatnich.... nie boimy się przecież zarazy tego małodusznego zniechęcenia, bo ufamy w zdrowy rozsądek, także w uczucie własnéj godności u duchowieństwa i u ludu belgijskiego; Belgia na niedostatki wewnętrzne lekarstwa w despotyzmie szukać nie będzie. Jeśli dla wielu dotkliwą jest obecna przewaga niepoprawnego liberalnego stronnictwa, godzi się pamiętać, że mniejsze ztąd poniżenie i mniejsze niebezpieczeństwo, jak z systematu, który Józefowi II dawał prawo przemazać jednym pociągiem pióra wszystkie rękojmie tradycyonalne kraju i kościoła, który Napoleonowi pozwalał wcielić całe seminaryum gandawskie w szeregi pociągowego szwadronu artyleryi [2]) i który Wilhelma I uzuchwalał do tyla, że król ten skazywał na pręgierz biskupa winnego oporu jego samowładnéj woli. [3])

Nie pomijajmy Holandyi, bo i tam pojawiają się piękne żywioły odrodzenia. W Holandyi, gdzie przez pół wieku tak czynnie i tak skutecznie katolików prześladowano; gdzie rząd z takiém okrucieństwem ścigał na dwóch półkulach, na lądzie i na morzu, w Azyi i w Ameryce, misyonarzy, zakonników, wszystkich żołnierzy prawdy katolickiéj, niszcząc wraz z panowaniem portugalskiém najbujniejsze nadzieje kościoła w Indyach; gdzie założono w wieku XVIII jakoby kolonią piśmienną niedowiarków i janzenistów; gdzie wreszcie katolicy co jeszcze pozostali byli zapomnieni od świata całego; ci katolicy powoli odzyskali siłę i znaczenie, jakie się przynależą połowie narodu. Liczba katolików holenderskich dzisiaj dwie piąte całéj ludności wynosi. Powaga obyczajów, żarliwość wiary i pobożna szczodrobliwość jaka ich oznacza, zapewniły tam kościołowi wpływ tudzież poszanowanie. Nietolerancya protestancka straszy się temi postępami; starzy reformowani z Dordrechtu siłą się by dawne jarzmo przytrzymać; wbrew konstytucyi równość wyznań zapewniającéj katolicy widzą się wykluczeni od urzędów. Nic nie pomoże. Obrońcy kościoła nie cofają kroku, walczą w książkach i w dziennikach, już otrzymali wolność stosunków z Rzymem, bronią nieprzerwanie stanowiska prawnego przeciw samowoli i przesądom, opierają się z tą szlachetną wytrwałością, któréj Pan Bóg długo zwykł próbować; zaś z każdym dniem ich liczba rośnie, ich animusz się wzmaga.

Ale gdzie najbardziéj przeobrażenie uderzać musi umysły to we Francyi. Jestże to ten sam kraj, który lat temu trzydzieści a nawet lat temu

---

[1]) Uniwersytet w Lowanium (Louvain).

[2]) W kwietniu r. 1813, seminaryści z Gandawy w liczbie 236 odesłani zostali do Wesel i tam wcieleni w szwadron pociągowy. Zob. w zbiorze praw rozporządzenie rządu tymczasowego z daty 9 kwietnia 1814, tyczące się uwolnienia ich ze służby.

[3]) Mowa tu o Ks. de Brogli biskupie Gandawskim, który uciekł by uniknąć sromoty, co nieprzeszkodziło że portret jego między dwoma złodziejami u pręgierza dnia 8 października 1817 r. powieszono.

dziesięć, pokazywał taki wstręt przeciw duchowieństwu, tak głośno instytucyami kościelnemi gardził? Gdzież się podziała owa groźna niepopularność czychająca na każdy by najmniejszy objaw myśli katolickiéj lub katolickiéj czynności? Kędyż poszli ci doktorowie i ci pisarze, którzy w odgrzebywaniu starych potwarzy przeciw zakonnikom i przeciw księżom, nieprzebrane źródło zysków i zaszczytów znajdowali? Zdawało się, że niema odgłosu i wziętości jeno na ich łajania: a oto kościół ukazuje nam się mocniejszy, większą otoczony miłością, popularniejszy jak w któréjkolwiek innej epoce nowszych dziejów naszych. Wszystkie następujące po sobie rządy starają się o jego pomoc i o jego życzliwość; wszystkie otaczają go dowodami uszanowania, zaufania, uniżoności nawet; wszystkie ubiegają się o zaszczyt głośnego uznania konieczności jego wpływu i zwolnienia, jeśli nie potargania starych więzów co go krępują. Co do nas, odrzutków życia politycznego, długo pogardzanych przez wszystkie stronnictwa, długo zaliczanych w poczet nieznośnych marzycieli i natrętów godnych odepchnięcia, stało się, że w jednéj chwili zwyciężyliśmy, zapewne nie na zawsze, może nawet nie nadługo, ale dostatecznie by poznać tajemnicę naszéj siły i znaczenie naszéj pomocy. Wolność nauczania o którą przez tyle lat napróżnośmy się upominali, została nareszcie zdobyta. Więcéj szkół biskupom oddają, niźli im możność przyjąć pod swój kierunek dozwala, więcéj uczniów Jezuitom, niźli ci ojcowie są w stanie wychowywać. Jakto Jezuitom? Tak jest. Owi Jezuici o których rozproszenie i wytępienie z takiém wysileniem w Paryżu i w Rzymie przed laty kilku się starano, dziś mają sobie spokojnie przyznane jedyne prawo, o które się kiedykolwiek upominali, prawo poświęcania się dusz zbawieniu. Sam rząd otwiera przed nimi drogi posłannictw najbardziéj odpowiednich niezmordowanéj giętkości ich instytutu, oddając im kierownictwo kolonii dziecinnych w Algieryi i dzieło poprawy moralnéj kolonii karnych w Cayenne. Co się tyczy innych zakonów, zawiązują się one i rozwijają swobodnie, pomimo że je prawa zapisane dotąd w kodeksach z kraju wywołują. Biskupi którym niedawno listownie znosić się z sobą zabraniano, mogli teraz zbierać się bez przeszkody i w obec zadziwionego chrześciaństwa, trzynaście soborów prowincyonalnych z całą powagą starego prawa kościelnego, w pełen gorliwéj pieczy o moralne potrzeby Francyi a uległości dla przywilejów Stolicy apostolskiéj sposób, odprawić. Wiem ja że wszystkie te zdobycze wolności katolickiéj pozbawione są rękojmi prawnéj; wiem że dotąd nie zniesiono jeszcze artykułów organicznych tak niegodnie do nietykalnego tekstu konkordatu przyczepione; wiem że niejedna groźna broń spoczywa w arsenale prawodawczym; wszelako w kraju gdzie prawo pisane skazane jest na tak nagłe i tak częste przemiany, godzi się do faktów przytoczonych istotną wagę przywiązywać.

Są zresztą fakta które tyle znaczą co uroczyste zobowiązania narodowe. Do takich policzymy wymowne zaręczenia dobréj woli względem kościoła, jakie dzisiejszy władzca kraju tylekroć od czasu swojéj pierwszéj do najwyższéj godności kandydatury powtarzał; daléj dowody uszanowania i współczucia dla religii katolickiéj składane w każdém zdarzeniu przez zgromadzenie konstytucyjne i zgromadzenie prawodawcze; daléj jeszcze wyprawę rzymską wotami naszemi nakazaną, dokonaną przez naszych żołnierzy; w końcu i nadewszystko święty zgon arcybiskupa paryzkiego, tak szczytny w swojéj prostocie, a który na nasze domowe niezgody rzucił odblask bohaterskich wieków kościoła. Zaiste jeśli historya tego pasterza *co oddał swój żywot z miłości Boga i Francuzów* [1]), rozeszła się po świecie aż do niedostępnych wąwozów Ameryki południowéj i rozrzuconych wysp

---

[1]) Napis na medalu wybitym w dzień pogrzebu księdza arc. Affre.

Polinezyi, jako najtkliwsza a najprawdziwsza z legend, wyjdzie to na tém większą chwałę katolicyzmowi i Francyi.

Przejdźmy teraz ciaśninę by oglądać z uszanowaniem a wdzięcznością jeden z najbardziéj zastanawiających widoków jakie Bóg kiedykolwiek światu ukazał. Potężna Anglia, dziedziczka i współzawodniczka starego Rzymu dla wielkiéj rozległości posiadanych przez siebie krajów, dla trwałości jaką dostojne jéj instytucye znamionuje, dla energii w polityce i nieugiętości w zamiarach; Anglia niegdyś ukochana i wierna córka kościoła, zbuntowana późniéj przeciw swéj matce a śród téj apostazyi wszystkich pomyślności ludzkich używająca; Anglia któréj nic się nie może oprzeć i która urąga bezkarnie niebezpieczeństwom co tyle innych państw na upadek naraziły, ta dumna i wszechmocna Anglia widzi się najechaną i pokonaną przez niezwyciężoną słabość kościoła, o którym już tyle razy myślała że niepowrotnie runął. Ma ona przyrośnięte do siebie żywe świadectwo głównego swego przestępstwa, narzędzie kary, może kiedyś narzędzie miłosierdzia bożego. To Irlandya, która długo zapomniana przez resztę Europy nawet katolickiéj, wiary swojéj nigdy nie odbiegła. Męczenniczka niezwalczonéj dla kościoła rzymskiego miłości, życie swoje nazywać mogła ciągłą kaźnią. Nad jéj głową przeszły trzy wieki konfiskat, prześladowań, głodu i upodlenia, jednak nie ulękła się i nieugięła. I przyszedł w końcu czas że wydała mściciela, ale mściciela wedle nauki Chrystusa, takiego co karząc zbawia. Znalazł się człowiek który choć nigdy urzędu by najmniejszego nie piastował, zdołał przez lat trzydzieści panować w swoim kraju. Rządy jego ni jednéj kropli krwi niekosztowały, nigdy on do gwałtu nigdy do obalenia prawności nie nakłaniał, władał jedynie siłą mowy, mowy wolnéj a umiejącego się miarkować dla jakiéj nawet nieprzyjaciel ma wszelką swobodę w obrębie wspaniałych angielskich instytucyi. Powiedzieliśmy że panował, tak jest i panowanie jego więcéj sprawie katolickiéj przyniosło jak panowanie któregokolwiekbądź z królów dzisiejszych. Współobywatele dali mu miano *liberatora* i to miano zachowa mu potomność, nie dla tego że wyzwolił swoją ojczyznę, bo podobnéj rzeczy i inni ludzie dokonali, ale dla tego że wyzwolił kościół Boży w najpotężniejszém państwie na świecie, co jeszcze odtąd nie było dane nikomu. On to mając w odwodzie całą Irlandyą, przybył w imieniu swego ludu zapukać do drzwi angielskiego parlamentu. Drzwi się otworzyły i weszli za nim katolicy trzech królestw, a weszli na zawsze. Zwycięzca Napoleona złożył broń przed moralnym naczelnikiem ludu rozbrojonego ale niezwyciężonego, bo przekonanego o niepożytém swojém prawie, zarazem zaprawiającego się do walki z ciemiężcami przez zwalczenie niewstrzemięźliwości własnéj. [1]) Po pięćdziesięciu latach sporów wielki i chwalebny fakt *emancypacyi katolickiéj* jest ostatecznie dokonany.

Rasa irlandzka równie czynna jak wierna, roznosi wszędzie szczególniéj w koloniach wyzwoloną odtąd prawdziwą religię i to niezmierne pań-

---

[1]) Pijaństwo było wadą popularną i wiekową w Irlandyij można powiedzieć że lud ten uważał je za jedyną pociechę swoją w biedzie. W epoce elekcyi w Clare w r. 1829, O'Connell uzyskał był od swoich wyborców że się przez czas wyboru od wszelkich trunków upajających wstrzymają, a ta okoliczność pokazała dowodnie jaki ogromny wpływ wywiera Późniéj wystąpił inny Irlandczyk. O-Mathew Franciszkanin, który jął w imię religii wzywać swoich rodaków by się stanowczo trunków upajających wyrzekali. Usiłowania jego doprowadziły do skutków przypominających najpiękniejsze czasy gorliwości religijnéj. Od r. 1838 do r. 1842 pięć milionów Irlandczyków w kraju i w Ameryce złożyło w jego ręce szlub wstrzemięźliwości, zaś podatek od trunków w Irlandyi o trzecią część się zmniejszył. Podobnéjże rewolucyi dokonał w Szlązku O. Brzozowski Kapucyn polski. Zaczął on zaprowadzać towarzystwa trzeźwości w r. 1844 i wkrótce potém urzędowe sprawozdania donosiły że z 900,000 mieszkańców w rejencyi Opolskiéj, 500,000 szlub trzeźwości złożyło.

stwo angielskie, rozrzucone w pięciu częściach świata, państwo o którém prawdziwie powiedzieć można że w niém słońce nie zachodzi, staje się jak niegdyś państwo rzymskie ogromną szkółką biskupstw i misyi katolickich. [1]) Zkądinąd jak gdyby bacząc żeby to zwycięztwo obcéj a podbitéj rasy nie upakarzało Anglii, Pan Bóg dozwala że w pośrodku duchowieństwa anglikańskiego rozwija się ruch niespodziany a ogromny w kierunku tradycyi władzy i jedności rzymskiéj. Wiara Alfreda W., Śgo Anzelma i Sgo Tomasza z Kanterbury odzyskuje stracone miejsce w duszach wielkiéj liczby ludzi żałujących za odstępstwo. Zmordowana próżną walką przedsięwziętą nierozsądnie w nadziei znalezienia środka między prawdą a fałszem, między jednością a rozszarpaniem, najpiękniejsza część anglikańskiego kleru poświęca bogactwa, przyjaźnie, związki rodzinne i spieszy stanąć w szeregach sług prawego kościoła. Z każdym dniem prawda długo wygnana z téj ziemi więcéj sobie miejsca zdobywa. Wznoszą się kościoły, klasztory, a nadewszystko szkoły, które mogą używać najzupełniejszéj wolności nauczania, a dwanaście biskupstw zaledwo odpowiada potrzebom duchownym kraju, w którym przed stoma laty dość było jednego wikarego apostolskiego by garstce rozpierzchniętych i kryjących się wiernych przywodzić. Wszystko to są rękojmie stopniowego ale pewnego odrodzenia. Powrót Anglii do katolicyzmu nie zależy już tak jak za czasów Jakóba II. od woli panującego, albo od intrygi dworskiéj, równie jak wolność jest on powiązany z tą prawdziwie chwalebną konstytucyą zaprowadzoną zrazu przez katolików, przeciw nim w roku 1688 rozwiniętą, w końcu przecież stanowiącą dla nich tarczę tudzież rękojmię.

Rzecz oczywista że fanatyzm i herezya nie dadzą się od razu zwyciężyć: pospolite przesądy, obawy ludzi stanu, podstępna nienawiść prawników (nieprzyjaciół kościoła prawie wszędzie) gotują sidła i zapowiadają walkę cierpliwości a odwadze katolików angielskich. Przyjdzie im jeszcze znieść niejedną obelgę, zapłacić niejedną karę, niejedną kampanią jak kampania bilu *tytułów duchownych* odbyć. Wszakże nikt nie zdoła wznieść przed nimi rzeczywistéj zapory. Nic biegu rzeczy nie odwróci. Nic nieosłabi niezrównanéj siły jaką sprawa katolicka czerpie w głośności, w sprawiedliwości, w dyskusyi, w całości obyczajów politycznych i wolnych instytucyi Anglii..... W parlamencie falanga katolicka rośnie w znaczenie. O tajemnico miłosierdzia i wszechmocności Bożéj! Nie ma jeszcze jednego stulecia jak pierwsza petycya mająca na celu otrzymanie emancypacyi katolików została wyrzucona nogami przez kratki téj saméj izby niższéj, w któréj teraz deputowani katoliccy są częstokroć panami położenia politycznego.

W końcu jak na uwieńczenie dzieła odrodzenia katolickiego, którego mamy szczęście być świadkami; oto Rzym i papieztwo zajęły znowu przynależne sobie miejsce na świecie. Zaiste trzebaby daleko w dziejach szukać, by odnaleźć epokę w któréj papieztwo równie zajmowało, poruszało i uderzało umysły, jak od czasu wstąpienia na tron Piusa IX. Na wzór boskiego mistrza skazany przejść w życiu swojém śmiertelném wszystkie koleje wielkości i boleści, raz otoczony najhałaśniejszą popularnością, późniéj znowu oblegany w swoim pałacu, zmuszony uciekać, wygnaniem doświadczany, nieprzestał on ani na chwilę zajmować uwagi świata, któremu pokazał czém jest niezrównany majestat papieztwa... Oświadczenia jedności w posłuszeństwie, jakie na wygnaniu od wiernych i biskupów otrzymał, godne są najpiękniejszych czasów kościoła [2]). Sam kochając i rozumiejąc

[1]) Istnieje dzisiaj w krajach podległych koronie angielskiéj, ośmdziesiąt dziewięć biskupstw lub wikaryatów apostolskich. PETRI, *Gerarchia della S. Chiesa in tutto l'orbe.* Roma, 1851.

[2]) W ciekawym zbiorze pod tytułem *l'Orbe cattolico* (Rzym 1850, 2 tomy in 4°) znajdują się wszystkie listy do papieża w Gaecie przez biskupów i wiernych pisane.

wolność, chciał Pius IX. w obrębie sprawiedliwości i dobra, obdarzyć nią lud rzymski; ale ten lud knowaniami demokratycznemi znarowiony, pokazał że nie jest zdolny jéj używać. Cóżkolwiekbądź, w najtrudniejszych chwilach umiał Pius IX. to w głośnéj allokucyi z 29. kwietnia, która jak pierwszy promień światła śród ciemności roku 1848. zabłysła, to odmawiając wypowiedzenia wojny Austryi, pokazać dowodnie, że nigdy polityka nieda mu zapomnieć wzniosłéj neutralności wspólnego wszystkim narodom ojcowstwa. Wyżéj jak wszystkie reformy polityczne, któremi się w swojéj pieczołowitości zajmował, kładł on i kładzie reformy kościelne i interesa duchowne straży swojéj powierzone. Podczas kiedy cała Europa troskała się o niego i kiedy w Rzymie zaprowadzono rzeczpospolitę, on spokojny a wolny na wygnaniu swojém w Gaecie, oczy mając w niebo wlepione a serce całe zajęte obowiązkami apostolskiego urzędu, wyprawiał do wszystkich biskupów świata bullę mającą na celu przyspieszenie chwili, w któréj Niepokalane Poczęcie artykułem wiary zostanie. Skoro Rzym został wyzwolony walecznością francuzką, a z pomocą wojsk Hiszpanii, Austryi i Neapolu, przywrócił tam swoją ojcowską władzę pod cieniem téj saméj trójkolorowéj chorągwi, która niegdyś prowadziła zastępy co porwały Piusa VI. i Piusa VII. Tajemnice przyszłości są w ręku Boga; wszelako jakkolwiek się skończy pobyt armii francuzkiéj w Rzymie, zajęcie tego miasta i przywrócenie władzy papiezkiéj za posrednictwem żołnierzy rzeczypospolitéj, już odpowiadają najwspanialszym historycznym wspomnieniom kościoła i Francyi. Kto widział naszych żołnierzy w sile i prostocie klęczących na placu watykańskim i zniżających chorągwie zwycięzkie, a przed nimi kościół Ś. Piotra, katedrę świata całego, a pod ich stopami proch męczenników, a nad ich głową błogosławiącą rękę Piusa IX., ten może powiedzieć, że widział najpiękniejsze widowisko pod słońcem i powtórzyć we wdzięczném uniesieniu słowa przez Syxtusa V. na obelisku Nerona umieszczone: ***Vicit Leo de tribu Juda; Fugite partes adversae. Christus vincit, Christus regnat, Christus ab omni malo plebem suam defendat.***

Długi ten ustęp podaliśmy prawie w całości, albowiem ciężko było skracać go i obcinać bacząc zwłaszcza by się nie osłabił ten wymowny a pocieszający wywód.

Teraz musimy się ograniczyć w przytoczeniach.

W drugim rozdziale wykłada p. de Montalembert jaki jest właściwy charakter obecnego odrodzenia katolickiego.

Jeźli teraz, *powiada*, od zwycięztw zewnętrznych do wewnętrznego ruchu przejdziemy, sprzeciwieństwo między przeszłością a teraźniejszością uderzy nas jeszcze bardziéj, większa w nas wdzięczność większe uwielbienie obudzi. Niesłychany postęp ducha katolickiego od lat pięciudziesiąt znać najbardziéj w robotach wewnętrznych i kto chce zmierzyć jak wielką przestrzeń duch żywota wydarł duchowi śmierci, ten musi przedewszystkiém zwrócić uwagę na odmładzającą się gorliwość w wierze, na te wszędzie zakwitające dzieła miłości chrześciańskiéj i na nowe życie umiejętności.

Już to naprzód widzimy, że wszędzie między szczerze wierzącymi upadł niepowrotnie duch buntu i niepodległości w obec środka jedności, w obec kościoła matki i pani, duch który mniéj lub więcéj od XVgo wieku katolickie królestwa zarażał. Dzięki Bogu, dziś prawie nie słychać o kościołach galikańskim, germańskim, hiszpańskim, tudzież luzytańskim, co się opierały na dumie niektórych biskupów i na fałszywéj nauce niektórych doktorów, wspólników władzy świeckiéj a herezyi janzenizmu. Tchnienie rewolucyi wionęło na te sztuczne budowy i wszystkie w proch się rozpadły. Dziś wznosi się tylko jeden kościół katolicki bardziéj skupiony, posłuszniejszy swemu naczelnikowi niż kiedykolwiek.... Gallikanizm choć zranio-

ny na śmierć przez konkordat, ocknął się był jeszcze za restauracyi; teraz powrócił znowu do grobu dzięki zwłaszcza sprzymierzeńcom jakich znalazł a których zabiegi oświeciły sumienia katolickie.... W r. 1844 rzucone zostało ministrowi sprawiedliwości z mównicy izby parów wyzwanie, by wskazał choć czterech biskupów gotowych podpisać artykuły z r. 1682. Minister nie podjął wtedy rękawicy, a i dziś niktby jéj podjąć nie zdołał..... Porównajmy stan umysłów nawet najpobożniejszych teraz, a naprzykład trzydzieści lat temu kiedy hr. de Maistre ogłaszał swoje dzieło: *O papieżu*..... Jakaż niesłychana różnica! O niewrócą już czasy, w których Bossuet wzywał powagi parlamentu przeciw bulli wydanéj od pięciu wieków; w których się zbierało po dwudziestu biskupów na pokojach królewskich, a byłoby poczytane za zbrodnię stanu, gdyby jeden z biskupów pomyślał o pojechaniu do Rzymu, by wypełnić przysięgę uczynioną przy święceniu swojém; w których uczucie chrześciańskiego braterstwa tak w sercach wygasło, że ani nieustające w Irlandyi prześladowania, ani niegodziwe postępki Karola III i Pombala względem Jezuitów, ani barbarzyństwa jakich się Katarzyna na katolikach polskich dopuszczała, nie wzbudzały i słowa litości już nie u filozofów i filantropów, ale u biskupów i księży Francyi tudzież Niemiec; w których jubileusz jednego tylko księdza francuzkiego do Rzymu sprowadzał; w których widziano dygnitarzy kościoła przewodniczących dziełu znoszenia klasztorów, w których systematycznie burzono olbrzymie pomniki wiary przodków [1]); w których dzieje wielkich katolickich wieków niegodnie wykładano albo co gorsza fałszowano, obcinając żywoty świętych i wyrzekając się najdostojniejszych papieży, by tylko nie narazić się niskim przesądom; nakoniec w których targano się na liturgią, skład poświęcony wiary, pobożności i poezyi katolickiéj, w każdéj ją dyecezyi francuzkiéj wedle najpodejrzańszych natchnień samowolnie odmieniając.

We Francyi tak jak i w innych krajach katolickich duchowieństwo poraziło nieprzyjaciół kościoła cnotami swemi, żarliwością, czynnością, surowością obyczajów, a obok tego pracą umysłową i umiejętną. Wielu téż świeckich w obrębie roztropności i obowiązku współubiegając się z duchowieństwem, ręki do dzieła naprawy przykłada. Jedni i drudzy mozolą się by idąc za hasłem przez hr. de Maistre na początku stulecia podaném, odbudować prawdę historyczną, filozoficzną i towarzyską. Postęp roboty jest coraz widoczniejszy. Uczymy się z każdym dniem lepiéj poznawać i lepiéj cenić owe wielkie czasy, w których kościół był wszystkiem; kiedy dzięki kościołowi teoryi despotyzmu nie znano a wolność nosiła znamiona świętości i trwałości; kiedy ten kościół powściągał panujących, opiekował się ludami, władzę utwierdzał, sztukę poezyi i wszystko co piękne poświęcał w całéj rozmaitości kształtów i pojawów na służbę tudzież ku czci prawdy; w końcu kiedy społeczeństwo choć nie wyzwolone od nieuchronnych ułomności ludzkich nosiło zasługując na nie, piękne miano chrześciaństwa.

Niechodzi o wskrzeszenie wieków średnich; to rzecz całkiem niepodobna. Ale co jest podobne i konieczne, co musi nastąpić, to wskrzeszenie uczuć sprawiedliwości, czci i miłości dla wielkich ludzi i wielkich świętych katolickich, dla instytucyi które katolicyzm duchem swoim ożywił, i dla niezrównanych pomników które w Europie z ziemi wywołał. Dobre poznanie

---

[1]) Znajdzie się pewnie kiedyś historyk, co opisze niesłychane zniszczenia, jakich się dopuścili biskupi, opaci a jeszcze częściéj kapituły w ciągu ośmnastego wieku. Przykładów dostarczają kościół Notre Dame w Paryżu, katedra w Rouen gdzie katolicy kazali zburzyć groby Ryszarda Lwie serce i Karola V nadpsute jedynie przez kalwinów, kościoły w Chartres, w Autun, w Troyes, nadewszystko w Reims, także w całych Niemczech, w Palermo i t. d.

przeszłości wzmocni nas dostatecznie na walkę z teraźniejszymi i z przyszłymi nieprzyjaciołmi kościoła, odwagę naszą podnosząc do wysokości odwagi ojców naszych. Innego wskrzeszenia nie chcemy; takie jest zupełnie dostateczne.

Tu p. de Montalembert wspomina historyczne poszukiwania Hurtera, Döllingera, Gfrörera, odrodzenie architektury chrześciańskiéj za sprawą Pugina w Anglii, usiłowania Didrona i p. de Caumont, by to samo we Francyi sprawić, powrót malarstwa na drogę świętych tradycyi pod wodzą Overbecka, w końcu i co najważniejsza poważny ruch kościelny ku jedności liturgicznéj, któremu prace piśmienne księdza Guéranger opata Benedyktynów w Solesmes popęd dały.

Terazże, *mówi daléj autor,* każda rzecz prowadząca do rozwinięcia życia religijnego we Francyi, znajduje odgłos i sprawia skutek w całéj Europie. Cokolwiek się rusza, cokolwiek walczy, cokolwiek cierpi na jednym punkcie katolickiego świata, zaraz a wszędzie czynne współczucie obudza. Owa cudowna jednostajność pociągów, zamiarów i instytucyi, jaka się daje spostrzegać w średnich wiekach mimo powolności i niesłychanéj trudności stosunków, odnawia się w naszéj epoce i to daleko snadniéj, skoro umiejętność i przemysł podały nieświadomie wszystkiemu co dobre a zatém chcące się udzielać, prędkie rozpowszechniania się sposoby....

Jakieżby jednak to wszystko miało znaczenie, gdyby zarazem nie odnawiało się życie wewnętrzne ludów katolickich, gdyby równocześnie wiara, miłość, pobożność, spokojnych a dobroczynnych zwycięztw nie odnosiły? Owoż tu szczególniéj odwołuję się na świadectwo tych, którym zostawione jest o podobnych rzeczach wyrokować. Niechaj powiedzą pasterze wszelkiego stopnia, czyli postęp duchowy nie jest wyraźny od lat dwudziestu, szczególniéj między młodzieżą a młodzieżą wykształconą, także w klasach majętniejszych i oświeceńszych, gdzie dawniéj niedowiarstwo znajdowało najliczniejszych zwolenników? Zapewne, złe ma jeszcze ogromną potęgę; zbyt się wiele ofiar nie dość oględnego publicznego wychowania napotyka; ale obok tego co tu pociech dawniéj nieznanych! Patrzmy na owe wielkie stowarzyszenia, które sobie wzięły za jedyny cel, zdala od walk życia publicznego, prostą a surową praktykę obowiązków chrześciańskich szerzyć; wszakże powstały za naszéj pamięci, śród naszych zniechęceń i obaw naszych. Weźmy towarzystwo ś. Wincentego a Paulo, zawiązało się ono r. 1834 w małym pokoiku studenckiéj części miasta (pays latin); od tego czasu wieluż studentów zmieniło w opiekunów, w posługaczy ubóstwa? Dziś liczy już osiemset osiemdziesiąt trzy konferencye, pięćset we Francyi, sto szesnaście w Niemczech, a resztę w pięciu częściach świata. Młodsze jeszcze arcybractwo Najśw. Serca Maryi, założone w r. 1837 przez prostego księdza (ks. Desgenettes) w najbardziéj opuszczonéj a okrzyczanéj parafii Paryża, aby się modlić za nawrócenie grzeszników, widzi teraz tysiące parafii, kongregacyi, domów zakonnych, połączonych związkiem duchownym ze skromnym ołtarzem w Notre Dame du Victoires. A toż wspaniałe dzieło ***rozkrzewiania wiary***, któremu początek dała biedna panienka dziś już zapomniana, na jedném z przedmieść Lugdunu; stało się ono jakoby jedną z wielkich instytucyi kościoła powszechnego i rzeczywiście stowarzyszenie niepowiązane jeno węzłem codziennéj modlitwy z pieniędzy zbieranych grosz po groszu tydzień w tydzień, głównie z oszczędności uboższych, rozsyła i utrzymuje ogromną liczbę misyonarzy, pomaga uciśnionym katolikom w Skandynawii i na wschodzie, równie jak pierwszym zawiązkom chrześciańskim Oregonu i Australii, daje chleb męczennikom Tongkingu i Polinezyi aż do dnia ich odejścia do nieba, zostawia zaś z daleka niesłychane

wysilenia towarzystw biblijnych, co umieją zbierać miliony złota a przecież nigdy nie wydały męczennika.

O stowarzyszeniach nauczających, rozszerzających się coraz bardziéj, nie będę mówił: wolę odesłać czytelnika do świadectwa jakiego im niedawno udzielił głos wymowny a niepodejrzany o stronność, głos pana Guizota, który przed zdziwionymi słuchaczami protestanckiéj kaplicy skreślił obraz usiłowań, postępów i fundacyi *braci nauki chrześciańskiéj*, tudzież ich współzawodników płci obojéj.

Niedość na tém: obok wielkich dzieł stanowiących zaszczyt Francyi i będących dziedzictwem całego świata chrześciańskiego, ileż znajdziesz stowarzyszeń mniéj rozległych, bractw nie tak licznych a które jednak są błogosławieństwem wyłączniejszém naszego kraju, zaszczytem czasów naszych i nadzieją, jedyną nadzieją naszéj przyszłości. Wymienię tu bractwo Św. Franciszka Regii mające na celu naprawienie związków niegodziwych, bractwo Ś. Franciszka Ksawerego zajmujące się kształceniem robotników, stowarzyszenie ekonomii dobroczynnéj, bractwo ś. Maurycego dla żołnierzy, bractwa opieki więźniów lub czeladników wyzwolonych, kolonie karne i t. d. I zkądże się biorą ochotnicy do pobożnych szeregów? Azaliż nie najgłówniéj z młodzieży, z téj młodzieży która się często pomieścić w kościołach nie może i któréj zbite szeregi u stóp kazalnicy O. Lacordaire albo O. Ravignan tyle już razy przynosiły pociechę sercu arcypasterza a pomięszanie bezbożnéj ciekawości. Niech przyjdą teraz próby i walki, niech przyjdzie jeśli trzeba prześladowanie, kościół wie gdzie wojsko jego.

Tak jest, minęły niepowrotnie czasy w których wstyd światowy panował bez oporu, nietylko na rynku, ale nawet w gronie rodzin, w których żony i matki chrześciańskie zaledwie się ważyły prosić o nieśmiałą swobodę dla siebie, odkładając do chwili zgonu przypomnienie ojcu, mężowi lub synowi, że jest Bóg i życie przyszłe. Spytajcie się waszych matek i babek jak się działo dawniéj, a zobaczycie z ich odpowiedzi, iż się wydziwić nie mogą prostocie i łatwości, z jaką synowie praktykują religią przez ojców zaniedbywaną.

Owoż rewolucya prawdziwa, dobra rewolucya, dokonana za naszych czasów, jedyna jaka przystała chrześcianom, rewolucya serc. Śmiem powiedzieć, że od lat dwustu, od epoki wielkiego odrodzenia katolickiego Francyi w pierwszéj połowie XVII. wieku nie było bardziéj pocieszającego i cudowniejszego widoku.

Na domiar łask bożych i jak gdyby dla uwydatnienia zwycięztwa religii a upokorzenia dumy i mądrości ludzkiéj, ukazały się znowu zakony. Patrzcie, wychodzą jeden po drugim z przepaści, gdzie mniemano, że zostały na zawsze wtrącone; ruszają się naprzód ze skromném zaufaniem na podbój dusz i mając ubóstwo za broń a za ucieczkę staczają walkę z przeszkodami i z pokusami nowszéj oświaty. Oto Jezuici których upadek wywołany przez zaślepionych królów, wszędzie upadek tronów na krótko poprzedził, a którzy nieprzyjaciołom swoim odpowiadają cudami gorliwości, cierpliwości i miłości. Oto Benedyktyni znowu schylający się w pokorze nad skibą nie do zasypania, którą ich poprzednicy wyorali. Oto synowie Ś. Bernarda liczniejsi i surowsi niźli za czasów O. de Rancé. Oto Dominikanie odradzający się pod wodzą świątobliwego zakonnika będącego zarazem mówcą nieporównanym. Oto Kapucyni odziani w habit długo pogardzany a dzisiaj obudzający więcéj współczucia niż zadziwienia. Wszędzie ich pełno; nietylko w Rzymie i we Francyi, ale w pełnych dymu miastach przemysłowych Anglii, w Westfalii, gdzie zadają fałsz przepowiedniom nowatorów, w Algierze gdzie ich otacza uszanowanie Arabów, na brzegach wielkich rzek Ameryki gdzie karczują zarośla lasów i serc, jak niegdyś synowie Ś. Benedykta nad Dunajem i nad Renem. Widać ich w galerach jak nawra-

cają galerników i na polu i w lasach, jak się oddają najmozolniejszéj ręcznéj robocie, w kazalnicy jak błyszczą wymową, w konfesyonale jak poruszają sumienia, oświecają umysły, ukajają serca i wypowiadają ciągłą a zwycięzką wojnę dumie racyonalizmu, co drogą fałszywéj nauki aż do mas przeniknęła.

Niegodzi się téż pominąć bez wzmianki nieprzejrzanych szeregów kongregacyi żeńskich, które pod godłem modlitwy i dobroczynności Francyą w posiadanie wzięły, a niebacząc na przeszkody rozpuszczają swoje zagony, za sprawą młodych i nieustraszonych zdobywczyń, z Paryża, Angers i Nancy do Berlina, do Kairu, do Chin i do Kalifornii. Na owych okrętach które wiozą do kraju złota, tłumy ludzi pożeranych chciwością, a zniechęconych do porządnego życia, czy widzicie poosobnie małą gromadkę spokojną, skupioną, cierpliwą i wesołą? To misyonarz tudzież kilka sióstr miłosierdzia, co idą szukać biednych dusz, by je wydrzeć gorączce zysku i od wiecznéj zguby obronić.

Wszędzie ta rasa nieśmiertelna roi się z szybkością odpowiadającą nędzom i ułomnościom ludzkim, obejmując jednem wielkiém uściśnieniem wszystkie siły i wszystkie słabości upadłéj a odkupionéj natury; dawniejsza niźli wszelkie konstytucye, młodsza i płodniejsza niźli wszelkie utopie, z jednéj strony przechowuje ona z drugiéj zastosowywa wszystkie środki jakie stworzyły i jeniusz średnich wieków i dająca otuchę płodność współczesnego miłosierdzia, a to począwszy od szlachetnych córek Ś. Scholastyki i Ś. Klary, aż do *siostrzyczek dla ubogich*, zawiązku co powstał w głowie jednéj służącéj w Bretanii i co się opiekuje tymi, których dobroczynność zwyczajna pomija, a utrzymuje z okruchów schodzących ze stołów nie u bogaczów, ale u biednych. Lat temu pięćdziesiąt nie było widać we Francyi ani jednéj zakonnicy, teraz się bieli ich welon, a pod welonem błyszczy twarz śmiejąca, wzrok czysty i spokojny, w każdém mieście, w każdéj wiosce, pod cieniem każdéj dzwonnicy, na progu każdéj szkoły i każdego szpitala, wszędzie gdzie jest łza do otarcia, nędza do opatrzenia, umarły do pogrzebania, żywy pociechy łaknący.

Widzieliście, kiedy lasy pod siekierę oddane, wszystko tam zdaje się umarłe, spustoszone i jałowe; wywrócono stare dęby, a ich zżółkłe liście wiatr roznosi, ich obnażone konary leżą poćwiertowane, ich pnie pokaleczone nie podnoszą się już w górę: niczego nie oszczędzono i nawet młode odrostki co się krzewiły pod cieniem starych drzew, zdają się ginąć w wspólnéj zagubie. A jednak nic tam nie zniszczało. Z tych korzeni w ziemi pozostawionych życie znowu wytryśnie, wszystko się odrodzi, odrośnie, podniesie się i zazielenieje na nowo. Pójdźcie tam po kilku latach, a zobaczycie cień szeroki, roślinność obfitą, wszędzie świeżość, młodość, piękność, wszędzie niepożyte świadectwo żywotności, jaką Pan Bóg przyrodę obdarzył.

Podobnie, w pełniejszéj tylko sile życia, z rozdartego ale niewyczerpanego łona kościoła, odradza się niezwalczone pokolenie sług i służebnic kościoła.

Nie oddaję się tu złudzeniom, ja com optymizmem nigdy nie przesadzał; nawet byłbym markotny gdyby mnie posądzano, że chcę uśpić katolików snem błogiego zadowolnienia i ślepego bezpieczeństwa! Powtarzam, wszystko cośmy w tak krótkim czasie uzyskali, może nam jeszcze prędzéj być wydarte i zostanie nam wydarte nieochybnie, jeźli nie podwoimy odwagi, czujności i poświęcenia... Zdala odemnie myśl utrzymywania, iż kościół ostatecznie zwyciężył, albo że się wiele złego z dobrem nie mięsza. Kościół na tym świecie jest kościołem wojującym, nie tryumfującym. Dla kościoła walka nigdy nie ustaje, niebezpieczeństwo trwa bez przerwy, zwycięztwo jedynie do czasu służy. Zaiste, gdybym był chciał, mógłem z ła-

twością wiele stron słabych, wiele ran jawnych lub skrytych wskazać. Niedostatki i nędze napotyka się teraz, tak jak się dawniéj napotykało i jak się zawsze napotykać będzie. Wszelako utrzymuję, że nie widziano jeszcze, przynajmniéj od dwóch wieków, ruchu odrodzenia i odmłodnienia podobnego dzisiejszemu ruchowi.

Tu p. de Montalembert wykłada, że tylko katolicyzm zyskał na przesileniach umysłowych i politycznych czasów nowszych.

Proszę, *są jego słowa,* niechaj mi kto wskaże potęgi nieprzyjazne kościołowi i powie czyli ta lub owa wygrała po sześciudziesiąt latach walk zaciętych. Ze wszystkich sił żywych co w r. 1789. stały na widowni, które się wzmogły i wzrosły? Ja odpowiadam że tylko dwie: rewolucya i kościół. Po za niemi żadna. Zyskałże co protestantyzm? Oczywiście że nie. Zyskałaż filozofia? Także nie. Może władza świecka? I ta nie. Może liberalizm? Nie i nie.

Protestantyzm spadł do rzędu prostych zaprzeczeń. Jeźli go weźmiemy jako instytucyą, ujrzymy, że jego kościoły urzędowe skrępowane i to bez oporu ustawami państwa, oddane pod dozór, pod kierunek i pod wyroki dogmatyczne świeckich, nie są niczém więcéj jeno wydziałami administracyi cywilnéj. Jeźli znowu na teologię jego uwagę zwrócimy, przekonamy się, iż prawowierna nauka protestancka dawno już zbladła w obec niepewnych albo niegodziwych doktryn, które zwyciężyły po uniwersytetach i w polemice...

A filozofia? Filozofia milczy we Francyi; w Niemczech zaś za sprawą uczniów Hegla zsunęła się aż na dno ateizmu. Przypomnijcie sobie owe bajeczne czasy, kiedy w Sorbonnie głoszono, że filozofia ma posłannictwo wziąść łagodnie za rękę rodzaj ludzki i poprowadzić go wyżéj jak chrześciaństwo. ***Tempora mutantur.*** Ja myślę że kiedyś religia poda rękę filozofii, by ją podnieść z jéj obecnego poniżenia.

Co się tyczy władzy świeckiéj, niema pono nic bardziéj zachwianego i bardziéj niepewnego. Śród buntów tudzież zapasów to wstydliwych to krwawych, któremi ludy i królowie nieprzestają się nawzajem karać, a karać sprawiedliwie, wykorzeniona została szczera i trwała wiara w rządy ludzkie. Przyszłość odczaruje tych, co w zbyt nagłych i dla tego powierzchownych nawrotach, przedwczesne zaufanie czerpią.

Cóż teraz powiemy o liberalizmie, o starym i fałszywym liberalizmie, który panuje w umysłach od lat sześćdziesiąt, a który tylekroć nadużywszy najszlachetniejszych, najgodziwszych serca ludzkiego pociągów, jedynie by je obrócić w służbę nienawiści, zazdrości i kłamstwa, wiele pięknych i prawdziwych zasad na upokarzające zawody, na bolesne zadosyćuczynienia skazał. Żywił on bezczelny zamiar obalenia katolicyzmu i myślał że go zastąpi, a oto został obalony, zastąpiony i pogrzebany. Uczył pogardzać wiarą i podaniami, a oto zwalczył go przesąd ludowy (napoleonizm), co go sam rozdmuchiwał przeciw kościołowi i monarchii. Odwracał się od wielkich imion, obelgami na nie ciskał, a oto lud wyniósł po dwakroć wielkie imie, by dzieła jego dumy w proch zetrzeć. Chciał by świat erę swoją od r. 1789. liczył, a oto w imię pojęć i zasad r. 1789. odmawiają mu głosu, podczas kiedy pisarki wyćwiczone w jego szkole urągają jego upadkowi. Zalecał ciągle ludowi piosnki Bèrengera, a oto te piosnki grób mu wykopały. ***Qui foveam fodit, incidet in eam; et qui statuit lapidem proximo, offendet in eo; et qui loqueum alii ponit, peribit in illo.***

Jeden z najwinniejszych w czasach naszych ludzi podał następujące określenie liberalizmu: ***to filozofia u steru rządu.*** Kiedy tak, to filozofia zasługuje na wyrok, jaki na nią wydał Fryderyk II., który powiedział, że gdyby chciał ukarać jednę ze swoich prowincyi, oddałby ją w zarząd filo-

zofom. Filozofi i liberaliści tak się mądrze u *steru rządu* zachowali, że po dwakroć w przeciągu lat pięćdziesiąt system ich doprowadził do zniesienia wszelkiego prawa i wszelkiéj wolności, a to śród oklasków uczciwych ludzi słusznie przerażonych.

Owoż utrzymuję, że od upadku fałszywego liberalizmu religia obejmuje położenie najwznioślejsze. Sama jedna niewzruszona a bez rany między protestantyzmem nieudolnym i chwiejącą się monarchią, na gruzach dzieł zbuntowanego rozumu i fałszywéj wolności stojąc, tworzy ona w oczach każdego bezstronnego i rozumnego sędziego, najdostojniejszą a bodaj jedyną siłę epoki dzisiejszéj.

Wszelako czyliż dla tego, że rozum obłąkany przez fałszywych mędrców, doczekał się poniżenia albo że wolność zdradzona i skalana przez fałszywych liberalistów, zawieszona jest do czasu, katolicy mają się wyrzec rozumu i wolność poświęcić? Nie zaiste. Własnie teraz chwila podjąć je z uszanowaniem z ziemi i otworzyć im nienaruszalny przytułek, gdzie się będą mogły schronić, oczyścić, odnowić i gdzie rany pod zasłoną skrzydeł wiary opatrzą a wyleczą.

Zostawiam na boku wielkie zadanie przymierza katolicyzmu z rozumem, rozumem wolnym a czującym swoją nieudolność i pokornym mimo wspomnień boskiego swego początku. Zadanie to choć śmiało rozwiązane przez największe kościelne geniusze, przez Śgo Anzelma i Bossueta, zdaje się ciągle powracać; nie zabraknie przecież takich, coby je w razie potrzeby podjęli.

Ale co mi się zdaje potrzebować rychłego a poważnego rozpatrzenia to wzajemny stosunek interesów katolickich i interesów wolności. Owoż o czém obszernie pomówię.

Tak się kończą wstępne rozdziały książki, rozdziały napisane najsilniéj i bodaj za wspaniały pod względem sztuki do całego gmachu przedsionek stanowiące. Wzięliśmy z nich bardzo dużo niezważając na częste powtórzenia. W tych powtórzeniach napotyka się odcienia wykładające a uzupełniające myśl główną.

Zamiar p. de Montalembert już jest wyraźny. Wiemy co go zaprząta w chwili obecnéj, za jakiemi ideałami wzrok swój obraca, jakie pojęcia chce ratować, zasłaniać i wynosić. Przejdźmy teraz za nim do rozwinięć i zastosowań.

W rozdziale pod napisem *Jakże katolicyzm zwyciężył*, czytamy:

Powie kto może, że te wszystkie niesłychane zmiany przypisać trzeba naprzód miłosierdziu bożemu, daléj cudownéj żywotności kościoła, daléj jeszcze wypełniającéj się nieśmiertelnéj obietnicy: *Portae inferi non praevalebunt*.... Zgoda, aleź wiemy, że Pan Bóg nieraz w niedocieknionych wyrokach swojéj mądrości wszechwładną swoją opiekę usuwał i dopuszczał by kościół doznał niewoli i poniżenia, co więcéj że mu nigdy niepozwolił tak nisko upaść jak na początku bieżącego stulecia. Owoż dziś widzimy kościół silnie stojący, wyzwolony, szanowany a nawet groźny. Jakimże sposobem tak prędko podniósł go Pan, czyjegoż ramienia użyć raczył by jego więzy potargać? Kto stał się ziemskiém i widomém narzędziem niewidoméj wszechpotęgi? — Czy Napoleon? Zaiste nie, choć dziś o tém z przyciskiem głoszą zapominając rozmyślnie o drugiéj połowie cesarskiego panowania. Napoleon oddał niesłychaną usługę przywracając na drodze urzędowéj kult religijny, podnosząc ołtarze i traktując z papieżem jak z monarchą stojącym na czele dwu kroć sto tysięcy wojska, wszelako że go ogarnął szał samowładztwa, ów następca Karola W., został naśladow-

wcą Filipa Pięknego. — Czy restauracya? Także nie. Po piętnastu latach zarządu królów niezaprzeczenie oddanych kościołowi, religia zamiast zyskać na znaczeniu, podupadła wyraźnie i wszelki wpływ na lud i na mieszczaństwo straciła... W r. 1830 tak jak w r. 1792 upadek króla o mało co nie pociągnął za sobą upadku religii.

Godzi się porównać położenie religii w r. 1830, z położeniem jakie zajęła bez wysilenia r. 1848, w chwili upadku rządu, pod którym prawie ciagle musiała się bronić i z położeniem jakie zachowała odtąd, śród walk nieustannych z niebezpieczeństwami anarchii.

Więc nie cesarstwo i nie restauracya, nie opieka i nie współczucie władzy obdarzyły ją siłą jaką posiada.

Cóż więc? Odpowiadam wolność i tylko wolność...

Ta sama przyczyna wszędzie ten sam skutek sprawiła. Dość tu wspomnieć Anglią i O'Connella, Belgią z jéj konstytucyą, Holandyą i Niemcy...

Tak jest, wolności winniśmy cudowne i nieprzewidziane powodzenie interesów katolickich. Walka obróciła się wszędzie na korzyść kościoła, poczynając od mównicy Westminsterskiéj i mównic politycznych we Francyi, a kończąc na więzieniach arcybiskupa kolońskiego i arcybiskupa Turynu: walka atoli jest podobna tylko przy wolności. Powtarzam, wolność polityczna dała opiekę i stała się narzędziem odrodzenia katolickiego w Europie, zaś odrodzenie pokazało się tém zupełniejsze i tém łatwiejsze, im wolność była szczersza i poważniejsza. Daléj idę, odrodzenie nigdzie nienastąpiło jeno tam gdzie je poprzedziła albo wywołała wolność polityczna mniéj lub więcéj niedoskonałego kształtu. W jednym kraju w Europie religia katolicka jest zupełnie skrępowana, jest to zarazem kraj ktory nigdy wolności nie widział. Mowa tu o Rosyi.

Uderzyła mnie także okoliczność, że wszyscy ludzie co wywarli trwały a głęboki wpływ na opinią katolicką, wszyscy wolności prędzéj czy późniéj służyli, wszyscy ją pokochali prędzéj czy późniéj. Tylko com wspomniał O'Connella, wymienię jeszcze księdza Balmès który w swojém piśmie o Piusie IX. wyniósł tak wymownie połączenie religii z wolnością, wymienię nawet hr. de Maistre, którego jak syn jego poświadcza, kiedy miał już lat czterdzieści, przezywano Jakobinem dla tego, że przemawiał za owemi sprawiedliwemi i uczciwemi swobodami co wstrzymują narody od żądania swobód niegodziwych.

Potrzebaż bym tłómaczył jak wolność rozumiem? Nie zostanęż posądzony że pod tém starem a świętém mianem, czczę wymysły dumy współczesnéj? Mamże się zawczasu bronić od zarzutu wspólnictwa z apostołami wolności nieograniczonéj, bezwzględnéj? Spodziewam się że nie. Wolność którą kocham i któréj przyzywam, jest to wolność porządna i umiarkowana, taka o jakiéj głosiły, jakiéj szukały, jaką zdobywały, lub o jakiéj marzyły wielkie umysły i wielkie narody wszech czasów w starożytności równie jak od chwili odkupienia.

Nierozwijam ja tu żadnéj teoryi bezwzględnéj, powszechnéj, wyłącznie doskonałéj po wszystkie czasy i dla wszystkich. Utrzymuję jedynie że u największéj liczby ludów chrześciańskich i w dzisiejszym stanie świata, wolność jest dobrem, rozumie się dobrem względném nie absolutném. Mojém zdaniem, z wyjątkiem tego wszystkiego co się tyczy praw ustanowionych wprost objawionych przez Boga, każde pojęcie absolutne sprzeciwia się prawdzie takiéj, jaka się może zgodzić z ułomnością ludzką.

Wolność zatém może i powinna zmieniać się co do zastosowania i rozległości wedle czasów i miejsc, wedle ludzi i rzeczy. Wszelako gdziekolwiek istnieje, tę za sobą niezrównaną prowadzi korzyść, że stwarza rękojmie konieczne przeciw nadużyciom władzy albo się o nie upomina. Rękojmie te bywają pomieszczone w konstytucyach pisanych lub tradycyjnych

i w prawach obowiązujących zobopólnie narody tudzież ich naczelników ogólnie rzeczy biorąc, w umowach które od początku świata stanowiły pierwszy warunek istnienia razem osłonę towarzystw. Rękojmie o jakich mowa, są zawsze niezupełne, często przemijające; wszelako godzi się uważać je za konieczne i za gódne żalu kiedy stracone.

P. de Montalembert przyznaje że ma przeciwko sobie wielką powagę Bossueta, który wprawdzie rozróżniał między rządem absolutnym a rządem samowolnym, ale jednak położył stanowczo zasadę absolutnéj władzy królów. Z drugiéj strony powiada zaraz, wiadomo że Fenelon zgodny w téj mierze z ogromną większością doktorów katolickich wcześniejszych jak wiek XVII. utrzymuje zdanie przeciwne. Bossuet olśniony świetnością monarchii Ludwika XIV. odwrócił oczy od wieków średnich.

Co do mnie, *pisze p. de Montalembert*, pozwalam sobie zaręczyć, że ścisłe przymierze kościoła z władzą absolutną, niby artykuł wiary przez Bossueta i jego następców zalecane, jest nowością nie dawniejszą jak wiek XVII., a nowością mającą przeciw sobie w dziejach katolicyzmu, tysiąc lat tradycyi i przykładów odmiennych. Nowość ta nie najszczęśliwiéj powiodła się królowi i pono lepiéjby jéj nie wskrzeszać.

Zapewne wolność nawet określona jest bronią dla złego z powodu pierwotnego upadku człowieka, jest przecież także siłą dla dobrego, dzięki temu co zostało rozumu i cnoty w człowieku krwią boską odkupionym. Pomimo nieodłącznych od niéj równie jak i od każdéj rzeczy ludzkiéj niedostatków, można powiedzieć, że gdziekolwiek władała, zawsze posłużyła prawdzie to jest kościołowi. Taka była wiara religijna, polityczna i towarzyska wieków średnich. Wszyscy wielcy papieże, wszyscy wielcy katolicy tamtéj epoki, walczyli za wolność pod jéj owczesnym kształtem. Myśleli oni jedno z tym zakonnikiem za Karola W., który pisał do papieża: *Wolność nie przepadła, pokora albowiem uniżyła się z wolnéj woli.* Każdy z nich byłby chętnie powtórzył za biskupem z Lisieux przyjacielem Ś. Tomasza z Kanterbury: *Cokolwiek się odejmuje wolności jest stracone dla wiary, boć obie nierozerwanie połączone jedne zyski i jedne straty mają.* Wszyscy byliby rzekli z Juliuszem II. do obywateli rzeczypospolitéj San Marino: *bądźcie dobréj myśli, a pamiętajcie że na świecie nie ma nic użyteczniejszego i słodszego od wolności.*

Owoż to podanie czasów najbardziéj chrześciańskich w dziejach, przerwane od dwóch wieków i pół przez monarchią absolutną, tudzież przez rewolucyą, któréj to monarchia jest matką, dziś z każdym dniem bardziéj wznawia się i rozszerza. Powołujemy się w téj mierze na odezwy znacznéj większości naszych biskupów w czasie sporów z władzą za ostatniego panowania ogłaszane. Przyświadczą nam również szlachetne a niedawno drukowane wyrazy biskupa z Moulins. *Przyznaję,* pisał ten prałat do kolegi swego ks. biskupa w Orleans: *kocham szczerze wolność, zaś zbyt ją kocham kiedy mi jest wygodna*, *bym jéj nie miał znosić kiedy mi trochę zawadza.*

W dalszym ciągu przytacza jeszcze p. de Montalembert szereg zdań ks. Rendu biskupa z Annecy w książeczce pod tytułem *De la liberté et de l'avenir de la republique francaise* zamieszczonych. Następnie mówi:

Jak się przekonać łatwo, między wolnością o którą upominają się katolicy, a wolnością która służy za maskę demokracyi i rewolucyi, nie ma nic wspólnego. Kiedy indziéj (w mowie z okoliczności przyjęcia do akademii) wyłożyłem o ile wolność jest niezgodna z duchem demokratycznym i rewo-

lucyjnym. Zaś jeszcze przed katastrofą z r. 1848 a w obec pierwszych poznak burzy przepowiedziałem że wolność zostanie pierwszą i jedyną ofiarą zwycięztw demokracyi.

Tu autor przytacza wyrazy własne z mów mianych w styczniu roku 1848 o Rzymie i o Szwajcaryi, także z mowy powiedzianéj za zgromadzenia prawodawczego, w któréj zalecał wierność sprawie wolności i uwagę by rządu parlamentarnego nie narazić. Daléj rzecz swoją tak prowadzi:

Doświadczenie mamy zupełne, oczywiste. Skoro gdzie demokracya zwycięży, wolność upada. Żadna z rewolucyi wywołanych od lat sześćdziesiąt przez idee i namiętności demokratyczne nie mogła się ostać z rządem wolnym; podczas kiedy rewolucye dokonane dawniéj w narodach nienapoczętych jeszcze przez demokracyą, zapewniły im wolność jak w Anglii w r. 1688. W gruncie dla tego demokracya z wolnością zgodzić się nie może że za podstawę ma zazdrość (*la democratie c'est l'envie* powiedział Proudhon) pod nazwą równości, gdy tymczasem wolność z natury swojéj wstrętna jest równości tyrańskiéj a dzikiéj. By się utrzymać demokracya skazuje to, co jeno chce żyć i działać na utratę znaczenia osobistego. Tak powoli a logicznie niszczy nietylko wszystkie podania, nietylko wszystkie prawa starożytne i dziedziczne ale jeszcze wszelką niepodległość wszelką godność i wszelki opór. Można o niéj powiedzieć, że w proch rodzaj ludzki obraca. Owoż Benjamin Constant utrzymuje ze: „kiedy burza „nastanie proch zmienia się w błoto.”

Wszędzie gdzie demokracya zwycięża, zwycięztwo jéj tylko drogę władzy absolutnéj toruje. Ona czyni władzę absolutną konieczną.

Kiedy demokracya rządzi za pośrednictwem wszechwładnego zgromadzenia, swobody cywilne i polityczne są w wielkiém niebezpieczeństwie. Trzeba je wtedy podpierać, albowiem one tylko mogą zasłonić prawdę, godność i honor.

Katolicy, mieli jak przekonać się w ostatnich czasach, że czy w Ameryce czy w Europie, wolność jedyną im ucieczkę naprzeciw nieograniczonéj władzy państwa demokratycznego otwiera. Owoż dziś słuszne a konieczne oddziałanie przeciw demokracyi rewolucyjnéj może się łatwo zamienić w oddziałanie przeciw saméjże wolności. Niechże katolicy téj ostateczności się strzegą; inaczéj złamaliby broń któréj dotąd używali tak szczęśliwie, popełniliby odstępstwo względem chorągwi co ich do zwycięztwa prowadziła, cofnęliby się o całą przestrzeń jaka została szlachetnemi a szczeremi wysileniami zdobyta, w końcu otworzyliby wrota pojęciom tudzież instytucyom, które wszędzie sprowadziły zgrzybiałość narodów katolickich albo współcześnie z nią istniały.

W krótkim przeciągu czasu dwa smutne widowiska przed oczyma naszemi przeszły.

W r. 1848. nazajutrz po rewolucyi, wielu katolików księży i świeckich powitali ze współczuciem i z oklaskami tak nazwaną przez siebie nową erę. Byli między nimi ludzie wysokiéj, czystéj bezinteresownéj duszy, ci dali się porwać pędowi a może ustąpili instynktom własnéj natury; odtąd wypadki ich oświeciły. Ale byli i tacy którzy zawsze gotowi czcić zwycięztwo, siłę tudzież powodzenie i którzy teraz palą już nowe kadzidła u stóp nowych bożyszcz.

W owych czasach mówiono, pisano a nawet głoszono z kazalnicy, że chrześciaństwo jest to samo co demokracya, podobnie jak niegdyś za restauracyi mówiono, pisano i głoszono z kazalnic że chrześciaństwo jest to samo co monarchia. Teraźniejszości kosztem przeszłości pochlebiano. Przy-

takiwano dumnym szaleństwem nowatorów. Marzono o absolutném rozłączeniu między kościołem a państwem, o organizacyi dobroczynności przez państwo, o tylu innych chimerach. Zaręczano że rewolucya z r. 1848. wszczepia myśl chrześciańską w rządy spółeczeństw; zuchwale wykładano że rzeczpospolita wzięła początek na Kalwaryi i że wolność, równość a braterstwo, były to trzy promienie, co wyszły z serca ukrzyżowanego Jezusa.

Wszelako ta falszywa moneta Ewangelii niedługo popłacała. Krwawe czyny zaprzeczyły równie szlachetnym urojeniom, jak płaskiemu dworactwu. Dziś widzimy tę samą chorobę moralną, tylko z oznakami wprost przeciwnemi.

Prawda, ludzie się w wielkiéj mierze odmienili, ale duch ten sam pozostał. Zawsze mamy przed sobą kapłanów siły i wieszczów powodzenia, którzy, że sami naginają się do zdarzeń, chcieliby także przeszłością i przyszłością wedle swego widzimisię rozrządzić.

Rząd monarchiczny tylko co był znikł z widowni w r. 1848, a już z prostego faktu wyciągano wniosek, że królewskość więcéj niepowróci. Dziś umysły równie głębokie wyprawiają podobneż harce na tymczasowym grobie wolności. Dla tego że nadużycia dyskussyi doprowadziły do zniesienia wszelkiéj dyskussyi, dla tego że rząd reprezentacyjny zachwiał się pod uderzeniem ciosu wymierzonego na socyalizm i wpadł w sidła które przed nim zastawili głupi przyjaciele równie jak zręczni przeciwnicy, ci lub owi wołają klaszcząc w ręce że parlamentaryzm pochowany na zawsze. Ach czemuż widzimy pisarzy katolickich powtarzających za innymi te przycinki co ich na niebezpieczeństwo nie narażają i biorących stronę owych skorych do obelg pośmiertnych rozprawiaczy?

W r. 1848. powstałem głośno na urojenia i na słabości dworaków wygranéj. Dziś odzywam się bo niebezpieczeństwo jest jeszcze większe a będzie dłużéj trwało.

Ci sami którzy wolności całe życie wzywali, którzy zdobyli sobie zaufanie i uwielbienie katolików, pokazując im jak wolność służyć może dobru i prawdzie, dziś głoszą że wolność jest niepotrzebna i niebezpieczna. Odpychają z szyderstwem lub z pogardą konstytucye, dyskussye, parlamenty, kontrolę ciał prawodawczych. W porządku politycznym niewidzą nic jeno władzę. Dostali pana który jest na nich łaskaw i ślepo powierzają się łasce pańskiéj, zaufani w jéj trwałość. Zamykają oczy na czyny co oburzyły wszystkich uczciwych ludzi, na wyraźne pogwałcenia dziesięciorga przykazań, dając za wymówkę że to są sprawy religii obojętne albo godziwe odwety. Nadużywają wymówki, że nakazano milczenie wszelkiéj opozycyi; przyklaskują dobrym czynnościom, złe przemilczają, zapominając, że tam gdzie ganić niewolno, pochwała jest równie bez wartości jak bez godności. Owoż jak narażają z dziwną nierozwagą całą robotę przeszłą, podanie wolności katolickiéj, zaszczyt i owoc dwudziestu lat zapasów....

Powiedziano że dzienniki straciły znaczenie od grudniowéj przemiany. Tak wcale nie jest. Owszem wpływ dziennikarstwa stokrotnie się powiększył, pod jednym tylko warunkiem, a mianowicie by pisma czasowe występowały w sposób niezupełnie rządowi nieprzyjemny. Skoro ten wzgląd zachowują, mogą pisać ile chcą, a pisać same, bez obawy zaprzeczeń. Dawniéj wznosiła się naprzeciw dzienników mównica. Mównica została obalona. Teraz plac boju należy do dziennikarstwa; dzienniki mogą niszczyć lub budować do woli, byleby tylko dążeń władzy nie obrażały, cóż dopiero jeśli pochlebiają tym dążeniom lub je popierają. Książek nie wiele kto czyta i dla tego słabą mam nadzieję, by mi się udało potok zatrzymać. Cóżkolwiek bądź nie chcę żeby powiedziano w przyszłości iż to wielkie odstępstwo żadnéj protestacyi nie wywołało. Niechaj wiedzą nasi następcy

jako był stary żołnierz z pod chorągwi katolicyzmu i wolności; co przed rokiem 1830 rozróżniał sprawę katolicką od sprawy rojalistow, co w epoce rządów lipcowych bronił niepodległości kościoła w obec władzy świeckiéj, co w r. 1848 powstawał z całéj siły na mięszanie chrześciaństwa z demokracyą a w r. 1852 odezwał się, by zanieść protestacyą przeciw poświęceniu z wolności dla przemocy pod pozorem religii.

Gdyby chodziło o zawieszenie do czasu tylko zwyczajów i rękojmi których nadużyto, nie miałbym nic do powiedzenia. Pojmuję milczenie chwilowe, pojmuję, przymuję dyktaturę, nawet despotyzm, jako pożyteczną próbę, jako karę zasłużoną, Ale tu o więcéj idzie, tu idzie o teoryą dyktatury wieczystéj, teoryą wykładaną w imię i dla pożytku religii, któréj samowładztwo tyle zawsze szkody czyniło, idzie o apoteozę milczenia wyprowadzoną z ewangelii jako zakazającéj *słów nieużytecznych,* idzie o zaprzeczenie pojęcia prawa ludzkiego, z dodatkiem że wyraz prawo nie powinien postać na ustach człowieczych. I w obec tych nauk nie znalazł się ani jeden pisarz któryby się śmiał odezwać z zaprzeczeniem, ani jeden w dziennikarstwie katolickiém co przez lat dziesięć i jeszcze niedawno temu, przyjmowało kierunek komitetu wolności religijnéj, mającego za cały programat, godło: *Bóg i moje prawo.*

Jeśli owe nauki są prawdziwe, wszyscy ilu nas jest pisarzy, mówców, dziennikarzy, wyborców katolickich, mylimy się od lat dwudziestu i oszukaliśmy świat cały. Jakoż przez ten długi przeciąg czasu nie przestaliśmy ani na chwilę dopominać się o prawo i o wolność dla kościoła. Dziś nie pozostawałoby nam jeno zamilknąć, i w upokorzeniu resztę życia naszego żałować za złe popełnione.

Szczęściem nic nie pokazuje żeby owe pojęcia prawdę za sobą miały.

Będąc raz na zebraniu u jednego katolika, słyszałem jak twierdzono, że ani narody ani ludzie pojedynczy nie powinni mówić o swoich prawach, dla tego że wyraz prawo nie znajduje się ani razu w Piśmie Śtém. Słuchacze przyklasnęli, a jednak ci słuchacze po największéj części dziennikarze, zawdzięczali całą swoją wziętość niezaprzeczonemu używaniu prawa najbardziéj jeszcze podpadającego zaprzeczeniu. Wyszedłem strapiony a wróciwszy do siebie otworzyłem Biblią. I cóż znalazłem? Oto nie raz ale trzydzieści razy wyraz *prawo* **jus.**

Mogli więc katolicy wojujący ostatnich czasów wznowić godło Ryszarda Lwie Serce bohatera wojen krzyżowych, godło składające się z wyrazów *Dieu et mon droit.* Spodziewam się również że bracia nasi w Holandyi, którzy tę dewizę na czele najwaleczniejszego swego pisma, dziennika *Tijd* w Amsterdamie położyli, nie pokwapią się jéj odmienić.

Jakże się prędko zapomina na świecie! Życie jest krótkie, pamięć jeszcze krótsza. Każdemu kto czuje że ma posłannictwo do spełnienia, brak czasu na najpotrzebniejsze roboty. Tymczasem trzeba byśmy co chwila na nowo się imali prac co się już zdawały dokonane.

Jeśli była jaka prawda wykazana do sytości, to niezawodnie prawda że ze wszystkich rodzajów rządu, rząd absolutny zawsze na największe niebezpieczeństwa kościół narażał. Władza bez wędzidła i bez kontroli straszna jest kościołowi właśnie dla tego, że wszystko może. Wszechmocność przedstawia zbyt wielką pokusę ułomności ludzkiéj. Ten co może wszystko chce wszystkiego i prędzéj czy późniéj wkracza w dziedzinę duchowną, jedyną dziedzinę któréj niema pod ręką. Ile razy władza jaka chce pozbawić kościoła błogosławionego życia wolności, władza ta oszukuje i zdradza kościół, zanim go zacznie uciskać. Nawet ilekroć rząd absolutny wchodzi w przymierze z kościołem, co bywa do czasu zanim się nierozpocznie walka nieuchronna, obdarzyć go niemoże jeno łaskami i spoczynkiem, zaszczytami i przywilejami; praw ani siły nie jest mu w stanie

zapewnić. I dzieje się że kiedy przyjdzie chwila walki, po ludzku rzeczy biorąc, kościół bez siły i bez prawa do niéj staje.

Rząd który się zdaje kościołowi najskładniéj do miary przypadać, jest rząd taki, który do kościelnego najbardziéj się zbliża, rząd określony prawami trwałemi, zwyczajami i podaniami, powściągany oporem upoważnionym a nie do przełamania. Rzeczywiście w kościele wedle nauki ultramontańskiéj jedynéj prawdziwéj, papież który jest monarchą, nie jest monarchą absolutnym i nic nie może i nic nie przedsiębierze po za granicami boskiéj konstytucyi kościoła, któréj nie utworzył, którą jedynie pod straż i ku wykładaniu dostał. Nie rządzi sam jeno z pomocą licznego ciała biskupów. Zaś aż do ostatnich szeregów duchowieństwa i wiernych, każdy poddany owego duchownego państwa posiada swoje właściwe, tradycyjne i nieprzedawnione prawo. Katolicyzm ufający w swoje trwanie nie zna tych ostateczności upodlenia, w które wpadają wyzwoleńcy co nadużyli wolności.

Z ręką na historyi godzi się utrzymywać, że pojęcie nowożytne absolutnego państwa, nierozważnie przyjęte przez niektórych katolików a nawet niektórych teologów, wyrodziło się jedynie z wojny przeciw kościołowi. Racyonalne prawodawstwo dzisiejsze wskrzesiło tę ideę pogańską pogrzebaną z cesarstwem wschodniém, niby dla powściągnienia kościoła w istocie by go skrępować. Wszędzie téż niewola kościoła i upadek jego wpływu zwiększały się razem ze zwiększającym się despotyzmem....

Wiele w téj chwili słychać o konieczności oddziałania przeciw pogaństwu i bardzo słusznie. Zaczęto od wychowania, nic lepszego, byleby tylko zachować miarę jaka każdemu oddziałaniu przystoi. Nie można przesadzić w narzekaniu na złe co przyszło z odrodzeniem pogaństwa w porządku towarzyskim, moralnym i literackim. Ale bodaj ze wszystkich pogaństw najbardziéj oburzające, najsilniéj zakorzenione, najniebezpieczniejsze jest pogaństwo polityczne, stawiające jako dogmat jedność władzy, wszechmocność państwa, balwochwalstwo monarchiczne, rząd bez kontroli i bez równowagi, a to na ruinach swobód i zapor jakie stara organizacya chrześciańska była naprzeciw despotyzmowi powznosiła.[1])

Rząd jednego człowieka, który chce działać za wszystkich, mówić za wszystkich, myśleć za wszystkich, oto ideał pogaństwa, co urzeczywistniony został w państwie rzymskiém. Średnie wieki chrześciańskie były bezwzględném zaprzeczeniem podobnego stanu rzeczy....

Wolność polityczna, która ma za jedyny cel prawowity opiekować się wolnością cywilną i moralną, w gruncie jest tylko oddziałaniem, nieraz zbłąkaném w zewnętrznym objawie, ale najmocniéj godziwém przeciw zwycięzkiéj przesadzie doktryny o władzy. Wolność ta musi sprzyjać interesowi katolickiemu, choć często jéj wyznawcy stają się winnymi zbrodni nienawidzenia religii.... Wielu to czyni z powodu, że religią, ofiarę despotyzmu uważają za jego wspólniczkę. Nieporozumienie było ustało od czasu, kiedy zbawienna bojaźń dała zrozumieć uprzedzonym jako religia nie wolność ale rewolucyą odpycha. Chcemyż by więcéj nie odżyło? Bądźmyż wtedy wierni hasłu naszemu z r. 1848: *religia potrzebuje wolności, wolność nawzajem potrzebuje religii.* Rzeczywiście religia nic nie dłużna demokracyi, wolności dłużna bardzo. Zapewne nie trzeba zawiele wolności, nie trzeba jéj wszędzie, zawsze, bez powodu, bez przygotowania. Ale od mawiać jéj systematycznie i stanowczo, biedz w szeregi namiętnych i prze-

---

[1]) Niedawno cytowano piękną instrukcyą Klemensa VIII o indeksie, w któréj czytamy: „Ea quoque aboleantur quae paganismum redolent.... Item quae ex gentilium „placitis, moribus, exemplis, *tyrannicam politiam* fovent, et quam falso vocant ratio- „nem status, ab evangelica et christiania lege abhorrentem, inducent, deleantur.“

straszonych co ją dziś wywołują, jest to niesłychaną omyłką i wielką podłością.

Niezawodnie należy bronić by duch nieporządku, bunt przeciw władzy jako takiéj, pycha i zazdrość w zmowie z sobą przeciw prawu i historyi, nie opanowały serca ludów i instytucyi towarzyskich pod pozorami wolności. Dla tego téż w czasach rewolucyi, kiedy wolność bywa najbardziéj narażona, najlepiéj jéj przyjaciele widują się skazani na ofiary, których wielkości i trwania niełatwo od razu zmierzyć. Tak w ostatnich latach my katolicy oddani sprawie wolności, jeśliśmy śród niebezpieczeństw i agitacyi wojennéj, w obec niepewności ostatecznego wypadku walki, nie zwątpili o niéj, ciężkośmy boleli na widok poniewierki jéj imienia, i musieliśmy stanąć po stronie władzy tudzież porządku.... Oskarżano nas wtedy o niewierność, o zbiegostwo, o zdradę. A jednak my i wtedy wolnościśmy służyli, nigdyśmy jéj nawet nie służyli lepiéj jak starając się zabezpieczyć ją od tych, którzy ją zawsze narażali i plamili.

Wiem ja że dziś wolność polityczna wszędzie za sobą wolność religijną prowadzi, mniemam jednak że katolicyzm równie się jednéj jak drugiéj obawiać nie powinien. Nie waham się powiedzieć, że gdyby można było znieść zupełnie wolność błędu i złego, obowiązek kazałby to uczynić. Wszelako doświadczenie pokazuje, że w naszém dzisiejszém towarzystwie niepodobna dojść do tego inaczéj jak krępując zarazem wolność dobrego, jak oddając wszechwładzę w ręce rządów, które jéj mogą nadużyć. Wolność sumień, ta zasada długo jedynie przez nieprzyjaciół religii głoszona, wszędzie się teraz na korzyść religii obraca....

Miałbym ochotę powiedzieć pisarzom katolickim, którzy biorą na siebie obronę władzy absolutnéj, lub którzy ją chwalą: Zastanowiliścież się kiedy nad wrażeniem jakie wasze nowe opinie za granicami Francyi sprawić mogą? Pamiętacież, że zmiany zaprowadzone we Francyi, nie zaszły ani téż są oczekiwane w Anglii lub za Renem? Wiecież że katolicy pruscy dotąd przyzywają wolności, dyskusyi, a nawet konstytucyi by trochę sprawiedliwości otrzymać? Może was nie doszła wiadomość, że w Belgii, tym szlachetnym kraju, któryście tak długo za wzór Francyi stawiali, każde słowo wasze zostaje chciwie podniesione i rozebrane przez zawziętych nieprzyjaciół kościoła, co w wyrazach waszych szukają dowodów na twierdzenie, że rząd wolny obok katolicyzmu ostać się nie może.... Nigdyżeście nie pomyśleli na jakie pogardliwe zaprzeczenie pamięć O'Connela, tego niezmordowanego rycerza wolności codzień skazujecie? A jeśli już mniéj dbacie o przeszłość w Anglii, czyż i teraźniejszość was nie obchodzi? Azaliż obliczyliście, jaka odpowiedzialność spada na tych, którzy dają usprawiedliwienie obawom i oskarżeniom Anglikanów? Jakto protestanci angielscy przekonani są od czasów Ludwika XIV i Jakóba II, [1]) że papizm a tyrania to jedno i że wolność cywilna tudzież religijna zgodzić się z nim nie może, a wy co ich chcecie naprowadzić, posyłacie im apologią edyktu nantejskiego!..... A jeśli nie dbacie o to co się dzieje za granicą, czyliż zapomnieliście wszystkiego co w naszych własnych obecnych dziejach przestrzedz was i wstrzymać było powinno? Zapomnieliścież o biskupach francuzkich, których pisma są jeszcze w pamięci wszystkich, a którzy przez lat dziesięć wolność kościoła mieścili pod osłoną wolności cywilnéj i politycznéj, i jeszcze przed rewolucyą lutową powoływali się na siłę prawa i prawo wolności?.... Przypomnijcie sobie, cóż nam zarzucano podczas walki naszéj o wolność wy-

---

[1]) Warto odczytać sąd wydany o duchowieństwie katolickiém za Jakóba II przez autora, którego pisma nie były dotąd dosyć uważnie czytano, przez księcia Ludwika Napoleona prezydenta rzeczypospolitéj.

chowania, o wolność dobroczynności, o wolność zakonów, soborów, zgoła całego kościoła? Nikt nie przeczył, że to wolność prawem, że to następstwo konstytucyi. Mówiono przecież: upominacie się o swobody, boście słabsi; skoro się poczujecie na siłach, skoro będziecie panami, wyrzekniecie się ich i odmówicie ich tym co was niemi obdarzyli. Owoż katolicy dziś przyszła chwila próby. Jesteście panami a przynajmniéj przyjaciołmi pana. Jakże odpowiecie oczekiwaniom waszych nieprzyjacioł! Chcecież sprawdzić ich obraźliwe przepowiednie, ich wstręty usprawiedliwić?... A więc powiedzą wam, ta miłość wolności o jakiéj tyleście gadali, była tylko larwą, larwą niedogodną przez lat dwadzieścia, a którąście odrzucili w pierwszéj chwili sposobnéj. I kiedy w interesie religii poprobujecie wolności zażądać, powiedzą wam jeszcze: dajcie pokój, larwa wasza już nas nie oszuka, znamy was, wiemy czém wolność w waszych oczach, skoro dla niéj dzień przegranéj nadejdzie. Pamiętamy żeście się wyrzekli nawet wolności wychowania, na pierwszy brzask przywileju dla was w systemacie wskrzeszonego monopolu, wolności wychowania co przez ćwierć wieku sztandarem waszym była. Macie dwie miary i dwie wagi, macie szyldy na zmianę; wczoraj stało nadedrzwiami waszemi: *wolność jak w Belgii,* dziś stoi: *władza jak w Rosyi.* — Wiecież co historya o was powie? Oto żeście dali nową edycyą: *komedyi piętnastoletniéj.*

Żeby zakończyć, zbiorę w jednę treść długi wywód. W całéj Europie liberaliści karę dziś ponoszą za to, że walczyli z religią lub nią pogardzali, że mniemali iż mogą się obejść bez siły duchowéj i pominąć nadprzyrodzony porządek. Z drugiéj strony wielkiby błąd popełnili katolicy, a błąd ten rychłoby został ukarany, gdyby dziś wolności odbiegli.

Wolność jest jedną z sił żywych ludzkości; istnieje wszędzie i zawsze. Gdzie jéj niema w rzeczywistości, tam jéj w żalach i w nadziei szukać należy. Wolność ma dwóch nieprzyjacioł: rewolucyą i despotyzm, raczéj jednego nieprzyjaciela pod dwoma różnemi kształtami. Religia jest jéj ochroną, jéj przeciwciężarem przyrodzonym a prawowitym. Ci zaś którzy religią w stronę jednéj albo drugiéj z dwóch nieprzyjaznych potęg ciągną, wyrządzają jéj krzywdę nie do nagrodzenia. Jakoż gdy się zdaje że religia despotyzmowi błogosławi, wolność usuwa się ku rewolucyi, a świat przerażony traci równowagę.

Ze wszystkich atoli despotyzmów, najnieznośniejszy dla narodów jest despotyzm, który rządzi lub zdaje się rządzić z pomocą religii. Despotyzm podobny obraża najszlachetniejsze uczucia duszy naszéj, która w nim przeczuwa nadużycie rzeczy świętych na korzyść interesu doczesnego. Z jednéj strony obudza on pomiędzy duchowieństwem najtrudniejsze do wyleczenia ułomności natury ludzkiéj, dumę i miękkość; z drugiéj dostarcza nieprzyjaciołom prawdy wygodnéj a najpłodniejszéj wymówki. Podobnego rodzaju oskarżeń zawsze od nich słuchają. Kościół traci stopniowo władzę nad duszami; zrazu jest oszukany, powoli przybiera na siebie pozory wspólnictwa i w końcu zawsze ofiarą zostaje.

Rozdział, z któregośmy ostatnie ustępy przytoczyli, ma napis: *religia potrzebuje wolności, wolność potrzebuje religii.*

Teraz p. de Montalembert odpowiada tym, którzyby chcieli utrzymywać, że kochają wolność i że tylko cieszą się z upadku rządu reprezentacyjnego, konstytucyjnego, parlamentarnego.

Odpychacie rząd reprezentacyjny, ja utrzymuję, że w stanie obecnym nawyknień i instytucyi europejskich, jest to *jedyny kształt możebny wolności politycznéj.*

Położenie rzeczy w dniu 2go grudnia tak autor wykłada:

Pod koniec roku zeszłego Francya w niezliczonéj liczbie petycyi, przez rady jeneralne, wszystkiemi prawnemi drogami udawała się do swoich reprezentantów i błagała ich by przystąpili do przejrzenia konstytucyi, która ją wyraźnie w przepaść wtrącała. Wszystko daremnie. Nietylko mniejszość złożona z socyalistów, ale nawet znaczna część konserwatorów uparła się w odmowie. Inna część konserwatorów przystając na przejrzenie, zbyt wolno do dzieła przystępowała.... Owoż straciwszy nadzieję by w kolei instytucyami wskazanéj coś uzyskać, oburzony ślepym uporem, także opłakanemi rozterkami w zgromadzeniu, naród skwapliwie i śród błogosławieństw przyjął ofiarowany sobie środek ratunku. Że jednak 2go grudnia nie mając wyboru jeno między socyalizmem a dyktaturą, większość ludzi uczciwych tę ostatnią przyjęła, nie idzie zatém, by się Francya wyrzekała wszelkiéj wolności.

Dworacy nowéj władzy starają się obrócić na korzyść zaleconych przez siebie pojęć, tę naglącą konieczność jakiéjkolwiek spokojności, widoczną we Francyi dzisiejszéj. Szukają oni w zadowolnieniu godziwém z przekonania o uniknioném niebezpieczeństwie, we wdzięczności należącéj się za oddanie niezmiernéj usługi, dowodów na istniejącą niby w sumieniu narodowém nienawiść do kształtów i pojęć dawniéj we Francyi czczonych. Rachuba jest zręczna. Zkądinąd radość z jaką przyklaskują upadkowi parlamentarstwa, pokazuje bodaj że fakt ten stanowi niesłychany tryumf instynktu i logiki demokracyjnéj. Ów nikczemny instynkt zaspokojony zrazu wzniesieniem arystokracyi zdolności na miejscu arystokracyi urodzenia, rozpoznał prędko że mównica mogła nowéj potężnéj arystokracyi pole otworzyć. W istocie to co nadewszystko znamionuje arystokracyą, jest *niepodległość*, siła osobista a trwała, zdolna oporu w obec władzy a mogąca ją przeżyć. Lepiéj jest i dla osób uprzywilejowanych i dla towarzystwa, kiedy ta siła nie opiera się jedynie na talencie, ale przechodzi w dziedzictwie z ojców na synów; wszelako i tak jest ona zawsze uderzająca a szanowna. Owoż mównica dała pewną wziętość kilku ludziom; powtarzano ich imiona, zwracano na nich oczy. Tego instynkt demokratyczny znieść nie zdołał. Teraz nie może on się dosyć nacieszyć na widok tryumfu, jaki spotyka to co książę Saint-Simon tak dobrze nazywał *wdziękami mierności i nicości* (les grâces de l'obscurité et du néant).

Tu następuje znakomicie pomyślany a wymownie skreślony obraz korzyści i niedogodności rządu reprezentacyjnego z częstém powoływaniem się na dzieje Francyi, tudzież innych krajów Europy. Pan de Montalembert wynosi szczególniéj pomyślność, jaką się Francya od r. 1814 do r. 1818 w ciągu trwania konstytucyjnego rządu cieszyła.

W przeciągu lat trzydziestu pięciu, *powiada autor*, rząd reprezentacyjny francuzki zapewnił broni naszéj zwycięztwo w Hiszpanii, wyzwolił Grecyą, wyratował Belgią, podbił Algier; wykształcił znakomitych mówców i ludzi stanu; tchnął silne a chwalebne życie we wszystkie gałęzie umysłowości; otworzył szeroki zawód wszystkim siłom, wszystkim przemysłom, wszystkim naukom, wszystkim pojęciom, wszystkim próbom szacownym. Za jego staraniem przemogło wszędzie uczucie prawności a umiarkowania. W końcu i co najwyżéj położyć trzeba, dał wierze katolickiéj, oddziałaniu religijnemu, popęd jakiego świat od dwóch wieków nie widział. Kiedy porządek rzeczy zaprowadzający się teraz, potrwa lat trzydzieści pięć, wtedy ale wtedy dopiero będzie się godziło zrobić porównanie.

Będzie też trzeba zobaczyć wówczas, jak się zachowa naród pod rządem, który może kiedyś systemat dzisiejszy zastąpić; bo jak to już słusznie a nieraz uważano: chcąc dobrze osądzić wpływ rządu jakiego na społeczeństwo, trzeba uważać postępowanie tego społeczeństwa wtedy kiedy ów rząd upadnie. Od roku 1789 do r. 1795 Francya wychodząc z wątlących kolei starego porządku rzeczy, dopuściła się zbrodni nieznanych pierwéj w dziejach. W r. 1848 po trzydziestu latach walk parlamentarnych, choć niespodzianie w anarchią wtrącona, zdołała zachować się od szkarad odbierających cześć narodom. Uczucia sprawiedliwości i wolności nie zaćmiły się zgoła. I kiedy słońce zaszło, można było żyć i walczyć śród zmroku. Powiadają dziennikarze, że Francya widziała zawsze obojętném okiem upadek zgromadzeń obradujących i wyciągają z tego wniosek, że nigdy ona losów swoich z przeznaczeniami parlamentarstwa nie wiązała. Prawda! Francya przyklasnęła zamachowi 18go brumaire i zamachowi 2go grudnia. Ale więcéj jeszcze uczyniła w r. 1792 i r. 1830, bo pracowała na obalenie tronu. W latach 1792, 1814, 1830 i 1848 upadło czterech monarchów, na co Francya pozwoliła; czy dla tego godzi się powiedzieć że monarchia jest przeciwna jéj duchowi?

Powiadają także, że systemat reprezentacyjny stanowił tylko przyjemną dla kilku osób rozrywkę, i że dla tak małego pożytku niewarto za nim obstawać. Utrzymujemy że system ten zajmował wszystko co było czynnego, wykształconego i rozumnego w kraju. Mógł się naród do swojéj *zabawki* zniechęcić, strzeżcie się jednak by jéj zaprędko napowrót nie zażądał. Biada rządom, które się ludom nudzić pozwalają. Rządy wiedzą o niebezpieczeństwie i często rzucają się z musu w wojnę by poddanych od nudy obronić.

Mówią że ludy przeznaczone są by używały spoczynku i że im ruch ciągły nie służy. Wielkie zaślepienie! Przecież cała historya zaprzecza zdaniu, które chyba do tego dąży, by u nas zaprowadzić stan rzeczy podobny egipskiemu lub indyjskiemu. Ludy chrześciańskie nigdy podobnego losu nie chciały. Zapewne narody równie jak i indywidua mają chwile zmęczenia, atonii, ale się znowu obudzają z niezbadaną szybkością. Niechaj we Francyi popanuje dziesięć lat spokoju a milczenia, zobaczycie co potém nastąpi.

Mówią daléj: przecież zanim się ukazały instytucye konstytucyjne, nie brakowało chwały rządom, ludom bezpieczeństwa. Odpowiadam, że nie było już ani chwały, ani bezpieczeństwa od chwili, kiedy stare urządzenia zastąpiono monarchią absolutną. Porównajmy Francyą za Ludwika XV, Hiszpanią za Godoya z Anglią pod dwoma Pittami, a wniosek będzie łatwy.

Mówią jeszcze, że jeśli Anglia może znieść rząd parlamentarny, to dla tego, że jest krajem arystokratycznym; a jeśli dobrze z nim Stanom Zjednoczonym, to dla tego, ze składają federacyę. Prawda, Anglia jest arystokracyą, wszelako ta arystokracya ciągle otwarta wszelkim rodzajom wyższości, coraz bardziéj do stanu społecznego na stałym lądzie, w składzie swoim i organizacyi się zbliża, nadto od czasu jak się to dążenie wyraźniejszém zrobiło, systemat parlamentarny nie przestaje się wzmacniać kosztem prerogatywy królewskiéj. Również prawda, że Stany Zjednoczone są federacyą; przecież ta federacya składa się z prowincyi niepodległych, z których kilka nie ustępują w wielkości mniejszym królestwom Europy. A jeśli naprzykład prowincya N.-Jorcku mająca trzy miliony ludności może wytrzymać systemat reprezentacyjny, dla czegoż byłoby to niepodobném Belgii liczącéj cztery miliony.

Przyznajemy że rząd reprezentacyjny potrzebuje roztropności, zdrowego rozsądku i umiarkowania; przyznajemy także, że stronnikom jego we Francyi nieraz na tych przymiotach zbywało. Anglicy utrwalili u siebie

porządek parlamentarny i pomyślność mu zapewnili, albowiem w r. 1688 mieli wiele roztropności i umiarkowania. Tu leży powód ich powodzeń, raczéj jak w duchu arystokratycznym. Ależ przymioty o których mowa, są potrzebne wszędzie i zawsze, równie a może i więcéj monarchiom absolutnym, jak rządom reprezentacyjnym. Jeśli monarchie często upadały, to właśnie z powodu że im owych przymiotów brakowało. Sama nawet władza wprost przez Boga postanowiona, kościół, potrzebuje i bardzo roztropności a umiarkowania, i dla tego, że Bóg wedle obietnic swoich naczelnikom kościoła więcéj niż któréjkolwiek rodzinie panujących, przymiotów rzeczonych udzielił, kościół tak niewzruszenie na tym świecie stoi.

Nadto powiadają dziennikarze że wymowa parlamentarska niebezpieczna jest w społeczeństwie. Ach to sąd nieuctwa albo zazdrości! Od czasu Platona aż do nas więcéj jeszcze obelg poezyi ciskano. A przecież ile razy tryśnie strumień przejrzysty prawdziwéj poezyi, wszyscy spieszą wody zeń czerpać. Tak samo ilekroć z serca uczciwego człowieka wyrwie się potok myśli i słów co się zwie wymową, zaraz mu w sercu narodu cześć i współczucie odpowie. Ludzie oświeceni niczego z większém uniesieniem jak prawdziwéj wymowy nie witają. Po owych wielkich geniuszach co szukały natchnienia w jednéj religii, sława nikogo w dziedzinie umysłowéj nie stawia wyżéj od Demostenesa i Cycerona, Burka i Mirabeau, pomimo ich słabości. Wpadam w pospolitość! Takie jest smutne przeznaczenie każdego co się poświęca na walkę z paradoxami. Zaiste epoka nasza skazana widocznie została, by widzieć napaść na prawdy najoczywistsze i ich obronę. Co najsmutniéj, to że głosy ludzi religijnych powtarzają nikczemne paradoxa. By się pocieszyć, przypomnijmy sobie ową piękną chwilę, kiedy pod sklepieniem kościoła N. Dame O. Lacordaire, każąc z okoliczności nabożeństwa za duszę O'Connella, powiedział do nieprzyjaciół wymowy: „Póki zostaje jedna dusza sprawiedliwa władająca śmiałemi usta„mi, despotyzm jest niespokojny; miota się on i zgaduje że wierność prze„ciw niemu sprzysiężenie czyni."

W końcu żartują sobie z gromadki malkontentów żałujących znaczenia minionego, z ludzi co się nie mogą ukoić po utracie władzy i po utracie wolności mówienia. Niestety, rząd reprezentacyjny jak wszystkie władze na świecie miał swoje słabości i swoje śmieszności. Wprzód nim się znaleźli patentowani przeciwnicy, niebrakło mu dworaków i pochlebców, trutniów wszelkiego rodzaju. Ztémwszystkiém korytarze ciał prawodawczych więcéj jeszcze warte jak przedpokoje pałacowe, i podobno można płakać nad czém inném jak nad władzą straconą tudzież wolnością mównicy, godzi się płakać nad utratą wolności i godności. O ciężko żyć w czasach, kiedy najskromniejsza niepodległość ściąga tylko zarzut że się jest złym obywatelem, kiedy nie popłaca charakter, to co jedynie uszlachetnia człowieka. Zaiste trzeba użalić się nad społeczeństwem ciągle omdlewającém, krajem wydanym na wszystkie zamachy, na wszystkie niespodziane przypadki, co raz złorzeczy gwałtowi drugi raz mu przyklaskuje. Już takie czasy widziano w historyi i wiadomo jakie tam one miejsce zajmują. Cesarz Napoleon mawiał że Tacyt był złośliwym kłamcą, Tacyt wszelako kieruje zdaniem świata. W epoce Tacyta, tak jak i dzisiaj, nie brakło dowcipnych pisarzy, wyłącznych zwolenników pięknéj literatury, co się na krój ateński z Thrazeaszów naśmiewali; wszelako nie do kogo innego jeno do Thrazeaszów zwycięztwo w pamięci rodzaju ludzkiego należy. Kto dziś wie o dityrambach na cześć tryumfującego Cezara? Z drugiéj strony kto nie pamięta jak klient Mecenasa i pochlebca Augusta, cnotę przez resztę wstydu uczcił:

Et cuncta terrarum subacta
Præter atrocem animum Catonis?

W dalszym ciągu powiada p. de Montalembert:

Na chwilę przypuszczam z moimi przeciwnikami, że rząd reprezentacyjny grzeszy wszystkiemi niedostatkami i popełnił wszystkie zbrodnie o jakich słychać. Pytam się ich teraz czemże go chcą zastąpić i jak myślą na innéj drodze rękojmie dla wolności politycznéj uzyskać? Oczywiście że dyskutuję tylko z tymi, którzy zaręczają, iż się nie wyrzekli wolności i jedynie systemat konstytucyjny odrzucają, którzy zarazem przystają na zasadę, iż każdy rząd regularny a trwać mający potrzebuje ograniczeń, wędzidła tudzież równowagi interesów... Owoż niech powiedzą jaka kontrola jeśli nie kontrola zgromadzeń w dzisiejszym stanie towarzystwa europejskiego jest podobna.

Chcąż przywrócić silne rękojmie, wypróbowane wiekowe instytucye wieków średnich? Oczywiście że nie chwalą jednak bardzo te instytucye. Ja posądzam że ich nie znają. Zdaje się z ich pochwał jakoby mniemali, że w ogóle królowie téj epoki byli świętymi, że ich uszanowanie i posłuszeństwo otaczało. Inaczéj wówczas rzeczy stały. Przez cały ciąg średnich wieków widzimy nieustającą a bardzo wydatną walkę złego z dobrem. Złe zbyt wcześnie zwyciężyło i zaraziło a nawet przymusiło do cofnięcia się potok świętego i czystego życia, który miał swoje źródło w katakumbach i który przez kilka wieków Europę strumieniami geniuszu i uniesienia chrześciańskiego pokrywał. Wszelako obok moralnego pierwiastku, który znamionuje życie średnich wieków, obok katolicyzmu, pojawił się pierwiastek polityczny bardzo odznaczony, co pod kształtem arystokratycznym stworzył wszędzie rozległy systemat rękojmi i ograniczeń, nałożonych dziedzicznym lub obieralnym naczelnikom narodów. Duchowieństwo, szlachta feudalna, korporacye handlowe i miejskie, przywileje, zwyczaje, trzymały władzę najwyższą jakby w uwięzi. Nadużycia rządu widziano nieraz; ale czego nieznano zgoła, co było niepodobne, toześrodkowanie wszelkiéj władzy w jednéj osobie, to widome uosobienie wszystkich praw towarzystwa, ta abdykacya woli każdego na korzyść jedynéj woli pana.

Jestże podobna wskrzesić potęgi, które wówczas despotyzm powściągały? Nie; bo rewolucya zrobiła ***tabulam rasam.*** A nawet gdyby było podobna, przystalizby na to nasi przeciwnicy? I to nie, gdyż trzebaby odbudować społeczeństwo arystokratyczne z hierarchicznymi a dziedzicznymi naczelnikami, a to jest wstrętne dzisiejszemu duchowi Francyi. Tu zrobię uwagę, że katolicy, zapóźnieni wielbiciele wieków średnich, są w téj mierze takimi Francuzami jak i inni. Przyjmują chętnie pana ale nie umieją znieść naczelników.....

Jeśli nie instytucye wieków średnich, cóż ma zastąpić rękojmie parlamentarne. Może porządek monarchiczno-absolutny jaki istniał od Ludwika XIII do Ludwika XVI? Zdaje mi się, że takie jest marzenie tych, co wojują ze swobodami naszych czasów a przy każdéj sposobności wychwalają edykt nantejski. Owoż pozwalam sobie zapewnić, że podobna nadzieja nie ziści się, i że się ziścić nie powinna. Nie ziści się bo stara królewskość umarła tak jak i feudalizm; nie powinna się ziścić, gdyż byłaby ona najtwardszą zaporą dla odradzającego się wpływu kościoła.

Czy zostało już zapomniane, że Henryk IV z jednéj strony umawiał się z Maurami hiszpańskimi by zachwiać katolicką monarchią za Pireneami, a z drugiéj z protestantami Niemiec w celu uzyskania od nich lewego brzegu Renu za sekularyzacyą duchownych księstw, podczas kiedyby Turcy zajęli Austryą a Szwecya zgniotła katolicką Polskę?[1]) Poszłoż w niepamięć że

---

[1]) Tekst autentyczny traktatu między Henrykiem a książetami Brunświku i Saksonii wydrukowało pismo *Historisch-politische Blätter* t. XXVII. str. 73 do 86.

Richelieu dając pieniądze Gustawowi Adolfowi wojującemu z mocarstwami katolickiemi, uzupełniał dzieło Lutra i przykładał rękę do poniżenia, z którego kościół dziś się dopiero podnosi? A Ludwik XIV, niktże już dziś niepomni na niecne jego zatargi z kościołem? Zaiste chrześcianie nawet ci co szanują blask jego chwały, niepowinni mu przebaczyć jego przychylność dla Turków, jego niechęć dla Sobieskiego, jego zabiegów by zatrzymać w pochodzie a poniżyć w zwycięztwie wybawiciela Europy, Karola Martela XVII wieku.

W każdym razie czasy się zmieniły. Za staréj monarchii choć nie istniała rękojmia ogólna, można się jeszcze było czasem od jarzma obronić. Podania, zwyczaje, odległość, nieregularność stosunków urzędowych, duch korporacyjny, żywotność przywileju nasuwały raz po raz środki oporu. Zdarzało się, że cała potęga królewska rozbijała się o jakiś stary dokument, albo o wytrwałą nieruchomość jednego bractwa. Dziś kiedy mamy biurokracyą, żandarmeryą, centralizacyą, drogi żelazne i telegrafy elektryczne, kiedy całe towarzystwo zostało rozproszkowane, jestże podobném przypuścić choć cień oporu prawnego w obec nieograniczonéj władzy rządu, skoro ustała kontrola zgromadzeń a dyskusya publiczna nie istnieje?

Tym, którzyby chcieli jakąś równowagę przez wskrzeszenie swobód prowincyonalnych zaprowadzić, p. de Montalembert przypomina, że niema już ani prowincyi ani swobód; daléj następujący wniosek na końcu rozdziału kładzie:

Niema sposobu. Trzeba wybierać między władzą absolutną, a rządem reprezentacyjnym... W dzisiejszéj Europie władza absolutna nie będzie niczem inném jeno panowaniem wojskowém i biurokratyczném jak w Rosyi; nawet z wyjątkiem czasów wstrząśnień, duch wojskowy zostanie tam zawsze zaćmiony przez biurokracyą. Owoż biurokracya doskonale się z demokracyą godzi, często stając z nią do równowagi, częściéj się jéj jeszcze za narzędzie i sprzymierzeńca oddając.

Zarzucają rządowi parlamentarnemu, że ster rzeczy publicznéj w ręce deputowanych powierzał. Będzież lepiéj kiedy we Francyi zaczną władać podprefekci?

....

Biorąc rzeczy ze stanowiska wyłącznie katolickiego powiem: że jeśli wszystkim wolno wyrzekać się rządu reprezentacyjnego, katolicy nie mogą tego robić bez najczarniejszéj niewdzięczności. W istocie z rządów jakie dziś widzimy rząd reprezentacyjny najwięcéj dobrego, najmniéj złego katolicyzmowi uczynił. Gdziekolwiek niewola kościoła istnieje albo istniała, było to dziełem władzy absolutnéj. Nigdzie jéj w naszym wieku rząd parlamentarny nie zaprowadził. Prawda rząd ten nie wszędzie potargał więzy kościoła, wszelako co już wiele, potargał je w Anglii, Belgii i Francyi. W innych krajach podał katolikom sposoby uskarzania się, walczenia, napierania i przygotowywania powoli dzieła emancypacyi....

Katolicy w krajach rządzących się reprezentacyjnie panami zgoła nie są, muszą się nawet za wielu ludźmi oglądać; nawzajem przecież oglądają się tam i za nimi. Co najlepszego w owych krajach to iż uczą się oni na sobie tylko polegać. Że zaś upominają się o godziwe i rozsądne rzeczy, powoli utrzymują zwycięztwo. Ale trzeba dyskutować, rozumować, walczyć, czekać, cierpliwość łączyć z odwagą, potężnym przeciwnikom z placu nieschodzić; przyznaję że wygodniéj tudzież krócéj schylić czoło przed jednym władcą, opieki jego wzywając i nie mówić jeno by chwalić, w nadziei, że się kiedyś przywiléj mówienia posiądzie; chodzi tylko o to jaki będzie koniec tych łatwości.

Mamże przypomnieć że wolność nauczania winniśmy jedynie systematowi reprezentacyjnemu. Została ona zdobyta na mównicy i gdyby jéj nie było zgromadzenie prawodawcze przed dwoma laty przyznało, podobnobyśmy jéj teraz nie otrzymali.

W obec Stolicy apostolskiéj ciała nasze prawodawcze zawsze były pełne uszanowania. Z dwóch ostatnich zgromadzeń, pierwsze na wieść że papież przybywa, chciało całe naprzeciw niego pospieszyć, drugie umiało zmusić władzę do zamknięcia zbrojnéj interwencyi francuzkiéj w granicach sprawiedliwości i uszanowania.

A gallikanizm słusznie znienawidzony, kiedyż go wygnano z dziedziny rzeczy mających jakieś znaczenie? Jeśli dziś znowu głowę podnosi, jeśli stara się docisnąć aż do tych co rządy piastują, nie jestże to znakiem że dyskusya, że dzień jasny mównicy, zgubę mu gotowały?

Tu p. de Montalembert jeszcze raz kraje Europy jeden po drugim przechodzi, by pokazać że systemat parlamentarny często pomaga nigdy nie zawadza odrodzeniu kościelnemu. W ciągu tego szybkiego ale świetnego poglądu, napotyka się słuszną naganę dla źle zrozumianego parlamentaryzmu piemonckiego. W ogóle autor nie oszczędza ludzi i rzeczy, nędz dzisiejszych krajów konstytucyjnych nie zakrywa, powiada tylko i słusznie że za rządów absolutnych jeszcze się gorzéj działo.

Pod koniec rozdziału czytamy:

Byłoby opłakaném urojeniem mniemać, że w stanie dzisiejszym naszych obyczajów i praw naszych, można zachować wolność kościoła nawet w razie zniesienia wolności ogólnéj. Raz obdarzony przywilejem kościoł powoli spada na szczebel klienta albo pupilla i musi potém przyjąć wszystkie ograniczenia i wszystkie poniżenia małoletności właściwe.

Odzywam się do nieroztropnych wychwalaczy dawnego stanu rzeczy: wy chcecie przeszłość na korzyść duchowieństwa wskrzesić; zastanówcie się, ta przeszłość i przeciw niemu wskrzeszona być może....

Nie żądam ja żeby katolicy zostali rycerzami błędnymi parlamentaryzmu. Żądam od nich jedynie sprawiedliwości w porównywaniu a przynajmniéj godności milczenia....

Jeżeli jest podobny jaki inny kształt rządu coby nas zdołał razem od niebezpieczeństw wolności i od poniżeń niewoli zasłonić, niechajże się pokaże. Tymczasem ja się będę trzymał doświadczenia, które mnie przekonało że kościołowi lepiéj z rządem reprezentacyjnym, z monarchią umiarkowaną, jak z rządami co wpierw istniały. Zaś niechciałbym aby pomijając pamięć dobrodziejstw tego porządku rzeczy, głoszono tylko o jego nadużyciach i ponieważ jak słusznie mówił niedawno O. Lacordaire: „gdyby „trzeba zniszczyć wszystko co rodzi klęski i nadużycia, nicby nie pozostało „na ziemi, nawet religia."

Przytoczymy jeszcze kilka krótkich ustępów domówienia:

Wiecież, *woła P. de Montalembert,* komu podajecie ręce obelgi a skargi na rząd parlamentarny miotając, ni mniéj ni więcéj jeno socyalistom. Pobici wielekroć w zapasach mównicy, socyaliści przekonali się że im łatwiéj z przemocą jak z dyskusyą. W obec zamachu z 2. grudnia jedni zamilkli bez trudności, drudzy głośno a codzień przyklaskują upadkowi tego co nazywają *małą wolnością*, oczekując za *wielką* która ma z czasem zwyciężyć.... Ja się temu nie dziwię. Socyalizm przedewszystkiém nienawidzi podań i wolności, ztąd jego nienawiść dla rękojmi politycznych, z których każda albo podanie, albo wolność wyobraża. Przeciwnie katolicyzm

co żyje podaniami i wolnością, ani tych obaw, ani tych wstrętów dzielić nie powinien....

Co do mnie nie zwątpiłem jeszcze o przyszłości rządu reprezentacyjnego. Za jego żywotność ręczy mi wściekłość jego nieprzyjaciół. O umarłych nikt źle nie mówi a przynajmniéj nikt się ich nie boi do tego stopnia. Systemat reprezentacyjny odbędzie ciężką próbę, zostanie może określony i naprawiony, powróci jednak, gdyż w towarzystwie na proch rozbitém on jeden przedstawia kształt możebny rządu umiarkowanego i rozsądnego, jedynego rządu trwałego. Pokaże się wówczas że zabiegi naszych doktorów i proroków były płonne....

Mówiąc to nie wznoszę groźby przeciw rządowi, który Francya przed kilkoma miesiącami przyjęła. Mojém zdaniem z dzisiejszéj konstytucyi francuzkiéj da się wyprowadzić porządek umiarkowany, parlamentaryzm za jakim obstaję. Konstytucya ta jest bardzo elastyczna, pozwalająca na rozwinięcia i ulepszenia: wszystko zależy od ducha w jakim będzie stosowana i zmieniana. Zgromadzenia istnieją, chodzi tylko o ich skład i o ich attrybucye, rzeczy które można od jednego bieguna bussoli politycznéj do drugiego przenosić. Izba niższa w Anglii jeszcze skromniejsze miała początki, jeszcze pokorniejsze ruchy jak nasze ciało prawodawcze. Teraz nic jeszcze nie zwiastuje by władzca Francyi nachylał się ku temu widzeniu rzeczy, godzi się przecież na przyszłość liczyć.

Po dwakroć w ciągu jednego stulecia Francya dotknięta poniżeniem a przerażona, widziała urzeczywistnienie proroctwa Izajasza: *Irruet populus, vir ad virum, et unusquisque ad proximum suum: tumultuabitur puer contra senem, et ignobilis contra nobilem. Apprehendet vir fratrem suum domesticum patris sui (et dicet):* **Princeps esto noster: ruina autem haec sub manu tua.**

Pierwsza próba skończyła się smutnie, mimo odurzającéj wspaniałości początków. Godzi się spodziewać a nawet ufać, że szkopuł rozpoznany przez towarzyszy wielkiego rozbicia, zostanie ominięty. My mniemamy że historya nie zapisze drugiego przykładu zaślepienia, spowodowanego przez zbyt nagłe wyniesienie. Raczéj bodajby jéj było dane przyznać kiedyś władcy Francyi, zaszczyt rzadki a godzien zazdrości, że zdołał oprzeć się sofizmatom tudzież pochlebstwom zachwalaczy absolutyzmu.

W trwałośc nieograniczoną systematu przeciwnego mojém zdaniem nawet interesowi księcia który nami rządzi, uwierzyć zgoła nie mogę...... Choćby chciał, a nie myślę żeby chciał inaczéj, będzie musiał zawrócić na tor liberalniejszy. Zaiste okazałby się niewiernym roztropności któréj tyle dał dowodów, gdyby się w czas nie wyzwolił z więzów teoryi absolutyzmu, ciężar odpowiedzialności jaką go przygnieść usiłują zrzucając.

Zwracam uwagę wszystkich że mi tu głównie chodzi o teoryą potępiającą wolność w przeszłości, a wyrzekającą się jéj na przyszłość. Mniemam że dla katolików teorya podobna jest w pierwszym razie niewdzięcznością, w drugim szaleństwem. Co się tyczy teraźniejszości nie mieli oni i nie mają nic innego do roboty, jeno milczeć, przypatrując się spokojnie kolei wypadków. Francya ma dziś jeszcze może więcéj wolności niźli jéj żąda; zniosłaby nawet trochę ucisku. W téj chwili nikomu tam nie ciasno, bo nikt się nie rusza, nic nie jest przygnębione, bo nic się nie opiera. Wszystko śpi, spoczywa, może się odradza. Ale kiedy po dziesięciu, dwudziestu latach spoczynku, pokoju, powodzeń, bezpieczeństwa, wybije godzina przebudzenia; kiedy Francya uczuje pokusę przyznania się przed sobą że się nudzi; kiedy nagle przyjdzie jéj ochota oddychania, widzenia, mówienia, sądzenia, krytykowania, jaką w niéj ani dawna monarchia ani Napoleon nie zdołali przytępić; dopiero okaże się potrzeba otworzenia upustu instynktom nieprzepartym, siłom niezwalczonym. Ujrzymy wówczas czy nowe

instytucye mają dosyć elastyczności by wytrzymać powrót życia, chałasu i walki. Jeśliby nie miały téj zalety, spodziewam się że książę, któremu Francya losy swoje powierzyła, znajdzie sposób by przeszkodzić zbierającéj się burzy. Inaczéj burza zmiecie i jego samego i jego dzieło.

Jednéj rzeczy niezapominajmy: duch francuzki, a ogólnie biorąc duch człowieczy, nie odmienił swojéj przyrody w dniu 2 grudnia. Chcąc zwyciężyć rewolucyą i racyonalizm niedość jest wypowiedzieć im wojnę w dziedzinie politycznéj. Pozostaje piśmiennictwo zepsute do szpiku kości, przemysł działaniem materyalizmu z kolei godziwéj wyrzucony. Owoż przemoc jakkolwiek trwała nie jest w stanie złemu poradzić. Naprzeciw złego trzeba postawić siłę wolną, popęd nieprzymuszony dobrego: zaś kiedy się wyzwala dobre pierwiastki, nie podobna zrobić inaczéj jak wyzwolić i złe przynajmniéj do pewnego stopnia. Tak wolność znowu zawita ze swojemi różnemi kolejami i ofiarami a z nią zasługa. Choć okoliczności zdają się zaprzeczać moim twierdzeniom, nie waham się zaręczyć że wolność nie przepadnie. Sprawa absolutyzmu jest sprawą przegraną i biada tym, którzyby chcieli nieśmiertelne losy religii z tém zgrzybiałem bożyszczem wiązać.

A przeto odpychajmy wpieraną w nas konieczność wyboru między socyalizmem i despotyzmem. Być może że socyalizm jeszcze ze wszystkiém nie pokonany i że to czyni despotyzm potrzebnym do czasu. Jednakże miejsce nasze między dwoma ostatecznościami znaleźć się powinno. ***Liceat nter abruptam contumaciam et deforme obsequium pergere iter, periculis vacuum.***

Umiéjmy czekać! Jeden wielki polityk powiedział: „By zmiany pozaprowadzać czas ma tajemne środki, nieznane największym geniuszom." Zgoda, nie płaczmy nad tém co upadło, ale się i od obelg powstrzymajmy. Nie bluźnmy naszéj przeszłości dla przypodobania się dzisiejszym zwycięzcom choćby w wyłącznym celu pozyskania ich dla dobréj sprawy. Wieleśmy winni wolności; zamiast się jéj wyrzekać, nie przestawajmy czcić jéj wdzięcznością, cierpliwością, tudzież nadzieją.

Wolność w społeczeństwie dzisiejszém narażona jest na niesłychane niebezpieczeństwa. Za największe z nich uważamy zasadę głosowania powszechnego. W istocie jest to mechanizm za pośrednictwem którego tłum wszechwładny przez jeden dzień, może siebie i z sobą wszystko na długo w niewolę oddać.

Nie uznawać znaczenia tego mechanizmu byłoby szaleństwem. Głosowanie powszechne zajmie odtąd w polityce miejsce jakie proch zajął niegdyś w sztuce wojennéj albo para w przemyśle. Zaprowadzenie téj nowéj a strasznéj broni zmienia wszystkie warunki walki. Siła dotąd nieznana, dająca się łatwo użyć, w ręce się władzy dostaje.

By tę siłę módz zastosować, nie trzeba ani wielkiéj biegłości, ani wielkiéj skrupulatności; ktokolwiek ją poruszy, osiągnie wpływ nieprzeparty. Jest to także ogromna larwa za którą się kryją wszystkie podłości i wszystkie strachy a kryją wygodnie i bezpiecznie. Jest to morze w którém toną wszystkie kombinacye i wszystkie przepisy dawnéj polityki, w którém fałsz, przesąd i nieuctwo do niesłychanéj potęgi dochodzą. Na ciężkie tam proby narażone są rozum tudzież godność człowiecza. Talent, cnota, sława, odwaga, prawość, doświadczenie co dawniéj dawały prawo do wziętości, wszystko to niknie w falach głosowania powszechnego, niby dobre wino z flaszy w staw wylane.

O ile wiem żaden rozumny a szczery przyjaciel wolności nie przyzywał głosowania powszechnego. Wynaleźli je republikanie w zgodzie z kilku szalonymi rojalistami, i jak zwykle wynalazek zabił wynalazców.

Cóżkolwiekbądź trzeba się przyzwyczaić do nowéj zasady, trzeba się

na nią choć z żalem zgodzić; jeśli albowiem zaprowadzić się dała szybko, nie idzie zatém żeby się dała łatwo obalić.

Bayard i rycerze jego czasu ubolewali na widok postępów broni palnéj. Mniemali że wojna szlachetna i kawalerska już odtąd nie będzie podobna i że tchórze staną na równi z odważnymi; a jednak honor, odwaga, wszystkie cnoty wojskowe odzyskały znaczenie w armiach dzisiejszych. Tak samo będzie z cnotami i ze zdolnościami politycznemi.

Dzięki parze przewrócone zostały do góry nogami wszystkie nawyknienia, wszystkie warunki zewnętrznego społeczeństwa; nie została przecież zniesiona ani jedna namiętność, ani jedna chciwość powściągniona; żadnemu nieszczęściu sławny ten wynalazek pociechy nie przyniósł. Pycha, zazdrość, boleść wszystkie niedołęztwa człowiecze z jednéj strony, z drugiéj wiekuiste przepisy sprawiedliwości Bożéj a nawet prawa roztropności ludzkiéj istnieją jak istniały i istnieć będą. Podobnież i głosowanie powszechne nie zmieni zasadniczych warunków natury ludzkiéj. Tylko w obec niego wolność stanie się trudniejsza do osiągnienia, zaczém ujrzymy cięższe walki; zarazem poświęcenie wzrośnie w zasługę, wierność się większą szlachetnością a wytwałością podeprze. Podobny los może jeszcze przyjąć każdy człowiek szlachetny, każdy chrześcianin...

Przyszedł dla wszystkich czas przekonania się, że religia jest jedynym wiernym sprzymierzeńcem wolności. W niéj pociecha zwyciężonych, ucieczka pognębionych, ochłoda serc zranionych i zniechęconych, światło skrzywionych umysłów. Do jéj dzieci należy by się dla niéj o tę macierzyńską chwałę upomniały. Jeśli wolność ma być na czas jakiś wygnana ze świata, niechże ją kiedyś znajdą schronioną pod skrzydła kościoła, wszczepioną w serca katolickie. Śród nędz chwiejącego się ruchomego i odartego ze czci społeczeństwa, nie ma dla kościoła godniejszéj drogi jak zostać wiernym sojuszowi, na który się wpierw powoływał a z którym mu było dobrze i korzystnie.

Nie przyznaję ja sobie posłannictwa dawania rad kościołowi. Wszelako ponieważ kościół nie broni posłusznym swoim dzieciom głośno o swoich interesach, niebezpieczeństwach i prawach mówić, ponieważ zdolni i zacni pisarze używając tego przywileju wskazują umysłom kierunek, który mojém zdaniem jest niebezpieczny i nierozważny, myślę że mi przystało głos zabrać. Dodaję, że odwołuję zawczasu wszystko coby się godném nagany lub zuchwałém władzy nieomylnéj wydało.

Zresztą w granicach swobody jaką nam kościół zostawia, każdy jest panem swego honoru. Owoż ja chcę mój honor zasłonić. Powiedziałem już: jam stary żołnierz sprawy katolickiéj. Znajdzie zapewne bieglejszych i szczęśliwszych, wierniejszych nie znajdzie. Nigdym przecież sprawy katolickiéj od sprawy wolności nie oddzielał. Za godło mego życia miałem jakoby wyrazy niegdyś przez starego Polaka konfederatę barskiego wyrzeczone: „Kochałem wolność nadewszystko, a religią katolicką jeszcze więcéj jak wolność."

Stałem w szeregu pod znakami wolności, kiedy się zdawało że ona panią opinii i przyszłości; nie odbiegnę jéj teraz kiedy się jéj dawni wielbiciele wyrzekają, a strumień ludowy w przyrodzone swoje łożysko ku absolutyzmowi nawrócił. Niechcę by kiedyś o mnie i o moich przyjaciołach powiedziano, żeśmy się dobijali o wolność na to, by uzyskawszy ją przy pierwszéj sposobności poświęcić. Potrzebuję zaręczyć, że kiedyśmy przez lat dwadzieścia wolności przyzywali, nie czyniliśmy tego by sidła nieprzyjaciołom zastawić; krzątaliśmy się z dobrą wiarą, służyliśmy zasadzie nie zręczności. Poniżenie starych naszych przeciwników głowy mi nie zawraca do tyla, bym rzucił broń, któréj używaliśmy szlachetnie a użytecznie i którą kiedyś dobrze będzie znaleźć.

Choćbym sam został nie odstąpię chwalebnego sztandaru i zachowam przekonanie że tak czyniąc ostatnią usługę godności i niepodległości katolików oddaję....

Mam ja niejakie prawo wstrzymać się od udziału w uniesieniach ludu dla władzy absolutnéj. *Gotów na wszystko*, jak mówił p. de Maistre, *a niepewny niczego*, dość obojętny na kształty zewnętrzne, mniéj obojętny na osoby, zgadzam się łatwo na wszelkie rządy pod któremi dusza i honor są bezpieczne. Skoro nie, nie. Jarzma nie miłuję: na to trzeba być rewolucyonistą. Do sprzysiężeń z siłą a powodzeniem nie czuję pociągu. Nie mam współczucia dla tych sztucznych jedności pochłaniających wszystko. W postęp humanitarny, w rozum powszechny, w nieomylność ludów, w te wielkie wyrazy za pomocą których durzono nas, ogołacano z wartości osobistéj i doprowadzono dó *nikczemnéj równości demokratycznéj*, w niezmierne przyplaszczenie świata pod wpływem namiętności albo strachu nie wierzę. Ufam w prawo, ufam w wartość człowieka, człowieka niepodległego a uczciwego. Jestem stronnikiem takiego systematu, gdzie każdy uczciwy człowiek ma się za coś i gdzie go za coś mają, gdzie można na swoją odpowiedzialność walczyć z kłamstwem i ze złem czy w rządzie czy u stronnictw, i gdzie wszyscy co chcą dojść do znaczenia nie są skazani kłaniać się to władzy, to rozruchowi, schylać się zawsze przed kimś, raz przed człowiekiem kiedyindziéj przed tłumem i bezustannie przechodzić z klubu do przedpokoju.

Taka jest moja wiara polityczna; mam zamiar w niéj wytrwać.

Jeszcze słowo na zakończenie. Śród poruszeń zapełniających dzieje nowsze, jeden kościół odniósł zwycięztwo; on jeden i nadal zwycięzcą pozostanie. Owoż kościół nie odpycha nikogo i nikomu nie wypłaca się niewdzięcznością, ale téż nikogo nie potrzebuje, gdy jego potrzebują wszyscy. Bez współdziałania kościoła żaden się rząd nie ustali, żaden trwać nie będzie. Dowodnie się to pokazało i w r. 1848. i w r. 1851.

Pracujmyż wszyscy w miarę sił naszych by mu zachować godność, by niepodległość jego zasłonić. Wstępujemy w czasy odrodzenia się katolicyzmu, które nas pocieszą po wszystkich zniewagach i po wszystkich zaprzaniach się, jakie ta religia od czterech wieków, od kiedy nastała tak nazwana epoka odrodzenia pogaństwa, wycierpieć musiała. Nigdy cudowna młodość kościoła, nigdy jego *wiekuista*, jak ją Bossuet zowie, *nowość* nie jaśniała wspanialszym dla wszystkich oczu blaskiem. Z pomiędzy walących się ruin starego świata, gdzie wszystko gniło lub zostawało skamieniałością w cieniu despotyzmu i fałszywéj filozofii, kościół wydobył się pełniejszy życia i płodniejszy niż w najświetniejszych chwilach swojéj historyi. *Omnia propter electos*, powiedział apostół: są to słowa które w sobie zawierają całe życie duchowe. *Omnia propter Ecclesiam* zawoła każdy kto bada dzieje świata; temi słowami wyłożyć można wstrząśnienia co nas zadziwiają, przerażają lub kłopocą.

Cała oświata dzisiejsza, całe społeczeństwo francuzkie ze swemi niedołęztwami moralnemi a materyalnemi świetnościami, przypomina mi owego kalekę, którego Ś. Piotr i Ś. Jan napotkali przy drzwiach świątyni oznaczonych mianem *pięknych* (porta speciosa). W obec téj wspaniałości biedny nędzarz prosił o jałmużnę na chleb powszedni. Święty Piotr zastępca Chrystusa, głowa kościoła, rzecze mu: *Respice in nos*, a gdy ów spojrzał w nadziei otrzymania jakowego daru, dodaje: *Argentum et aurum non est mihi;* my nie mamy na nasze rozkazy bogactw i dobrego bytu, których jedynie łakniesz choć one ci zaspokojenia nie przyniosą; ale co mamy tego ci udzielamy: *Quod autem habeo, hoc tibi do;* dajemy ci prawdę i życie. W imię Jezusa Chrystusa wstań i idź: *Surge et ambula.* I ściągnąwszy ku niemu rękę podniósł go. Tu pismo ś. dodaje: *Et protinus consolidatae*

sunt bases ejus et plantae. W taki i tylko w taki sposób zostanie zbawione dzisiejsze społeczeństwo. Jeżeli zechce zwrócić się do kościoła błagając go o jałmużnę życia i prawdy, jeźli pospieszy schwycić tę łagodną, a silną rękę zawsze do siebie wyciągniętą, ożyje, podźwignie się, umocni się na swojéj podstawie i przestanie chwiać się za kazdym powiewem aż do gruntu. Jeżeli nie, będzie jakiś czas chorować i zginie.

Każdy z nas chrześcian, choć nieznany a nieudolny, powołany jest, by w swoim zakresie popierał dzieło wielkiego wpływu kościoła na społeczeństwo. Wszelako wedle środków jakie wybieramy, możemy opóźnić lub przyspieszyć dobro, złe zwiększyć lub usunąć. Pisząc, miałem cel wyłączny uwagę na to zwrócić. Jeźli zdołam obudzić w pewnéj liczbie umysłów chęć korzystania z nauk przeszłości, postanowienie nienarażania przyszłości i niepoświęcania wszystkiego upojenia chwili obecnéj, zamiar mój zostanie dopięty. I chociażby mnie nikt w innych rzeczach niesłuchał, wrócę do milczenia z przekonaniem, żem niewdzięcznego obowiązku, przyjętego w pokorze, uczciwie dopełnił; zaś będę miał prawo powiedzieć sobie: *Liberavi animam meam.*

Przełożyliśmy całą prawie książkę p. de Montalembert; tu i owdzie opuszczając, gdzie niegdzie skracając, ale zawsze bacząc usilnie, by każda myśl, każdy wywód, w należytém rozwinięciu czytelnikom się polskim ukazały.

Przywiązujemy wielką wagę do pracy znakomitego pisarza, nie żebyśmy zamykali oczy na jéj niedostatki: ale że stanowisko autora, że sposób jego zapatrywania się na rzeczy, we wszystkich główniejszych zarysach przekonaniom naszym odpowiada.

Zapewne p. de Montalembert tu i owdzie dał się za daleko unieść potężnemu a niepowstrzymanemu oburzeniu, jakie cechuje więcéj jeszcze jego wymowę parlamentarną niż jego pisma; zapewne zbierając w jedno i uogólniając zarzuty, otworzył wrota zbyt cierpkim przeciw niektórym katolikom oskarżeniom, zapewne w wyłączności uniesień dla parlamentarstwa francuzkiego, raczéj poszedł za natchnieniem wspomnień, przyzwyczajeń a nawet powodzeń własnych, niż za wymaganiami surowéj historycznéj bezstronności. Zapewne książce jego obfitującéj w liryczne ustępy zbywa na ścisłości i dobrém powiązaniu rozumowania; wszelako małe to są cienie obok tych gruntownych chrześciańskich piękności, które z niéj czynią jeden z najwdzięczniejszych a najsilniejszych, najbardziéj pociągających a najnieodwołalniéj przekonywających katolickich utworów.

Jakież tam bogactwo myśli, obrazów, spostrzeżeń! Wszystko co szlachetne na świecie odbiera tu znak współczucia, owdzie dowód uniesienia, a każdy szczegół do jednego się wspólnego odnosząc środka, uwydatnia tylko wielką miłość pobożnego pisarza dla religii i kościoła. Całą pracę prąd niezmiennego natchnienia od końca do końca przebiega: natchnienie to duszy czystéj, umysłu wzniosłego, serca draźliwego zapewne, jak wszystkie serca czujące, ale poczciwego, bezinteresownego, tudzież umiejącego kochać.

Dzieło p. de Montalembert czyta się ze zbudowaniem i pożytkiem, odkłada się z żalem, wspomina się z wdzięcznością. W żelaznych na-

szych czasach jest ono prawdziwą pociechą dla umysłów delikatniejszych.

Ze wszystkich tych powodów chcieliśmy nań zwrócić uwagę, ile z nas jest rodakom zapoznanie się z niém bliższe ułatwiając.

Zarzuty p. de Montalembert ubodły niektórych. Dotkniętym uczuł się zwłaszcza *Univers,* do którego istotnie w największéj liczbie razy autor się z oburzeniem zwraca.

W imieniu dziennika *Univers* odpowiedział na razie p. Ludwik Veuillot, późniéj inni mniejsi pisarze polemiki się jęli.

Artykuły tych ostatnich z wyjątkiem jednego pomijamy, pomijamy także zarzuty p. Veuillot, jako p. de Montalembert się nudzi bez mównicy i dla tego dawnych sprzymierzeńców zaczepia, jako myśl jego w nowém dziele pewność i siłę straciła, jako brak szczerości w jego oskarżeniach i t. d. Wszystko co jedynie drażliwość z wielu względów łatwą do zrozumienia pokazuje, w obręb naszéj pracy nie wchodzi.

Ograniczamy się do rzeczy powszechniejszego znaczenia.

Zdawałoby się ze słów p. de Montalembert, *pisze p. Veuillot w odpowiedzi ogólnéj*, że nas dzielą zasadnicze pojęcia, że jego symbol polityczny jest wprost przeciwny naszemu symbolowi, że nasze postępowanie różni się radykalnie od jego postępowania, że już nie stoimy na jednym gruncie, że już nie służymy w jednych szeregach.

A przecież mamy grunt wspólny, tym gruntem interes wyłączny religii katolickiéj, a przecież ani on, ani my niechcemy odbiedz, niechcemy odmienić dawnéj chorągwi, chorągwi wolności religijnéj. Innych służb nieznamy, nie zaciągniemy się w inne, to samo i p. de Montalembert. Owoż między nim a nami węzeł istotny, związek trwały. Reszta jest przywidzeniem.....

P. de Montalembert wymarzył sobie dwie rzeczy, raz że wolność mówienia jest mu prawie tak droga, jak wolność kościoła i że ta bez tamtéj obejść się nie może; powtóre że nam o wolność kościoła tak mało, jak o wolność mówienia chodzi, i że, by się zbyć ostatniéj, pierwsząbyśmy łatwo poświęcili. W siebie wmawia niewyczerpaną miłość dla rządu reprezentacyjnego, nam przypisuje ślepą namiętność dla absolutyzmu. Podwójne urojenie! Urojenie o sobie samym i urojenie o nas. Odczytaliśmy powtórnie książkę p. de Montalembert i zaręczamy, że nikt nie jest w stanie jakiegoś kształtu rządu parlamentarnego praktycznego dla Francyi z niéj wyciągnąć... Odczytaliśmy także nasze artykuły od 2 grudnia i wyzywamy p. de Montalembert, żeby wymienił choć jeden taki na którymby najsłabsze nawet z jego oskarżeń oprzeć się dało; choć jeden odstrychający się od ogólnego uczucia u katolików, takiego jakie znajdzie w głośnych oświadczeniach biskupów; choć jeden chwalący postępki władzy z sumieniem chrześciańskiém niezgodne. A kiedy p. de Montalembert posuwa się do wzmianki o łaskach i o przedpokojach ministrów, te choć z rumieńcem na czole, powiemy mu, że redaktorowie dzienników religijnych nie mieszczą się ni z bliska ni z daleka między „przyjaciołmi władzy" i że ich w przedpokojach ministrów ani razu starzy stronnicy parlamentarstwa i dawniejsi republikanie napełniający te miejsca nie spotkali.

Mamy przekonanie, że przyjdzie dzień i to niedługo, kiedy będziemy to samo z p. de Montalembert mówili tak, jak już teraz w gruncie to samo myslimy....

Że jeden z mistrzów wymowy ma słabość do rządu reprezentacyjnego, temu się nie dziwimy. Ależ chrześcianin niepowinien wszystkiego do siebie odnosić. Kiedy spoglądając po za jednostajne ogrodzenie, w którém go wypadki zamknęły, widzi panujące porządek, pracę i pokój, a śród téj cichéj czynności, kościół bardziéj szanowany i wolniejszy, niż w czasach w których miał zaszczyt walczyć w jego obronie, widok podobny powinien go usposobić do przebaczenia rządowi co sprawił te dobro, że je bez niego, a może inaczéj, jakby chciał zaprowadza.... Każdy prawdziwy bohater pociesza się, że nie jest przedmurzem ojczyzny, jeźli ojczyzna przedmurza więcéj nie potrzebuje i rad widzi w swoim ręku zamiast wielkiéj szabli, małe narzędzie co mu służy do wyrzucania chwastów....

P. de Montalembert był naczelnikiem, siłą i zaszczytem stronnictwa katolickiego, dla tego pewnie pierwszy gorąco Bogu podziękuje, jeźli katolicyzm przestanie być stronnictwem. W miejsce zawikłanych sporów, śród których głos jego więcéj chwalony jak znaczący rzeczywiście, sam jeden się podnosił by protestować przeciw mądremu uciskowi, co go dopiero z obawy socyalizmu zwolniono, podniosły się trzy osoby by działać: Władza, Kościół i Francya. Osoby te mówią mało, ale każde ich słowo więcéj znaczy, niż najpiękniejsze mowy parlamentarne, zaś ich działanie czuć się daje z jednego końca świata na drugi. Co będzie jutro? To wie tylko Pan Bóg. Aż do chwili obecnéj scena jest zbyt dobrze zajęta, byśmy mogli żałować szacownych talentów odesłanych przez tych wielkich aktorów za kulisy.

P. de Montalembert przypisuje rządowi parlamentarnemu wszystkie zdobycze kościoła od początku stulecia — jest to wielkie urojenie, któremu mimowolnie wydawca książki zaprzeczył, drukując na okladce tytuły piętnastu przynajmniéj mów p. de Montalembert, powiedzianych, by się upomnieć o wolności religijne, jakich nie mieliśmy i jakich nam rząd parlamentarny nie przyznał, a jeźli przyznał, to *in extremis* i ze strachu.

Dziś my katolicy nie mamy do walczenia tak jak mieliśmy do walczenia pierwéj, a nie powinniśmy życzyć sobie by znów walka nastała. Idzież za tém że wyrzekamy się wszelkiéj woli walczenia kiedykolwiek? Tegośmy nie powiedzieli i nigdy nie powiemy.... Niedługo się pokaże co o dzisiejszym stanie rzeczy trzymać trzeba. Albo to co uważamy za piękny początek, będzie miało piękne następstwa, a wtedy podziękujemy Bogu, że dał swemu kościołowi wolność z pokojem, co jeszcze więcéj warte jak wolność z wojną, choć nasze służby na znaczeniu wówczas tracą; albo po dobrych początkach przyjdą złe następstwa, a wtedy p. de Montalembert ujrzy nas zaraz pod swojemi rozkazami. Jeźli kościół pozostanie wolny, on sam nie będzie mógł zachować niechęci przeciw rządowi zapewniającemu tę wolność, źródło i rękojmię innych, to jest tych, które chrześcianie kochać powinni. Jeźli zaś kościół straci wolność, czy myśli, że są jakie więzy dosyć mocne by nas przykuć do ręki krępującéj matkę naszą? Pomimo wszystkich swoich obaw p. de Montalembert nie zwątpił jeszcze o przyszłości; wszystkie nasze urojenia, jeźli jakie mamy, nie zaślepiają nas do tyla byśmy niebezpieczeństw nie widzieli. Nie mamy powołania za ludzi zaręczać, nie odpowiadamy za nikogo. Co się tyczy wypadków, Bóg jeden wie co nastąpi. Dziś czasy nam się wydają pomyślnemi, niedługo mogą nastać chwile trudne i szkaradne.

Dostojny pisarz chciałby, abyśmy w przewidzeniu złych czasów, teraz już przyjęli pewne pozory liberalizmu, niby odcień nieukontentowania i grzecznéj opozycyi, nie bardzo strasznéj, ale dającéj nam prawo do bratania się ze wszystkiemi wolnościami wtedy, kiedy wszystkie wolności znowu wolności kościoła zagrożą. Rada podobna nie jest ani dosyć rozważna, ani dosyć godna. Jakto mamy się narażać na wzgardę władzy, pozwalając so-

bie bezsilnéj opozycyi, a na jéj podejrzenie i gniewy robiąc opozycyę bez powodu. I to w jakim celu? Jedynie by kiedyś zasiąść między zwycięzcami, którzy będą bardzo łaskawi i których wspaniałomyślnymi nazwiemy, jeźli nam zapewnią choć część swobody posiadanéj przez nas całkowicie pod rządem zwyciężonym! Mamy pochlebiać przyszłemu nieprzyjacielowi, kosztem obecnego przyjaciela, który dotąd nic nie żądał od kościoła, jeno usług dla ludu i modlitw dla siebie! Nie podobna. Jeźli p. de Montalembert chce by katolicy w obec wszystkich, liberalistów czy nie, godność zachowali, niechaj im nie radzi wyskoków opozycyjnych, coby się nie dały usprawiedliwić, coby miały pozór nieszczerości i co nie mogą się zastawić ani przykładem biskupów, ani przykładem Ojca ś.

Po ludziach których Opatrzność na czele kraju postawiła, nikomuśmy goręcéj nie życzyli przymiotów zapewniających trwały wpływ i prawdziwą chwałę, jak p. de Montalembert. Bylibyśmy chcieli widzieć u niego roztropność równą jego odwadze, umiarkowanie nieustępujące w sile zapałowi, wyrzeczenie się siebie tak wysokie, jak jego myśli... Czemuż wystąpił jako przeciwnik władzy, na którą kościół skarżyć się nie może. Trzeba mu było pozostać spokojnym widzem, widzem przychylnym, nieofiarującym swoich usług, zawsze gotowym dać dobrą radę.

Inaczéj zrobił, szczerze tego żałujemy, nie mamy przecież prawa ganić jego postępków; nawzajem i on nie ma prawa ganić ludzi, co w skromnym zakresie, a nie mając pobudek osobistych, drogą, jaką im sumienie wskazało, postępują......

Jakaż jest nasza polityka? Oto staramy się nie być nieprzyjaciołmi władzy, dopóki władza kościół w pokoju zostawia, a skoro się nim opiekuje nie być niewdzięcznymi. Nie mieliśmy innéj polityki w przeszłości, innéj w przyszłości mieć nie będziemy. Kolorami jakiegobądź stronnictwa nie pociągniemy naszéj chorągwi....

Teraz podamy wyjątki z artykułów p. Veuillot mających napis *wolność pod absolutyzmem.* Oto co mówi:

Francya przed r. 1789. była monarchią absolutną. Przeszkadzałoż to istnieniu wolności dość obszernéj, a przynajmniéj dostatecznéj? P. de Montalembert nie rozróżniając zgoła między władzą absolutną a despotyczną i samowolną, myśli że tak. My mniemamy przeciwnie.

W oczach p. de Montalembert wszystko znika przed świetnością ery lipcowéj. Za Ludwika Filipa istniały wedle niego pokój, ład, wolność, pomyślność, tak że kościół powinien był życzyć sobie przedłużenia owych dni szczęśliwych. Za Ludwika XIV. widzi tylko despotyzm i ucisk kościoła, prawie socyalizm. P. de Montalembert za nadto przyzwyczaił się pojęcie wolności politycznej z pojęciem konstytucyi, a konstytucyę z mównicą wiązać i dla tego tak łatwo wierzy kłamstwom rewolucyjnym i przesądom parlamentarnym... Wolność jednak istniała za starego porządku... Wiemy wszystko co się da powiedzieć o nadużyciach władzy, o dumie możnych, o nędzy ludu w owéj epoce. Wszelako złe, jakie się pojawiło w chwilach największéj wolności, przynajmniéj równoważy tamte niedostatki.... Dawna konstytucya córka chrześciaństwa, zrodzona razem z Francyą i z monarchią i w miarę wzrostu jednéj i drugiéj rozwinięta, mogła je obie zbawić, gdyby słaby król, który razem z nią zginął, był się chwycił środków jakie mu podawała, by rząd swój naprawić i rozbroić swoich nieprzyjaciół. Ona nie była, jak nasze dzisiejsze konstytucye, wązką kładką rzuconą na przepaści między władzą a wolnością. Dość silna by wytrzymać wszystkie wstrząśnienia i dać przepłynąć wszystkim potokom, pozwalała wolności rozprzestrzeniać się inaczéj jak przez anarchię, a władzy inaczéj się bronić jak przez dyktaturę.

Kościół miał wielekroć trudne próby do przebycia. Prawda, ale zamiast coby o to konstytucyą polityczną obwiniać należało, trzeba przyznać, że ona go od cięższych jeszcze prób zasłoniła. Kościół w tym lub owym kraju nie żyje, nie upada, ani nie zmartwychwstaje za pośrednictwem krajowych instytucyi. Zależy to od sposobu w jaki sam zachowuje powszechną konstytucyę kościelną. Kościół cierpiał u nas z powodu zepsucia obyczajów, zazdrosnéj niechęci sądownictwa i zbrodniczéj nienawiści literatów. Konstytucya polityczna w niczém się do tych cierpień i do tych niebezpieczeństw nie przykładała: ona przeciwnie zapewniała kościołowi jak najobronniejsze w obec tego wszystkiego stanowisko. Konstytucya nie rozwolniała obyczajów (niestety zepsucie rozciągało się i do duchowieństwa), nie poduszczała sądów, nie podawała religii i księży na szyderstwa pisarków; nadewszystko nie przeszkadzała duchowieństwu zreformować naukę swoją i obyczaje. Takie rzeczy uchodzą tylko konstytucyom parlamentarnym. W konstytucyi monarchicznéj duchowieństwo było pierwszym stanem państwa, bogatym, potężnym, niepodległym, jeźliby żądało, popularnym ze wszystkiemi środkami stanie się jeszcze popolarniejszym. By się uchylić od niewoli dworskiéj i parlamentarskiéj nie miało nic innego do zrobienia, jak słuchać papieża. Nieszczęściem przemogła obojętność, przemogły maksymy gallikańskie.

Dawna konstytucya nie była spisana, alež konstytucye pisane ulegają zmianom a nawet podarciu. Pod jéj opieką lud nie znając jéj zgoła, żył spokojny, znali ją i czcili ludzie wykształceni, umiały się na nią ciała polityczne powoływać. Nikt wtedy nie myślał, aby było potrzeba mieć na rynku mównicę bezprzestannie otwartą. Mniemano, że wielkie sprawy państwa źle rozbierać w obec nieoświeconego tłumu. Nie chciano ani mówcom pokusy szukania popularności, ani ludowi sposobności zapalenia się namiętnością i pokusy mięszania się do rzeczy publicznych nasuwać. Gdy wymagało tego dobro publiczne, występowały nie indywidua, ale całe ciała, które głos podnosiły, zdania wolno objawiały, radziły użytecznie, opierały się roztropnie. Następnie król przyjmował przełożenia, ***uniżone przełożenia.*** Podobne słowa rażą uszy nasze. A jednak kiedy te uniżone przełożenia czytamy, przekonywamy się, że zgoła na porównaniu z adresami parlamentarnemi do tronu nie tracą.

Za dawnéj monarchii duchowieństwo, to duchowieństwo z którém rewolucya dziko się obeszła, samo z siebie zajęło stanowisko, na jakiém je chce widzieć p. de Montalembert i na jakiém zawsze pozostanie. Nie rozdzielało religii od wolności. Wiadomo jaka je nagroda spotkała. Owož dla czego mordy i konfiskacya na księży spadły? Dla tego, że rewolucyoniści nigdy duchowieństwo za dosyć liberalne uważać nie będą, dopóki go nie zrewolucyonizują i nie przestaną grozić mu gilotyną, dopóki apostazyi nie popełni.

Weźmy przełożenia z r. 1788 Czyż z nich nie widać, że istnieje we Francyi konstytucya równie wolna jak rozumna? Znajdujemy tam prawo publiczne dobrze określone, władzę ograniczoną a zarazem niepodległą, zasady administracyi pozostawające prowincyom dawnym lub podbitym pewne właściwości narodowe, jako to: zwyczaje, prawa, sądownictwo a przez sądownictwo część władzy prawodawczéj. Królowie nie zaprowadzali tak jak biurokracya uciążliwéj i nieubłaganéj jednostajności. Kiedy jaką ogólną ustawę dla państwa przyjęto, rząd czekał cierpliwie, by z postępem czasu powoli w zastosowanie weszła.

Owe wolności dotykalne, wolności codzienne, których teorytyczne wolności nigdy nie zastąpią, były oddane pod czujną straż miejscowych parlamentów. Znamy złe strony tych parlamentów, ludzie co w nich rej wodzili mieli namiętności, zepsuciu podlegali, utrzymujemy przecież z p. de Bonald, że instytucya była doskonała. Te wielkie ciała składające się z o-

sób najbardziéj szanowanych w prowincyi, niepodległych majątkiem, urzędem, godnością charakteru, jako sądy przynajmniéj tyle co nasze trybunały apelacyjne, a jako zgromadzenia polityczne przynajmniéj tyle co nasze rady jeneralne były warte. W nich znajdowała każda prowincya reprezentacyą skuteczniejszą, a często tańszą niż reprezentacyą za pośrednictwem deputowanych.

Naszém zdaniem trudno widzieć coś wspanialszego jak ta całość praw, zwyczajów, przywilejów nienaruszalnych, te ciała posiadające właściwą sobie żywotność, ta nieustająca reprezentacya sprawiedliwości; to stanowisko polityczne duchowieństwa zapewniające naczelne położenie kościołowi a z nim miłości chrześciańskiéj, roztropności, sumienności, duchowi podań i zgody; ta zawsze istniejąca możność zwoływania Stanów Jeneralnych, których przyzwolenie czyniło dopiero każdy podatek słusznym. Wszystko to wynosimy, wszystkiego tego żałujemy, nie jako doskonałéj teoryi, ale jako pięknéj praktyki rządu ograniczonego, jako szlachetnego i chwalebnego kształtu monarchii konstytucyjnéj.

Teraz jeszcze podamy krótki wyjątek z artykułu umieszczonego w dzienniku *Univers* z dnia 15go listopada. [1])

Utrzymywaliśmy, *mówi autor artykułu,* że nie istnieje prawo ludzkie i że prawo jako prawo z Boga idzie. Założenie nasze uzupełnia się teoryą obowiązków. Jeżeli człowiek niema praw do wypełniania, ma obowiązki którym służyć musi. Społeczeństwo opiera się na rozległéj hierarchii obowiązków, każdemu członkowi nałożonych. Nie idzie zatém, żeby świat miał być zostawiony tyranii i przypadkowi. Nasze prawo tkwi w obowiązku innych względem nas. Nie chodzi zgoła o przemazanie wyrazu *prawo,* nie utrzymujemy żeby ludzkość źle robiła tego wyrazu używając, ale mniemamy że to tylko sposób mówienia i nic więcéj. Pojęcie prawa przedstawia charakter osobisty, protestancki i rewolucyjny. Wszystkie rewolucye, wszystkie bunty na prawa się powołują. Wzięte w oderwaniu prawo, jeśli nie jest wątpliwe, przynajmniéj z trudnością rozpoznać się daje. Téj trudności nie przedstawia pojęcie obowiązku wypływające swobodnie z religii chrześciańskiéj. Massillon mówił: Królowie są dla ludów a nie ludy dla królów. Władza w rozumieniu kościoła obowiązek raczéj jak prawo stanowi. Z przyrody swojéj prawo przypuszcza dowolność, sumień nie wiąże. Obowiązek nakazuje posłuszeństwo. Można się wyrzec prawa, obowiązku wyrzec się niepodobna. Oparte na prawie towarzystwo będzie się zawsze chwiało, bo w prawie jest coś niepewnego, coś zależnego od woli naszéj. Postępowanie władzy ma odmienny charakter, stosownie do tego, czy władza przypisuje sobie prawo osobiste a wyłączne, czy téż swój urząd chce uważać jako obowiązek, z pod którego nie można się wyłamać, jako posłannictwo, którego odpowiedzialność przyjąć trzeba.

Wola boża ogłoszona z góry Sinai żadnego prawa wyraźnego człowiekowi nie udziela. Zapowiada jedynie powinności i te wystarczają, by ład w towarzystwie zaprowadzić. Porządek religijny, władza rodzicielska, uszanowanie dla życia i dla własności występują tam w kształcie obowiązków. Wszystkie zależności towarzyskie w uczuciu obowiązku niesłychaną siłę czerpią. Nikt nie wytłómaczy rodziny za pośrednictwem pojęcia o prawie, które zawsze jakiś antagonizm przypuszcza. To całość obowiązków zlewających się w jedno, by dążyć do wspólnego celu. Ojciec ma nie prawo ale obowiązek rozkazywać. Wychowuje swoje dzieci na zasadzie obowiązku. Owoż dla czego godziwa jest wolność wychowania. Katolicy upomi-

[1]) Artykuł jest podpisany przez p. Coquille. Nam się wydaje że p Donose Cortes przyłożył się do niego choć w części.

nając się o nią, żądali jedynie wolności wypełnienia jednéj ze swoich najgwałtowniejszych powinności. W téj kwestyi nie wolno im było ustąpień przeciwnikom robić. Prawo przeobrażone w obowiązek nabywa wyższéj sankcyi, bo idzie pod straż sumienia. Ileż to rewolucyi byłoby się uniknęło, gdyby rządy więcéj były o obowiązkach swoich jak o prawach swoich myślały? Ludwik XVI ustąpił jedno po drugiém wszystkich praw korony. Gdyby był wiedział, że przywileje królewskie nie były jego własnością, ale własnością ludu, nie byłby ich poświęcił. Błędy Ludwika XIV poszły z przesadzonego uczucia prawa. Opierając się na wyłącznéj zasadzie prawa, królowie francuzcy usunęli się wprawdzie z pod kontroli, ale zarazem pozbawili się opieki, jaka się potém bardzo dla nich potrzebna w dniach słabości pokazała.

Pojęcie obowiązku pomoże nam do rozróżnienia wolności dobrych od wolności fałszywych, zaś bezpieczeństwo i honor ludów znajdą silniejsze rękojmie w nałożonych wedle systematu naszego obowiązkach, jak w prawach, w które je przeciwny systemat zbroi. Próżno szukamy słabéj lub niebezpiecznéj strony naszych wyobrażeń. Gdybyśmy obowiązki jednéj tylko stronie rodzaju ludzkiego naznaczali, możnaby nas słusznie pomówić, że się nachylamy ku tyranii. Skoro obowiązki są te same dla wszystkich, nic równowagi, harmonii i wolności na świecie nie naraża. Damy najwyższe określenie wolności, kiedy powiemy, że jest to swoboda w pełnieniu powinności.

Blisko rzeczy rozbierając, przekonać się łatwo, że pojęcie prawa prędkoby do absolutyzmu doprowadziło. W Rzymie wola ludu stwarzała prawo. Skoro cesarz od ludu władzę prawodawczą przejął, prawo od jego woli zależném się zrobiło. U narodów chrześciańskich pojęcie obowiązku usuwa możność tyranii. Tam panujący nie jest prawem, ale jest wykonawcą prawa. Jego powołaniem szanować prawo i przestrzegać by je drudzy szanowali. A skoro takie wyobrażenia przemagają w jakim narodzie, naród ten jest prawdziwie wolnym....

Stawiając w miejsce teoryi praw, teoryę obowiązków, nie uniżamy człowieka jeno go podnosimy, nie zmniejszamy jego wolności, owszém czynimy ją nienaruszoną.

Teoryę praw i obowiązków przedstawił dziennik pięknie, choć nie rozstrzygając trudności zastosowania; wiele też słusznych rzeczy na pochwałę dawnego porządku we Francyi w artykułach p. Veuillot znajdujemy; z drugiéj strony *Univers* nie tłómaczy nam zaspakajająco powodów swego zaufania do dzisiejszego cesarstwa, równie jak nie wyrzeka, który kształt polityczny uważa za najstosowniejszy w czasach naszych.[1])

---

[1]) Obrona dziennika *Univers* gorżka jest i z trudnością powstrzymującą się gwałtowność pokazuje. Daleko lepiéj jak sam za sobą, przemawia za nim ksiądz Rendu biskup z Annecy w Sabaudyi w liście otwartym do p. de Montalembert (*Univers* z 1 stycznia 1853).

„*Univers* panie hrabio, powiada ks. Rendo, to sprawił w dziennikarstwie, czegoś „sam na mównicy parlamentu dokonał. Poruszył chłodnych, dodał odwagi nieśmia„łym, gorliwych podparł. Równie jak pan przyłożył rękę do zaprowadzenia we Fran„cyi jakiegoś porządku między obrońcami religii, ztąd nienawiści i gniewy które go „ścigają... Smiałe a energiczne zdanie tego pisma narobilo mu nieprzyjaciół nawet „między ludźmi służącymi w tych samych szeregach...

„Zarzucają mu że się zmienia w polityce. Cóż to znaczy? Opinie są rzeczą ludzką, „ale religia, która stanowi podstawę jego rozumowań jest rzeczą boską. Tu się nie„zawodnie nie zmieni. Zostawmy mu niepodległość we wszystkiém co się tyczy ro„zumu, zostawmy mu energią słowa co czasem wpada w szorstkość i nieprzezorną „otwartość, co ją gwałtownością zowią. Tą drogą zdobył on sobie położenie. Inni

Zobaczmy teraz co powiada ks. biskup Dupanloup w liście pasterskim zdradzającym jakieś galikańskie zachcenia, w ogóle przecież odbijającym znamienicie od wielkiej liczby podobnychże dokumentów z okoliczności ogłoszenia cesarstwa rozesłanych.

Po pięćdziesięciu latach prób rozmaitych, *są słowa okólnika,* otworzyła się nakoniec dla kościoła szczęśliwsza era, era w któréj jak się zdaje swobody swoje odzyska.

Wszystko od lat nie wielu obiecuje kościołowi utrzymanie albo powrót świętéj wolności dobra, prawdy, poświęcenia duchownego, miłości względem wszystkich, doskonałości ewangeliczném i zarządu spirytualnego, z czego się składa skarb, jaki nigdy się nie otwierał jeno dla szczęścia ludzi i krajów.

Wiecie bracia najdrożsi, że swobody kościoła nie są z liczby tych, co zakłócają narody, umysły a serca dzieląc. Szereg ich obejmuje:

Wolność ołtarza i ofiary, to jest wolność składania Bogu czci najwyższéj i jawnéj, która mu się należy.

Wolność słowa ewangelicznego, to jest wolność nauczania ludzi prawdy i cnoty.

Wolność świętéj hierarchii, to jest wolność soborów i zjazdów biskupich, wolność koniecznych stosunków każdego biskupa z najwyższą głową kościoła.

„woleliby łagodniejsze sposoby. Cóżkolwiekbądź chodzi o to, nie żeby iść jedną „ścieżką, ale żeby się u jednego celu znaleźć. Nieraz już panie hrabio broniłeś tego „pisma, przystało ci bronić go jeszcze, bronić go zawsze. Religijne przekonania są „wam wspólne. Pod jedne zaciągnięci sztandary za tę samą sprawę walczycie. Pan „masz w ręku błyszczącą szablę żołnierza wysokiéj oświaty, on prostą pikę kozacką; „niemniéj oba śmiertelne rany błędowi zadajecie. Nam, co się dla was o zwycięztwo „modlimy, niechaj wolno będzie wołać z daleka: *zgoda a naprzód.*"

Ks. Rendu należy do stronników wolnych urządzeń — w tym duchu napisał dziełko, które jak widzieliśmy p. de Montalembert przytacza; że jednak ma do walczenia z bezbożném parlamentarstwem turyńskjém, do rządu reprezentacyjnego wielkiego wstrętu nabrał. W liście swoim z jednéj strony nieszczędzi książce p. de Montalembert pochwał a jemu samemu przyjaznych oświadczeń, z drugiéj żywo się oświadcza przeciw instytucyom reprezentacyjnym. Powołuje się, by zdanie swoje podeprzeć, na doświadczenia Francyi, Belgii a nadewszystko Piemontu. Co o Piemoncie mówi jest ważne i cały ten ustęp w kronice naszéj religijnéj powtórzymy. Na inne zarzuty p. de Montalembert zawczasu odpowiedział.

Stanowisko ks. Rendu da poznać następujące przytoczenie:

„Po drugim grudnia można było myśleć na chwilę, że wolność wróci do Francyi, „ukochanego swojego kraju. Zdawało się że Ludwik Napoleon dzieła tego dokona. „Niestety, próżno wzrok wytężamy, nic się na horyzoncie politycznym nie zjawia. „Kilka promieni wolności religijnéj obudziło nadzieje ludzi pobożnych i rozjaśniły się „ich czoła, na widok tego kawałka błękitu śród chmur burzą ciężarnych. Mamyż ich „za to ganić? Być może, że wolą teraźniejszość jak przeszłość, od któréj nic się „dla wolności nie spodziewali. Pewnego w téj chwili nic niema, ale wszystko jest „możebne a nawet podobne.

„Panujący jednę tajemnicę znać powinni. Wypowiemy ją w kilku wyrazach. „Wolność przyznana arystokracyi jest mieczem obosiecznym. Z jednéj strony miecz „ten zabija wolność ludu, z drugiéj wolność rządu. Wolność dana ludowi, zapewnia „władzy wziętość, obudza przywiązanie i trwałość rządu ustala. Wszystko więc na tém „zależy, żeby powściągnąć wolności klasy arystokratycznéj, nie obalając ich wcale, a rozszerzać ciągle wolność ludu. Owoż cała sztuka rządzenia. Ludwik Napoleon wy„pełnił pierwszą połowę naszego programatu, lud francuzki czeka wypełnienia drugiéj."

Z powodu listu ks. Rendu pisze *Univers*:

„Wolność ks. biskupa z Annecy jest naszą wolnością. Tam mieścimy swobodę „gdzie i on ją mieści. Takiéj życzyliśmy sobie, o takąśmy się upominali. Chcemy „wolności skutecznéj a praktycznéj, ludowéj nie mieszczańskiéj albo ulicznéj, cywil„néj nie politycznéj, chrześciańskiéj nie rozumowéj. Rząd któryby ją zaprowadził, „może być pewnym naszéj miłości."

Wolność dążenia do doskonałości chrześciańskiéj i stowarzyszania się w tym celu, to jest wolność czystości, ubóstwa i posłuszeństwa w zgromadzeniach zakonnych.

Wolność zbierania się w myśli dobroczynnéj, by nieść pomoc nieszczęśliwym i ubogim, to jest wolność jałmużny i stowarzyszeń miłosiernych.

W końcu wielka a płodna wolność nauczania i wychowywania.

Zaprawdę są to godziwe i święte wolności; nie można ich wzbronić inaczéj jak tyranizując sumienie chrześciańskie, w tém co ono ma najwznioślejszego, najszlachetniejszego, najswobodniejszego i najczystszego.

A jednak, mówimy to bez goryczy, przez lat pięćdziesiąt i więcéj jedne nam z nich wydzierano, drugich zaprzeczano; próżnośmy się o nie jeszcze temu lat cztery dopominali.

Dzięki Opatrzności Bożéj, dzięki wytrwałéj i nieustraszonéj gorliwości obrońców kościoła, dzięki zdrowszemu pojęciu rzeczy u tych którzy w ostatnich czasach mieli sobie powierzone rządy Francyi; dziś jesteśmy w posiadaniu znacznéj części świętych praw składających wolność kościoła, świętą wolność chrześciańską.

Chcę teraz uwielbienie wasze obudzić dla spokojnego, godnego, silnego i łagodnego sposobu, w jaki kościół nieprzestał chroniąc co jest, upominać się o to, co z wolności o któréj mowa brakuje.

W czasach kiedy bezbożność rewolucyjna straszny terroryzm nad ojczyzną naszą zaprowadzała, kościół francuzki by się pod jarzmo przemocy nie schylić, bez wahania się poświęcił starożytne swoje dziedzictwo i wszystkie skarby w jakie go pobożność wiernych dziatek opatrzyła. Pozwolił by przewrócono ołtarze, by wymordowano kwiat świętego pokolenia, bo chciał koniecznie zachować starożytną dyscyplinę i nietykalne prawa wolności ewangelicznéj: wtedy to odnawiając najpiękniejsze podania czasów dawnych, swoim księżom o sercu złotém dał w ręce krzyże drewniane, szklanne kielichy i to wystarczyło aby raz jeszcze uratować ogień święty, aby dusze obronić......

Zaiste był to piękny widok, kiedy pod koniec XVIII. wieku, stu trzydziestu biskupów i pięćdziesiąt tysięcy księży, podniosło się na głos następcy Piotra, by się skupić koło niego w dzień niebezpieczeństwa i wspólnemi siłami chwiejącą się arkę świętą podpierając, otoczyć ją potrójnym rzędem wyznawców i męczenników.

Nigdy kościół francuzki nie zmienił tego silnego a godnego postępowania. Tak działał za cesarstwa, które go podniosło niewyzwalając i spętało prawem organiczném zaprowadzoném pomimo skarg głośnych i sprawiedliwych przełożeń Ojca ś. i biskupów, które oprócz tego skończyło na prześladowaniu poświęconej osoby papieża.

Kościół w téj epoce nie pokazał się niewdzięcznym; z głębi serca błogosławił ręce potężnéj co mu pomogła ółtarze odbudować: dopiero kiedy dobroczyńca porwany fatalnym wirem namiętności ludzkich, w nieprzyjaciela się przemienił, kiedy ustąpienia władzy duchownéj zaczęły obelgi jeno wywoływać, cierpliwość kościoła i wikarego Jezusa Chrystusa wyczerpać się musiała.

Smutne wspomnienia, które nie jest w naszéj mocy z pamięci ludzkiéj wymazać! Ztémwszystkiém nagrodziły w części za owe czyny, ostatnie wyzwolenie Rzymu i chwalebne usługi ciągle teraz Ojcu wiernych a przez niego całemu chrześciaństwu świadczone.

Cóżkolwiekbądź Pan Bóg miał wówczas swoje zamiary. Chciał światu pokazać wielkie a pamiętne widowisko.

Biskupi Francyi nieodrodni od chwały ojców powstali z okrzykiem apostolskim: ***Obedire oportet Deo magis quam hominibus.*** Młot co był skruszył tyle tronów pękł o kamień niebiańskiéj słodyczy anielskiego starca na

Watykanie. I w lat niewiele miasto święte otworzyło raz jeszcze przytułek upadłym wielkościom ludzkim....

Tak samo działał kościół i za restauracyi, która mimo najlepszéj dla niego woli ustępując potężnemu duchowi wieku została zwolna popchnięta w nieprzyjazne szeregi.

Jakże się stało, że ci pobożni królowie których kochaliśmy i którzy nas kochali, nic nam dać niezdołali jeno chwilami opiekę co nas na niechęci naraziła? Oto, chociaż wspaniałomyślni względem kościoła, nieśmieli mu oni przyznać jedynéj rzeczy która nigdy nienaraża, tą rzeczą wolność.

Wieleż lat musieliśmy znosić w smutku opłakane następstwa fałszywego położenia i nieszczęsnych faworów?

Skoro potém zwyciężyła rewolucya podniesiona równie przeciw ółtarzowi jak i przeciw tronowi, trzeba było długiego ciągu usiłowań i poświęceń, by z nas zrzucić gniotący ciężar potwarzy i gniewów obłąkanéj opinii publicznéj.

Miał słuszność Fenelon, który powiedział właśnie w wieku Ludwika XIV: *Choć się często zdaje że kościół bardzo potrzebuje władz ludzkich, więcéj się mu jeszcze przyda zachowanie własnéj wolności. Jakiéjkolwiek pomocy udzielają mu nawet najlepsi monarchowie, zawsze musi się obawiać by się rychło pomoc w jarzmo nie zmieniła.* Z wolnością nie istnieje podobne niebezpieczeństwo.

Wolność kościoła to jego natura, jego działalność czysta a nieodzowna, jego życie.

Wolność kościoła to jak pisze Fenelon: *urząd zlecony oblubienicy, bezpośrednio przez samego oblubieńca;* urząd ten kościół musi sprawować z zupełną od ludzi niepodległością.

Wolność kościoła to nakaz zawarty w najprostszém a najsilniejszém słowie: *Docete omnes gentes!* i to zarazem ubezpieczenie rodzące się z wyrazów: *Euntes ergo: Ecce ego vobiscum sum.* Rzeczywiście obok rozkazu widzimy rękojmię niewzruszoną, że nigdy ta wolność nieprzejdzie w nieład jaki o zgubę wolności ludzkie przyprawia: *Jam z wami aż do skończenia świata* mówi Pan.

Kiedy się zastanawiam jaki jest wysoki początek wolności kościelnej i jaka jéj nieprzeparta konieczność, pojmuję czemu przez wszystkie wieki upominali się o tę świętą wolność biskupi, pisali za nią doktorowie, umierali męczennicy, modlili się święci.

Téj wolności bronił od prześladowców Ś. Cyprian kiedy mówił: *Biskup który w jednéj ręce trzyma ewangelią, w drugiej krzyż, może zostać zabity, nie może być zwyciężony.* (Occidi potest, vinci non potest).

Téj wolności bronił, w obec opieki nieco uciskającéj książąt, Ś. Augustyn kiedy pisał: *Nie daj Boże aby kościół spadł tak nisko, by was miał za podobny okup potrzebować.*

Téj wolności bronił jeszcze Ś. Ambroży, kiedy oświadczał Teodozyuszowi: *Jesteś wewnątrz kościoła, nad kościołem nie jesteś.*

Wszystkie wieki chrześciańskie tak samo czuły, wszystkie odzywały się do władz ludzkich z Tertulianem: *Nie ma się nas czego obawiać, alež i my się nie obawiamy: tylko nas zostawcie wolnymi a przeciw P. Bogu nie walczcie.*

Wielcy biskupi Francyi nie stanęli niżéj tych wspaniałomyślnych przykładów... Kościół francuzki zawsze zajmował znamienite stanowisko.

W niedawnych czasach któż nie uczcił roztropnych, silnych a zgodnych przełożeń episkopatu francuzkiego, zarazem spokojnéj powagi, z jaką to czcigodne ciało opierało się władzy, która powstawszy z rozruchu i przez rewolucyą, a nie mogąc się otrząść z wymagań swego pochodzenia, pomi-

mo rad roztropnych i świętych wpływów, nie zdołała przyznać kościołowi téj żywotnéj wolności coby była może i ją zbawiła.

Ale P. Bóg chciał i tu moc swoję pokazać: jeszcze raz wstrząśnienia świata miały ułatwić przywrócenie koniecznéj wolności kościoła. Nagle zagrzmiało pod niebem pogodném i zaczęła się zewsząd zbierać burza tak czarna że umysły struchlały. Zdawało się że religia zostanie zagarnięta w to wielkie rozbicie, które wszystkiemu groziło. Najodważniejsi z pomiędzy synów kościoła przewidywali już powrót okropnych prześladowań. Tymczasem złe minęło. P. Bóg czuwał nad kosciołem i do celów przez siebie przejrzanych namiętności tudzież roboty ludzkie kierował. Wielkie powstało zadziwienie kiedy ujrzano kościół szanowany śród ogólnego lekceważenia wszech rzeczy i tę ogromną liczbę ludzi zwracających się do niego jako do boskiéj a miłościwéj potęgi, potęgi któréj Opatrzność przeznaczyła z jednéj strony lepszą cząstkę w złych czasach, z drugiéj wpływ dobroczynny i naprawiający śród najrozmaitszych losów ludzkości....

Dusze przerażone ruinami życia i groźbami śmierci przyzywały usilnie ewangelii... Wszędzie ją ogłaszano, wszędzie jéj cześć oddawano. Niektórzy czynili to nie wiedząc dobrze co czynią, byli tacy co z nią łączyli zuchwale lub zbrodnicze wykłady, wszyscy jednak przeczuwali że tam jest główny warunek istnienia spółeczeństw.

Własność, rodzina, ognisko domowe, ojcostwo, związek małżeński, wszystko co świętego i godnego uwielbień na ziemi, widziało się zagrożone; krzyżowi nikt nie groził. Śród rozbicia wielu cnót wzniosłych a starożytnych, miłość Jezusa Chrystusa nie zginęła. Zaraz w początkach zapęd rozhukanego ludu wstrzymał się z uszanowaniem u stóp postaci ukrzyżowanego Boga; późniéj znowu kiedy przyszedł dzień wielkiéj boleści narodowéj, ujrzeliśmy namiętne gniewy tłumu, topniejące na wzniosły widok pasterza dającego się z wielkoduszną prostotą na ofiarę zgodzie publicznéj błagającego Boga o pokój za wylaną krew własną i kończącego chwalebnie zgonem nieśmiertelnym.

Zapewne w czasach owych bolesnéj pamięci, my dzieci kościoła, czuliśmy łódź naszą gwałtownemi miotaną wstrząśnieniami, pozostaliśmy w niéj przecież, pełni niewzruszonego zaufania w niewidomym sterniku, który nią po falach kieruje.

Nie przeraziły nas burze, ile żeśmy ich nie szukali, a choć ciemne chmury długo przed oczyma naszemi brzeg zakrywały, wiedzieliśmy że pomimo skał sterczących szczęśliwie doń przybijemy; istotnie właśnie wtedy kiedy wichry dęły najsilniéj, rozwinęliśmy żagiel a samaż burza zagnała nas do przystani.

Wówczas to przywrócono wolność nauczania, dla zbawienia pokoleń teraźniejszych i przyszłych; wówczas stało się podobném iżby się biskupi porozumiewali między sobą i naradzali nad środkami ratunku dla świata, wówczas także raz się jeszcze dostała Francyi w podział piękna i czysta chwała pomagania Ojcu wiernych, tudzież zasłaniania swoim zwycięzkim sztandarem stolicy Piotra przeciw barbarzyńcom wieków oświeconych jak niegdyś przeciw barbarzyńcom Germanii.

Wszystko to jest wielkie i historya równie jak kościół zachowają z wdzięcznością wspomnienie śmiałego książęcia i odważnych ludzi, którzy z nim razem śród niebezpieczeństw rękę do wykonania dzieł nieśmiertelnych przyłożyli.

Tu bracia kochani nasuwa się nam wysokie a ważne spostrzeżenie. Inaczéj postępując jak władze doczesne, które zbyt często dają się upoić łaskami fortuny i zgubę sobie gotują, kościół umiał zawsze w niezmiennéj swojéj roztropności, powodzeniem swojém kierować. Dając w téj mierze

nauki innym, przestrzega on sam siebie; łaski monarchów rownie jak okrzyki ludów nie znajdują go ani niewdzięcznym, ani zbyt dufającym.

Kościół wie że wjazd tryumfalny do Jeruzalem, krótka chwila od Kalwaryi przedziela i że po *Hosanna filio David* rychło nieraz straszne *crucifigatur* następuje.

Z tych wielkich pamiątek wynosi on przekonanie iż pomyślności są także probami zsyłanemi mu przez nieśmiertelnego oblubieńca, probami wymagającemi cnót szczególnych, tak jak ich wymagają przeciwności; zaś kiedy rzuca oczyma na swoje chwalebne dzieje, widzi że nie mniéj było zaszczytu zachować wolność bez skazy i godność nieporuszoną za Konstantyna opiekuna i dobrodzieja, jak pokazać się bohaterskim i niezwyciężonym za prześladowcy Dyoklecyana.

Dziś kościół święty jest ten sam co zawsze.

Widzą ludzie jak śród ruchów stronnictw, omylonych nadziei, bolesnych zawodów i wszystkiego co zgiełkliwe na scenie politycznéj, idąc naprzod trzyma się on poważnéj drogi swoich przeznaczeń, które nie są z tego świata; jak wszystkim się udziela a nikomu się nie oddaje i jak kluczów nieba używa jedynie dla zbawienia dusz i dla ratunku zagrożonego w królestwach ziemskich porządku.

Z jednego końca świata katolickiego na drugi, kościół nie zaskąpił swoich nauk żadnéj władzy, swoich modlitw nikomu kto ich potrzebował. Miał pociechę dla wszystkich porażek, opatrzenie dla wszystkich ran, zachęcenie dla wszelkiéj skruchy.

Dzisiaj kiedy porządek towarzyski wraca i na silnéj sadowi się podstawie, kiedy panowanie władzy przeszkód już nie napotyka, zasada postępowania kościoła zostaje ta sama. Wolności swojéj w zastaw on nie daje. Jeśli przyjmuje ofiarowaną sobie pomoc na drodze na któréj podobna z wyrzeczeniem się osobistém a w szczerości urzędu kapłańskiego pracować około ożywienia wiary, naprawy obyczajów, przywrócenia pobożności chrześciańskiéj i pielęgnowania nędzy, niczém nie zasługuje na niesprawiedliwy zarzut, jakoby zgadzając się na polityczne fakta i modlitw władzy nieodmawiając, dawał się powodować ziemskiemi widokami.

Jakiekolwiek wypadki zajdą, jego dziełem jest dzieło boże, jedyne dzieło które ma sobie na ziemi powierzone. Próżnoby od niego czego innego żądać; odpowiedziałby że od swego wyłącznego powołania nie odstąpi. Co do nas mamy nadzieję że mu będzie dozwolone świętego i chwalebnego posłannictwa w pokoju a wolności dopełniać. W téj mierze są nam rękojmią przed Bogiem i przed ludźmi, silne zaręczenia często a uroczyście powtarzane przez nowego władzcę Francyi.

Boże broń by wówczas gdy się kościół uiszcza z obowiązku miłosierdzia tudzież modlitwy, i słuchając nakazu Ś. Pawła wstawia się do Boga *pro omnibus qui in sublimitate sunt* a to w celu abyśmy *tranquillam vitam agamus in omni pietate et castitate*, by wówczas mówię, zdawało się że kościół podaje rękę namiętnościom, pochlebia jednemu stronnictwu, rzuca obelgę nieszczęściu.

Nie. Modlitwy jakie kościół w szczerości przed Boga zanosi, nie powinny zasmucać jeno nieprzyjaciół dobra publicznego.

Zapewne zdawać się może żeśmy od lat pięciudziesiąt wiele modlitw i życzen sprzecznych na pozór słyszeli. Niedawno jeszcze w jednym i tym samym dniu odprawiano mszę żałobną i śpiewano dziękczynne *Te Deum.* Zaiste smutny to obraz kolei ludzkich, o których wyrzekł Duch Ś.: *Extrema gaudii luctus occupat!*

Wszelako w życzeniach i modlitwach kościół o jednę tylko rzecz błagał, o pokój przy ładzie i o szczerą pobożność: *Tranquillam vitam in omni pietate et castitate.*

We wszystkich zdarzeniach które nie przychodzą jeno z dopuszczenia Opatrzności, a śród których kościół się modli, istnieją widoczne powody do modlitwy. Przemiany świata Bóg naznacza: *człowiek się miota, P. Bóg go wiedzie.* A kiedy śród rozkołysanych namiętności kościół i dzieci jego padają na twarz by się modlić, jest zawsze prosić o co, o dobro możebne, o nadzieję godziwą, o łaski przemoźne.

I któż mógłby wyrzucać kościołowi, że wielbi Boga i uroczyste składa mu dzięki, w obec cudownych spraw jakie ręka Opatrzności z głębi wypadków ludzkich wyprowadza? Któż mógłby go ganić za to, że on co stoi wyżéj niż wszelka polityka ludzka, modli się za świat do świata nie należąc i stara się otrzymać dla mieszkańców ziemi ów pokój jakiego świat nie daje ani téż odejmuje a jaki stanowi najwyższą spokojność w porządku: *Pax tranquillitas ordinis?*

Któż mógłby mieć za złe, że kościół modli się za tych w których ręku złożona jest owa siła tajemnicza co od Boga pochodzi, a to aby się stali godnemi narzędziami Opatrzności? Któż mógłby mu wymawiać że błaga dla nich o roztropność w zwycięztwie, o umiarkowanie w potędze, o sprawiedliwość w zamiarach, o przezorność w radach i o cnoty chrześciańskie bez których oni rządzący źle rządzą i gubią siebie?

A nawet kiedy kościół zgadzał się na udzielenie błogosławieństwa przemijającym symbolom, burzliwéj wolności, która znikła a mogła tyle złego zrobić, któż będzie śmiał powiedzieć, że jego błogosławieństwo i modły przebrzmiały napróżno, że się nie przyczyniły do odwrócenia burzy? Któż będzie śmiał powiedzieć, że ten lud potężny, tak straszny wówczas nie został przez miłosierną jego słodycz w gniewie swoim pohamowany?

Zaiste jeśli Francya w zapomnieniu niezgód dawnych, w jedności co zbyt prędko przeminęła, jedności wszystkich uczciwych ludzi i wszystkich stronnictw, dostąpiła téj nieśmiertelnéj chwały, że uratowała sama siebie, toć w wielkiéj mierze zawdzięcza to kościołowi francuzkiemu, który raz jeszcze pokazał światu, że ani rewolucye, ani spokojny bieg czasu, ani powodzenia, ani nieszczęścia, nie zdołały zerwać czternastowiekowego przymierza między narodem a oblubienicą Jezusa Chrystusa, między duchowieństwem francuzkiém a zawsze ukochaną ojczyzną. [1])

---

[1]) Inny list pasterski, list ks. de Salinis biskupa z Amiens, wydany także z okoliczności ogłoszenia cesarstwa, choć trzymając się tych samych głównych warunków, kwestyę odmiennie stawia.

Ks. de Salinis obszernie wskazuje co jest władza i jakie w obec niéj obowiązki chrześcian. Znajdujemy u niego jasny a porządny wywód zdań teologów katolickich, śmiałe wytknięcie trudności i stanowcze ich rozstrzygnienie.

Co się tyczy dzisiejszych powinności, uczony prałat powiada: „Kościół od książąt „żąda nadewszystko wolności.

„Wolność to życie kościoła Ona jest jedynym warunkiem jego sojuszu z wła„dzą, a warunkiem, z którego nic ustąpić nie można. Niepodległość kościoła stanowi „porządek boży świata przez Jezusa Chrystusa zaprowadzony.

„Mało który panujący prawdę tę rozumie. Zdawałoby się, że jest jakieś upoje„nie, jakiś szał zawracający głowę człowieka, co doszedł do szczytu potęgi i prze„szkadzający mu widzieć, że istnieją granice jego władzy, choć te granice sam Bóg „w ewangelii jasno nakreślił.

„Rozumie prawdę powyższą książę, którego Francya tylko co na tron wyniosła. „Dawno już kościół nie był tak wolnym jak dzisiaj.

„Owoż powód, dla którego chętnie a głośno przyznaje, że winien wdzięczność „temu książęciu.

„Co do nas modlimy się z całego serca za cesarza, i was wzywamy, byście się „za niego modlili. Zasłonił on niepodległość kościoła w jego naczelniku, otwierając „następcy Piotra ś. bramy miasta wieczystego zaparte przez rokosz. Zasłania ciągle „niepodległość kościoła w jego biskupach nie przeszkadzając zborów i narad naszych „Co więcéj, za niego już uznane zostały prawa, jakich nam udzielił Jezus Chrystus, „mówiąc do apostołów: ***Euntes docete.*** Prośmy przeto Boga, ażeby udzielił cesarzo-

List pasterski ks. Dupanloup wzięty przez stronników rządu jako poznaka dążeń opozycyjnych pewnéj części duchowieństwa, uderzył zwłaszcza dwoma szczegółami: przypomnieniem, że nie długo po wjeździe tryumfalnym do Jerozolimy, krzyczano tam *crucifigatur* i wyrzeczeniem, że *kościół wszystkim się udziela a nikomu się nie oddaje*. Przestroga jest zbawienna i bodaj nie przeminie bez skutku.

Podaliśmy tedy czytelnikom polskim zdania najgłówniejszych wyobrazicieli ruchu katolickiego we Francyi, ich własne wyrazy w całéj rozciągłości tłómacząc... Teraz trzeba nam jeszcze wskazać wydatnie różnice, następstwa ich widome wyłożyć i postawić szereg uwag a wniosków.

Przedewszystkiém radzibyśmy aby baczono, że między zdaniami katolików a katolików niema tych ogromnych przedziałów, tych uderzających przeciwieństw, jakie między opiniami filozoficznemi, naukowemi, literackiemi i politycznemi, na polu świeckiém panują. Jedna wiara, jeden cel wieczny, jedna miłość dla kościoła, jedna o zbawienie dusz gorliwość, tworzą między wyznawcami prawowiernéj nauki węzeł nierozerwany, zarazem wspólny punkt wyjścia we wszystkich rzeczach doczesnych. Pokazuje się to najdowodniéj, ile razy trzeba postawić zazadę, doktrynę sformułować. W codzienném postępowaniu namiętności, pociągi, słabości rozrywają ludzi religijnych między sprzeczne kierunki; skoro przyjdzie regułę oznaczyć każdy z nich długo w umyśle delikatne wymagalności sumienia waży, długo się ogląda za nauką, za tradycyą kościoła i tak się zastrzeżeniami ze wszystkich stron obwaruje, że potém ciężko dopatrzyć jakiéjkolwiek różnicy.

„wi błogosławieństw doczesnych i duchownych, jakiemi zawsze usługi oddane kościo„łowi płaci.

„Mamy silne postanowienie, wiernie monarsze temu w jego zadaniu dopomagać. „Wzywamy i was, byście mu nieśli pomoc do wypełnienia posłannictwa, jakie na „niego Opatrzność włożyła.

„Nasza pomoc i nasze modlitwy nie są targnięciem się na zamiary boże. Nie roz„strzygamy trudności, których węzeł Bóg w swoich rękach trzyma. Nie utrzymujemy „zgoła, że jesteśmy w stanie monarsze za przyszłość zaręczyć. Przyszłość należy do „Boga jedynie. Wszelako będziemy z nim pracować na zdobycie téj przyszłości, i „przyłożymy rękę do jéj ustalenia, jeśli mu ją Pan Bóg przeznaczył.

„Oskarżono duchowieństwo, że przechodząc na stronę rządu, zbyt łatwo odstą„piło sprawy wolności. Azaliż chcą od niego by nie przyjmowało wolności dla siebie „jeno pod warunkiem, że wszyscy będą mieli równe z niém swobody?

„Jest to jeden z najniesłuszniejszych zarzutów jakie kościołowi uczyniono.

„Czyż zapomnieli oskarżyciele, że kościół nie przyjmuje wolności jako daru od „władzy. Kościół od Boga wolność otrzymał. Upomina się o nię jako o prawo swoje „kiedy mu jéj zaprzeczają; bierze ją jako zwróconą własność, z tytułu sprawiedliwo„ści, kiedy mu ją przyznają. Mamyż obowiązek patrzeć, by nam nie oddawano spra„wiedliwości aż dopóki jéj inni nie otrzymają?

„Inaczéj tę rzecz uważamy i powiadamy:

„Raz, że wolność chrześcianina stanowi bez zaprzeczenia pierwszą wolność czło„wieka. Ludy u których kościół jest wolny, są wolnemi z najwznioślejszéj strony „swojego istnienia, w stosunkach z Bogiem, w świętéj sumienia dziedzinie.

„Powtóre, że swobody towarzyskie a nawet polityczne wyradzają się i wypływają „naturalnie z wolności religijnéj, równie jak z nią wszystkie giną. Ludy u których „więzy noszą kościół i sumienie, nawet zmysł wolności utracają."

Cały list pasterski znamienicie pomyślany i napisany znajduje się w dzienniku *Univers* z 21 i 22 stycznia r. 1853.

Zaiste wielka jest, piękna i obfita w błogosławieństwa ta wspólność katolicka, mająca niepożytą rękojmię w nieprzerwaném istnieniu władzy, od któréj niepodobna się odwołać i w praktyce miłości chrześciańskiéj, bez jakiéj wiara nic nie znaczy.

Różnice wszelako istnieją między katolikami w obszernym zakresie spraw wolności człowieczéj przez religią zostawionych. Znać je najdobitniéj w życiu, zwłaszcza w postępowaniu publiczném, znać także choć mniéj uderzająco w zasadniczém pojmowaniu spraw tego świata.

Równie p. Donoso Cortez jak p. Ozanam, równie p. Veuillot jak p. de Montalembert chcą zupełnéj, nieograniczonéj wolności kościoła, wolności dla dobrych w społeczeństwie pierwiastków; wszyscy oni wierzą, że byleby kościół ucisku nie doznał, godziwe swobody same się z siebie rozwiną.

Spór poczyna się dopiero, kiedy idzie o powiedzenie co dziś robić, jak w obec istniejących kształtów politycznych się zachować, gdzie w zaprowadzonych albo mogących być zaprowadzonemi instytucyach szukać podpory, z któremi stronnictwami się łączyć, jakim ludziom ufać.

Pan Donoso Cortez i *Univers* powiadają:

Chcemy wolności dla wszystkiego co dobre, co żyje i rozwija się z katolicyzmu i na drodze katolickiéj, odpychamy wolność złego, wszelkie tranzakcye z błędem, wszelkie ustąpienia systematom bezbożnym. Od pół wieku przeszło przeważają w Europie racyonalizm w pojęciach, liberalizm w układach politycznych; jednemu i drugiemu odpowiada system kart konstytucyjnych połączonych z parlamentyzmem, systemat jawnie protestancki z Anglii naśladowany; nie będzie dobrze póki ten systemat nie upadnie. Parlamentaryzm wychodzi z pojęcia praw ludzkich; praw ludzkich nie znamy, prawa ludzkie nie istnieją. *W Bogu jest prawo,ześrodkowanie wszystkich praw, w człowieku obowiązek,ześrodkowanie wszystkich obowiązków.* To co nazywacie prawem tkwi w obowiązkach innych ludzi względem nas jeśli jest godziwe, stanowi zuchwalstwo i bunt przeciw Bogu jeśli jest niegodziwe. Niechaj wszędzie prawdziwie chrześciańska teorya obowiązków zastąpi teoryę praw, a odmieni się postać świata. Pytacie się nas czego pragniemy w zastosowaniu w sferze rzeczy możebnych. Gdyby się dało, żądalibyśmy przywrócenia władzy absolutnéj królów obok przyznanego pierwszeństwa kościoła w państwie, tak jak było przed wielką rewolucyą francuzką. Że to niepodobna oświadczamy się za wszelkim układem politycznym najbardziéj do owego stanu rzeczy zbliżonym. We Francyi odrzucamy sojusz ze stronnictwem parlamentarném, które nas zawsze oszukiwało i uciskało, które w gruncie nienawidzi kościoła; znamy starych liberalistów z ich dzieł i wiemy, że ufać im nie podobna. Jesteśmy za cesarzem, który uratował społeczeństwo a kościół zasłonił i wyzwolił. Dał nam ten książę dowody, że rozumie znaczenie religii w społeczeństwie, mamy więc dobrą otuchę, że zdoła potężną swoją opieką wolną działalność katolicyzmu przeciw wolności złego zasłonić.

Pan de Montalembert ze swojéj strony utrzymuje:

Kościół na drodze wolności politycznéj odzyskał swoje prawa, na drodze wolności politycznéj albo dopominając się o nią, doszedł do dzisiejszego wielkiego znaczenia. Niechajże zostanie wiernym przymierzu zawartemu w dobréj wierze. Nie uważajmy zdarzeń tego świata ze stanowiska absolutnego *okrom w rzeczach dotyczących się praw wprost ustanowionych i objawionych przez Boga, wszelkie absolutne pojęcie jest pojęcie prawdzie przeciwne*. Gdyby się miało do czynienia ze społeczeńswem nowém a posłusznem, oczywiście żeby mu się dało ustawy jedynie na wolność dobrego pozwalające; w społeczeństwie takiém, jakie dziś istnieje, trzeba w sferze politycznéj wybierać złe mniejsze, trzeba tranzakcyi. Owoż w stanie obecnym obyczajów i instytucyi europejskich rząd reprezentacyjny wydaje mi się rzeczą najmniéj niedogodną, najsilniejsze przedstawiającą rękojmie. We Francyi rozumiem potrzebę dyktatury po tych wszystkich niesłychanych wstrząśnieniach, zgadzam się na dyktaturę do czasu; wszelako nie przestaję wierzyć w przyszłość wolności, tak jak nie przestaję wolności ufać. Ale zwróćmy uwagę na inne kraje. Wyprowadzając absolutyzm z zasad katolickich, z jednéj strony odbieramy podstawę katolikom dobréj wiary, którzy w Anglii, Belgii, Niemczech, Piemoncie, Hiszpanii i Portugalii rząd reprezentacyjny przyjmują i podpierają, z drugiéj rzucamy zaprzeczenie pamięci O'Connella, niegdyś bohatera sprawy katolickiéj. Pamiętajmy na przyszłość, przyszłość będzie tém czém ją zrobimy. Dzisiejsza wielkość kościoła stanowi nagrodę za dwadzieścia lat usiłowań wytrwałych a szlachetnych i rozumnych. Usiłowaliśmy pod godłem wolności, trzymajmy się téj saméj drogi. Wy coście nieprzychylni rządowi parlamentarnemu, powtarzacie ciągle, że się boicie starego liberalizmu. Prawda, liberalizm tak ciężko w téj chwili ukarany, źle wolności, źle krajowi służył. Wszelako ja jeszcze więcéj jak bezbożnego liberalizmu boję się absolutyzmu. Z liberalizmem jest wojna a wojna wzmacnia i uszlachetnia, pod absolutyzmem jest niewola co wątli i z godności obiera. Nie łudźcie się pozorami. Absolutyzm do czasu może religii sprzyjać i kościół szanować, przychodzi jednak chwila, gdzie z konieczności zasady swojéj uciskać zacznie. Dzisiejszy stan rzeczy we Francyi może potrwać, może się zmienić na lepsze, może również przeminąć. W ślepém uniesieniu dla tego co jest, nie zawiązujcie przyszłości, nie narażajcie sprawy kościoła. Sprzyjacie cesarzowi, dobrze — ale chcąc mu pomagać, nie miotajcie się na inne przekonania, zwłaszcza zwyciężone, obalone. Chrońcie się ostateczności, zkądinąd strzeżcie się by wam kiedyś obelżywie nie zarzucono, żeście przez lat dwadzieścia udawali przyjazne chęci dla wolności, a teraz kiedy sami macie trochę swobody, zrzucacie larwę i radzi jesteście zagrodzić drogę innym.

Pan de Montalembert uchwycił stronę dotykalną, praktyczną całéj trudności. Owoż co daje wielkie znaczenie jego książce.

Gdyby chodziło o sferę czystéj teoryi, w pewnéj mierze podobnaby się było zgodzić z p. Donoso Cortez na zasadę praw i obowiązków,

na absolutyzm umiarkowany pełnieniem przepisów ewangielicznych, także na brak wolności politycznéj, a doskonałą wolność cywilną, tę ostatnią płynącą z wolności kościelnéj, w niéj szukającą rękojmi. Ale tu fakta i zastosowania są rzeczą główną. Owoż co się tyczy faktów błędnie szkoła pana Donoso Cortez przeszłość rozumie i wykłada, zaś kiedy jéj przyjdzie pojęcia oderwane w świecie urzeczywistniać, widzimy że co chwila o niepodobieństwa zawadza, co chwila wpada w sprzeczność.

Sprzeczność istnieje zaraz w położeniu osobistém hiszpańskiego pisarza. Wie świat cały, jako jest on posłem kraju swojego przy dworze francuzkim, a że Hiszpania ma instytucye reprezentacyjne, więc dzieje się, że z własnej woli wyobraża systemat, który za zgubny poczytuje. Ale dajmy pokój kwestyi zawsze trudnéj do ścisłego oznaczenia i do ocenienia z sumienną skrupulatnością. Weźmy przed siebie rzeczy pisane.

Pan Donoso Cortez potępia parlamentaryzm w przeszłości, mieni go systematem protestanckim. Przyznajemy, nietylko on to utrzymuje. Z jednéj strony głoszą podobne zdanie przeciwnicy porządku reprezentacyjnego we Włoszech, gdzie postępowanie rządu piemontskiego wywołuje obawy, usprawiedliwia niechęci. Widzieliśmy już że tak sądzi ks. biskup z Annecy, dodamy że takie przekonanie silnemi, rozumowemi i historycznemi wywodami pismo *Civilta cattolica* popiera. Z drugiéj dobijając się o wyłączny zaszczyt wolnych instytucyi dla protestantyzmu, niektórzy protestanci powtarzają to samo choć w innych wyrazach. W ostatnich czasach p. Bunsen uroszczenie o jakim mowa postawił.

Jedni i drudzy uprzedzeniom albo urojeniom hołdują.

Nie jesteśmy wielbicielami bezwzględnymi parlamentaryzmu. Należąc do kraju nieistniejącego niepodlegle, zaprzątnieni staraniami innego rzędu, nabraliśmy pewnéj obojętności na kształty polityczne. Wraz z kościołem powiadamy, że każdy kształt jest dobry, byleby miał za podstawę myśl katolicką. Niemniéj kiedy się zastanawiamy nad wszystkiém co się dzieje w około, musimy przyznać z p. de Montalembert, że instytucye reprezentacyjne najlepiéj jeszcze usposobieniu, oczekiwaniom, przesądom a nawet istotnemu stanowi towarzystwa obecnego odpowiadają. Wszystkie narody z Anglii je przejęły. Cóż ztąd? Jeśli chodzi o początki, toć początki parlamentaryzmu w Anglii są katolickie nie protestanckie; jeśli znowu o zastosowanie, toć nie broni zaprowadzić w nich potrzebnych odmian.

Nam się zdaje, że szkoła p. Donoso Cortez ma tylko wstręty a sympatye i nie wie dobrze czego chce. Namiętna, gwałtowna zwłaszcza tak jak ją widzimy w dzienniku *Univers* wnosi ona do polityki rygor przekonań dogmatycznych; zaś ciesząc się z chwili obecnéj we Francyi i epokę przejścia a tryumf siły przychylnéj biorąc za rzecz normalną.

Powiedzieliśmy, że nawet oderwaną teoryę p. Donoso Cortez tylko w pewnéj mierze przyjąćby można.

Rzeczywiście trudno nam zapomnieć, że podstawą téj teoryi jest błędne a niebezpieczne pojęcie zależności koniecznéj porządku politycznego od porządku religijnego w jego zewnętrznych kształtach i obja-

wach. W tém przypuszczeniu kościół musiałby między kształtami politycznemi wybierać i z konieczności istniałby jeden kształt polityczny wyłącznie prawdziwy. Tak przecie nie jest Kościół przyznaje wzajemną zależność dwóch porządków, ale zależność swobodną, bez powiązania, bez uwarunkowania się wzajemnego, bez logicznego rygoru. Dla kościoła istnieją dwie sfery: sfera dogmatu, w którój niema jeno ścisłe posłuszeństwo i jedność (in necessariis unitas) i sfera rzeczy doczesnych, w którój wszystko musi być zgodne z przepisami nauki zbawienia co do głównéj zasady, ale w którój najswobodniejsza, najpiękniejsza rozmaitość rozwinąć się może (in dubiis libertas). Utrzymywać albo dawać do zrozumienia, że monarchia absolutna logicznie z katolickiéj idei wypływa, jest to zaprzeczać całéj tradycyi kościoła i postępowanie jego obecne na najfałszywsze tłómaczenie narażać. [1])

Chociaż mniéj pozorami ścisłości rozumowania poważne, o ileż jest wyższe i lepsze stanowisko p. de Montalembert, który z prostotą a rozsądkiem dwie sfery odznaczając, choć zbyt słabości dla parlamentaryzmu francuzkiego tu i owdzie pokazuje, umie ominąć ostateczności, w wyłączności nie popada, a, że nie zagradza możebnym i godziwym kombinacyom politycznym, godności kościoła otwarte wrota zostawia.

Jest rzecz, na którą dobrze żeby katolicy uwagę zwracali, a mianowicie że w kościele napotyka się niemało kształtów konstytucyjnych. Jak powiedzieliśmy, nie idzie ztąd konieczność zastosowania, wszelako przykład równie poważny słusznie umysły uderzyć musi. I to nas zastanawiać powinno, że wielcy doktorowie kościelni w europejskiém katolickiém społeczeństwie, oświadczali się za rządem umiarkowanym, ograniczonym przeciw rządowi absolutnemu, który właściwie nastał dopiero z protestantyzmem. Bellarmin Suarez a nadewszystko najstarszy w kolei ś. Tomasz z Akwinu, wielekroć się w téj mierze i jasno orzekają. Ś. Tomasz śmiało i prosto rozprawia o *regimen tyrannicum,* a nawet jak to już wspominaliśmy w *Przeglądzie* [2]) pewien rodzaj systematu reprezentacyjnego zaleca. Prawda, wszyscy ci wielcy katoliccy pisarze przedewszystkiém mieli na względzie kościół i wolność kościoła, prawda także, że i maksymy o potrzebie władzy, o uszanowaniu dla władzy, o posłuszeństwie (zawsze ludzie rzeczywiście umiarkowani nie dla wygody i obawy, ale odważnie w środku stojący, musieli i muszą na dwie strony się zastrzegać) u nich znajdzie; utrzymujemy przecież, że ogólna dążność ich pism, pokazuje sprzyjanie godziwéj wolności politycznéj.

Na to wszystko p. Donoso Cortez zdaje się oczy zamykać; z drugiéj strony panu de Montalembert, który wie o tradycyi wieków minionych

---

[1]) Niedawno ks. Gaduel officyał z Orléans publicznie p. Donoso Cortez herezyę zarzucił; ks. Gaduel nie przekonał nas o prawdzie swojego zaskarżenia, niemniéj spór jaki powstał pokazuje, że jest wiele obraźliwego dla sumień katolickich w niektórych wyobrażeniach znakomitego hiszpańskiego pisarza.

[2]) W artykule pod napisem *Przeznaczenia Francyi* (obacz *Przegl.* t. X str. 666), który z obecną pracą w bliskim związku stoi.

i często się na nią powołuje, owo przeświadczenie bardzo horyzont rozszerza.

Jeszcze jednę wielką kwestyę zostawiliśmy na uboczu, kwestyę tolerancyi religijnéj. W kraju francuzkim, gdzie tolerancya jest w prawach i w obyczajach, gdzie się za nią najlepsze między katolikami umysły od p. Nicolas do p. de Montalembert oświadczają, *Univers* przemawia w odmiennym duchu. Snać pismo to ciągle ma na pamięci swoją maksymę, jako trzeba wolności dla dobrego a nie wolności dla złego; że zaś jéj daje absolutne znaczenie, że się w szeregu wniosków zatrzymać nie umie, przychodzi do zupełnego zaprzeczenia pojęcia wolności sumień. Ubolewamy nad tém bobyśmy chcieli widzieć zasadę prawdziwéj tolerancyi wszędzie między katolikami uczczoną. Tolerancya to nie obojętność, nie słabość w obec złego, nie samolubna ostrożność, ale obok silnéj i niewzruszonéj wiary wymiarkowanie dla innych przekonań, z uczucia a nakazu miłości bliźniego płynące. Tak utrzymujemy w teoryi. W praktyce zdanie nasze, zdanie wszystkich stronników tolerancyi, jeszcze większéj siły nabiera. Żyjemy w kraju, gdzie niema zupełnéj religijnéj tolerancyi i gdzie kościół katolicki doznawał i doznaje pokrzywdzeń; to samo dzieje się w Anglii, w Szwecyi i w innych protestanckich państwach. Owoż i tu i tam katolicy upominając się o swobodę, ciągle powołują, muszą się powoływać na zasady tolerancyi w prawach zapisane. *Univers* przyznaje tę konieczność, ale zarazem powiada: co innego kościół katolicki a co innego rządy protestanckie — kościół katolicki nie może przypuścić tolerancyi, on co wierzy że niema zbawienia jeno w jego obrębie — protestanci muszą ją praktykować, bo taki jest duch ich instytucyi. Jakże? Więc katolicy mają się upominać o tolerancyę u ludzi, którymby téj tolerancyi w razie doczesnego tryumfu swojéj nauki odmówili? To niepodobna. Albo trzeba schylić czoło przed nietolerancyą i w milczeniu prześladowanie znosić (takaby była konieczność dla uczciwych ludzi, gdyby co nie jest, kościół na tolerancyą nie pozwalał), albo jeżli się głośno przyzywa tolerancyi dla siebie, trzeba być gotowym i innym w razie danym jéj udzielić. Łatwo dziennikowi w Paryżu wydawanemu stawiać absolutne reguły dla katolików, absolutne reguły co do polityki, absolutne reguły co do tolerancyi. W Paryżu zniesiono wolność polityczną, rząd ją odpycha, więc ma się za sobą możnych świata kiedy się przeciw porządkowi reprezentacyjnemu, prawu ludzkiemu i rękojmiom wolności pisze; w Paryżu z jednéj strony katolicyzm przeważa, z drugiéj uznaje tolerancyą ustawa zasadnicza i kodeks, więc się da bez niebezpieczeństwa o tej rzeczy rozprawiać. Inaczéj się rzeczy mają w krajach, gdzie kościół katolicki ucisku doznaje. W tych i w tamtych ludzie szlachetni, nie umiejący postępować jeno szczerze i prosto, widzą się w konieczności odepchnąć teorye dziennika *Univers*. Gdyby je przyjęli musieliby zamilknąć, musieliby się od życia publicznego zupełnie usunąć [1]).

[1]) Przed kilku tygodniami hr. Robiano Borsbeeck Belgijczyk, wydał książkę pod tytułem *l'Ordre* w któréj dowodzi, że instytucye reprezentacyjne nieprzystoją katolickim kra-

Tu nasuwa się wzmianka o sprawie małżonków Madiai. Nie jeden z katolików zagadnie nas może w duchu rozumowań dziennika *Univers:* a więc przyzwalacie wszędzie i zawsze na wolność propagandy protestanckiéj? Odpowiadamy: propagandy protestanckiéj nie obawiamy się śród klas wyższych, przyznajemy przecież, że na klasy środkowe zwłaszcza we Włoszech w chwili dzisiejszego rozprzężenia umysłów, propaganda takowa najgorsze może wywrzeć działanie; przyznajemy jeszcze że książęta półwyspu mają prawo energicznie się bronić przeciw wpływowi angielskiemu, wciskającemu się drogą religijnego prozelityzmu; przyznajemy następnie że rządy co nigdy tolerancyi nie zapewniły prawem, nie mają równych obowiązków z rządami które to uczyniły; przyznajemy w końcu, że źle zrozumiana, że niewczesna w krajach nieprzygotowanych do tolerancyi wolność sumień, wydałaby się tylko ludowi obojętnością, mogłaby w końcu jego przekonaniami zachwiać. Daléj pójść nam nie podobna. Co innego jest bronić się i karać, co innego prześladować. Gdyby rząd toskański był Madiajów jawnych ajentów Anglii z kraju swego wywołał, nicby nie było do powiedzenia, gdy tym czasem uwięzienie ich choć przez sąd nakazane, granice umiarkowania widocznie przekracza.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu.

Rozpisaliśmy się o pojęciach pana Donoso Cortes tudzież dziennika *Univers* i o pojęciach p. de Montalembert, tym nad tamtemi pierwszeństwo dając, zaś pominęliśmy w dyskusyi pojęcia p. Ozanam. Tłómaczymy się z tego. Wyobrażenia p. Ozanam nie mają i nie szukają zastosowania obecnego, są one piękną protestacyą, odważném zastrzeżeniem, wyrazem tęsknéj nadziei, ale nie systematem politycznym.

W życiu rzeczywistém, a trzeba byśmy teraz słowo o postępowaniu publiczném wyobrazicieli rozmaitych zdań katolickich powiedzieli, pan Ozanam, którego rozmyślnie panu Donoso Cortes, by uwydatnić środkowe stanowisko p. de Montalembert przeciwstawiamy, p. Ozanam mówimy, wraz z kilku innymi zacnymi a niedoświadczonymi ludźmi z jednych omyłek w drugie powpadał. Chcąc w r. 1848. dobrą wolę rzeczypospolitéj pokazać, przyłożył się do wzniesienia dziennika *Ere nouvelle*, późniéj trzymał stronę jen. Cavaignac, późniéj jeszcze należał do tych co się gniewali na katolików energicznie z socyalizmem i rewolucyą wojujących, w ogóle ciągłą miał skłonność do złych ustąpień i ciągłą drażliwość przeciw braci swojéj w wierze. [1])

---

jom, i że Belgią do zguby popychają. Książkę tę *Univers* niesłychanie pochwalił. W Belgii wywołała ona tylko zaprzeczenia i protestacye. Niezawodnie dzisiejsze ministerstwo belgijskie wiele robi, żeby położenie kościoła narazić, wszelako jest to złe przemijające. Kościół belgijski przyłożył się do zapewnienia krajowi dzisiejszego porządku rzeczy, dobrze mu ze swobodami zapisanemi w konstytucyi i pewnie dzieła swojego sam nie obali. Katolicy belgijscy trzymają się i słusznie kierunku p. de Montalembert.

[1]) P. Ozanam dotąd nie może zbyć admiracyi dla roku 1789. Ciągle mu jeszcze snuje się w myśli to dawne uroszczenie rewolucyjne, że r. 1789 urzeczywistnił ideę

Żeby postępowanie pana Donoso Cortes i dziennika *Univers* dobrze ocenić, trzeba zawsze pamiętać, że od samego początku rewolucyi lutowéj nie wierzą oni aby się społeczeństwo uratować mogło. Ktoś nazwał p. Donoso Cortes prorokiem nieszczęścia. Miano jest sprawiedliwe. Jemu i jego szkole ciągle się zdaje że towarzystwo ginie. Dziś jeszcze choć całą siłą sprzyjają robotom cesarza, nie chcą albo nie mogą nadziei do serca przypuścić. Oczywista rzecz, że takie przekonanie podnosi i uszlachetnia ich opozycyą przeciw wszelkiéj wolności politycznéj, ale to nie wystarcza. Zkądinąd choć *Univers* bardzo śmiało i bardzo zaczepnie występuje, choć ostateczne zdania ogłasza, nie podobna u niego dopatrzyć ciągu i pewności w przekonaniach doczesnych. Dawniéj sprzyjał wolnym instytucyom, dwa lat temu z wielkiém zgorszeniem i oburzeniem p. de Montalembert do legitymizmu się nachylał, teraz popiera gwałtownie Napoleona. Zapasy z rewolucyą zahartowały umysł p. Donoso Cortes i zdolność wydawców *Universu* zwłaszcza zdolność pana Ludwika Veuillot wyrobiły, przecież nie daje im to jeszcze jasno a prosto widzieć, jaka w dzisiejszém położeniu spraw świata najlepsza dla katolików droga. Powiedzieliśmy że *Univers* gwałtownie cesarza popiera, (w istocie przemilcza o niegodziwościach, nic nie powiedział o konfiskacie orleańskiéj), winniśmy dodać, że go popiera bezinteresownie. Żaden z redaktorów tego pisma łask nie otrzymał, żaden się po nie na dwór nie ciśnie. Z oskarżeń p. de Montalembert możnaby inaczéj wnioskować, ale wiedzieć trzeba, że w tych oskarżeniach zebrane są w jedno zarzuty dotyczące ludzi najrozmaitszych przekonań i pism najsprzeczniejszych dążności. Szlachetność, czystość pobudek dziennika *Univers* żadnéj wątpliwości nie podpada.

Cóżkolwiekbądź tylko miara w postępowaniu przy wierności raz przyjętym przekonaniom, jedność i siłę politycznych charakterów stanowi. Widzimy to dowodnie na przykładzie p. de Montalembert. Pan de Montalembert służy nieprzerwanie jednéj idei na świecie, idei wolności chrześciańskiéj. Bronił jéj nieraz przeciw władzy, bronił jéj często przeciw rewolucyi, chwilami gwałtownie i drażliwie; któż jest panem siebie do tyla by zawsze pozostał śród wymierzonego obwodu, dość że jéj nie odbiegł i że dziś dla niéj niezachwianą wierność zachowuje. Na swojém stanowisku niezna on wyłączności politycznych; nigdy się niewiązał i teraz się niewiąże ze stronnictwami. Chorągwi swojéj nie oddawał ani w służbę orleanizmu, ani w służbę legitymizmu, ani w służbę rzeczypospolitéj, ani w służbę cesarstwa. Był za jednemi z tych rządów więcéj jak za drugiemi w miarę jak mu się wydawało że więcéj kościół szanują i służą lepiéj sprawie wolności a porządku towarzyskiego. Zawsze się jednak odsuwał kiedy jaka z wielkich zasad zgwałcona została. Napoleonowi sprzyjał długo, sprzyjał w nawet w epoce 2. grudnia, odwrócił się od niego w chwili konfiskaty dóbr orleańskich, która naraziła pojęcie

---

chrześciańską. W téj kwestyi równie jak i w wielu innych, zdanie p. Ozanam podziela p. Lenormant wydawca pisma *Le Correspondent*.

własności. W téj chwili pomimo głośno objawionych przekonań co go na trudności wystawiają nie usuwa się ze zgromadzenia prawodawczego. Jesteśmy pewni że będzie tam tak długo dla dobra kraju pracował, jak długo się to z godnością dobrze zrozumianą da pogodzić.

Całe postępowanie polityczne p. de Montalembert nacechowane jest nie przebiegłością ani surową logiką stronniczą, ale zacnym i pełnym poświęcenia patryotyzmem, owoż dla czego tak je szanujemy i wynosimy. Zrobimy tu uwagę, że w ogóle bezinteresowność dążeń politycznych u katolików we Francyi jest wielce budująca. Wszyscy oni nie ubiegają się za urzędami, za położeniem, za jakąbądź korzyścią doczesną, dworactwo zostawują dawnym liberalistom, a jeśli pomagają, pomagają niepodlegle i bez widoków osobistych. Przez chwilę zdawać się mogło, że wyższe duchowieństwo zbyt skwapliwie nowy tron otacza, owoż godność kościoła list pasterski ks. biskupa z Orlèans, a nawet list pasterski ks. biskupa z Amiens dostatecznie zasłoniły.

Zaiste Francya choć ciężko probowana jest zawsze krajem w którym kościół katolicki swego powołania najłatwiéj dopełnić może i dopełni.

Co do nas im więcéj rozważamy zdania i wypadki obce, tém się bardziéj utwierdzamy w dawnych przekonaniach naszych, w wierności idei postępu chrześciańskiego, w wierności zasadzie wolności cywilnéj i politycznéj, w wierności zasadzie tolerancyi, w ogóle w wierności chorągwi O'Connella którąśmy niegdyś z uniesieniem witali.

Niezawodnie chcemy przedewszystkiém tryumfu kościoła i swobody kościelnéj, ale czy w sprawach religijnych, czy w sprawach doczesnych ufamy jedynie drodze swobody.

Już Górnicki mówił: „Nie to jest rzeczpospolita można nie to trwała, nie to bezpieczna gdzie jeden wszystkiém włada, ani tam gdzie „wszyscy władają: ale tam gdzie włada to wszystko pospołu, to jest „król, rada i od wszystkich posłani." Owoż zdanie mądre, owoż zasada polityczna jakiéj hołdować nie ślepo, ale wedle wymagań czasów i okoliczności godziło się i godzi.

BEZKRÓLEWIE.

DRAMA.

Przedmowa i początek pierwszego aktu.

PRZEDMOWA.

Czém jest bogata kopalnia głazów dla architekta albo snycerza; tém są dla poety dzieje. Lecz z podbnego kamienia wykuje Torwaldsen okazałą płaskorzeźbę na podziw dzisiejszym wiekom i przyszłym; inny zaś artysta, wannę pod ścieki deszczowe.

Gdy młody polski poeta wstąpi do składu dziejów przeszłości; cóż mu wskażemy do zajęcia uwagi i serca? do czegoż całą duszą przylgnąć powinien? cóż ma być szczególniejszym jego rozmysłów i pieniów przedmiotem? Krótka jest na to odpowiedź: dzieje ojczyste. I my mieliśmy czasy bohaterstwa i rzeczywistéj świetności. I u nas kwitli mężowie wielkich poświęceń i znakomici z serca i ducha. Tych mu więc śpiewać, tych myśli i czyny do potęgi poezyi podnosić, świętym jest obowiązkiem narodowego poety.

Wygasła *Piastów* rodzina. Na tronie który tak podniósł wysoko *Chrobry*; którego podruzgotane ułomki podziałem następców *Krzywoustego*, z wielkim mozołem pokleił *Łokietek*; który umocnił mądrych praw nitem *Kazimierz*; zasiadła ostatnia z swojego rodu sierota. Lecz młoda i piękna *Jadwiga* otrzymała wielkie przeznaczenie od Boga: ona to miała złotą nicią związać na polskim tronie ród *Piastów* gasnący, z nowém, krzepkiém i potężném siłą *Jagiellonów* plemieniem. Lecz nic wielkiego na świecie nie spełni się bez wielkiéj ofiary. Gdy Bóg posyłał na ziemię Syna dla odkupienia rodu ludzkiego, kazał mu jako człowiekowi ponieść śmierć męczeńską na krzyżu. Gdy Bóg obrał piętnastoletnią dziewicę za narzędzie swéj łaski dla Polski, musiała ona zrobić ofiarę

z uczuć serca swojego, dla szczęścia ludu, nad którym jéj władzę poruczył. Więc nie pojęła *Jadwiga* miłego sobie *Wilhelma*, ale pojęła na pół pogańskiego i na pół dzikiego *Jagiełłę*. Taką koleją zyskało chrześciaństwo i Polska Litwę potężną i dzielną. Wielcy ludzie schodzą zazwyczaj bez potomstwa ze świata, bo ich duchowém potomstwem jest cały naród lub ludzkość. Uległa temu losowi *Jadwiga*. Spełniwszy ona swe dzieło, jeszcze piękna i młoda, przeszła z ziemi do nieba, a jéj potomstwem stała się cała Polska i Litwa.

Dwa wieki po niéj świetniał na tronie ród Jagiellonów. Jak pod nim kwitły dwa ludy, o tém nas pouczają dziejowe pomniki. Lecz wszystko ludzkie ma koniec dla tego że mieć musiało początek. Mniemała Polska wraz z światem, że liczne potomstwo *Kazimierza Jagiellończyka* jeszcze na wiek nie jeden dostarczać będzie królów swoim i obcym. Tymczasem w trzeciém pogłowiu sam *Zygmunt August* na tronie polskim pozostał i z trzech małżonek żadnego nie miał potomstwa. Poczęto myśleć o losie przyszłym korony. Lecz rozkiełznana szlachta, myśl tę zbawienną, ujmą swych swobód nazwała. Wpływ czasu wpoił głęboko mniemanie, iż nie ma świetniejszego widoku pod słońcem jak kiedy wolny naród sam sobie pana wybierze. Najlepsze głowy w narodzie temu wpływowi uległy. Napróżno ostatni Jagiellonów potomek, zrzekł się na sejmie Lubleskim (1569) dziedzictwa Litwy, dla ujęcia polskiego narodu. Skonał on wkrótce w sile lat męzkich, bez téj pociechy, by mógł po sobie następcę do tronu polskiego zostawić.

Nadeszło bezkrólewie (1572). Wielu nań z niecierpliwością, wielu czekało z obawą. Zbiegli się jeszcze za życia *Zygmunta Augusta* obcy wysłańcy do Polski; każdy z nich dla swego kandydata do tronu, wyszukiwał stronników. Wszyscy obiecywali więcéj, niźli chcieli dotrzymać lub mogli. Gdy przyszło to w życie powołać, czego się obawiano albo pragniono, najśmielsi z pomiędzy przywódzców struchleli. Sam *prymas* oznaczony *między-królem* przez prawo, nie wiedział dobrze co począć i jaki powstającym trudnościom naznaczyć kierunek. Nastały zjazdy, narady, i liczne z stron różnych zabiegi. Były to nader dramatyczne momenta. Chęci gorliwe znakomitszych w narodzie mężów, od nieuchronnych nieładów Polskę ustrzegły. Zbliżyła się nakoniec chwila stanowcza wyboru króla. Zgoda przedniejszych panów i urzędników, załatwiała ten wybór przed laty. Ale to prawo zwyczaju nie było dostateczne dla obecnéj potrzeby. Szlachta pomniejsza, już wpływająca do sejmów, poczet oborców zwiększyła. Jakże uchylić tych braci, którzy się nie mogli docisnąć do powiatowych, poselskich albo koronnych urzędów. Wtedy wystąpił na polityczną widownią, mąż znakomity i niepoślednich zdolności *Jan z Zamościa* bełzki starosta i poseł. Wychowany na ziemi Grachow, oswojony z rzymskiemi dziejami i prawy; w nich szukał wzorów i te zapragnął na polskiéj ziemi do życia powołać. Nie był on jeszcze ani bogatym, ani słynącym wziętością. Przez wpływ swój przeto na mniejszą szlachtę, starać się począł o imię. On jéj dotuszył że równie z przemożniejszymi dawając gardła w obronie

kraju, równe ma prawo do głosowania w przyszłym króla wyborze. Przemogło to zdanie z innąd tak sprawiedliwe i czyste. Ale w następstwie czasów, stało się ono wielkich zdrożności przyczyną. Nie wińmy jednak *Jana z Zamościa*. On działał z przekonania i szczerze. Dopiął chwilowo celu swojego *Zamoyski*. Szlachta pomniejsza stanęła wszystka na jego skinienia. Z nią on i przez nią wielkich rzeczy dokonał. A kiedy postrzegł że zbłądził, już błąd naprawić było zapóźno.

Świetneż to były te czasy, z których jeden obrazek w kształcie dramatu nasuwam przed oczy potomnych. Panowanie *Zygmunta Starego* rozsławiło imię Polski po świecie. Potężna zewnątrz, wewnątrz kwitnąca pokojem, równie jak światłem swych synów; nie dziw że miała dzielnych hetmanów; wytrawionych statystów i władnących swobodném piórem pisarzy. Gdy religijne rozterki szarpały krwawo wnętrzności państw innych; Polska stała się przytułkiem mężów, których nietolerancya wypłaszała zkądinąd. Oprócz *Myszkowskich, Krzyckich, Tomickich, Ostrogskich, Radziwiłłów, Tarnowskich*; tych kolumn rodzimych ojczystéj świetności, powstawał inny żywioł z przychodniów, których łagodność praw polskich na wolną ziemię znęcała. Zaludniały się polskie miasta mężami, którzy w następstwie czasów nie mało świetności na nową ojczyznę ściągnęli. Dosyć jest wspomnieć Hallerów, Dyców, Bonarów, Morsztynów, Fogielferderów, Waxmannów. Ależ ci męże, jak tylko na ziemi polskiéj stanęli i rozwinęli swoje zalety, natychmiast szanowani od królów, naśladowani od dawnych téj ziemi mieszkańców, podnoszeni do szlacheckich godności, stali się wkrótce rad senatorskich, lub kół rycerskich ozdobą. Panowanie *Zygmunta Augusta* było dalszym ciągiem tych zalet, z których Polska pod jego ojcem słynęła, Wstrzęsła się nieco polityczna budowa rządu, już to przewagą szlachty nad tronem, już smutną wróżbą przyszłości, którą gasnące Jagiełłów pogłowie roztaczało nad krajem. I rozmaitość wyznań naniesionych przez wpływy czasu tudzież przez wychowanie możniejszéj szlachty u obcych, przyczyniała kłopotu. Przybyły do tego obcych mocarzy zabiegi, by tron osierocenia bliski pozyskać. Ale to mnóstwo widoków i działań, podnosi wielce rozmaitością swoją obraz tak pełny dramatycznéj osnowy.

Jacyż to ludzie w tym czasie świetnieli i na losy Polski wpływali? *Jakób Uchański* arcybiskup gnieźnieński i prymas, poważny rodem i wiekiem, był równie oświeconym jak pojmującym stan Polski kapłanem. Jeśli on zdawał się ku różnowiercom nachylać, pewnie to podejrzenie ściągnął na siebie przez skłonność do nieuchronnych reform katolickiego kościoła. Jako pierwsza osoba po królu, nic on już nie miał do pozyskania na drodze innéj reformy. Gdy *bezkrólewie* przypadło, pierwszy raz miał on powołać do życia ważne międzykróla obowiązki i całą powagę tego urzędu. Ale nie było na to dostatecznych opisów prawa, a przeto brakło do działań jego najważniejszéj podstawy. Wszystko więc polegało na rozsądku prymasa. Przemożna szlachta, obcych i różnowierców zabiegi, legat papiezki, który już gościł w Polsce i na wszystko zwracał uwagę: oto są względy, w których leżały trudności. Prze-

cież nasz Jakób Uchański — wszystkim zadość uczynił i oprócz tego utrzymał pokój tak nieuchronny w chwili podobnie krytycznéj.

Nie mniéj drażliwe było położenie *Firleja*. On wojewoda krakowski i wielkorządzca stolicy i razem marszałek w. koronny, jako naczelnik mało-polskiéj szlachty, musiał nią w bezkrólewiu kierować. Lecz Firlej stał na czele protestanckiego wyznania. Już z tego względu miał przeciwnymi wszystkich biskupów, wszystkich wyznawców katolickiego kościoła. Szerzono wieści, że Firlej będąc za Piastem, sam potajemnie berła polskiego pożądał. Ztąd podejrzenia u katolików, ztąd poszły liczne ku niemu niechęci. Lecz *Firlej* był nadewszystko prawym Polakiem i mężem wyższym nad wszelką prywatę, a sława jego wyszła w świetniejszym blasku z téj próby.

Znane jest z dziejów stanowisko *Jazłowieckiego* hetmana i wojewody ruskiego. Gdy sułtan turecki wierny sprzymierzeniec Polski, po zgonie *Zygmunta Augusta* doradzał *Piasta* (to jest rodaka) na króla; powstało mniemanie, że się to *Jazłowieckiego* dotycze. On jako dowódzca od wschodu miał najliczniejsze z Turkami stosunki. Myśl tę podjąłem, i w Jazłowieckim wystawiam jednego z współzawodników do polskiéj korony.

Jużeśmy wyżéj o Janie Zamojskim wspomnieli. To bezkrólewie, w którém przewiódł i zamienił w prawo osobiste głosowanie całéj szlachty, czyli racżéj to votum uniwersalne owego czasu, wielką mu popularność zjednało.

I obcy nie pośledních mężów wyprawili wtedy do Polski. Stawa na czele tych mężów kardynał *Comendoni* legat papiezki pełen umiarkowania, bacznéj uwagi i niepospolitego rozumu. Tuż za nim idzie *hrabia na Rozemberku* poseł cesarski, Czech rodem, który tak się spodobał Polakom, że mu ofiarowali koronę. Nakoniec *Monluc* biskup walencki poseł francuzki — wsławił się rzadką wymową i zręcznością w działaniu, przez które zjednał umysły dla Henryka księcia Audegaweńskiego, że ten z pomiędzy innych został wybrany na króla.

Ale nad wszystkie osoby do tego dramatu wezwane jaśnieć powinna najbardziéj *Anna Jagiellonka* siostra zmarłego *Augusta*. Nie była ona jak niegdyś wnuczka *Kazimierza Wielkiego Jadwiga*, młodą i piękną. Przeciwnie nawet, przeżywszy w stanie dziewiczym przeszło pół wieku nie słynęła bynajmniéj z urody. Lecz w niéj się mieścił wzór cnót staropolskich, bogobojnego wychowania i pracowitości i licznych poświęceń dla dobra miłéj ojczyzny. *Anna* więc tak w tym dramacie jak w dziejach Polskę uosobioną przedstawia.

Jerzy Jordan, wojski krakowski ma wyobrażać typ cnót domowych i szlacheckiego rozsądku w publicznych sprawach: jego zaś żona, typ polskich matron poświęconych jedynie Bogu, wychowaniu dziatek i powinnościom domowym.

Struś bunczuczny *Jazłowieckiego* hetmana; *Wydzga* dowódzca chorągwi nadwornéj *Jana Zamojskiego* przy rubaszności ówczesnym Polakom właściwéj, występują jako wzory poświęcenia tych sprawie, których za przywódzców obrali.

Nie chciałem również *Mieszczan krakowskich* pominąć. Ale rozległość przedmiotu zaledwie dozwoliła jednéj sceny dla tego tak ważnego żywiołu. I dla świątników katedralnego krakowskiego kościoła ostatnią scenę trzeciego aktu poświęcam.

Czyli obecny dramat urzeczywistnia te wszystkie i tak rozliczne względy? Niech to powszechność krajowa osądzi. Jeszcze słów kilka o dramatycznéj poezyi.

Są znakomici mężowie a na ich czele genialny pisarz dziejów literatury polskiéj *Wiszniewski* (w Tomie VII. Roz. IX) co twierdzą: że dramatyczną poezyą poprzedzić musi Lira i Epos. Ja nie podzielam bynajmniéj tego tak poważnego z inąd mniemania. Jego zasadą jest przykład dziejowy u Greków. Pierwéj tam Homer i Pindar niżli się Eschil i Sofohl pojawił. Ale objawy ducha trudno jest pod prawidła fizyczne podciągnąć: te są pewne, konieczne: tamte rozmaite i tak jak duch swobodne. Wiemy, że po zimie nastąpić musi wiosna. Posiane żyto jesienią, wystrzeli w kłosy, gdy lato następne przyspieje. Lecz żeby lira miała to zrodzić koniecznie co epopeją nazwano, poczém dopiero ma się dramat urodzić, tego nie widzim ani na żadném prawie opartém, ani stwierdzoném przez znane w dziejach piśmiennictwa przykłady. Nie czekał cale *Szekspir* na urodziny z epicznego ojca. Wyszedł on z łona czasu sam wielki jak olbrzym i dotąd nie ma brata dla siebie. Jakąż lirę lub epos mieli Hiszpanie przed *Calderonem?* Oprócz *Rousarda* cóż nam pokażą Francuzi przed potężnym *Kornelem?* Gdyby więc, mimo przepisanego porządku, zjawił się dramatyczny poeta i począł dziwić swój czas i naród płodami godnemi powszechnego zajęcia; czyżbyśmy rzekli do niego dla utrzymania zasady: „zawcześnie kwiatku, zawcześnie, wróć się tam, zkąd przyszedłeś, bo my cię wtedy jedynie słuchać będziemy, gdy już wieszcze liryczni zamilkną, i gdy nam twój prawy poprzednik jakie epos wyśpiewa.

Wtedy jest mojém zdaniem dramatyczna poezya na czasie, gdy się urodzi na zaszczyt swego narodu i wieku, dramatyczny poeta. My uboższi z wielu względów od innych, po świetnych dźwiękach liry z Czarnegolasu, po wielkich płodach dwóch dotąd żyjących poetów, co do dramatu, żyjemy dotąd nadzieją.

Przemawiając zapewne poraz ostatni do powszechności krajowéj, powiedzieć muszę słów kilka o literaturze ojczystéj, o któréj dziś tyle pism wychodzi, i nowe jeszcze zapowiadane są codziennie.

Tylko na gruncie samodzielności może bujać i kwitnąć pięknie drzewo literatury. Inna ziemia, inne powietrze i światło przyprawia je o niemoc, z któréj nareszcie musi umierać.

Fuimus Troes . . . . W wieku XVI mieliśmy dziejopisów, statystów, mówców, poetów. Chociaż z nich wielu nie po polsku pisało; przecież nie wyrzekniemy się ani Kopernika, ani Wincentego syna Kadłubka, ani Długosza, Kromera, Solikowskiego, Orzechowskiego, Ostroroga i Jana z Zamościa, Janickiego, Kochanowskiego lub Sarbiewskiego. Tak do dzisiejszych pisarzy chętnie liczymy Jana Potockiego, Gołuchowskiego, Ciesz-

kowskiego, chociaż ci w obcych językach pisali. Lecz gdy od Dniepru i Dźwiny do ujścia Tagu, język dawnych Rzymian, był powszechnym uczonych językiem; gdy obok Petrarki i Tassa nasi ziomkowie sięgać mogli po wieńce zaszczytne, które Watykan rozdawał: trudno im zajrzyć, że czytanymi być chcieli, a następnie stawać do walki o pierwsze piśmienne zaszczyty. Nikt wtedy nawet nie zwracał na to uwagi — że okoliczność podobna — może być dla obcych przyganą; bo się wtedy więcéj zajmowano treścią niż zewnętrznością każdego pisma.

I wówczas w Polsce, nawet z narodowego języka płodami, tak być musiało jak dzisiaj, gdy Jan Kochanowski powiedział:

„A poeta wzgardzony próżno gra za płotem,
„Sprzeciwiając się świerszczom . . . . .

Dziś ci wzgardzili łaciną, którzy jéj zapomnieli się nauczyć, a gdyby nie piękne przekłady Brodzińskiego i Kondratowicza, nie znalibyśmy cale celniejszych naszych poetów, którzy w wieku szesnastym po łacinie pisali i z tego względu wysoko byli cenieni od obcych.

Tuż za anarchią w sprawach publicznych, poszła anarchia w wyobrażeniach i pismach i już pod koniec siedmnastego stulecia, wspaniałe gałęzie drzewa literatury ojczystéj, niszczyć i usychać poczęły. Odżyłyć one w drugiéj połowie ośmnastego stulecia; ale obcemi soki podlane dawną czerstwość i swojskość straciły. Zabrzmiał potém gdzie niegdzie dźwięk polskiéj liry, lecz wkrótce zagłuszył go dźwięk surmy wojennéj i jęk żałosny rozpaczy. Od lat trzydziestu słychać to ztąd to z owąd wieszczów odgłosy. To już prorocy: ostatnia w literaturze objawa. Mieli ich i Żydowie u końca bytu narodowego, dla ostrzeżenia, że lud który na sobie samym własne siły potargał, może się jedynie duchem ratować.

Jest jeszcze inna dziejowa a równie smutna oznaka. Po zgonie Aleksandra W. wylęgła się u Greków ciżba ogromna retorów. Czyż nie podobną koleją od lat trzydziestu idziemy? Wieleż to od niedawna pisarzy dziejów literatury polskiéj powstało? Tuż za Bentkowskim co do tych dziejów kamień węgielny położył, zjawił się Sobolewski i Jocher, że o Juszyńskim nie wspomnę. Były to wprawdzie bibliograficzne zapasy, do których można i Lelewela dołączyć. Ale Amerynka w Polsce już na dzieje zakrawa. Ledwie tom I. historyi literatury polskiéj Wiszniewskiego opuścił prasę drukarską w Krakowie, wnet spekulacya księgarska w Warszawie dostarczyła nam IV tomy dziejów literatury polskiéj Wł. Wojcickiego. Zerwał się niebawem na coś podobnego E. Dembowski. Następnie wystąpił p. Majorkiewicz a po nim Syrokomla. Możemyż pominąć IV tomy paryzkich prelekcyi, których przedmiotem miała być literatura słowiańska a przeto i nasza? Małośmy tam wprawdzie usłyszeli o téj ostatniéj, a nic prawie o pierwszéj, bo polityka wzięła górę nad wszystkiem, a messyanizm niepojęty dla wielu, położył pieczęć na chorobliwe dzieło, które profesora zabiło. Lecz styl uroczy i mnóstwo myśli nie zwykłych, jeszcze dotychczas wielkie sprawuje wrażenie.

Kiedy jużbyśmy chętnie na tylu pismach o literaturze polskiéj przestali, byleby tacy autorowie jak p. Wiszniewski rzecz swoją raczyli przywieść do końca — zjawia się nowa zapowiedź ze strony biegłego prawnika i zbieracza broszur nikomu prawie nieznanych, które obrał sobie za główny materyał do malowidła obyczajów dawnéj Polski, cnót i wad przodków naszych w życiu domowém i publiczném i znowu z téj ręki czekają nas dzieje literatury ojczystéj, których już wyszło kilka poszytów. Wkrótce mieć będziem więcéj sędziów jak zapozwanych: a najstraszniejszy ostatni, bo mógł korzystać z prac poprzedników i z tego co sam wynalazł i wysnuł. Dla tego ktoś zastosował do téj objawy znane słowa o sądzie ostatecznym: Quantus tremor est futurus, quando judex est venturus; bo autor tych dziejów nie igra z temi, którzy pod jego wyrok przypadną. Jeszcze chwil kilka cierpliwości, a pewnie nowe i niepospolite zdania zdziwią nas i piśmiennictwo krajowe.

Najponętniejszy z naszych powieścio-pisarzy, p. Korzeniowski, chwycił się także proroctwa (Emeryt, powieść na karcie 94 — 99). On twierdzi, że cała literatura przejść musi w dramat i powieść, i że ta ostatnia nawet brata swego pochłonie, aż poetyczne utwory objawią się w jakichsiś apokaliptycznych ciemnościach, których nikt nie zrozumie, a które będą znakiem końca wszelkiéj literatury. P. Wiszniewski utrzymuje inaczéj — a podług niego wszystkie księgi będą zniszczone, zostaną tylko poeci. Niech mi się godzi tym obudwom pisarzom niewierzyć. Gdyby się zjawił jaki nowy Omar na świecie, prędzejbym mu wszystkich poetów poświęcił, jak księgi dziejów i pisma mające za przedmiot pożytek. Możebym go nawet upraszał by się przedewszystkiem zaprzątnął literaturą dzienników, romansów i tak ponętnych przed kilku laty plakatów. I z tym oddziałem miałby czém palić przez czas niemały. Lecz nim będziemy poprzestać musieli na samych poetach pomówmy nieco o dramacie i powieści. Gdym podniósł zdanie najpierwsze (p. Korzeniowskiego) rzekł ktoś z obecnych: to jest *oratio pro domo sua*. Doktor mający fabrykę cykoryi, dla zdrowia swych pacyentów, każe ją mięszać do wszystkich napojów. Co do mnie, mniemam, że ta redukcya literackich banknotów, dla tego może nie jedno zdanie za sobą pociągnie, że powieść leci żelazną koleją do celu — w której nie ma się poco ani na prawo ani na lewo oglądać. Oto jest libra papieru: oto umowa z gazetą warszawską. W imie boże siadajmy i piszmy. Pisze się bo się przyrzekło — bo nie ma czasu do stracenia — bo dziś jeszcze potrzeba drukować. Tak więc ni ztąd ni zowąd wylęga się i pięknie i prędko lub *Czarna wstążka* lub téż *Bezimienny Tadeusz*.

Ale trudniejsza sprawa z dramatem. Nie można go tak snadno na obstalunek dziennikarzowi dostarczyć. Nie jeden pisarz nosił go długo w żywocie swéj myśli; nie jednę księgę musiał przeczytać i strawić; nie jeden plan nakreślony przekreślił znowu, aby swe deski nowemi figurami zaludnić. A gdy już mniemał, że może śmiało swe dziecko widzom przedstawić, jeszcze je potém pod ojczystą strzechę odwołał. Wie o tém dobrze p. K. bo jest autorem w obudwóch rodzajach. A jeżli i

jego zdolnościom powieść jest pochopniejsza nad dramat; cóż rzec o innych, którzyby mogli od niego wielu się rzeczy nauczyć? Już od lat wielu przyrównał ktoś powieść do kartofli, to jest: do najpopularniejszéj i najstrawniejszéj potrawy. Jedzą je najzamożniejsi z śmietaną lub masłem: jedzą ubodzy z solą a nawet z popiołem. Ja dosyć lubię kartofle i czytam powieści bez wstrętu i *nieukradkiem* jak p. K. powiada. Dwóch tylko wymagam warunków. dobrego osnowania i stylu. Lecz gdy mi do rąk podadzą jaką lichotę pod nazwą powieści, bez trafnych obrazów, bez żadnéj artystycznéj wartości, a mdłym i nędznym stylem skreśloną; taką ja powieść, tak jak nadgniłe kartofle, usuwam na stronę. Niestety! w takich żyjemy czasach, że się najczęściéj wydarzają zepsute kartofle równie na polu pługiem uprawném, jak i na umysłowéj dziedzinie.

Dreszcz mię przejmuje na resztę objawionego proroctwa. Nie mogę smakować w poezyi, któréj zrozumieć nie zdołam. A jeżli koniec literatury mają uprzedzić jakieś apokaliptyczne ciemności — kto wie czy już się nie zbliżamy do tego kresu? Począwszy od sławnych 44ch aż do Promethidiona większa jest ciemność na horyzoncie poetycznym, jak była pośród zaćmienia słońca, któreśmy w roku zeszłym przeżyli. Koniec wszelkiéj literatury!.. jakaż to okropna przyszłość dla tych, którzy czytać muszą i pragną! Spieszcież się dziejopisarze piśmiennictwa naszego, by wasze dzieła objawiły się przed końcem. Cały ten ustęp jest dla mnie niezrozumiałym i ciemnym, chybaby w nim tkwił już początek zapowiedzianych apokaliptycznych ciemności. Wszakże jeżli się ziści — dziękuję Bogu żem stary, i że według wszelkiego podobieństwa nie dożyję téj klęski.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

Teatr wystawia izbę sądową starosty krakowskiego na zamku królewskim w Krakowie.

FIRLEJ *i pięciu gońców gotowych do drogi.*

FIRLEJ.

Daléj, bez najmniejszego spieszcie omieszkania:
Okoliczność jest ważna, powinność surowa.
Te listy do prymasa, te są do Poznania:
Waszmość jutro przed nocą masz dosięgnąć Lwowa.
Wam, jak się macie sprawić, rozwodów nie czynię,
Lecz jak skoro tchem jednym staniecie w Lublinie,
Niech do naszéj chorągwi takie wyjdzie hasło,
By jéj słońce następne w Sandomierskiém zgasło
Gdy w przelocie dosięgniesz waszmość Zawichosta,
Niech czyta list ten w Bełżu w sześć godzin starosta.
Przez miasto, jak najciszéj zabrać się do drogi;
Za miastem nie litować konia ni ostrogi

Gdy was nieba piorunem na miejsca zawiodą,
Wracajcie jeszcze skorzéj: daléj.
(Gońcy odchodzą, wchodzi pokojowiec Firleja.)

POKOJOWIEC.

Wojewodo!
Królewna Anna....

FIRLEJ.

Przebóg! czy cios jaki nowy?
Czegóż chce?

POKOJOWIEC.

Żąda z wami sam na sam rozmowy:
Już spieszy w towarzystwie zamkowego księdza

SCENA DRUGA.

FIRLEJ, KRÓLEWNA ANNA,

którą gdy odprowadził ksiądz, natychmiast się oddala równie jak pokojowiec.

FIRLEJ.

Cóż cię pani tak rano z komnat twych wypędza?
Jeszcze nocnéj z ołtarzy nie zdjęto zasłony;
Jeszcze na mszę najpierwszą nie wezwały dzwony.
Odkąd gmach ten przez twoich przodków zbudowany,
Przeznaczono na sądy starostów Krakowa;
Odtąd w te dla spraw wyższych przeznaczone ściany,
Żadna nawet do dziś dnia nie weszła królowa....

ANNA.

Wiem, jak ważnym jest dla was przyzwoitość względem,
Lecz mię nad nią wynosi okoliczność nowa.
Próżno się wielkorządcy szańcujesz urzędem;
Już niebo przez wyższego od ciebie starostę
Zwieszcza nową na Polskę i na dom nasz chłostę:
Ty milczysz, ja nie mogę Gdy u stóp ołtarza
Klęczę, wszystko do koła trwogą mię przeraża,
I łez zdrojem po każdém zalewam się słowie,
Modląc się nie wiem czemu o braterskie zdrowie:
Gdy z kościoła wrócona, zbiegam zamek głuchy,
Nie znajduję w nim zniskąd najlżejszéj otuchy;
Odkąd August ku Litwie wyruszył z Krakowa,
Nie miałam wprost od niego najmniejszego słowa!
Czemuż wszystko zatajasz od tak dawnéj pory?
Gdzież jest król nasz?

FIRLEJ.

W Knyszynie.

ANNA.

Jak się miewa?

FIRLEJ.

Chory.

ANNA.

Jako! król jest złożony na łożu boleści,
A siostra w oddaleniu usycha bez wieści?
Obca dłoń wznosi drogie głowy jego brzemię,
W której gaśnie na wieki Jagiellońskie plemię:
A ja, co mi król jeden przed niebem i światem
Jest panem. opiekunem, przyjacielem, bratem;
Jakaż w tych tęsknych murach powściąga mię tama?
On sam jeden w Knyszynie: ja w Krakowie sama!
On bez nikogo z krewnych, bez żony i dzieci!
Dwie małżonki pochował, zgwałcił wiarę trzeciéj:
Z żadną nie miał potomstwa. Ja w dziewiczym stanie,
Przeżywszy najpiękniejsze dni moich poranie
Dziś, gdy mi jesień grozi wichrami i słotą
Tracąc brata, zostanę na starość sierotą.
Gdy los taki Jagiełłom przeznaczyły nieba,
Im nas mniéj, tém niezłomniéj trzymać nam się trzeba
Dla tego nim wyroki dopełnią się boże,
Dziś odjeżdżam do brata.

FIRLEJ.

Ach! to być nie może —
Nie frasuj się o króla: są radni panowie,
Którym droższe Augusta niźli własne zdrowie;
Są przy nim i lekarze, a ci bezwątpienia
Przestrzegają w swym panu najmniejszego tchnienia:
Jest i Bóg, co tak mądrze dolą naszą władnie,
Że bezeń z głowy ludzkiéj żaden włos nie spadnie
Mamże nadto wyliczyć poczet przyczyn mnogi,
By przedwczesnéj po kraju nie roztaczać trwogi?
Jednę tylko wymienię z liczby ich niemałéj,
Bo do córy Zygmunta przemawiam dojrzałéj.
Gdy z nas nikt, jak ma radzić i co począć nie wie;
Obcy widząc przed Polską bliskie Bezkrólewie,
W zabiegach tak dla kraju, jak dla świata nowych,
Dyszą, by nas z nienacka ubiedz niegotowych.
Moskwa posła wysyła, a sposobi wojnę.
Szwed i Niemcy, a nawet Franki niespokojne,
Wyszukują stronników po królestwie całém.
By zniszczyć te zabiegi, wszystkich tu wstrzymałem.
I ich równie przeważna nakłania przyczyna,
Bez odwłoki z tych murów spieszyć do Knyszyna.
Pozór niedoszłych zleceń, złe królewskie zdrowie,
Sprawia że ich tu wszystkich pilnujem w Krakowie.
Tymczasem gdy przed nami sądy boskie skryte,
Radzimy, jak od szwanku strzedz Rzeczpospolitę.
Gdy więc obcym zawarte do Knyszyna drogi,

Niechciéj pani dać hasła do powszechnéj trwogi.
Daj z siebie przykład chlubny przed obliczem świata,
I dobro twéj ojczyzny wyżéj ceń nad brata.

ANNA.

Ojciec którego pamięć tak w narodzie droga,
Uczył mię jak mam kochać ojczyznę i Boga.
Lecz Bóg co nas dotychmiast od złych przygód chronił,
Poczciwego kochania krwi swojéj nie wzbronił.
Gaśnie ród nasz, w ostatniéj Augusta osobie:
Nie daliście mu obrać następcy po sobie;
Przeszkodziły nadzieje płocho urojone,
Że z was każdy podoła wziąść lub dać koronę.
Już wielu wznosi ręce od grozy bezpieczne,
By rozszarpać Jagiellów dziedzictwo odwieczne.
Jeszcze żyje ich prawnuk, król niepogrzebiony;
Iż mu z czoła zdzieracie oblamki korony.
Cóż oznacza zwołanie małopolskiéj szlachty,
Co wyprawianie gońców, zmowy i konszachty?
Straciliścież już wszelką o królu nadzieję?
Mów więc, co się z mym bratem a twym panem dzieje?
Czy zagasła w płci męzkiéj przodków mych rodzina?

FIRLEJ.

Od tygodnia nie miałem listów wprost z Knyszyna.

ANNA.

A ostatnie coś ukrył, jakiéjż były treści?

FIRLEJ.

Wątpliwe, niestanowcze, lecz pełne boleści.

ANNA.

Cóż tuszy rada panów o królewskiém zdrowiu?

FIRLEJ.

Wszystkie środki ratunku były pogotowiu,
Spuszczono się na Boga i na przyrodzenie.

ANNA.

Cóż z tych otuch wynikło?

FIRLEJ.

Milczy donlesienie.

ANNA.

Jakiż był sąd ostatni królewskich lekarzy?

FIRLEJ.

Królewno! złóż twe troski u stopni ołtarzy,
Ty je zdobisz codziennie twym kosztem i pracą;
Przy nich chwile boleści wiecznością się płacą:

Przy nich wszelka ustaje dla serc prawych trwoga,
Ztamtąd czysta modlitwa dojdzie aż do Boga.

ANNA.

Do ołtarzy! co słyszę? albom się zmyliła?
Zkąd Firlej zbiegł niedawno, tam mię dziś odsyła!
Firlej, co go swą głową mienią różnowierce?
Czy Bóg łaską swą skruszył obłąkane serce?
Czyli błędy złe przylgłe do polskiego czoła,
Chce odwołać i wrócić na łono kościoła?
Ta pociecha wśród trwogi bliskiéj może straty. . .

FIRLEJ.

Pani! Firlej nie zmienia wiary nakształt szaty:
On w niéj plocho na własném nie polega zdaniu,
I w tém w którém żył dotąd, umrzeć chce wyznaniu.
Jeśli króla modlitwa uratować zdoła,
Spieszmyż więc, ja do zboru, a ty do kościoła,
Błagajmy tylko nieba szczeremi ustami,
A pewnie się Opatrzność zlituje nad nami.

ANNA.

Dobrze: już dzwon poranny przed ołtarz mię wzywa:
Tam złoży swe cierpienia Anna frasobliwa.
Tymczasem daj mi słowo na ulgę boleści,
Choćby Bóg spełnił wyrok nad braterską głową,
Że Knyszyńskich przedemną nie zataisz wieści.

FIRLEJ.

Masz na to rękę moją i szlacheckie słowo.

SCENA TRZECIA.

FIRLEJ *sam.*

Odeszła. . . . ledwom ukrył srogą tajemnicę.
Wnet ona lotem gromu obieży stolicę,
Pozna ją w krótkim czasie kraj osierociały,
I z trwogą treść jéj smutną świat powtórzy cały.
Bo choć król jeszcze nie zgasł, czyż ludzkie staranie,
Zdoła w żywot, poczęte zamienić konanie?
A to trwało dzień cały, gdy ostatni goniec
Opuszczał tęskny Knyszyn. Najsmutniejszy koniec
Nadszedł dla tego rodu, który przez dwa wieki
Był dla nas wzorem boskiéj na ziemi opieki.
A z dębu tak pełnego świetnych latorośli,
Z domu, w którym królowie nam i obcym rośli,
By marność rzeczy ludzkich przykłady żywemi
Wykryć — dziś nie zostanie i śladu na ziemi.
Lecz trzeba środki przez nas popierać użyte,
By przed wszystkiem ocalić dobro pospolite;
By ta co nas nakoniec dotknąć może chłosta,
Nie zgniotła razem kraju. *F. W.*

HASAN SEBBAH

I JEGO ZWOLENNICY

LEGITYMIŚCI PERSCY.

Przed kilkunastu laty, znakomity oryentalista wiedeński, baron Hammer von Purgstall poświęcił jedno z licznych dzieł swoich wyłącznie zbadaniu dziejów i ustaw stowarzyszenia Ismaelitów, których imię i żelazo rzuciły krwawy odblask na historyą XIgo, XIIgo i XIIIgo wieków naszéj ery. Dzieło to przetłómaczone w Paryżu[1]) obiegło cały świat czytający po francuzku. Bo któż nie rad dowiedzieć się jakich nowych szczegółów o ludziach jak Baudouin, Nuradyn, Tankred, Saladyn, Amaury, Sultan-Sendżar, Hasan-Sebbah, Richard-coeur-de-lion, Czengiz chan. Obudzony wówczas przez v. Hammera interes, dzisiaj znowu się orzeźwia. Ledwie trzy lub cztery temu miesiące, dzienniki powtarzały wieści z Teheranu, gdzie młody Szah ledwie uszedł napaści kilku Babistów. Schwytani, wzięci na pytkę, ćwiertowani członek po członku, konali z uśmiechem i obietnicą w ustach, że się im „raj otwiera!" Ich wódz Bab („wrota do zbawienia") w zaprzeszłym roku, przeciągnąwszy za sobą ludność całego miasta Zenganu, umarł podobnież wesoło, patrząc w niebo, rzekłbyś śmiercią męczenników chrześciańskich. Są to naśladowcy, może następcy, Ismaelitów niezmordowanie podkopujących posady gmachu mahometańskiego. Praca ich zaczęta jeszcze w VIImém stuleciu, prowadzona przez tyle przeszkód, trwa podziśdzień. Każdy wielki wypadek na wschodzie szedł i idzie z uczucia religijnego. Wschód wierzy, Europa myśli. Zawsze tak było. Tam cuda i zboczenia czucia, tu zboczenia i cuda rozumu, przedmiot arcy godzien uwagi kapłana,

---

[1]) Histoire de l' Odre des Assassins par J. de Hammer, ouvrage traduit et augmenté de pièces justificatives par Hellert et A. de La Nourrais.

polityka, filozofa, poety. Ażeby Ismaelitów pojąć, trzeba wrócić do źródła, do dni autora koranu.

Mahomet najszczerzéj wierzył w posłannictwo swoje i dla tego siebie i swoich poświęcił krzewieniu jego. Lubił powtarzać, że „najwyższa władza jest u Boga, Bóg ją daje komu i bierze od kogo zechce" i nie troszczył się bynajmniéj o zapewnienie sobie władzy doczesnéj; nawracał, nie podbijał i umarł tak ubogi [1]), że jedyną posiadłość jego, ogród Fedek, na przedmieściu żydowskiéj twierdzy Chejbes, który mu się dostał z działu po jéj zdobyciu, zabrano do skarbu (*beit-ulmal*) narodowego, a wdowom proroka naznaczono dożywocie. Nawet wyraz *islam* „poddanie się," którym zwano mahometańską wiarę, nie znaczył za dni Mahometa uznanie jego politycznéj władzy, ale przyjęcie jego słowa, uznanie, że „niema Boga jeno Allaha, którego posłem Mahomet." Najlepszym tego dowodem jest jego wielki błąd, któregoby żaden zdobywca nie popełnił: w koranie swoim, gdzie mówił o wszystkiém, nie zostawił ani wzmianki o zapewnieniu następstwa po sobie Alemu synowcowi swojemu i ojcu Hasana i Husejna, synów Fatemy, jedynaczki proroka. Idea o połączeniu władzy duchownéj ze świecką i przeniesieniu jéj na koronę prorokowego namiestnika („*chelifé*" chalif) rozwinęła się i dojrzała po jego zgonie. Trzej pierwsi następcy jego wybierani przez prawowiernych przygotowali ją z wiedzą i bez wiedzy, nagleni rosnącym ogromem państwa. Pierwszy namiestnik, chalif Ebubekr, przydomku *Essadyk* „szczery, prosty" zaczął podboje w Jemenie i w Syryi przerwane rychłym zgonem zdobywcy. Drugi chalif z porządku Omer, przezwany *Elfaryk* „rozcinający" to jest człowiek czynny, energiczny, rzutki, mąż słowa i ręki silnéj, zdobywszy Damaszek, Jeruzalem, stolicę perską Medain, i Aleksandryą, odprawiał w meczecie modlitwę stojąc przed ludem, dowodził wojsku i rządził zabranemi krajami, był „księciem prawowiernych" *Emir almumenin* i „księciem milionów poddanych" *Emir almuslimin*, już w świeckiém znaczeniu tego tytułu. Jemu się przed innymi należy chwała postawienia politycznéj potęgi islamu na posadzie religijnéj, wzniesionéj rękami Mahometa. Chalif Osman już musiał walczyć z dwojącém się coraz wyraźniéj stronnictwem Arabów,

---

[1]) Ziomek nasz Kazimirski, jeden z lepszych arabizanów Europy, w przedmowie swojéj do tłómaczenia koranu daje inwentarz całego majątku Mahometa: „Il avoit, vingt deux chevaux, deux ânes *Ofair* et *Jafour*, cinq mules dont la plus connue, la blanche, se nommoit *Doldol*; quatre chamelles qu'il montoil et dont la plus connue ètoit *Koswa* (à l'oreille coupée); vingt autres chamelles à lait; cent brebis et quelques chevres. De neuf sabres le plus celêbre et qui passa ensuite á Ali s'appelloit *Ddhoulfikar* c'etoit un sabre à deux lames divergentes vers la pointe; trois lames, trois arcs, sept cuirasses, trois boucliers, un étendart (*liwa*) blanc et un autre noir appellé *okab* (aigle noir), c'est le même, diton, quel'on a conservé jusquà nos jours à Constantantinople sour le nom de *Sandjak Cherif* (drapeau illustre). Un manteau *borda*) qui est conservé à Constantinople sous le nom de *kherkai — cherifé* est, dit on, le même que Mahomet donna au poete Ca'b qué avoit écrit son panégérique."
(Notice Biographique sur Mahomet p. XXVIII)

z których jedni domagali się aby oddać tron Alemu i jego synom jako prawym dziedzicom proroka, drudzy zaś, oparci na świadectwie potrójnego przykładu, świeżego jeszcze w pamięci wszystkich, chcieli wybierać z pomiędzy siebie, bez względu na pokrewieństwo z osobą panujących; wołali, że każdy Arab prawowierny może być chalifem. Osman zabity. Wybór Alego był burzliwy. Jego partya przeważyła i z pogardą rzuciła niezgadzającym się imię „odszczepieńców" *motesali*. Wybór (*bejjet*) jak niegdyś na sejmach elekcyjnych w Polsce, jak tylko co we Francyi przez suffrage universel, robił się następnym sposobem: kogo lud zebrany w katedralnym meczecie stolicy obwołał, czyje imię zagrzmiało w jednogłośnym okrzyku, ten stawał przy ambonie (menbes) i dotykał się ręki przychodzących do niego oborców. Potém wychodził na przód i z twarzą obróconą w stronę Mekki modlił się, a stojący lud za nim powtarzał wyrazy i ruchy modlącego się. Następnie z ambony czytano „pacierz publiczny" *chotba*, gdzie proszono o błogosławieństwo boże dla chalifa, nazywając go po imieniu. Tak się kończyły sejmiki arabskie, gdzie jednogłośny okrzyk, dotknięcie ręki i modlitwa za plecami chalifa, świadczyły o jego wyborze. Ali obrany w Medynie i Mecce nie był nim w innych krajach chalifatu, jakkolwiek zgoda tych dwóch miast świętych była dostateczną. W Bagdadzie, emir potężnego pokolenia Arabów, Ommia, zwołał lud do meczetu i zawiesiwszy na ambonie skrwawione szaty Osmana oskarżał Alego o podnietę do mordu chalifa. Nawet w saméj Medinie na czele tajemnych wrogów, stała wdowa Mahometa i córka pierwszego chalifa, Aisza; nie mogła zapomnieć Alemu, że gdy się raz zbłąkała na pustyni w towarzystwie młodego Beduina Sefwan i nie wróciła aż nazajutrz do obozu proroka [1], Ali był w liczbie posądzających ją o niewierność małżeńską. Do urazy prywatnéj łączyły się widoki polityczne, gdyż Aisza sprzyjała stronnikom partyi pokolenia swojego. Moawia wypowiedział otwartą wojnę, kazał przed wojskiem swojém nieść koran na ostrzach włóczni. Po bitwie przegranéj pod Neheran, Ali zmuszony wyrzec się praw do chalifatu, zabity w meczecie Mediny, trzydziestego roku po śmierci Mahometa. Starszy syn Hasan umarł, podobno otruty, a młodszy Hussejn oskoczony przez konnicę Jezyda syna Moawiego w czasie podróży z Mediny do Kufy, miał głowę uciętą, z tryumfem noszoną po ulicach Damaszku. Jeżeli kolos islamu tak rozszczepiony wówczas nie runął, winien to sile dźwigni religijnéj, dziełu rąk Mahometa; odtąd dzieliły się dwa sprzeczne zdania: jedni uważali wszystkich czterech pierwszych chalifów za prawych następców proroka i przyjęli opowiadaną przez nich *sunnę* to jest ustne podanie i legendy o proroku, tłómacząc znaczenie ogólnych wyrazów koranu; drudzy przeciwnie przyjmowali tylko tradycye wyszłe z ust Alego i jego zwolenników, przyznając jemu jedynie prawo dziedzictwa. Pierwszych

[1]) Stało się to szóstego roku hedżyry, podczas wyprawy Mahometa na koczowiska Arabów Mostalik. W rozdziale XXIV. koranu Bóg uniewinnia Aiszę. Prorok także uniewinnił kazawszy zabić 80 oszczerców dowodzących przeciwnie.

stronników zwano *sunnitami*, ostatnich separatystami czyli *szyitami*. Co jedni przyjęli, drudzy odtrącali; a ztąd odszczepienie i wbrew sobie przeczące pojęcia nietylko o władzy, ale nawet i o koranie. Szyici liczą 12 imamów, czyli książąt prawdziwie mahometańskich jako spokrewnionych z prorokiem: 1) Ali i jego potomkowie, 2) Hasan, 3) Hussejn, 4) Zejnalabdin, 5) Muhammed Bagyr, 6) Dżeafer Sadyk, 7) Musa-Kasym, 8) Ali-Riza, 9) Muhammed-Tagy, 10) Hadi, 11) Hasan-ben-Hadi i 12) Eskieri. Inni idą jeszcze wyżéj, mniemają że Ali był wcielonym Bogiem, dla tego zwani *Aliuallahami*; sekta ta trwa podziśdzień w Persyi, gdzie szyicka wiara jest religią urzędową. Z czasem namnożyło się sekt szyickich bez liku. Wspomniemy o dwóch najbliżéj dotyczących naszego przedmiotu. Tak nazwani *Imamitowie*, czyli stronnicy wszystkich dwunastu tylko co wyliczonych imamów, twierdzą że imam Mehdi, syn ostatniego imama Eskieri, nie umarł dotąd ale się kryje gdzieś w górach i czeka przyjścia Chrystusa aby z nim wspólnie wszystkich ludzi nawrócić na jednę, mahometańską wiarę, a tymczasem władzę nad światem czyli imamstwo doczesne powierza swoim wybranym. *Ismaelitowie* zgadzają się na niewidomą bytność imama, lecz się różnią co do jego osoby: nieśmiertelnym imamem nie jest Mehdi, mówią oni, ale Ismael, syn szóstego z porządku imama, Dżeafer-Sadyka, o którego śmierci historya nie wspomina. Wiadomo, że i chrześciaństwo miało niektóre stowarzyszenia wierzących, że Eliasz, wedle innych święty Jan, dotychczas żyje i czeka powrotu Zbawiciela na ziemię.

Polityka nie zaniechała obrócić tego na swoję korzyść. Persya, miejsce przytułku potomków Alego, liczyła zawsze najwięcéj jego zwolenników, ale panujący tam najprzód arabscy a potem tatarscy i mogolscy szachowie trzymali się dogmatu sunnitów. Pierwszym przykładem, dynastya fatemitów władająca Egiptem, otwarcie opiekowała się lożą ismaelitów założoną w Kairze roku hedżyry 395 (A. D. 1004). Ich wielcy mistrzowie (*Dail-Doat*) najczęściéj rodem z Persyi, wysyłali emisaryuszów (*Dai*) pracujących w interesie chalifów Egiptu.

Te przedwstępne szczegóły ułatwią nam bliższe poznanie się z Hasan Sebbahem reformatorem Ismaelitów.

Ojciec jego, Ali-Sebbah, rodem z miasta Rej, którego rozwaliny dzisiaj w okolicy Teheranu, był wiary szyjckiéj, czy podobno że wiary żadnéj, gdyż oskarzony przed rządem o rozmowy antyreligijne, musiał, dla usprawiedliwienia się, posłać [1]) syna swojego na naukę teologii do Niszapuru, gdzie słynął boską i ludzką mądrością 80 letni starzec Mowafyk i co lepsza, słynął że miał dziwnie szczęśliwą rękę. Uczniowie wychodzący ze szkoły jego odznaczali się w każdym zawodzie zastosowaniem praktycznem nauki mędrca. Młody Hasan-Sebbah zaprzyjaźnił się tam z dwoma współuczniami Nizam Ulmulkiem i Omer-Chejamem. Przyrzekli sobie że któremu z nich najprzód poszczęści się do-

---

[1]) Około r. 1054. *Sebbah* znaczy po Arabsku, pływacz, umiejący dobrze pływać. Rodzina ta przyszła do Persyi od brzegów Eufratu z miasta Kufy.

robić majątku, podzieli się nim po bratersku z dwoma przyjaciołmi. Nauki skończyli dobrze, rozeszli się każdy w inną stronę, odmówiwszy *pacierz braterstwa* (*sigei-beraderi*). Po dziś dzień Persowie związani klątwą takiéj modlitwy, wierzą że kto ją naruszy nie dozna błogosławieństwa ani w obecném ani w przyszłém życiu.

Nizam-Ulmulkowi najpierwéj się powiodło Sposobił się na urzędnika panującéj wówczas w Persyi tureckiéj hordy Seldżuków. Przez wiele lat służył w kancelaryach rządów miejscowych, najprzód w krajach po za prawym brzegiem rzeki Dżejhun (Oxus); potém w afganistańskich Gaźnie i Kabulu, nareszcie w Chorasanie był mirzą (sekretarzem). Łatwa wymowa, zręczne władanie piórem i rozum praktyczny młodzieńca wpadły w oko szaha Alup-Arslana, który go z mirzy podniósł na wysoką godność wielkiego wezyra dworu, a tę godność piastował ze sławą i nietylko do śmierci swego dobroczyńcy, lecz i przez cały ciąg panowania jego następcy Melik szaha.

Były to czasy złotego wieku piśmiennictwa Persyi i obudzenia się z letargu narodowego ducha po przeszło dwuwiekowém uśpieniu. Wiadomo że panowanie Arabów w południowo-zachodniéj Persyi szerzyło się z wielką dla niéj szkodą i poniżeniem moralném. Idąc za przykładem wspomnionego już chalifa Omera, który spalił ogromne biblioteki Medainu, barbarzyńsko topił i niszczył wszelkie pomniki świadczące o dawnéj potędze i nauce zwolenników Zoroastra, późniejsi chalifowie zacierali ostatnie ślady pamiątek irańskich. Co miecz oszczędził, czego fanatyzm nie dostrzegł nikczemniało lub mierzchło w blasku oświaty arabskiéj, co z Bagdadu środkowego punktu swojego, promieniła na resztę podbitego świata. Kto chciał słynąć i używać na dworze chalifów bagdadzkich, musiał mówić, pisać i myśleć po arabsku. I dokonali dzieła zagłady wszystkiego co perskie, tak skutecznie, że dzisiaj nie mamy piśmiennych pomników starszych od hedżyry, a język perski, tak przemięszany arabszczyzną, że się jeszcze z niéj nie otrząsł. Chwała poetom perskim iż pierwsi mścili się za zniewagę wyrządzoną majestatowi narodowości; wygnanka z brzegów Eufratu, ojczyzny swojéj, irańska muza poszła na tułactwo ku wschodnim krańcom państwa Szapurów, do Chorasanu, do Afganistanu. Tam w X. wieku naszéj ery patryotyczne serce największego z poetów Persyi, Ferdousi [1]) zabolało nad skażeniem ojczystéj mowy, zeszpeconéj cudzoziemszczyzną. W 60,000 dwuwierszach nieśmiertelnéj Epopei swojéj, *Szah-name* (księga szahów) opowiedział dzieje przedislamskiéj Persyi, nie używszy ani jednego arabskiego wyrazu! Za nim po utorowanéj drodze, rzucili się inni robotnicy sprawy ojczystéj, a tatarskie oczy gaznewijskich szahów bystro dostrzegły politycznych korzyści w tém zjawisku narodowéj siły i samoistnego życia. Najprzód oni, a po nich Seldżukowie zaczęli

---

1) W wyrazach perskich *ou* wymawiam jak po polsku w wyrazach kto *umie*, i wszędzie czytać jak się pisze. Ortografii imion francuzkich nie odmieniam.

także hojnie wspierać i zachęcać piśmiennictwo perskie, jak to czynili Abbasidowie z arabskiém.

Nizam-Ulmulk, nietylko był dobrym ministrem ale i nie lada historykiem Persyi i wołał na dwór szaha wszystkich co piórem słynęli. W liczbie ich Omer Chejam, bez grosza ale już znajomy w kraju jako astronom i poeta, przyszedł przypomnieć mu szkolną obietnicę. Spotkanie się dawnych uczniów Mowafyka było przyjacielskie. Szah chciał go zrobić ministrem dworu, na wstawienie się wielkiego wezyra. Chejam nie przyjął. Był to epikurejczyk z nałogami lenistwa, nieporządny, niezdolny do prac realnego życia i wyznał szczerze, iż gdyby miał o czém, woli gdzie w wygodném zaciszu liczyć gwiazdy i klecić wiersze niż służyć u dworu. Szah naznaczył mu 60,000 dukatów dożywocia, z podatkowéj dani Niszapuru, gdzie odtąd Chejam żył spokojnie, posyłając do dworu swoje *rubajat,* fraszki i epigramata czterowierszowe znajome i teraz w literaturze perskiéj.

Co robił Hasan Sebbah i dla czego tak długo nie chciał korzystać z przyjaźni wszechwładnego Nizam-Ulmulka? niewiadomo. Dziejopis perski Mirchond przechował jego ustne wyznanie: „W młodości mojéj, „nawet w poranku dzieciństwa bo na ósmym roku życia zapragnąłem „już nabycia nauk. Wychowany w wierze moich przodków, imamistów. „poznałem się przypadkiem z pewnym Ismaelitą, na imię Emire-Darab. „Poprzyjaźniliśmy się. Mówiłem z nim o egiptskim chalifie jako o he„retyku, przesiąkłym filozofią i doktrynami ismaelickiemi. Emire czę„sto bronił je. Zbijałem jak mógłem jego dowody, a nieraz przychodzi„ło do kłótni o główne zasady wiary. Wszakże uwagi Emirego tyczą„ce się dogmatów imamistów i jego sposób zapatrywania się na nie „uderzyły mię. Po odjeździe Emire-Daraba zachorowałem ciężko i nie„raz bezsenne nocy przechodziły na rozpamiętywaniu rozmów naszych. „Żal mi było mojéj niewiary i że nie skorzystałem ze zręczności wej„ścia do związku Ismaelitów. Po wyleczeniu się poznałem innego Isma„elitę Abu-Nedżm-Seredż który wytłómaczył mi dokładnie wszystkie „szczegóły ich wiary. Nakoniec spotkawszy ich emisaryusza (*Dai*) Mu„mina prosiłem, aby przyjął moją przysięgę na wierność i służbę „im. Było to właśnie w czasie przyjazdu do Reju namiestnika loży ka„irskiéj, Abd-Ulmelek-ben-Alesza. Po kilku rozmowach tak mię sobie „podobał, że mi natychmiast dał urząd emisaryusza i radził abym je„chał do Egiptu służyć imamowi jego, chalifowi Mustenser. Szejch-Rei „pojechał do Ispahanu a ja w ślad za nim do Kairu."

Celem polityki egiptskich chalifów, było wywrócić tron chalifatu bagdadskiego i po tym podnóżku wejść na tron Persyi. Ich emisaryuszowie taili posłannictwo swoje. Zdaje się, że Hasan-Sebbah już po powrocie z Kairu zaczął serio przemyśliwać o skorzystaniu z obietnicy dawnego towarzysza szkół w Niszapurze. Przybywa na dwór Melikszaha. Przyjacielskie przyjęcie Nizamulmulka, zapoznanie przybysza z szahem, szacunek i gotowość do pomocy, wszystko radziło Hasan-Sebbahowi korzystać ze zręczności. Szah nietylko podobał go, ale widocznie uległ

przewadze właściwéj charakterom silniejszym nad słabszymi. Żadna ważniejsza sprawa nieskończona bez zasiągnienia rady Sebbaha. Zdarzyła się raz potrzeba przejrzenia rachunków skarbowych, rachunków bardzo zawiłych, wymagających jak mówił Nizam Ulmulk kilka miesięcy czasu. „Niech mi je wasza szahska mość powierzy, skończę za dni kilkanaście.” „Zgoda mój Sebbahu, najchętniéj.” Był to cios okropny dla Nizam Ulmulka. Szah bez tego już pod wpływem Hasan-Sebbaha, skończyłby na mianowaniu go pierwszym ministrem, byle mu złożył dowody biegłości swojéj w rachunkach. Opisanie tego czytamy w doszłém rąk naszych dziele [1]) Nizam-Ulmulka, gdzie sam oddaje sprawiedliwość Sebbahowi, iż istotnie uiścił się z obietnicy po mistrzowsku, i w naznaczony dzień oddał szahowi skończoną pracę. Nazajutrz otrzymał rozkaz opuszczenia bez zwłoki stolicy i niepokazywania się odtąd u dworu. Za co? nikt nie wie, a szah milczał. Opisanie Nizam Ulmulka kończy się uwagą, że gdyby nie ten *przypadek*, mnieby nie jemu przyszło pożegnać się na zawsze z urzędem wezyra. Wnoszono, że szah nie mogąc dojść ładu w kolumnach liczb, rozgniewał się, co podobne do prawdy. Perscy bowiem ministrowie nie mają zwyczaju pisać sprawozdań swoich na osobnych poszytach, ale na różnéj wielkości kartkach, które się zwijają w jednę trąbkę noszoną za pasem, jak u nas w portfeuilu. Nie trudno było Nizam-Ulmulkowi znaleźć zręczną rękę, co wyciągnąwszy kilka kartek z podanego królowi rachunku pomięszała wszystko. Hasan-Sebbah nie usprawiedliwił się i rzucił dwór gdzie pierwszym być nie mógł, a ostatnim nie chciał. W umyśle jego dojrzewała już myśl dźwignienia potęgi czysto perskiéj z religią reformowaną po swojemu. Być powiernikiem a tém bardziéj współdziałaczem podobnéj sprawy, Nizam-Ulmulk nigdyby się nie zgodził, człowiek zacny, prosty, szczerze przywiązany do panującéj osoby i wiary.

Sebbah uszedł pokryjomu do Ispahanu do domu ziomka, późniéj zwolennika swojego Abulfezl rodem z Reju. Historycy powtarzają często wyrzeczone tam jego słowa, dowodzące, że już szukał sobie ślepych wykonawców woli swojéj: „Znalaź mi dwóch, choćby dwóch tylko, przyjaciół wiernych i poświęconych, a zwalę z nóg potęgę tego *chłopa* i tego *Turka*,” to jest Nizam-Ulmulka i szaha. Ziomek nierozumiał téj przechwałki wygnańca grożącego ludziom najpotężniejszym w kraju. Wziął je za gorączkowe bredniе chorego mózgu i nic nie mówiąc zaczął go jak na dobre leczyć od pomięszania zmysłów, szafranem i aromatycznemi ziołkami niby dla przyprawy dodawanemi do jadła i napoju gościa. Hasan-Sebbah postrzegł się, nie przeszkadzał niewinnéj usłudze, ale wkrótce odszedł do Egiptu spróbować raz jeszcze szczęścia na dworze królewskim. Mówią, że dwadzieścia lat późniéj, gdy już ani szah ani Nizam-Ulmulk nie żyli, a Abulfezl stał w poczcie, sług przed przemożnym panem Alemułu, na którego skinienie padały koronowane głowy od Indyi do Egiptu, „no, a teraz Abulfezlu,” zapy-

[1]) *Nesaih-Ulmuluk* „Rady panującym.“

„Syna Bożego, w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystuso-„wéj.“ Zobaczmy azaliż dobrze rozumiem tekst święty? Udajmy się do ojców kościoła. Oto Wincenty z Lerinu zapytuje się siebie udowodniwszy wprzód niezmienności dogmatu katolickiego. „Jakżeż czyli nie będzie po-„stępu w kościele Chrystusowym?“ I zaraz odpowiada: „Będzie, a nawet „wiele, któż albowiem dobraby ludziom do tyla zajrzał, któżby był do ty-„la od Boga przeklęty aby miał postępowi przeszkadzać. Wszelako niech „to będzie postęp, a nie zmiana... Trzeba żeby z każdą epoką, z każdém „stuleciem przybywało rozumu, roztropności, nauki ludziom pojedynczym „równie jak i całemu społeczeństwu.“ Bossuet idzie daléj w kolei podania ojców. Wielki ten człowiek tak nieprzychylny nowościom ufa w postęp co do wiary. „Chociaż zawsze jedna i wieczna prawda katolicka miewa „przecie jakiś postęp: znają ją w jedném miejscu więcéj jak w drugiém, „w jednym czasie lepiéj jak w drugim, jaśniéj, dobitniéj, powszechniéj.“

Nie dziwi mnie zgoła różnica w uczuciach starożytności i czasów chrześciańskich. Postęp jest wysileniem, przez które człowiek wydziera się obecnéj niedoskonałości by doskonałości szukać, rzeczywistości by się zbliżyć do ideału, sobie samemu by się wznieść do tego co więcéj od niego warte. Niema postępu jeśli człowiek siebie tylko miłuje, jeśli poprzestaje na swojém nieuctwie i na zepsuciu swojém. Zapewne starożytni znali powaby doskonałości, w wielu nawet razach ją osiągnęli. Doskonałość przecież tylko im zamglone pokazywała oblicze; podnosiła na chwilę dusze niektóre, ale te samolubstwem pogańskiém ociężałe, zawsze w końcu upadały napowrót. I żeby człowiek wyzuł się z siebie samego, a wyzuł się nie na czas ale na zawsze, trzeba było by mu się pokazała doskonałość czysta, by mu się objawił Pan Bóg.

Bóg w chrześciaństwie objawia się jako prawda, jako dobro, jako piękno. . . .

Człowiek wedle chrześciaństwa żyje dwojakiém życiem, życiem natury i życiem łaski. W porządku nadprzyrodzonym prawda objawiona wierze stanowi dogmat, dobro przyjęte przez człowieka daje moralność, piękno ujrzane w części przez nadzieję w cześć widomą się wywiązuje. Zdawałoby się, że to wszystko jest niewzruszone, a jednak Wincenty z Lerinu chce by tu prawo postępu władało. Dogmat się nie odmienia, wszelako wiara jest siłą czynną szukającą światła *fides quaerens intellectum.* Jeżeli zachowuje prawdę objawioną, zastanawia się nad nią, szuka objaśnień, i ze składu który pamięć dziecka objąć może wyprowadza *Summę* Ś. Tomasza z Akwinu. Moralność się nie odmienia, wszelako miłość, która jéj daje życie nie zna odpoczynku. Przepisy zostają jedne, dzieła się mnożą nieskończenie. Wszystkie natchnienia miłości chrześciańskiéj znajdują się objęte w przemówieniu na górze, trzeba jednak było wieków by z tego wyszły klasztory, szkoły i szpitale, które okrywają Europę. Nakoniec kult nie odmienia się przynajmniéj co do głównéj swojéj podstawy którą jest ofiara: liturgii męczenników w więzieniu wystarczało trochę chleba i trochę wina. Wszelako niezmordowana nadzieja popycha człowieka by się przybliżył nieco do piękności bożéj, któréj nie będzie na ziemi twarz w twarz oglądał. Bierze on ku pomocy wszystko co tylko zdaje się wznosić ku niebu, kwiaty, ogień, kadzidło. Daje zapęd kamieniom i wieże katedr do niesłychanéj wznosi wysokości. Modlitwie przyprawia dwa skrzydła poezyi i śpiewu, które ją jeszcze wyżéj jak katedry i wieże prowadzą. Cokolwiek jednak robi pozostaje w nieskończonéj odległości od celu, do którego zmierza. Ztąd ów smutek który oddycha w pieniach świąt uroczystych. Odchodząc od świętych obrzędów człowiek religijny doznaje uczucia nudy ziemskiéj i mówi z ś. Pawłem: *Cupio dissolvi.* A i to wykrzyknienie jest jękiem duszy chcącéj wznieść się wyżéj; w istocie chrześciaństwo pokazuje nam świętych

posuwających się ze światłości w światłość i szczęście życia przyszłego jako postęp wiekuisty.

Porządek nadprzyrodzony panuje nad porządkiem przyrodzonym, oświeca go, udziela mu płodności i ładu. Dogmat podsyca filozofią, prawa religijne służą za pierwszy pokład konstytucyom politycznym, kult wzbudza architektów i poetów. Z tém wszystkiém porządek naturalny choć podległy, odrębność pewną zachowuje; ma on swoje właściwe światło jakkolwiek niedostateczne a tém jest rozum. Prawda, dobro i piękno znajdują tam sposób pojawienia się drogą umiejętności, instytucyi towarzyskich, tudzież sztuk pięknych.

Powstaje umiejętność znajdując także zasadę swoich rozwinięć w wierze. Rzeczywiście na dnie rozumu jest wiara przyrodzona. Ona to wskazuje umiejętności punkt wyjścia wśród pewnéj liczby prawd, których dowieść niepodobna. Kto chce rozumieć musi wierzyć; kiedy Descartes pokusił się odbudować cały gmach wiedzy ludzkiéj, za kamień węgielny położył ten pierwszy pewnik: „Myślę a więc jestem." Zarazem wiara otwiera przed umiejętnością zawód bez kresu, skoro jej udziela idei nieskończoności. Nigdy od téj idei nie uwolni się umysł ludzki, będzie ona go dręczyć bez przerwy, każe mu pogardzać tém co znajome a namiętnie szukać rzeczy nieznanych; nie da mu pokoju aż dopóki nie znurtuje natury by za jéj granicami uznać Boga.

W instytucyach towarzyskich miłość staje się początkiem postępu. Ład towarzyski opiera się na dwóch cnotach: na sprawiedliwości i na miłości. Wszelako sprawiedliwość już wiele miłości przypuszcza; trzeba albowiem bardzo kochać człowieka, żeby uszanować jego prawo nasze prawo ograniczające, i jego wolność, która naszéj wolności zawadza. Kto kocha ludzi, ten w obec nakazu czynienia im tego coby chciał żeby jemu czyniono, a pragnąc dla siebie nieskończonego dobra, nigdy nie przypuści żeby już dla nich dosyć zrobił, a kiedy strawi życie swoje na ofierze, powie umierając: „sługa nieużyteczny jestem."

W sztukach pięknych postęp płynie z nadziei. Tylko że piękność doskonała ucieka przed wyobraźnią ludzką co ją ściga. Niepodobna lepiéj jak św. Augustyn wyrazić boleści duszy, któréj wiecznie się usuwa ideał wiecznie pożądany. „Co do mnie, powiada, zawsze prawie mowa moja mi „się nie podoba, bom chciwy lepszego, które że posiadam w głowie tuszę.... Idea oświeca mój umysł z szybkością błyskawicy; owoż mowa do „niéj niepodobna; słowa przychodzą mi wolno, za późno i zanim ich szereg „ustawię, idea już uciekła w swoją tajemniczą kryjówkę." Skarga ś. Augustyna, to skarga wszystkich tych, co marzyli o piękności, szukali jéj usilnie i są dosyć wielkimi, by dać świadectwo, że jéj nigdy nie dosięgli. Patrzmy, Wirgiliusz umiera skazując ***Eneidę*** na spalenie. Tasso nie może się pocieszyć że napisał ***Jerozolimę***. I zdawałoby się, że skoro taki niesmak ogarnia nieśmiertelnych sztukmistrzów, sama sztuka zniechęciéby się powinna. Gdzie tam; nadzieja potężniejsza od przyznanéj nieudolności wielkich ludzi, ogarnia znowu tych którzy po nich idą i przyprowadzą ich na powrót do przerwanego dzieła. Nadzieja nagli architektów i malarzy wznoszących nowe gmachy, choć już stoją Kolizeum, Panteon i kościół N. Panny w Paryżu; malujących Chrystusów, Madony, święte rodziny wprzód nim czas zatarł farby Giotta i Rafaela. Poeci są najzuchwalsi; oni swoje głosy podnoszą kiedy jeszcze świat brzmi pieniami Homera i Wirgiliusza. Prawda te wzory niezrównane zrazu przejmują ich pomięszaniem. Dante na wstępie do piekła waha się, czy rozpocząć swoją poetyczną a straszną pielgrzymkę. Jednakże nadzieja gwałtem go na ciemne drogi popycha. A jeśli nieraz w ciągu podróży zadrżą pod nim kolana i serce mu omdleje,

tał pan: „czy przekonałeś się nareszcie, kto z nas nie wiedział co robi, pamiętasz w Ispahanie? Czy mnie czy tobie potrzebniejszy był szafran i ziółka chłodzące mózg chory?”

Wielka była radość w loży Izmaelitów Kairu, na wieść, że Hasan-Sebbah zbliża się do miasta. Chalif kazał mu przygotować pokoje i przyjąć jak księcia, wszakże nie chciał, może bał się, widzieć go. Wielki mistrz kairskiéj loży Izmaelitów, z dostojniejszymi panami dworu wyjechali na spotkanie; przy wrotach miasta czekały go miejscowe urzęda stolicy, wprowadzono otoczonego licznym orszakiem konnych i pieszych. W Kairze bawił długo i czynnie mięszał się do intryg dworowych, co obudziło zazdrość i nienawiść naczelnika wojsk egipskich. Dwóch synów chalifa dobijało się o godność następstwa tronu w razie śmierci ojca. Partya syna mającego za sobą chalifa i Hasan-Sebbaha, przegrała i musiała ustąpić pierwszeństwa księciu wspartemu silniejszą ręką dowódzcy wojsk. Za to Hasan-Sebbah stracił wziętość i jak przestępca wtrącony do więzienia w Damiette.

Ucieczka jego ztamtąd już nacechowana znakami proroctwa i prozelityzmu, których urokiem Hasan-Sebbah wiódł późniéj za sobą tysiące zwolenników. Wieża więzienia upadła niewiadomo dla czego, lud Damietty przerażony wołał, że to skutek czarów więźnia Izmaelity, że grożą jeszcze większe nieszczęścia, jeżeli go natychmiast nie wyszlą z miasta. Związano go i wrzucono w okręt odbijający do Afryki, a gdy płynęli, powstała burza. Fale zalewały statek, majtkowie drzeli z przestrachu. „Nie bójcie się niczego,” mówił spokojnie więzień. „Pan nasz przyrzekł, że mię zachowa cało. Ja z wami.” Wiatr złagodniał, powiał w przeciwną stronę ku zachodowi i przybili bez szwanku do brzegów Syryi. Hasan-Sebbaha majtkowie uczcili jak świętego, puścili wolno. Zabawił jakiś czas w Alepie. Odtąd działał we własném imieniu. Z Bagdadu jechał do południowéj Persyi, zwiedził Chuzistan, Ispahan, Jezd, Kierman, potém znowu przez Ispahan do Damganu, minąwszy po drodze rodzinne miasto swoje Rej. Wiedział tam że z rozkazu Nizam-Ulmulka miano go schwytać i odesłać jak szkodliwego włóczęgę na dwór szaha. Z Damganu górami przez Firuzkuh i Mazenderan do Dejlenin przedzielonego tylko szerokością góry Derwek od kazbińskiego powiatu Rudbar, gdzie obronny zamek Alemut słynął od dawna swojém niedostępném na stroméj skale położeniem, najważniejszy punkt strategiczny między Kazbinem i Gilanem. Cytujemy tu umyślnie tyle imion miast zwiedzonych przez Sebbaha, gdyż po nich, niby po szpilkach zatknionych na jeograficznéj karcie, widna cała droga i plan jego tajemniczéj wyprawy. Jednym tym pochodem zapewnił sobie kilkanaście twierdz izmaelickich rozrzuconych w Syryi po Anti-Libanie, osadzonych jego zwolennikami, tyleż twierdz osadzonych w Kuhestanie, w przypołudniowych granicach Chorasanu, a w trzecim północnym kącie tego olbrzymiego trójkątu, to jest w Alemut, sam osiadł. Ostatnią tę twierdzę zajął roku 1090. (w środę dnia 6 miesiąca Redżeb, roku 483 hedżyry). Wszystkie te trzy siedziby Izmaelitów reformowanych przez Sebbaha są

podobnegoż wejrzenia: góry i skały porozrywane stromemi przepaściami, wzdłuż i w poprzek porznięte wąwozami, urwiska, wiszary, potoki na dnie ciasnych kamienistych łożysk i wązkie ścieżki po ścianach nagich opok prowadzące do twierdz i wieżyc, zkąd garstka obrońców, jeden kamień zepchnięty ze szczytu może wstrzymać lub zniszczyć najdzielniejszą napaść.

Wiekiego tego dzieła dokonał tak skrycie, że żaden z perskich historyków nie umie nam pomódz do rozwikłania tajemnicy. Mówią, czemu nie łatwo uwierzyć, iż Hasan-Sebbah dostrzegłszy, że liczebna wartość liter [1]) A, l, e, m, u, t, odpowiada 483 latu hedżyry, przyszedł tegoż roku z Dejlemu i prosił Mehdiego, rządzcy Alemutu, aby mu tam za 3,000 dukatów przedano tyle tylko ziemi, ile jéj mogła objąć jedna skóra wołowa, powieść podobna starszemu podaniu o założeniu kartagi. Mehdi zrazu zgodził się, ale potém chciał zerwać umowę, przekonawszy się, że skóra postrzyżona w pasy otoczyła całą przestrzeń obwodu wałów twierdzy Alemutu, więc wygnany przemocą. Odchodzącemu Sebbah dał na piśmie rozkaz następnéj treści: *„Muzeffer rodem z Reju zapłaci Mehdiemu 3,000 dukatów za Alemut. Cześć prorokowi i jego rodzinie. Boże dawco dobrodziejstw, pomagaj nam.“* Muzeffer rejski był namiestnikiem szahskim w Damganie, mąż wielkiéj wziętości u dworu, natychmiast po przeczytaniu kartki i z wielkiém zadziwieniem Mehdiego, zapłacił co do grosza.

Cóżkolwiekbądź, to najpewniejsza, że odtąd Hasan-Sebbah, nazwany „Panem Góry” (szejch-uldżebel) panował wszechwładnie i że rozkazy jego przysyłane z Alemutu do Syryi i do Kuhestanu, zwolenniey spełniali jak wyroki boże. Urosł związek, ludzi moralnie spojonych silną nicią ustaw, które nas nie doszły. Nie wiele wiemy o reformie Hasan-Sebbaha i to co wiemy, przeczytane albo w ułamkach, bardzo już rzadkich pism Ismaelitów niereformowanych, albo co gorsza, w dziejach zostawionych nam przez nieprzyjaciół związku przerażonych jego tajemną potęgą. Bezstronny krytyk czytając skargi, narzekania, przekleństwa i obelgi autorów perskich i europejskich, żądałby także wiedzieć, co mówią na swoją obronę zwolennicy Sebbaha, ale ich akta, jak to zobaczymy późniéj, spalono do szczętu. Uczony v. Hammer staje na czele oskarżycieli, nazywa Sebbaha oszustem, obłudnikiem, rozwiozłym buntownikiem etc. Jak to pogodzić ze świadectwami, zostawionemi nawet przez nieprzyjaciół, że Hasan-Sebbah był mężem wielkiego serca, sprawiedliwy, trzeźwy, srogi stróż praw zakonu, niefolgujący nawet własnym dzieciom? Każdy założyciel stowarzyszenia przeważnie wpływającego na losy ludzkie, musi niezbędnie mieć w umyśle swoim wszystkie zarody siły i życia, wszystkie moralne zasoby przyszłości, nieraz wiekowe zwolenników swoich. Szal-

---

[1]) Każda głoska perskiego alfabetu podobnież jak i u Słowian ma liczebną wartość, zobaczemy późniéj zrobiony takim sposobem chronogram daty, zdobycia Alemutu

bierz i nikczemnik mogą wielu oszukać, złudzić do czasu, nikogo nie natchną uczuciem poświęcenia się fedewich Sebbaha.

To co o ich związku możnaby wnosić z rozrzuconych tu i owdzie wspomnień, ogranicza się do następnego rysu:

Organizacya zewnętrzna. Pan Góry, czyli wielki mistrz mieszkający w Alemucie, rozkazywał stowarzyszeniu złożonemu z członków: 1) *Naib* „namiestnik" albo *Daildoat* „wielki przeor," rządzący w Syryi i Kuhestanie z ramienia pana Góry. 2) *Refyk* sodalis, towarzysz, jakim był każdy związkowy, złożywszy dowody nietylko osobistego poświęcenia się bez granic, ale i umysłowych zdolności otwierających mu przystęp do tajemnic związku. 3) *Fedewi* „zwolennik," sługa albo braciszek przysiężny związku. Imieniem tém nazywano w ogólności wszystkich związkowych, szczególniéj zaś emisaryuszów związku na służbie. 4) *Lasyk*, kandydat, przyszły zwolennik związku próbowany już ale jeszcze niedoświadczony, a zatém urzędowie nieprzyjęty.

Katechizm związku składał się z siedmiu rozdziałów czyli treści nauk udzielanych wedle zdolności i zasług związkowego. 1) *Aszinai ryzk* „wiedza czém się karmić," czyli ogólne rady dawane związkowym w krótkich enigmatach, jak n. p. „nie rzucaj nasienia na rolę jałową." „Nie mów w domu gdzie lampa się pali." 2) *Teenis*, „przynęta, oswojenie," czyli wskazanie sposobu robienia zwolenników związku. 3) *Koran*, tłómaczenie jego dosłowne po persku. 4) *Ehd*, „sojusz" czyli wiadomości udzielane nowozaciążnym, powołanym do przysięgi na członka związku. 5) *Tedlis* czyli wykład różnicy praw związku od praw rządzących innemi stowarzyszeniami. 6) *Teesis* „utwierdzenie" czyli spowiedź sumienia, treściwy wykład zasad i nauk objawionych w czterech pierwszych rozdziałach, ażeby uczeń dobrze je zrozumiał i spamiętał. 7) *Teevil* „wykład" martwéj litery koranu czyli słowa „*zesłanego*" (tenzil). Najważniejszą tę część katechizmu udzielano małéj liczbie wybranych. Pod względem moralnym, zwolennicy dzielili się na dwie różne połowy *Zahiri* „zewnętrzni" czyli biorący rzeczy powierzchownie, niesięgający głębiéj i *Batini* „wnętrzni" to samo co *Bewatine* [1]), ludzie duchowi, zgłębiający tajemnicę, widzący ostatnie słowo i rzeczywistą treść wszystkiego, wiedzący komu niewidomy imam poruczył doczesną władzę swoję i co wolno a czego nie wolno. Nie zgadzam się z v. Hammerem, że tém ostatniém słowem było: „Prawda nie istnieje, a wszystko godziwe" — czyli w nic nie wierz i rób co ci się zamarzy. Autorowie perscy piszący o zwolennikach Sebbaha nazywają ich najczęściéj *Bewatine*.

Dźwigniony związek trzydziestoletnią tajemną pracą Sebbaha, nakoniec nie lękał się dnia białego i stanął widomie. Władzca Persyi Melikszah panował już nad ogromną przestrzenią Azyi, od Antyochii do Kaszgaru i zdaje się lekce sobie ważył to nowe zjawisko. Dopiero aż

---

[1]) Jedną z sekt roskolników w Rossyi nazywają tam podobnież „*Duchoborcami*," albo poprostu „*Duchowcami*."

we dwa lata po odpadnieniu twierdzy Alemut, posłał tam wodza swojego *Emirtasz* z oddziałem wojska. Napadł on na zamek niespodzianie, gdy Hasan-Sebbah miał tylko 70 fedewich przybocznéj straży. Jużby się poddali, gdyby nie przykład spokojności i zimnéj krwi jego. W ślad za obietnicą, że twierdza ich jest „domem szczęścia,” pokazały się z za gór posiłki przysłane w pomoc; wierny fedewi Abu Ali prowadził 300 zwolenników zwerbowanych w Kazbinie. Wojsko szaha uciekło. W innym kącie trójkątu Sebbahowego, w Kuhestanie, namiestnik Husejni-Aini, odparł napaść wojsk królewskich oblegających twierdzę Muminabod, pod przewodem seldżuksiego wodza Kyzyl-Saryk. W obu napadach widziano dowody nienawiści wielkiego wezyra Nizam-Ulmulk, który tegoż roku (1092) przeszyty kindżałem jakiegoś fedewi we własnym pałacu. Wkrótce po nim umarł i król, Melikszah otruty jak mniemano ręką podobnegoż zwolennika. Zgroza i przestrach padły na wszystkie kraje państwa Seldżukow. Każdy z panów dworu szukał zbójców w poczcie własnych sług i krewnych, za cień podejrzenia karali śmiercią. Mordowano bez litości fedewich gdzie kto mógł i nawzajem mordowani bez litości. Tak zginął Bagdadu rządzca Emir Borsuk, tak Eresz Nizami (r. 1096.) zięć wuja królewskiego i wielu innych. Rzucono się do broni duchownéj. Mołłowie z ambon, teologowie i juryści w okólnikach, broszurach i rozprawach rzucali klątwy, ostrzegali prawowiernych o szerzącéj się herezyi. Doszło nas nie jedno z pism ówczesnych. Traktat sławnego Imam Gezeli nosi tytuł: „O głupstwie ludzi na wszystko obojętnych (tak nazywali związek), przebrzydłych odszczepieńców, o niech ich Bóg wytępi do ostatniego!”

Co niebezpieczniejsza, twierdze i zamki obronne w okolicach najludniejszych miast Persyi odpadały i przechodziły pod władzę Alemutu. Niedaleko Ispahanu zamki Dirkul, Kelendżan i Szahdurr (perła królewska). Tę ostatnią zbudował był szah nieboszczyk z wielkim nakładem za poradą Greka, posła byzantskiego cesarza. Szukając raz na polowaniu zbłąkanego na skale wyżła, poseł uderzony jéj niedostępném położeniem, upewniał, że z niéj będzie najobronniejsza w świecie twierdza. Dzisiaj wszystkie trzy zdradą lub siłą osadzone garnizonem fedewich, podobnież zamkom: Westemkuh w Iraku przy mieście Ebher; twierdza Chaluchan w Farsie; twierdza Firuzkuh i przy Damganie chorasańskim sławna w dziejach związku twierdza Girdekuh.

W tychże czasach krzyżowi rycerze zdobyli (r. 1110) Jerozolimę. Zwolennicy Sebbaha w Syryi, sprawiedliwie posądzani o „obojętność“ dla islamu, sprzymierzyli sie z Baudoin. Chodziły wieści o projekcie cesarstwa, izmaelsko-chrześciańskiego, co, z pomocą Europy, miało lada dzień wznieść się na gruzach państw Abbasidów i Seldżukidów. Przymierze to, nieraz zrywane, trwało przeszło dwa wieki. Na początku XII stólecia Emessy książe Dżenah-Eddoulet, padł pod sztyletem syryjskiego fédewi w chwili, gdy spieszył na obronę zamku Hesn-Elekrad oblężonego przez hrabiego de St. Gilles. Wsławiły się imiona Sebbaha namiestników Muzeffera Rejskiego w Girdekuhu, synowca pana góry

Abulfettaha w Sarmin, na południe Alepu, w Kuhestanie znajomego już nam Husejni-Kaini i nakoniec Buzurgumida w Iraku, którzy podobnie czterem chalifom Mahometa sieli słowo i zwycięzstwa.

Nadzieje zrobienia cesarstwa izmaelicko-chrześciańskiego rozbiły się o dwie główne przeszkody. Pierwszą stawił geniusz Sultan Sendżara następcy Melek szaha. Drugą, zdaje się, sami chrześcianie, szczególniéj zakon templaryuszów. W stósunkach ich z namiestnikiem syrijskim Sebbaha interes polityczny przeważa, chcieli raczéj podbijać, niż nawracać. Gdy Abu Tahir, komendant związkowéj twierdzy Sarmin na wezwanie mieszkańców Apamei zajął to miasto hołdujące chalifom egipskim, Tankred pospieszył tam z Krzyżakami, odbił Apameę i, pomimo przyrzeczenia puścić wolno Abu Tahira posłał go pod strażą do Antyochii i nie uwolnił aż poźniéj, gdy związkowi złotem wykupili zakładnika. Dziejopis arabski Kemal Eddin żali się na to złamanie rycerskiego słowa. Przeciwnie zaś, akwizgrański kronikarz Albert d'Aix, gani Krzyżaków głupstwo, że darowali życiem heretyka. Towarzysze broni Abu Tahira, a w ich liczbie Sebbaha synowiec Abul Fettah, skończyli jeszcze gorzéj. Zdradziecko wydani przez Krzyżaków poginęli w okropnych mękach pod żelazem katów Chalifa Kairu. Niedługo potém Tankred wziął ich twierdzę Kufrlane („gniazdo niewiary"). Abu Tahir wrócił do Persyi, związkowi pozostali w Syryi mścili się na mahometanach i chrześcianach. Moudud książę mosulski zamordowany przez nich w meczecie Damaszku (r. 1113). Zabójca nieuszedł bezkarnie, rozsiekany w drobiazg przy trupie księcia. Tegoż roku, po śmierci Rizwana, rządzcy Abbasidów w Alepie i przyjaciela Izmaelitów, następca jego eunuch Lulu, kazał wyrznąć wszystkich zamieszkańców należących do związku. Przeszło 300 osób, bez względu na wiek i płeć zakrwawiło te jatki człowiecze. Dwiestu innych wtrącił do więzienia. Prawo odwetu wywołało nowych mścicieli. Bediy rządzca Alepu zabity wraz z synem (r. 1119), ich zabójca widząc że nie ujdzie pogoni rzucił się do rzeki i utonął. Nieraz rządy nieśmiejące odmówić żądaniom związku odwoływały się do mieszkańców miast i prowincyi. Tak Ilgasi rządzca Abbasidów w Alepie, za prośbą namiestnika, aby związkowi oddać twierdzę Szerif, appellował do rady miejskiéj: Alepianie sami zniszczyli twierdzę i zasypali rowy. Bohater Jeruzalemy wyzwolonéj Nureddin (Nuradyn) pytał mieszkańców Damaszku co ma odpowiedzieć namiestnikowi Sebbaha, chcącemu kupić zamek Beitleha? „Zrównać go z ziemią" co uczynili.

W Persyi, bliżéj oczu pana góry, brat szaha, i jego rządzca Iraku, czynnie pracował przeciw związku, bił i niszczył gdzie mógł, i raz wraz na każdy zamach pioruny ciskane z Alemutu odpowiadały. Abul-Muzeffer-Ali, syn Nizam-Ulmulka i dziedzic jego urzędu i jego nienawiści, zamordowany wspólnie z książęciem krwi panującéj Czakir Begiem. Rządca Iraku postanowił jednym pochodem skończyć raz na zawsze, zadusić hydrę w legowisku jéj. Przyszedł z licznym pocztem wybornego wojska pod mury Alemutu i Lamjeseru i nagle umarł (r. 1117). Wojsko przerażone odeszło z niczem.

Długo wierzono że szah, Sułtan Sendżar, jest skrytym zwolennikiem Sebbaha i używa żelaza fedewich do pozbycia się niebezpiecznych państwu osób jak Mohammed, Czakir Beg *etc.* Historycy perscy upewniają że pewnego poranku, znalazł w swojéj sypialni sztylet wbity po rękojęć przy samém łożu i tegoż dnia odebrał kartkę ręki Sebbaha: „Gdyby nie nasza miłość dla Sultana, sztylet utonąłby w pierś jego nie „w dywan podłogi.“ Zawarli z sobą traktat przyjaźni którym zobowiązano się wzajemnie: 1) Szah dozwala zwolennikom Sebbaha przebywać we wszystkich twierdzach przez nich dotąd zajętych pod dwoma warunkami, 2) ażeby nie kupowali nadal broni i nie gromadzili zapasów wojennych. 3) Ażeby przestali szerzyć propagandę związku.

Hasan-Sebbah, surowy stróż reguły związku swojego, skarał śmiercią dwóch własnych synów, jednego za zabójstwo Husejna Kaini, namiestnika związku w Kuhestanie, drugiego za to, że pił wino i był zgorszeniem fedewich. Umarł w przeszło siedemdziesiątym roku życia, naznaczywszy po sobie Panem góry swojego komendanta w Lamjeserze, na imie Keja [1]) Buzurgumid („pan wielkiéj nadziei“). Nadzor nad wojskami związku poruszył Abu-Alemu, emisaryuszowi związku w Kazbinie Przez lat 35 panowania swojego nie oddalił się na krok z Alemutu, dwa razy tylko widziano go na terasie twierdzy.

Drugi wielki mistrz związku, Keja Buzurgumid, szedł nieodstępnie torem pierwszego. Zbudował w Rudbarze twierdzę Mejmundiz (zamek szczęśliwy“) osadził kilka innych na pograniczu dejlemskiém i czynnie kierował ręką fedewich rozsypanych od Merwu do Kairu. Trzeba było zaopatrzyć się w nowe narzędzia odporu, gdyż dostrzeżono, iż po śmierci Sebbaha mniemany jego królewski opiekun, Sultan Sendżar odmienił zdanie, i otwarcie jął się do dzieła wytraty związku; zalecano ją okólnikami rozesłanymi do Atabegów. Tytuł *atabeg* „ojciec pan, ojciec książe“ wynaleziony najprzód dla Nizam-Ulmulka w nagrodę wieloletnich zasług, nadawany był później najzasłużeńszym panom dworu, jak nauczycielowi dzieci królewskich, rządzcom rozmaitych krain państwa seldżukowego, dowódzcom siły zbrojnéj *etc.* Jeden z nich, Atabeg Szirgir („łowiec lwów“) wyprawiony na Alemut, nieostrożnie wcisnął się w wąwozy gór, stracił tam cały swój obóz i ledwie sam uratował się ucieczką. Synowiec szahski Mahmud, po bezskutecznych utarczkach zażądał, aby mu z Alemutu przysłano kogo dla zawarcia przymierza. Poseł związku Chodża Nesihi, rodem z Szehristanu stolicznego miasta Rudbara i towarzysze jego wyrznięci u samych wrót pałacu Mahmuda który pospieszył donieść Buzurgumidowi o tém, jak mówił smutném zdarzeniu spowodowaném nienawiścią ludu, bez rządzących udziału i wiedzy. Oto odpowiedź: „Chodża Nesihi zaufał twemu wezwaniu.

[1]) Przydomek *Keja* „pan, książe“ może, toż samo co Kej imie jednéj z najstarożytniejszéj dynastyi szahow Persyi, spotykamy, za panowania Sefewich, w liczbie tytułów dawanych książętom Gilanu.

Jeżeliś niewinien, to wydaj nam winowajców bez czego nieujdziesz zemsty naszéj.“ Oddział fedewich spuścił się z gór na równiny Kazbinu, gdzie i dzisiaj koczowiska wielu plemion pasterczych, zabrał 3,000 owiec, 200 koni, tyleż wielbłądów i osłów. W pogoni Kazbińcy stracili 400 jeźdców nie licząc w to kilku znakomitych urzędników szaha (r. 1129). Raz wojsku szaha udało się zdobyć Alemut ale go wprędce odebrano. Mahmud umarł, podobno otruty a gdy naznaczano mu następcę, fedewi trapili nomadów Kazbinu. Położywszy trupem 100 tamecznych turkmenów i 20 panów perskich przybyłych z Kazbinu na odsiecz, wrócili do Alemutu z 250 koni ugnanych z pastwisk miasta. Zwycięzka szajka, nie składając broni, spuściła się po północnych pochyłościach góry Derwek do Gilanu dla rozprawy z tamecznym księciem Abu Haszim. „Po krwawéj walce, mówi Mirchond, Gilekowie porażeni na głowę, ich wodz Abu Haszim, bez względu na pokrewieństwo z rodziną świętą Alego, żywcem spalony na stosie. [1])

Kuhestanowi zagroził nowy niespodziany wróg, Itsiz (‚bez psa“), noszący wówczas tytuł Szaha Charezmu, to jest hord turkmenów koczujących na pustyni między morzem kaspijskiém, Chiwą i po obu brzegach rzek Merwrudu i Murgabu. Dawniej Itsiz uchodził za przyjaciela namiestników związku w Kuhestanie, teraz, przykładem Sultan Sendżara stał się jawnym wrogiem, najeżdżał Kain, Tun *etc.* Po śmierci Mahmuda, szah oddał rząd Chorasanu jego bratu Measudowi. Ten rozgniewany za coś na sokolniczego Berenkiesza, skonfiskował mu dobra, a że Itsiz o nie się starał, oddał mu je. Berenkiesz z żoną i dziećmi uciekł do Alemutu. Na groźby i domagania się o wydanie zbiega, Buzurgumid odpowiedział: „Berenkiesz był zawsze nieprzyjacielem naszym, dzisiaj jest gościem, strachy Measuda i Itsiza próżne, gdzie idzie o uczczenie położonéj we mnie ufności.“

Te domowe niepowodzenia nie wpływały zgoła na stósunki Sultan-Sendżara z ościennymi mocarzami. Był to wielki monarcha w całém znaczeniu tego wyrazu, polityk, zdobywca, opiekun religii, sztuk i nauk. Hołdowali mu książę Semarkandy; indyjscy król Multanu i król Goru, i wszystkie kraje Persyi od Kaukazu do Mezopotamii. Chalifowie bagdadscy mieli tylko imię władców, rzeczywistą władzę w ich państwie miał Sultan Sendżar, urzędnicy jego dworu, w imieniu chalifa bagdadskiego, Turcy i Persowie rządzili Syryą i Arabią. Bez jego pomocy chalifat bagdadski przeszedłby w ręce fatemitow egiptskich. Z czasem pomocnik stał się niebezpieczniejszym od napastników. Z rozkazu Sultan Sendżara jego krewny i rządzca Persyi, Measud kazał w Bagdadzie bić pieniądze z imieniem szaha perskiego i to imię powtarzać w meczetach podczas modlitw piątkowych. Chalif Musterszyd chciał się oprzeć, ale złożony z tronu, musiał jak jeniec wojenny jechać za obozem Measuda do

---

[1]) Po dziś dzień podróżni jadący karawanną drogą z Kazbinu do Resztu, mogą oglądać na lewym brzegu rzeki Sefidrud grobowiec jego, noszący imię *imamzadei Haszim,* albo *imamzadei Lat.*

Persyi. Wielka radość w zamkach związku Syryjskich! Sądzili że za upadkiem bagdadskiego chalifa posadzą na jego tronie którego ze swoich zwolenników. W tém otrzymują wiadomość, że Musterszyd otrzymał od szaha daninę i nie wyjdzie z okręgu miasta. W odpowiedź piorun spadł z Alemutu. Podczas niebytności Measuda w obozie jego, leżącym o parę mil od Meragi, kilku fedewich werwało się do namiotu Musterszyda, zabili chalifa i służących jego (r. 1134), nawet nad trupami pastwili się barbarzyńsko, oberznęli nosy, uszy.

W Syryi odżyły nadzieje. Jeruzalemski król Baudoin II zawarł przymierze z namiestnikiem Buzurgumida. Związkowi mieli wielką liczbę zwolenników swoich w Damaszku, obiecali chrześcianom otworzyć bramy miasta pewnego piątku, podczas modlitw w meczecie gdzie rządzca i przedniejsi mahometanie mogli być łatwo zabrani albo zabici. Naznaczono dzień. W obozie Baudoin IIgo, oprócz wielkiéj liczby pielgrzymów europejskich, znajdowali się jeruzalemscy baronowie ze sprzymierzeńcami swoimi; Bernard książę Antyochii, Pontius hrabia Tripoli, Joszelin pan Edessy, otoczeni tłumem paziów i dworszczyzny. Wojsku dowodził Guillaume de Buris, a tak był pewny łatwego zwycięztwa, że pozwolił mu, zwyczajem krzyżackim, rozjechać się na rabunek po wsiach przy drodze. Aż tu na bezpiecznych wpada oddział jazdy damasceńskiéj, gromi, wywraca, płoszy. Do nieładu pomogła burza, wiatr i śnieg, Krzyżacy uciekli. Był to oddział wysłany umyślnie przez Buzy seldżukskiego rządzcę Damaszku, który ostrzeżony zawczasu, kazał wyrznąć w pień do 6000 Ismaelitów tam osiadłych. Wyprawa ta niepomyślna i sojusz co ją spowodował uczynione pośrednictwem, jak zdaje się, Templaryuszów. Uczony v. Hammer sprawiedliwie zauważał ich podobieństwo z Ismaelitami. „Cavalier" zakonu Templaryuszów odpowiada refykowi; „écuyer" fedewiemu, „frère" lasykowi; „Grand prieur" Daildoatowi czyli namiestnikowi i nakoniec „Grand Maitre" panu Góry. Fedewi ubrany w suknie urzędowe miał pas czerwony na białéj odzieży, tak jak kawalerowie Templaryuszów nosili krzyż czerwony na białym płaszczu. Zakon i związek na posadzie religijnéj budowali perfas et nefas gmach polityczny.

Urząd i następstwo po zamordowanym chalifie Musterszyd, Seldżukidowie oddali synowi jego.

Do ofiar zemsty fedewich działających z rozkazu Buzurgumida należą jeszcze: Aksongur, rządzca Mosulu. Siedmiu fedewich przebranych po derwiszsku, rzuciło się nań; bronił się dzielnie, trzech zabił, dwóch uciekło i tegoż dnia umarł od ran. Mówią, że matka jednego z zabójców dowiedziawszy się o śmierci rządzcy, poszła do wanny, kazała utrefić sobie włosy, twarz ubarwić, ubrać się w najpiękniejsze suknie swoje i wezwała inne Ismaelitki na biesiadę. W tém staje syn przed nią. „Jak to, więc ty nie zabity? a my się tu już cieszyły, żeś poległ śmiercią męczennika. Mój syn uciekł. Hańba! hańba!" i zerwała ozdoby swoje, włożyła żałobę. W rok późniéj (1127) Moeineddin, wezyr Sułtan-Sendżara przyszedł raz do stajni swojéj. Nie było w niéj nikogo, tylko

jakiś nieznajomy, zapewne stajenny niedawno przyjęty, ująwszy się prawą ręką grzywy konia, czesał go lewą. Był to fedewi i nożem nagle dobytym z pod grzywy przebił wezyra. Dwa lata po wspomnionéj rzezi związkowych w Damaszku, zabici: główny jéj sprawca Buzy, jego syn i czterej inni urzędnicy.

Keja-Buzurgumid umarł w Alemucie (r. 1135) naznaczywszy następcą syna swojego, Keja Muhammeda. Wspomnieliśmy już, że Seldżukowie mianowali chalifem bagdadskim Reszyda. Ten podobnie ojcu swojemu zamordowany był przez fedewich w Ispahanie. Wojsko zbierane przezeń na wyprawę przeciw pana Góry, rozpierzchło się. Przeznaczenie chciało inaczéj. Zobaczymy późniéj, że Alemut i Bagdad upadły spółcześnie, wywróciła je ręka nieznajoma jeszcze.

Hadży Chalfe, autor dziejów *Dżehan numa* („Zwierciadło świata") mniema, że pan Góry liczył w tych czasach 60,000 związkowych pod bronią. Potęga ich rozpościerała się od zachodnich granic Chorosanu do Syryi gdzie dziesięć najwarowniejszych twierdz mieli: Mesjat, Kadmus, Kiehef, Akkas, Hesn-alkernejn, Sefita, Alika, Hesn-Alekjad, Sehihun i Sarnim. W Persyi, dzięki długiemu panowaniu Sultan-Sendżara, kwitły nauki i poezya narodowa doszła do najwyższego stopnia udoskonalenia. Poeci wprawdzie oddalili się od ideału zostawionego w *księdze szahów*, nie czerpali jak ich mistrz Ferdousi jedynie z podań narodowych, nie wyczyścili ojczystego języka z aliażu arabskiego, ale zaszli bardzo wysoko. Enwery, chwalca Sultan-Sendżara i niby orzeł zwycięztw jego co wzleciał z Himalaja i nie spoczął aż na Libanie, górny, bystry, zuchwały, przy nim Chakani, Farjabi, Sabir, Senai i długi poczet mystycznych poetów Attar, Rumi, Szemsi, których dusza tęskni do niebieskiéj ojczyzny swojéj, Nizami twórca poematu miłosnego, przeszli arabskich poetów jak ich opiekun szah zgasił blask i potęgę chalifatu Abbasidów. Proza perska podobnież wykształcona, Ibn Esyr otwiera drogę dziejopisom narodowym. Piękny ten dzień jaśniał jeszcze długo po zachodzie słońca swego, Sultan-Sendżara, którego ostatnie chwile bardzo smutne. gdyż straszna chmura zbierała się już ze strony pustyń Azyi średniéj, Tam trzy lata przed jego zgonem urodził się Czengiz Chan (r. 1158). Leciały najprzód ku Persyi hordy oguzów i turkmenów jak jaskółki przed burzą. Po walnéj z niemi bitwie na polu Chorasanu, Sultan-Sendżar stracił 30,000 bojowników, cały obóz i harem z żoną szahową Tarchan-Chatuną poszły na łup barbarzyńców. Chcąc turkmenów zmusić do płacenia dani, Sultan-Sendżar porwany przez nich i zamknięty na cztery lata w żelazną klatkę. Czcigodny monarcha, już przeszło dziewięćdziesiątletni starzec umierał, patrząc na łamiące się zewsząd ściany i kolumny gmachu potęgi Seldżuków. Jego atabegowie w krajach przezeń im powierzonych zaczęli sobie budować królestwa.

Alemut nie długo się cieszył władzą Kieja Muhammeda, jego syn i następca Hasan Ilgi z imienia, czwarty z porządku pan Góry, zmarnował zasoby samoistnéj potęgi przygotowane przez lat przeszło siedmdziesiąt, zamiast użycia ich na zewnątrz w krajach stojących otworem

po zgonie Sultan Sendżara. Jak gdyby nie dosyć mu władzy poprzedników, jął się jeszcze za życia ojca do wykładu koranu na korzyść własną, zaczął dowodzić, że wielki mistrz Alemutu, on a nie kto inny, nosi doczesny urząd widomego namiestnika imama niewidomego, a że był wymowny i uczony nie zbywało na zwolennikach i bez tego przywykłych ślepo wierzyć słowom pana Góry. Ojciec skarcił zuchwałość, czy nieostrożność synowską: na zwołaném wielkiém zebraniu oświadczył urzędownie, że „Keja Hasan jest mojém dzieckiem, niczém więcéj. Żaden z nas nie jest imamem, ja, on i wy wszyscyśmy słudzy i robotnicy imama." Wszczął się rokosz, 250 opornych skarano śmiercią, na którą obłudny Keja Hasan nietylko że się zgodził, ba nawet napisał kilka traktatów o niedorzeczności wniosków swoich. Wszakże wraz po przyjęciu najwyższego naczelnictwa (r. 1163) dnia 17 miesiąca Ramazan, przed tłumem związkowych zwołanych do Alemutu wstąpił na ambonę i wezwał braci do zaczęcia jubileuszu: „Bóg zwolnił srogość ustaw związku naszego i zwiastuje nam miłosierdzie przez imama swojego, to jest chalifa Egiptu. Oto posłanie jego do mnie." Przetłómaczono w głos po persku list chalifowy, gdzie Keja Muhammed mianowany jego zastępcą w Persyi i posłuszeństwo nakazane pod klątwą. Pozwolono wina i mięs zabronionych w koranie. Dzień 17 Ramazana zalecono corocznie obchodzić jak uroczystość narodową, *święto objawienia*. Nade drzwiami sławnéj biblioteki w Alemut pomieszczono napis: „Z pomocą Bożą, wszechwładzca świata skruszył okowy praw, pokłon jego pamięci (*ela zikrihi esselam*)." Te ostatnie wyrazy za życia i po życiu Hasana IIgo dodawano zawsze po jego imieniu, jak po imieniu proroka mahometanie dodają „błogosławieństwo nad nim i nad jego rodziną," co wszakże nie przeszkodziło przezorniejszym związkowym pozbyć się nierozsądnego nowatora. Zabity ręką własnego szwagra w cztery lata po objawieniu, a po nim panem Góry obwołany syn jego Muhammed IIgi.

Młody władzca Alemutu zaczął od dania pod siekierę kata zabójców ojca. Słynął on wielu dziełami teologii dowodzącemi dla czego wielki mistrz związku nie może być imamem. Bogaty księgozbiór Alemutu, założony przez Hasan-Sebbaha, pomnożył.

Najciekawszym dla nas wypadkiem owoczesnym i zdaje się spowodowanym rozkazami Muhammeda IIgo, jest obietnica przejścia Zakonu na wiarę Chrystusową. Jego namiestnik syryjski Reszydeddin, wiódł życie mnisie, słynął cudami. Nikt go nie widział aby jadł, pił albo plwał kiedy, wierzono iż żyje duchem bożym. Nieraz w grubéj sukmanie, kazał, jak święty Jan, z wierzchołka skały do zgromadzonych słuchaczy. Doszłe rąk naszych ułamki pism jego świadczą o dokładnéj znajomości biblii i ewangelii. Ostatnich dni królowania w Jeruzalem Krzyżaka Amaury, przyjechał tam Reszydeddina poseł, Beha-Uddoulet i oświadczył, że związkowi przyjmą chrześciańską wiarę i proszą uwolnić ich od konieczności płacenia Templaryuszom 2000 dukatów rocznéj

dani za prawo posiadania niektórych zamków związku. Amaury przyjął ochoczo posła, kazał go ochrzcić i obowiązał się płacić dań z własnego skarbu. Templaryusze lękając się o stratę części dochodów swoich [1]) wpadli na wracających do Mesiatu i zabili posła i jego urzędników, w górach niedaleko Tortossy. Przekonano się późniéj, że zabójca Reszydeddina, Templaryusz Gautier de Dumesnil, działał z rozkazu wielkiego mistrza swojego Odo de Saint-Amand. Oburzyło to całe chrześciaństwo, szczególniéj króla Amaury, „ale Odo," mówi kronika, „nie lękał się ani Boga ani ludzi," posłów jeruzalemskich Sejhera de Mamedun i Gottschalka de Turholdt przyjął zimno, królowi odpowiedział, że „brat Gauthier de Dumesnil odbył już rozgrzeszającą pokutę. Papież „zakazał aby go nie prześladować, poszlę go do Ojca świętego, niech „w Rzymie osądzą, czy winien." Śmierć Amaury (r. 1173) zbawiła Dumesnila.

Drugą niemniéj sławną potenczas przygodą była śmierć władzcy Tyru, markiza de Montferrat, zabitego przez fedewich za pieniądze angielskiego Richard-coeur-de-lion. W. Rzewuski wydrukował [2]) tekst klasycznego autora Jeruzalem i Hebronu, wyraźnie świadczący, że „Markiz „13 dnia Rebij-ulewela, wracając z domu biskupa Tyru, umarł przeszy„ty kindżałami dwóch fedewich, którzy pojmani i ciągnieni na pytkę wy„znali że przyczyną mordu był król Anglii." Sprawa ta wywołała długie spory. Anglicy w obronę ziomka pokazywali list pana Góry do Leopolda austryackiego. List ten, zdaniem wszystkich znawców, nie autentyczny.

We dwa lata po śmierci markiza de Montferrat (r. 1174), jadący z Syryi do Armenii hrabia Henri de Champagne udał się na wezwanie namiestnika Muhameda II. odwiedzić zamki związku w górach antilibańskich. W jednym z nich, u strzelnic wieży zbudowanéj na wierzchu przepaścistéj skały stali po bronią dwaj strażnicy. „Nie wiem" mowił namiestnik „czy u was w Europie macie tak posłusznych sług jak nasi; patrz" tu skinął ręką ukazując przepaść i obaj strażnicy spadli na łeb. Ich trupy zdruzgotane po urwiskach znikły w przepaści. „Jeżeli chcesz" mówił daléj namiestnik „inni także się rzucą." Hrabia niechciał próbować, podziękował za grzeczność i wyznał że nigdzie nic podobnego nie widział.

Nuradyn (Nureddin), Muhamed i Saladyn (Jusuf Selaheddin) bohaterowie epopei Tassa, którą Piotr Kochanowski zrobił polską, należą do dziejów związku reformatów Hasan-Sebbaha. Pierwszy Nureddin syn Emad-Eddina rodem z Seng w Persyi był z ramienia Seldżuków rządcą, czyli Atabegiem Iraku perskiego. Gdy po zgonie Sułtan Sendżara jego atabegowie zaczęli pracować każdy dla siebie, Nureddinowi powio-

---

[1]) Guillaume de Tyr, *Gesta Dei per Francos* str. 996.

[2]) Mines de l'Orient, vol. IV.

dło się lepiéj od innych. Znajomi w historyi pod imieniem ejubitów [1]) chalifowie egiptscy pochodzą od niego. „Nureddin" mówi kronika Guillaume de Tyr, „mąż przezorny, skromny, bogobojny, powiększał swój dobytek." Jakoż istotnie, człowiek ten mający prostotę, zamiłowanie ubóstwa i cnoty pierwszych chalifów Mohameta, starał się przedewszystkiém zasłużyć na imie *Algazi* „żołnierz boży" to jest muzułmanin bijący się za swoją wiarę i dla tego czynność swoją obrócił szczególniéj przeciw chrześcianom w Jeruzalem. Zaczął od zdobycia prowincyi Mosulskiéj i Alepskiéj, zkąd mógł śledzić wszystkie kroki Krzyżaków Jeruzalemy. Mieszkańce Damaszku lękając się aby niewpaść w ich ręce, wygnali niedołężnego Abaka rządzcę z ramienia Seldżuków i dobrowolnie poddali się sławnemu już Nureddinowi. Pobity przez krzyżaków przy Bakii (Boquea), wydarł im Egipt, a to następnym sposobem:

Fatemitów potęga kończyla się. Niedołężny chalif Edad był w ręku dworzan swoich. Długoby i nie w miejscu wyliczać tu intrygi dworu kairskiego, gdzie ministrowie żądali się dorwać najwyższéj władzy. Pierwszy wezyr Szawir nie mogąc wywrócić Dargama ministra, który pracował na jego zgubę, pojechał do Damaszku i obiecał Nureddinowi trzecią część rocznych dochodów Egiptu, jeżeli mu pomoże pozbyć się rywala. Zgodzono się tém chętniéj, że Nureddin, szczery zwolennik dogmatu sunnitskiego, mógł tém sposobem osadzić swoimi jednowiercami miejsca sędziów (kadi) egiptskich, dawane dotąd wyłącznie tylko szyitom i związkowym Alemutu. W pierwszéj bitwie, Dargam zabity, przewaga Szawira zapewniona, ale przewrotny wezyr nie chciał płacić obiecanéj sumy. Przyszły nowe rozkazy z Damaszku, jedna część wojsk posiłkowych zajęła Belbeis, druga pod przewodem Jusufa Selahedina synowca Nureddina zamknęła się w Aleksandryi. Szawir udał się z prośbą o pomoc do chrześcian. Po trzech miesiącach dzielnego oporu zawarto przymierze, którém rząd Egiptu obowiązał się zapłacić Selahedinowi 50,000 dukatów za koszta wyprawy i dwa razy tyle królowi Amaury. Obietnice te, jak przedtém, spełzły na niczem. Krzyżacy zajęli Belbeis i oblegli Kair. Część téj stolicy, znajoma pod imieniem „starego miasta" spalona z rozkazu Szawira; pożar trwał 54 dni. Przerażony chalif postanowił prosić Nureddyna znowu o wsparcie, słał gońce za gońcami, wołał że Szawir chce oddać Egipt chrześcianom i pomoc przybyla; 6,000 turkmenow i 2,000 Syryjczyków stanęło na brzegach Nilu, Krzyżacy cofnęli się. Nureddyn wkrótce umarł, a jego synowiec Jusuf Selaheddin mianowany *Elmelik-Ennasir* „królem zwycięzcą," usunąwszy resztę przeszkód, został po śmierci Edada (r. 1171) pierwszym chalifem dynastyi ejubitów. Tak się skończyły w Egipcie i nadzieje Krzyżaków i nadzieje Alemutu.

Ich czynność zwróciła się w inną stronę, zdawało się że śmierć Nureddyna i chwiejący się tron Abbasidów nastręczały zręczność nagrodzenia sobie strat poniesionych w Egipcie. Wiedzieli oni dobrze

[1]) Od Joba (*ejuba*) ojca Emadeddina.

z jaką zawiścią i trwogą krewni Selaheddina panujący w Damaszku, Alepie i Mosulu patrzali na jego wzrastającą potęgę. Wprawdzie niedał on im żadnego prawa do podejrzeń, owszem rozkazał (r. 1174) w Egipcie bić pieniądze z imieniem Saleha syna Nureddyna i powtarzał że jest jego lennikiem. Ale co mógł Saleh, dziecko jedenastoletnie, rządzone przez eunucha haremu, Giumusztegin, co mogli jego doradcy, w obec tak potężnego lennika? Jego zdobywczy geniusz, jego ogromne bogactwa znalezionó w chalifskich skarbach Kairu, jego zwycięzkie wojska robiły go naturalnym nieprzyjacielem Saleha, daleko straszniejszym od Krzyżaków, którzy niebawem po zgonie Nureddyna oblegli Damaszek. Selaheddin prosił o pozwolenie rozprawienia się z nieprzyjaciołmi. Krzyżakom zapłacono sowicie, ażeby wrócili do Jeruzalem; Selaheddinowi zaś odpowiedziano, że lennik nie powinien się wtrącać w sprawy pana swojego, że w przeciwnym razie rządy Egiptu powierzone będą komu innemu. Wtém nowe nieszczęście: rządzca Mosulu gotował wyprawę na Alep, miejsce rezydencyi Saleha. Nie było czém się bronić. Selaheddin, na czele swoich stanął pod murami zagrożonego miasta zająwszy po drodze Hamę i Hems. Na powtórne prożby i zaręczenia jego że przychodzi nie panować ale rozmówić się po przyjacielsku, wojsko Alepu wyszło do boju. „Bóg widzi" mówił przed bitwą, „że nie chciałem rwać wiążącéj nas nici braterstwa. A teraz niech „miecz rozstrzygnie." Po porażce Saleh umknął się w mury miasta. Oblężenie szło wyraźnie z korzyścią wojsk egiptskich. Tymczasem eunuch Giumusztegin zniósł się z namiestnikiem Alemutu. Trzech fedewich raniło Selaheddina pod murami miasta, ale nim uśpieli poprawić źle skierowanych ciosów, pozabijani ręką samegoż wodza. Trzej inni w mieście kuszący się na życie któregoś z nieprzyjaciół Giumusztegina, pojmani, dwóch ścięto, trzeciego ukrzyżowano. Selaheddin po raz ostatni próbował zgody: „Skończmy te zatargi; niech mię Saleh uzna za „władzcę Egiptu, a oddam mu Hamę, Hems, Balbek i Damaszek." Nakoniec w jeden dzień klęski pod Hamą (r. 1175) zniszczył wojska sprzymierzone Mosulu i Alepu i kazał powtarzać imie Sultana Selaheddina na pieniądzach bitych w Syryi i w modlitwach urzędowych. Państwo jego rozciągało się od Bagdadu do źródeł Nilu.

Ze zwolennikami pana Góry Selaheddin, podobnież jak Sultan Sendżar, nie mógł skończyć zwycięzko. Oblegając miasto Bazea raniony w głowę sztyletem fedewich. Następnego lata (r. 1176) po bezskuteczném oblężeniu twierdzy Mesjat zawarł z nimi przymierze, pod warunkiem że odtąd nie targną się na życie jego. Zdobył Jeruzalem i kilka innych miast chrześciańskich.

Kroniki europejskie mówiąc o owoczesnych zwolennikach związku Hasan-Sebbaha dają im imię *assasini* albo *assissini*, którém późniéj Francuzi nazywali zbójców i morderców. Rodosłów tego imienia jest dotąd jabłkiem niezgody orientalistów i lubicieli etymologii. Jedni widzą go w arabskim *Hasani* „zwolennicy Hasana, Hasańscy," inni w słowie *hasa* „zabijać, niszczyć." Zdaniem najpowszechniéj przyjętém jest domysł

pana Moyne, poparty przez barona Sylvestre de Sacy, że imię *heszyszyn* „ziolarze, trawnicy” przerobione w ustach Francuzów i Greków na *assassin* mogło być dane wyznawcom Sebbaha dla tego że się upijali sokiem narkotycznych ziół (*heszysz*). Cóżkolwiekbądź to pewna, że imię to dawane było związkowym wyłącznie przez Europejczyków. Autorowie perscy i arabscy nie używają go nigdy. Mówiąc o związkowych Alemutu nazywają ich albo *bewatine* (liczb. mn. od *batini*, o czém wyżéj) albo „Ismaelitami wschodnimi” dla odróżnienia ich od „Ismaelitów zachodnich” czyli egiptskich. Co się zaś tyczy zażywania ziół narkotycznych, zwyczaj ten istotnie że bardzo rozpostrzeniony we wszystkich krajach Azyi i w północnéj Afryce. Persowie rozróżniają zażywających opium (*terjak*), makówki (*beng*) i konopie (*kienef*) na *bengi* t. j. którzy kurzą je zmieszawszy z tytóniem i na *terjaki* t. j. którzy zażywają ich w jadle lub napoju. Dodajmy tu jeszcze, iż sąd stronników rodosłowu *haszyszyn* opiera się głównie na powieści Wenecyanina Marco Polo. Jeżeli mu wierzyć, w Alemucie, w Kainie, w Mesiat i innych głównych siedliskach władzy związku, miano rozkoszne ustronia, opasane murami, starannie kryte przed okiem profanów. Tam wszystko co budzi i uprzyjemnia, kwiaty, kioski, żywe wody, cieniste drzewa, muzyka, piękne kobiety, szlachetne wina etc. czekało na młodego przychodnia. Nie wiedział on jak się tam dostał ani jak ztamtąd wyszedł, tylko gdy mówił wielkiemu mistrzowi lub któremu z namiestników o użytych tam rozkoszach, odpowiadali, że to sen, widzenie uprzednie raju fedewich na drugim świecie. Nie wiedział, że najprzód uśpionego przez opium zręcznie wmięszane do jadła zanoszono do ustronia i pozwoliwszy mu tam zabawić się do woli, uśpionego powtórnie, wynoszono także bez wiedzy. Dziejopisowie i powieściarze wschodni nie wspominają nic podobnego. Marco Polo mógł o tém zasłyszeć w czasie swoich podróży z ustnego opowiadania.

Muhammed IIgi na 35 roku panowania umarł, jak wnoszą otruty (r. 1162) przez następcę i syna swojego Hasana IIIgo, któremu dodano przydomek Dżelaleddyn „blask wiary” dla surowości z jaką spełniał powinności prawego mahometanina zalecone w koranie i dla wielkiéj liczby meczetów i pobożnych fundacyi wzniesionych jego kosztem. Żona jego słynęła także przykładem, nabożeństwem i jałmużną. W czasie pielgrzymki swojéj do Mekki zapłaciła za wodę hojnie dawaną całéj karawanie pielgrzymów, co kosztuje bardzo wiele na bezwodnych piaskach Arabii. Hasan IIIci starał się przedewszystkiém o dobre imię dla swoich zwolenników i o poprawę obyczajów źle słynących za dni Hasana IIgo. Pierwszym przykładem w dziejach związku, spółcześni panujący nazywali Hasana IIIgo królem, a bagdadski chalif i Muzeffereddin atabeg Adebajdżanu żyli z nim w stosunkach bardzo przyjacielskich. Ten ostatni wezwał był go do pomocy przeciw wspólnemu wrogowi Mengelemu, atabegowi perskiego Iraku. Po porażce wojsk i zgonie wroga, Muzeffer hojnie podejmował w domu swoim sprzymierzeńca. Wracającemu do Alemutu po drodze oddawano królewskie honory.

Kejkawus książę Gilanu poślubił mu córkę swoję, z której miał syna Elaeddin-Muhammeda.

Wszystkie te szczegóły dowodzą nietylko przezornéj polityki pana Góry lecz też i potęgi związku. Hasan IIIci po dwunastu latach królowania umarł w Alemucie, zostawując następcą po sobie 9cioletniego Elaeddina. W pojęciu Ismaelitów, dziecko może panować i władać również mądrze jak i mąż dojrzały; obaj są naczyniem bożém i narzędziem woli tajemnego imama. Zaczął od skazania na śmierć wielu krewnych swoich za podejrzenie, że otruli Hasana IIIgo i był smutnym aż do śmierci, czy przeto, że ten wypadek rzucił mgłę na resztę dni jego czy że, jak mniema Mirchond, dla materyalniejszéj przyczyny: kazawszy raz sobie krew puścić bez porady lekarza, straciwszy jéj nazbyt wiele, zapadł na zdrowiu i odtąd już się nie poprawił. Nierad z siebie samego, i innych, nie ufał nikomu oprócz dwóch ludzi: teologowi Dzemuleddin-*Gili* („rodem z Gilanu") i pierwszemu astronomowi swego wieku, Nasyreddin-*Tousi* („rodem z miasta Tus" w Chorasanie). Astronom ten grający bardzo ważną rolę w ostatnich latach istnienia związku, dedykował był jedno z dzieł swoich chalifowi Bagdadu, którego wezyr nie lubił, czy się lękał Nasyreddina. Zamiast nagrody spodziewanéj, książkę wrzucono do rzeki, za to że autor w dedykacyi opuścił jakiś tytuł chalifa. Odtąd poprzysiągł zgubę chalifatu i w tym celu przyszedł służyć wielkiemu mistrzowi. Zobaczymy późniéj, że się doczekał i może w części przyczynił się do śmierci nieprzyjaciół swoich.

Rzecz godna podziwienia, że za dni Hasana IIIgo, jego zwolennicy nie zabili nikogo. Elaeddin musiał i lubił za złe złém płacić. Jego namiestnik w Kuhestanie skarzył się na częste rabunki Orchana, rządzcy Chorasanu. Posłowi związku domagającemu się, aby poprzestano łupieży, Orchan w odpowiedź rzucił pod nogi pęk sztyletów, niby na znak, że gardzi żelazem fedewich i niestety w Alemucie podjęto rzuconą rękawicę! Niebawem późniéj (r. 1226), śród dnia u bram Niszapuru trzej fedewi zamordowawszy Orchana szli nieustraszenie przez miasto z dobytemi kindżałami we krwi, prosto do mięszkania Szerf-Ulmulka wezyra i nieznalazłszy go utkwili nóż w progu. Tymczasem lud zebrał się, otoczył zbójców i ukamienował ich.

Drugi poseł Elaedina do wezyra Niszapuru przyjęty był uczciwie i zawarł przymierze: Szerf Ulmulk oddał na własność związku damgańską twierdzę; związek obowiązał się płacić 30,000 dukatów corocznie. Poseł przepędził kilka dni w Niszapurze. Mówią, że raz po sutym obiedzie, przy kieliszku, poseł ostrzegał wezyra, że w liczbie jego dworskich kryją się emisaryusze Alemutu. „To być nie może! niechże się pokażą, przysięgam, że włos im z głowy nie spadnie." Pięciu ich wystąpiło na środek pokoju, a jeden rodem z Indyi, zapytał. „Pamiętasz kiedym był z tobą sam na sam? Bezkarnie mogłem cię zabić bezbronnego; nie zabiłem, bo nie miałem rozkazu." Pijany Szerf Ulmulk płakał jak dziecko, drżał i prosił o litość, przyrzekł wierność i posłuszeństwo panu Góry.

Po śmierci Elaedina, zamordowanego (r. 1254.) zdradziecko ręką własnego pazia, sunnity, jego syn Rokneddin-Churszah, sprawiedliwie podejrzywany o udział w ojcobóstwie, kazał trupa spalić na stosie. Nasyreddin sprawował po dawnemu urząd ministra i sekretarza. Były to czasy zwiastujące nowy porządek rzeczy politycznych i domowych na wschodzie. Czengiz Chan rzuciwszy posadę olbrzymiego mocarstwa w Azyi średniéj, przekazał testamentem dziedzicowi i następcy swojemu Mangu i braciom jego dalsze szerzenie zaborów. Na sam odgłos echa ich potęgi truchlały miliony, i nikt nie śmiał nawet pomyśleć o możności stawienia im oporu. Nie trudno było człowiekowi z rozumem Nasyreddina przewidzieć, że Rokneddin Churszah będzie ostatnim panem Góry, jak Mostenser ostatnim chalifem Abbasidów, jak wszyscy ówcześni mocarze Azyi zachodniéj pochłonieni w nurtach powodzi mogolskiéj.

Widzieliśmy już, że z Sultan Sendżarem znikła potęga Seldżukidów i że ich posiadłości w Persyi przeszły pod władzę Atabegów. Mogołowie wiedzieli o tém i nie lękali się ich. Jedynym wrogiem w Persyi, o którym nie zapomnieli synowie Czyngiz Chana, był pan Góry, co dowodzi istotnie wielkiéj potęgi zakonu, bo instynkt mogolski jak węch wyżli wietrzy z daleka swoją zwierzynę, i wie gdzie i jak ją znaleźć. Oto co wedle świadectwa najlepszych dziejopisów [1]) Persyi, mówił Mengu bratu swojemu Holagu: „Posyłam ciebie z wojskiem silném, z zastępami wyborowéj konnicy Turanu do Persyi (Iran), do kraju wielkich królów. Stój bacznie na straży praw i zakonu Czengiz Chana. Zabierzesz wszystką ziemię co między Dżejhunem a Nilem. Pamiętaj mi bronić i nagradzać ludy korzące się i posłuszne dobrowolnie. Opornych i buntowników, ich kobiety, ich dzieci, wyrzynać do ostatniego. Najprzód Ismaelitów wyplenić co do nogi. Potém zabrać Irak, ich gniazdo. Jeżeli bagdadski chalif zda się na łaskę twoję, uszanuj go, w przeciwnym razie grom."

Holagu przeszedł Dżejhun i na granicach Chorasanu przyjął hołd władz tamecznych, posłom oświadczył: „W imię Mengu Chana przyszedłem do Persyi zniszczyć Ismaelitów. Jeżeli będziecie pomagać, nagrodzę was, jeżeli nie, to najprzód ich a potém was wytracę."

Celem Nasyreddina było pozyskanie sobie względów mogolskiego monarchy ze szkodą Churszaha, który idąc za radą przewrotnika, odpowiadał milczeniem na liczne poselstwa Holagu. Ledwie, aż po przybyciu do Kazbinu przedniéj straży Mogołów, napisał do ich wodza Bajsur Nubina, że chciałby się z nim porozumieć. „Chan mój," odpowiedział Bajsur: „tuż za nami, idź do niego." Szehenszah, brat Churszaha i kilku znaczniejszych urzędników Alemutu posłani w zakład, pojechali do Holagu, a Bajsur położył się obozem w Rudbarze pod Alemutem i Lamjeserem dnia 10. Dżemadi-ulewwel roku 654 hedżyry (1256.). Twierdze broniły się dzielnie tak, że Bajsur musiał wrócić do Kazbiny, paląc i wyrzynając po drodze wsi związkowe. Zakładnicy Alemutu musieli

---

[1]) Mirhond część VIa cytowany przez v. Hammera.

przedtém jeszcze przybyć do obozu Holagu, gdyż im powiedział: „Rokneddin przysłał nam brata swego, za to przebaczam mu zbrodnię ojców i zwolenników waszych. On dotąd nie zawinił, niech zrówna z ziemią swoje zamki, a może przyjśdź do nas bez trwogi.” Taki warunek i rady Nasyreddina przemogły nakoniec i z rozkazu pana Góry najniedostępne, twierdze Rudbaru kruszyły się pod motyką fedewich niszczących je, jak późniéj da się widzieć, nie szczerze.

Holagu z wojskiem, dworem i żoną ciągnął obozem po górach północnego Chorasanu, przez Tus, Kuczan, Firuzkuh przybył pod najwyższy ich wierzchołek, do Demawendu. Z drogi posełał okolniki (*perwane* „motyl”) do kuhestańskich i chorasańskich twierdz związku, aby się zdały. Komendant Girdekuhu odpowiedział dumnie, że nie złoży broni i przez trzy następne lata stał niezdobyty pomimo chorób i głodu.

Z Demawendu do Alemutu tylko kilka dni drogi. Na nowy rozkaz Chana, aby mu przysłać w załogu syna Churszaha, posłano dziecko jakiejś Ismaelitki, prosząc o pozwolenie powrotu pierwszych zakładników. Zdrada nie uszła oczu Mogołów, jednakże Holagu odesłał Szehemszaha: „Nie zapomnij powiedzieć bratu, że mury twierdzy Mejmundiżu nie do- „brze rozwalone. Niech je rozrzuci i spieszy sam do nas. Inaczéj Bogu „wiadomo, co się stanie.”

Hordy mogolskie znowu zalały Rudbar. Historycy mówią że widok mas zbrojnych zalegających góry i doliny nie do opisania. Nie było czego dłużéj czekać: Rokneddin naradziwszy się z ministrem Nasyreddinem posłał go do chana z synem swoim Tenkie na imię. Chan lubił astrologią i podobał sobie rozmowę Nasyreddina, który zaczął od dowodów, że „wedle najściślejszych rachunków, połączenie konstellacyi „przyjaznych horoskopowi chana najwyraźniéj wskazuje, że gwiazda Ha- „san-Sebbaha straciła siłę swoją, i że żadne zamki i twierdze jéj nie „obronią.” Holagu mianował go astrologiem swojego dworu i odesłał z rozkazem oddania Bajsurowi wszystkich twierdz Rudbaru i pozwolenia Rokneddinowi iść gdzie sam zażąda. Uiściwszy się z polecenia, Nasyreddin wrócił jako urzędnik mogolski w towarzystwie siódmego i ostatniego pana Góry, Rokneddina otoczonego głównymi zwolennikami związku: Esyleddyn-Rouzeni, Moejjeddyn, Reis-Eddoulet i Muwafyk-Eddoulet. Taki był zachód ostatniego dnia potęgi Hasan-Sebbaha! Dzieje przechowały nam słowa chronogramu napisanego o tém zdarzeniu przez Nasyreddina: „Lata sześćset pięćdziesiąt czwartego, w niedzielę „pierwszego dnia Zilkeada król Ismaelitów Churszah wstał z tronu swo- „jego przed Holagu chanem.”

Światobórca mogolski, ugodziwszy w Alemut, serce i głowę związku, nie dbał o jego zwolenników w Syryi, których późniéj w 70 lat po upadku Alemutu wyniszczyli sułtanowie Egiptu. Walki ich dotąd słyną w dziejach arabskich, szczególniéj zaś cuda waleczności Hamzy, wodza związku i bohatera narodowego, opiewane w rymach poetów arabskich, Antara, Zulhimmeta, Benilherala i w licznych poematach perskich znajomych pod tytułem hamziad (*hemze-name*).

Rokneddin Churszah, żyjący odtąd na łaskawym chlebie Mogołów, nie jawi ani jednego rysu męzkich cnót przodków swoich. Holagu ożenił go z jakąś Mogołką, sprawił mu królewskie wesele i na prożbę jego posłał go do wielkiego chana Mengu. Przyjęty tam z pogardą i z rozkazem aby wrócił zmusić do poddania się rządzcę twierdzy Girdekuh, zginął nikczemnie zabity przez Mogołów na brzegach Dżejhunu (r. 1257.) Nasyreddin był w obozie Holagu podczas wzięcia Bagdadu i śmierci nieprzyjaciół swoich chalifa i ministra.

Sławna w dziejach narodowych biblioteka twierdzy Alemutu spalona do szczętu, a z nią znikły wszystkie autentyczne dowody, na czém istotnie zależała reforma Ismaelitów Hasan-Sebbaha. Persowie, którym Holagu poruczył dzieło tego barbarzyńskiego autodafé, oszczędzili tylko kilka egzemplarzy koranu.

Zakończę ten rys wypadków skreślonych obszerniéj w siedmiu księgach wspomnianego dzieła v. Hammera, wypisem z moich własnych dzienników podróży, gdyż uczony oryentalista zapewne dla braku źródeł, zaledwie dotknął topograficznych szczegółów dotyczących się stolicy panów Góry. Lat sześć z okładem mieszkałem w Gilanie, w sąsiedztwie Alemutu i zwiedziłem wszystkie zabytki dawnéj potęgi Hasan-Sebbaha. Nieraz opisy robione na *historyczném* miejscu pomogły do lepszego zrozumienia historyi.

..... *1. maja 1835. r. Kazbin.* Jadę ztąd do Gilanu, nie po drodze karawannéj, ale zbaczam przez góry, dla widzenia Alemutu. Pierwszy nocleg we wsi Semjar, pięć fersechów z Kazbina w kierunku N. E. Pierwsze dwa fersechy idą po ostatnich pochyłościach łańcucha gór, rozdzielającego Kazbin od morza Kaspijskiego. Pola bez trawy pokryte małemi rudego wejrzenia krzewami piołunu i innych ziół, ulubiony pokarm owiec i wielbłądów. Zieloności nie widać, oprócz gdzie niegdzie topoli, morwów i orzechów, wiosek rozrzuconych po obu stronach drogi. Dwie z nich największe Aszynastan i Destdżyrd. Góry zaczynają się od Resztegon, wsi u ich podnoża. Odtąd droga wspina się po coraz przykrzejszych nierównościach. Najprzód jechaliśmy pół godziny po urwistych brzegach potoku płynącego na dnie wąwozu; potém przejechawszy po wzgórkach znowu brzegami innego potoku, podnieśliśmy się na górę Semjar. Francuzki botanik Aucher d'Eloy mówił mi późniéj, że flora téj góry ma wszystkie rośliny alp juraskich (alpes jurassiennes), co osobliwsza, że to zjawisko nie powtarza się na żadnéj innéj górze tutejszego pasma. Z wierzchołka Semjar widny olbrzymi krajobraz i nie znam miejsca, zkądby od razu tyle rzeczy można było widzieć: ku południowi miasto Kazbin i sta wiosek rozrzuconych na jego płaszczyznie gładkiéj jak dłoń, rudéj, zdaje się pogorzałéj, rozesłanéj szeroko i aż na horyzoncie zamkniętéj skałami Karaganu i Sawy; większa jéj część bezpłodna, pokryta plamami soli i tumanami (*sirab* mirage), co kurząc się przed zachodzącym kręgiem słońca, udają jeziora i drzewa; ku północy zupełnie co innego: zielone góry i pod nagiemi skałami pastwiska i płynące z gór zdroje otoczone wsiami i ogrodami Rudbaru, powiatu tak na-

zwanego od *rud* „zdrój" i *bariden* „deszcz pada," to jest: „ziemia gdzie tyle potoków ile kropel w deszczu;" przenośnia wschodnia, ale usprawiedliwiona uczuciem zdziwienia i rozkoszy jaką czuje podróżnik przybywszy tu z bezwodnych, nieznośnie gorących piasków step Kazbinu. Są tu w sąsiednich górach dwa inne powiaty podobnegoż imienia, odróżnione dodawanemi dla zrozumiałości nazwaniami. I tak Rudbar o którym mowa, zowie się Rudbari-Alemut, i należy do Kazbinu. Inny niedaleko ztąd należący do Teheranu zowie się Rudbari-Elengie. Inny jeszcze bliżéj w Gilanie, znajomy pod imieniem Rudbari-Zejtun dla sadów oliwnych (*zejtun*), które tam rodzą obficie. Na wierzchołku góry Semjar pokazywano mi tak nazwaną *sere* czyli drogę ciągnącą się, jeżeli wierzyć, bez przerwy ztąd aż do Chorasanu i Kuhestanu, niedostępną jeno dla pieszych. Obecni Persowie upewniali mię, że nieraz pielgrzymowie biorą tę górną drogę dla dostania się do Meszhedu [1]). Idzie się nią dłużéj, ale bezpieczniéj niż teherańskim gościńcem, słynącym rozbojami turkmenow.

Szah perski dał mi za towarzysza podróży rządzcę (beglerbeg) Kazbinu Szeryf Chana i dwunastu jeźdźców afszarów. Przeszło półtrzeciéj godziny jechaliśmy po urwiskach, gdzie tém łatwiéj wylecieć ze strzemion, że niechciałoby się patrzeć przed nogi konia, ale na śliczne krajobrazy od krywające się coraz inaczéj za każdą zmianą kierunku. Mój chan i afszarowie przeklinali ojca i żonę i wiarę Hasan-Sebbaha, do którego zamku trzeba było przedzierać się po takich urwiskach. Konie ich źle karmione, bo karmione tylko podnożną trawą bez jęczmienia, który tu dają zamiast owsa, potykały się po kamieniach. Jest to pora roku, w któréj nomadowie (*iljat*) koczujący na stepach Kazbinu, posyłają w góry trzody swoje na pastwiska letnie (*jejlak*). Widziałem po drodze kilka koczowisk plemienia Mafi, pasą tu owce a w razie zręczności kradną i łupią karawany. Ich czarne namioty widziane zdala, podobne bardzo do kretowisk co podobnemiż kupkami czernią się na polach Litwy. Pod górą Semjar, przy wodospadzie wieś tegoż imienia. Spotkaliśmy wieśniaka zbierającego grzyby (*kiemanguss*, *gobelek*, *karcz*), których tu nikt nie przymuszony nie je. Opowiadał nam, że w marcu zapasy zboża semjarskich wieśniaków skończyły się. „Żyjemy trawą. Jeszcześ kto ma osła, może go naładować chróstami, sprzedać je w Kazbinie i kupić chleba, a kto go niema jak ja, żyje jak osieł." Wszędzie podobne skargi na zdzierstwo i ucisk. Łachmanów i twarzy wychudłych wiele, przykry kontrast w krainie tak pięknéj. Przed wsią Semjar spotkał nas ketchuda (starosta) z kilku innymi wieśniakami i wprowadził do domu z podłogami czysto zasłanemi w dywany wojłokowe.

.... *2. maja. Nocleg we wsi Szehrek.* Pięć godzin drogi, choć Szehrek odległy tylko o dwa fersechy od Semjaru, musieliśmy nałożyć drogi dla tego że Szahrud wezbrał i nie mogąc go wbród przejechać, trzeba było

[1]) Meszhed dzisiaj stołeczne miasto Chorasanu, z grobowcem imama Rizy, i sławnym meczetem zbudowanym przez Abbasidów.

szukać mostu. Trudnoby wyobrazić sobie coś piękniéj malowniczego, jak dwugodzinna droga z Semjaru do wsi Karenderczal. Jechaliśmy, mając na lewo ogromny wąwóz śmiało zstępujący w przepaść poprzecznemi terasami ubranemi we wszystkie barwy maju; na prawo po ścianach stroméj skały krzewy akacyi, berberysu, jaźminu, boules de neige, konwalii, wszystko w kwiatach; łozy dzikiego wina oplatają krzewy kwitnące; ziemia zakryta wysoką trawą i kwiatami. Dzikie migdały już wydały owoce. Nad nami i pod nami strumienie. Z Karenderczalu widno w dole płynącą rzekę Szahrud i nad nią stołeczna mieścina Szehristan. Tu dwa są Szahrudy; większy o którym mowa, bierze źródło w mazenderańskich górach Bajzerud, płynie przez Talagan wzdłuż kazbińskiego Rudbaru, potém przez Mensur Baba i wlewa się do Kyzyluzenu przy moście we wsi Mendżil; drugi, czyli Szahrud mniejszy, bierze źródło o dwa fersechy wyżéj wsi Kazerchani i wlewa się do większego przy Karenderczalu. Przejechaliśmy lichy most drewniany przy zlewku. Połączone te wody robią największą z rzek Rudbaru, ale nieużyteczną, gdyż płynie w głębokiém korycie i dla tego bardzoby dobrze było, gdyby szah uskutecznił plan podany mu przez jakiegoś europejskiego inżyniera, który za 600,000 fr. obiecywał przekopać góry i wprowadzić rzekę na bezwodne stepy Kazbinu. Rzeka dzisiaj miała do 50 stóp szerokości. Wezbranie nie rozszerzyło jéj ale podwyższyło, zalała brody. Gdyby nie ta okoliczność, jechałbym z Kazbinu bliższą drogą przez Czale, zkąd do Alemutu tylko cztery fersechy. [1]).

Wraz za mostem Szahrudu droga nasza nagle zwróciła się na wschód, ścieśniona między wapiennemi skałami, rdzawéj barwy i niepodobnemi do skał granitowych towarzyszących nam wczoraj. Wjechawszy przez nie jak przez bramę do parowu, znaleźliśmy wszystko inne, bez zieloności, bez drzew, strumień sączy się pomiędzy wzgórzami czerwonéj gliny okrytéj tu i owdzie białemi plamami soli. Termometr Reaumur znaczący w Karenderczalu 17° tu podniósł się do 27°. Grupę tę gór gliniastych zowią tu Szahkuh. Mieszkańce trudnią się przedażą soli, którą zbierają w czasie największych upałów, gdy wilgoć słona sącząca się z gór wyschnie i pokryje się skorupą. Widzieliśmy kilku wieśniaków kupujących ją. Chalwar [2]) przedawano po sahibkoranie (1 fr. 25 c). Wyjechawszy z téj duszącéj atmosfery żup solnych, przybyliśmy do wsi Dekin. Cholera i zdzierstwo urzędników rozegnały mieszkańców. Smutno patrzeć na podziurawione ściany i zapadłe sufity. Belki z nich wyciągają, rąbią i na drwa przedają w Kazbinie. Uprawą roli nie chcą się trudnić wprzód nim książę kazbiński nie uwolni ich na kilka lat od podatku, dla poprawienia się. Persowie towarzyszący mi wiedzą wszystkie szczegóły i mówią, że książę skąpy i chciwy nie ustąpi ani szeląga. Przed trzema jeszcze laty wieś ta liczyła 80 domów dobrze zabudowa-

---

[1]) To jest z Kazbinu do Alemutu wszystkiego sześć fersechów, czyli 24 mile angielskie.

[2]) *Chalwar* liczy sto *menów* wagi, a jeden *men* ma 7 funtów angielskich.

nych. Odtąd znowu oddychamy świeżém powietrzem gór. Liczne wioski z owocowemi ogrodami, najwięcéj drzew morwowych i orzechów (nux juglaus), spamiętałem imiona Awirek, dwa Giermerudy, wyższy i niższy, Uwan w bliskości któréj grób jednego z potomków Alego z klonem (*czenar* platane) słynącym cudami; liście tego drzewa krwią potnieją każdego dnia 10 Moharrema, to jest w rocznicę śmierci Imam-Husejną! Daléj jechaliśmy przez orzechowe sady wiosek Pacze-kelaje, Estelaber, Moellim-kelaje, dwie ostatnie pod skałą z wierzchem strzaskanym w druzgi podczas trzęsienia ziemi. Najwięcéj domów stoi pustkami. Opowiadano mi że przyczyną zmniejszenia ludności są zdzierstwa, jakich się tu dopuszczał Mohammed Chan Kadżar, synowiec Fetch Aliszaha. Mieszkańce uciekli w góry do sąsiedniego powiatu Tunekabun w Mazenderanie i nie wrócili ztamtąd, aż zdziercę złożono z urzędu. Trzeba lat wielu nim się znowu zagospodarują, gdyż strat im nie nagrodzono; chan miał krewnych u dworu. Z Moellim-kelaje po 2½ kwadransach drogi przybyłem na noc do wsi Szehrek należącéj do mojego znajomego Sefer Ali Chana, wodza nomadow Dżelilewend. Gospodarza nie było, żona jego brata podejmowała nas gościnnie, konfitury, owoce, herbata i potém wieczerza. Nie widzieliśmy naszéj amfitrionki, służące jéj z twarzą zakrytą przynosiły co trzeba i podawały przez okno nie wchodząc do pokoju. Szehrek miał twierdzę swoję, ślady jej wałów zniszczonych za dni Holagu Chana zostały jeszcze na urwisku przy rzece Endedżrud.

.... *3. maja* nocleg we wsi Kazerchane, trzy fersechy z Szehreku. Droga okropna. Szliśmy pieszo każdy przed swoim koniem, prowadząc go za wodze, szczeblując po gzymsach stroméj skały, nad nami wstęga błękitna niebios, tyle szeroka, ile tego dozwalały ścieśnione skał ściany; pod nami na dnie wąwozu wezbrany Szahrud. Mój ogier raz się potknął, puściłem wodze, już był się w dół osunął, sądziliśmy że runie w przepaść, ale się zręcznie wdrapał na ścieżkę. Po 30 minutach takiéj męczarni orzeźwił mię piękny widok wsi Mohammedabad, na lewym brzegu Szahrudu, piramidalne topole jak minarety i wypukłe ciemnozielone wierzchy morwów i orzechów, jak kopuły, ślicznie się odbijały na czerwoném tle skały stojącéj za niemi. Właściciel Ali Kuli-Chan-Ryszwend wyjechał na moje spotkanie i cały dzień zszedł na rozmowie z nim. Wie wszystkie szczegóły dziejów Alemutu i lubi opowiadać. Mówił mi, że plemię *Ryszwend* jest gałązką wielkiéj rodziny Kurdów znajomych pod imieniem Bebe, osiedlonych w Kurdistanie między Erzerumem i Wanem i mówiących językiem *loulou.* Ismael szah, król dynastyi Sefewijskiéj, przeniósł Ryszwendów z okolic Erzerumu do Heratu. Siedzieli tam aż do czasów Nadyr Szaha, który pozwolił im wrócić do ojczyzny. Takie przenosiny biorą wiele czasu. Gdy tysiąc rodzin (*chanewar*) ryszwendskich, tworzących niby awangardę pochodu, ciągnąc górami, przyszło do Rudbaru, kilkanaście tysięcy rodzin do Chorasanu, a reszta ich jeszcze nie wyruszyła z Afganistanu, doszła wieść o śmierci Nadyr Szaha. Ryszwendowie pozostali tam, dokąd który przyszedł i osiedli. Ali Kuli

Chan jest potomkiem tych przychodniów mieszkających odtąd w Rudbarze alemutskim, ale uznających za wodza swojéj rodziny Rizę Kuli Chana, mieszkającego w Kuczanie, to jest w Kurdistanie chorasańskim i mającego tytuł *Ilchani*, to jest dziedzicznego chana Kurdów ryszwendskich.

Przybywszy do wsi Bilwedeszt zawróciliśmy ku północy, zostawując za sobą Szahrud i niebawem Ali Kuli Chan zawołał: „Ha, otoż i Alemut!" — Krajobraz wielki i malowny. Na prawo śnieżysty wierzchołek góry Alburz, odległéj ztąd o jeden dzień drogi; przed nami, niżéj wieś Kazerchane (dom praczki), wyżéj tuż nad nią skalista góra Alemut. „Górę Alemut," mówił mój uczony Cicerone: „nie wiem dla czego nazywają u nas sześciu różnemi imionami; lud inaczéj, uczeni inaczéj, jak kto chce: 1) *Kazerchane*, i to najpowszechniéj; 2) *Ulehlan*, „gniazdo orła" od *uleh* po gilańsku „orzeł" i *lane* „gniazdo;" 3) *Ladżewerd*, „siny, lazurowy, od barwy właściwéj skale alemutskiéj;" 4) *Mejmundiz*, „twierdza (*diz*) szczęśliwa (mejmun);" 5) *Hasanabad*, „budowa (*abad*) Hasan Sebbaha" i nakoniec 6) *Alemut* „szkoła orłów" od *ale* zepsutego z *uleh* „orzeł" i *amucht*, po gilańsku *amut* „uczył." Wieczorem Ali Kuli Chan przyniósł mi dwa egzemplarze *Nuzhet-ulkulub*, znajomego powszechnie ziemiopisu przez Hemdullaha w usprawiedliwienie tego co mówił. Oto tłómaczenie kilku wyciągów (wariant) tych rękopismów pod wyrazem Alemut.

..... „Twierdzę tę najprzód nazywano *oleh-amut*, to jest gniazdo orła który tam uczył latać orlęta swoje. Z czasem zrobiono z tego *Alemut*, głoska w głoskę *olehamut*"....

..... „Mieszkańcy tameczni są wyznania duchowców (*bewatine*). Niektórzy z nich, nazwani *Meragijan*, trzymają się nauki Mezdeka [1]). Z tém wszystkiém lud czysto rudbarski, tuziemcy, mają siebie za mahometanów i wracają na drogę prawéj wiary"....

..... „Rudbarem zowie się kraj noszący także imie Szahrud od rzeki co płynie jego środkiem. Leży o sześć fersechów na północ Kazbinu. Jest tam pięćdziesiąt twierdz warownych, najniedostępniejsze z nich są w okolicach Alemutu; szczególniéj zaś Mejmundiz, przed 171 laty stolica związku Ismaelitów perskich. Roku hedżyry 246, sługa boży Husejn-ibn-Jezyd-Bagyri (potomek piątego imama) ją założył, a roku 483 Hasan Sebbah opanował ją i osadził zewsząd zbiegającymi się na głos jego duchowcami (*bewatine*). Twierdza ta w starożytności nosiła nazwisko Olehmut, „gniazdo orle," co się późniéj wymawiało Alemut. Po czterdziestu kilku latach władza Hasan Sebbaha wybujała bardzo (*seud kerd*). Dzieje tego człowieka należą do nadzwyczajnych wypadków. Roku 645 z rozkazu Holagu Chana zburzono ją. Co się tycze Rudbaru, klimat te-

---

[1]) Mezdek, imie komunisty perskiego, żyjącego w piątym wieku naszéj ery. Komentarz Desatyru mówi: „Mezdek uczył że ziemia i wszystko co na niéj jest wspólną „własnością ludzi. Własność ta powinna być rozdzieloną na równe części. Mąż „pięknéj żony nie jest jéj jedynym władcą, niech ją niekiedy poszle innym w zamian „za ich żony, choćby nawet i brzydsze." etc.

go kraju gorący. Jego koczowiska letnie na górach tak są bliskie koczowisk zimowych, że rolnicy pracujący niżéj słyszą głos pasterzy mieszkających wyżéj. W tęż samą godzinę ci żną jęczmień, owi go jeszcze sieją. Urodzaje dobre. Mieszkańcy dawniéj należeli do sekty duchowców (*bewatine*). Jest tam i inna sekta Meragianów, podobno ze zwolenników Mezdeka. Wszakże większa część tuziemców chce uchodzić za prawowiernych muzułmanów. Rudbar płaci rządowi rocznego podatku 6000 dinarów....."

Skała Alemutu, widziana z dołu, ma kształt grzebienia koguciego. Dziejopisowie perscy widzący jéj zamek lepiéj jeszcze niż teraz zachowany, porównywali go do leżącego lwa, co istotnie prawda, gdyż patrząc na nią z Bilwedesztu mógłem się przekonać o słuszności uwagi Ali Kuli Chana: „Zdaje się że wierzch góry nakryty lwią skórą; uważaj pan, głowa zwrócona w stronę Gilanu, ogon w stronę Kazbinu, tu i tam niby łapy płasko zwieszone. Oto wszystko co się dzisiaj zostało z twierdzy Sebbaha. Została się tylko podstawa i to zrównana już z ziemią. Po Mogołach nieraz ją odbudowywano i nieraz niszczono. Ostatnim burzycielem był znajomy dziada mojego, ojciec Fetchali szaha naszego, Muhammed Hasan Chan Kadżar."

Śród takich rozmów przybyliśmy do Kazerchane. Po śniadaniu pojechaliśmy odwiedzić wierzchołek skały Alemutu, leżącéj [1]) na N. E. wsi Kazerchane, o małą wiorstę odległości. Skała od strony wsi niedostępna ma z przeciwległéj strony wązką krętą ścieżkę, jedyną drogę swoją. Trzeba było zsiąść z koni i pieszo, jeden za drugim wspinać się z pomocą kija i ręki przewodników. W trudniejszych miejscach Ali Kuli Chan, prawdziwy góral skaczący z kamienia na kamień, wspierał mnie, Szeryf Chana prowadzili wieśniacy. Szczeblowanie trwało więcéj półgodziny i skończyło się bez przypadku, dzięki nie naszéj zręczności, ale pomocy tuziemców. Wszedłszy przez szczątki bramy, ujrzeliśmy tunnel, to jest ścianę wyrastającą ze skały i niezgrabnie wydrążoną na przestrzał. Kazerchańscy mieszkańcy nazywają ją *mekteb-chane* „szkołą." Żadnych śladów tynku pod arkadą ani na ścianach; świecą one odłamem właściwym skale swojéj i należą do niéj. Architekt, mularz ani rzeźbiarz nigdy, zdaje się, tu nie pomagał. O kilkanaście kroków wyżéj można łatwo obejrzeć prostokątną podstawę ścian zewnętrznych zamku. (*Erk*). Prostokąt ma 102 stopy dług. na 60 szerok. Ściany z kamieni nieciosanych ale spojonych wybornym cymentem. Wierzch grzebienia skały ma największéj długości 840 stóp a największéj szerokości tylko 72 stopy, gdyż skała nierównie węższa u szczytu niż u dołu, a od miejsca gdzie się zwęża, wszystkie szczeliny i nierówności bardzo starannie zapełnione cegłami i cymentem. Na tak niewielkiéj podstawie nie można było wiele budować, i jeżeli zamek mógł istotnie pomieścić kilkadziesiąt tysięcy obrońców, to chyba że był bardzo wysoki i liczył piętr wiele, czego dzisiaj żadnych śladów nie pozostało. Na podłodze twierdzy jest

---

[1]) Pod 84° 50' długości i 36° szerokości jeograficznéj.

kilka głębokich wydrążeń ciętych w skale, niektóre z nich pełne deszczowéj wody, nie mającéj ścieku a zatém trwającéj dopóki słońce nie wysuszy. Od wejścia, o jakie 50 stóp niżéj wierzchu, widne są dwie półokrągłe groty głęboko wycięte w ciele skały. Są to strasznéj pamięci więzienia, *siah-czahi Alemut* „czarne studnie Alemutu", o których perskie kroniki mówią z taką; trwogą jak europejskie o *i piombi* Wenecyi. Tu na powrozach spuszczano winowajcę i karmiono go takimże sposobem; a nie było podobieństwa ucieczki po stromych zewsząd jak ściana urwiskach. Otoż i wszystka pozostałość sławnéj twierdzy Sebbaha. Dodajmy że wysokość skały różni się od 800 do 1500 stóp wysokości, wedle tego z jakiéj strony się mierzy. Najwyższe są strona północna i południowa; pierwsza daje na wieś Kazerchane, druga kończy się przepaścią na któréj dnie płynie strumyk *Giecz-dere*. Wchód od wschodu. Wieśniacy pokazywali nam miejsce, zkąd Hasan-Sebbah miał strącić własnego syna za to, że zabił zwolennika związku.

Proponowałem tumana (12 fr.) temu, któryby znalazł jaki sprzęt należący do fedewich. Afszarowie moi i wieśniacy jęli się czynnie do poszukiwań, kopiąc kindżałami, macając w szparach etc. Po przeszło półgodzinném szperaniu zniesiono w kupę zdobycz: ordzewiały ćwiek, kawałek szkła kolorowego, trzazgi polewanych czerepów, odłamki cegieł i cymentu, nakoniec orle pióro i pęk dzikich maków (*lale*, coquelicot) i niezabudek były nagrodą i łupem wycieczki. Imie Hasan Sebbaha dobrze i tu znajome w ustach wszystkich wieśniaków. Przy Kazerchane pokazywano mi mogilnik i grób jakiegoś świętoszka (*pir* „dziad, starzec świątobliwy") należące niby do czasów potęgi związku alemutskiego. Mieszkańcy Kazerchane w łachmanach. Żebraków obojéj płci wiele, dzieci nagie chorego wejrzenia z wydętemi brzuchami, bo przy niedostatku zdrowszego jadła źrą zielone jeszcze owoce. Przechadzając się z Szeryf Chanem po dziedzińcu kazerchańskiego cmentarza w cieniu wysokich klonów (*czenar*) zajrzeliśmy do jednéj wiejskiéj chaty. Stara, wynędzniała kobieta siedziała na ziemi nad kurzącym się garnkiem. Przy niéj, bez podesłania, leżało chore od 6 do 7 lat chłopię. W kącie, takoż na goléj ziemi, spało niemowle okręcone w szmat brudnego wojłoku, jedyny mebl domu. „Co tu sobie gotujesz, dobra staruszko?" spytał chan. „A ot zobaczcie" odpowiedziała dostając warzewiem z garnka jakieś zielsko. „Oto nasz pokarm. Zimą było jeszcze gorzéj, zapomnieliśmy że jest chleb na świecie." „Módl się staruszko za zdrowie szaha, da Bóg będzie lepiéj." „Modlę się to ja za szaha i za ciebie mój chanie, ale wnuczęta moje głodne." Skończmy ten smutny obraz uwagą, że w gronie otaczających nas urzędników znajdował się *Naib* książęcia Kazbinu, to jest poborca zaległości podatku w Kazerchane.

Nazajutrz raz jeszcze odwiedziłem Alemut z camera lucida dla wzięcia rysunku. Znalazłem tam wiele i upolowałem kilka czerwonych kuropatw (*kebk*) wielkich jak nasze pardwy. Reszta dnia spędzona na wycieczce do zwalisk twierdzy *Newizer*, na któréj wierzchołek nie mogli-

śmy się dostać. Zmęczone konie i ludzie upałem i ścieżkami, po których tylko dzikim kozom nie przykro łazić.

.... *5. maja. Nocleg w Szehristanie stolicy Rudbaru, pięć fersechów.* Z Kazerchane wróciliśmy po opisanéj już drodze do Dekinu, gdzie nas spotkał z wyborném śniadaniem Nesrullah Chan, syn nieobecnego tu rządzcy Rudbaru i zięć towarzysza podróży mojéj Szeryf Chana. Pochyłości góry Szahkuh, po których spuszczaliśmy się na brzeg większego Szahrudu, nierównie weselsze od szahkuskich żup solnych, bujnie pokryte kwiecistemi trawami. Żupy i wieś Karenderczal zostały na lewo. Im bliżéj Szehristanu tém silniejsza wegetacya. Ogromne wsi po obu brzegach rzeki, piękna wieś Węszty i naprzeciw Szehristanu, po drugiéj stronie rzeki wieś Herjan. W Szehristanie Nesrullah Chana ojciec ma wspaniały dom, którego ośmiokątną wieżycę z oknami szyb różnobarwnych przygotowano dla mnie. Piękne dywany przykryte białemi obrusami, po których wiosną chodzić świeżéj niż po wełnie, a chodzi się bez trzewików co i ochędożniéj i nawet przyjemniéj. Podłoga pokoju perskiego jest stołem, krzesłem i łóżkiem, na niéj jedzą, siedzą i śpią a ztąd tak szanowana. Trzewiki zostawiają się w sieniach u progu, i istotnie byłoby barbarzyństwem deptać naszemi podeszwami i obcasami po tych miękkich rozkosznych dywanach. Obrusy gęsto zasypane liśćmi róż świeżych, odnawianych codzień i napełniających powietrze swoim rozkosznym zapachem. Ośm okien jest razem ośmiu ścianami wieżycy, nie odmykają się, ale (jak u nas w starożytnych domach stawnie) podnoszą się z dołu do góry. W takim pokoju nigdy nie gorąco, gdyż od strony słońca okno się spuszcza i zasłania oponą z grubego płótna, a zewsząd gdzie słońce nie dochodzi, otwarto, każdemu powiewowi przystęp wolny. Mam z okien śliczne widoki szczególniéj ku zachodowi, gdzie Szahrud płynie wężem i ginie w romantycznym nieładzie gór i ogrodów pod jasném turkusowéj barwy niebem. Słowiki grzmią, głuszą. Gościnność perska nieraz do przesytu, jak polska. Trzeba cały dzień pić i jeść i kurzyć bez oddechu, ciągłe wypytywania się służących jaką potrawę jaki szerbet lepiéj pan lubi. Ustawiczne pytania czyś nie głodny, czy nie nudzisz się, czegobyś chciał i po zawiesistych śniadaniach, obiadach, podwieczorkach, wieczerzach przeprosiny że tak niewiele dają. O winie ani wzmianki. Wino ma swoją uprzywilejowaną porę, pije się pod sekretem, w obecności sług wierniejszych, a wtedy śpiewy, tańce, czasem bajaderki, wszystko ma się rozumieć cicho i bez wiedzy mołły sąsiada. Szeryf Chan lubi wypić a w mojéj i jego podróżnéj kantynce na *Chullari* (szyrazkie wino podobne do sauterne) nie zbywa. Gościnność wszakże, nie tak jak u nas, zupełnie beźinteresowna. W Persyi w ustach wszystkich przysłowie: *ziri in kase nimkaseist* — „pod tą filiżanką jest filiżaneczka." Szeryf Chan widział w Teheranie jak mię dobrze szah i wielki wezyr przyjmowali. Nesrullah Chan stara się o urząd; rzecz arcy wygodna mieć przyjaciela u dworu, szczególniéj przyjaciół Europejczyków, którzy nic nie biorą za protekcyą. Przytém książę kazbiński dociska sztrafa-

mi rządzcę Rudbaru; czy nie uda się posadzić Szeryf Chana na miejscu księcia? a gdyby się udało, jaka radość, ile korzyści dla zięcia?

Wiedzą że lubię oglądać zwaliska starych budow. Postanowiliśmy zwiedzić ruiny twierdzy Lamjeseri i cały dzień jutrzejszy strwonić na wędrówkach. Leży ona na prawym brzegu Szahrudu, o dobre dwie wiorsty drogi od Szehristanu ku wschodowi. Dojechaliśmy do samego wejścia do zwalisk konno. Twierdza miała dwie bramy, obie na zachód. Stoi na trójkątnéj powierzchni wierzchołka skały, zdaje się ręką ludzką ściętéj, a ta podstawa wznosząca się trzema piętrami tak obszerna, że mogłaby pomieścić nietylko zamek, lecz i kilka set domów. Na każdym piętrze, czyli terasie, są ślady murów zrównanych z ziemią. Najlepiéj zachowane resztki są na najwyższym terasie zwanym przez wieśniaków *Naryndż kale* i także *ark*, „twierdza, zamek.” Położenie samo nie pozwala wątpić, że tu był główny punkt obrony, z jednéj strony panujący nad całą powierzchnią trójkątnéj podstawy, a z drugiéj, z tyłu, zakończony urwistą przepaścią niedostępną dla konnych i pieszych. Została jeszcze najniższa część budowy, czyli jéj podwał. Paralellogram 120 stóp długi, 28 szeroki, jest przegrodzony w poprzek ścianami tworzącemi trzy izby, komunikujące z sobą drzwiami i nakryte wypukłém sklepieniem, wszystko z kamieni spojonych tymże cymentem co i mury Alemutu. Opowiadał mi Nesrullah Chan, że niedawno jeszcze, dowiedziawszy się o śmierci Fetch Ali Szaha, cała ich rodzina uciekła z Szehristanu i obwarowała się w téj twierdzy, lękając się napaści kazbińskich nomadów, do któréj dzięki Bogu nie przyszło! Pokazywał mi drzwi z desek wstawione wówczas i kamienie przygotowane do ich zatarasowania. Cały trójkąt posady otoczony był zewsząd wysokim, murowanym z kamieni wałem. Zachodnia ściana wału z bastionem stoją jeszcze, tak grube (20 stóp) i silne, że wytrzymałyby ogień działowy. Naliczyłem jedenaście jam prostokątnych głęboko ciętych (11 w twierdzy i jednę zewnątrz jéj) największa miała 12 stóp szerokości, 34 dług. i także głęboka jak długa.[1]) Niektóre z nich mają nad sobą ślady sklepień. Inne znalazłem pełne wody ciekącéj z kanału prowadzonego z wyższéj części Szahrudu. Nigdzie żadnych napisów. Gościnność Nesrullah Chana przygotowała nam *siurpryzę*. Na wierzchołku Lamjesir stał maleńki namiot. Znalazłem tam dywan zastawiony śniadaniem, cukrami, kalian, kawę, herbatę i serdeczną uprzejmość. Jego sekretarz (*mirza*) widział w nazwaniu twierdzy arabską negacyą *lam jeser,* to samo co *gejri-mujesser,* „niezdobyty, niełatwy do wzięcia.” Se non vero ben trovato. Wszczęły się długie sprzeczki, która z twierdz, Alemut czy Lamjesir trudniejsza do zdobycia? Obu zdań broniono żywo i dowcipnie, przyszło nawet do przymówek mniéj grzecznych, gdyż Persowie szehristańscy stali przy

---

[1]) Jeden z cytowanych przez v. Hammera kronikarzy wspomina, że twierdze związku chowały zapasy miodu i wina w sadzawkach ciętych w skale. Gdy twierdze te oddano Bajsurowi, jego mogołowie szukając wszędzie skarbów wpadali po szyję do miodu i wina. (p. 272)

sławie Lamjeseru a kazerchańscy widzieli osobistość obrażoną w żartach rzucanych na ich ojczyznę. Zdano się na mój sąd. Odpowiedziałem, że Alemut trudniéj zdobyć, ale w Lamjeserze przyjemniéj żyć i że ten ostatni jest miastem w porównaniu pierwszego. Tak wilk syty i koza cała. Obchodziliśmy ślady budow rozrzucone po dwóch niższych terasach, gdzie cegieł i kamieni spajanych cymentem nie spotykałem, tylko zaokrąglone garby pozostałe po domach robionych z cegły niepalonéj i z błota zmięszanego z miękkiną, sposób murowania po dziś dzień najużywańszy w Persyi. Godniejsze uwagi są ostatki jakiegoś pomnika z kopułą, leżące po za wałami Lamjeseru, przy strumyku ciekącym z gór do Szahrudu. Kopuła ma około 20 stóp średnicy i nakrywa czworościan kamienny, mający drzwi od wschodu i trzy pokoiki sklepione. Plan téj budowy przypomina plan świątyni Giebrów przy ruinach Reju na drodze z Teheranu do Weraminu.

Wróciwszy do Szehristanu zaproszony byłem na powtórne śniadanie do haremu Nesrullah Chana. Kobiety nie wchodziły do pokojów, ale można było widzieć ich oczy patrzące na nas przez szczeliny drzwi i okien. W ścianach framugi (*takcze*) zasłonione firankami z czerwonéj krepy szytéj złotem. Drzwi zawieszone firankami z szalów kaszemirskich. Przy oknach do siedzenia grube, miękkie dywany walone z wełny wielbłądziéj (*duszek nemed*), i do oparcia się śliczne puchowe poduszki z muślinowemi poszewkami. W najpiękniejszéj framudze pod przejrzystą haftowaną firanką stała czarna barania czapka ojca rodziny i pana haremu. Każdy porządny harem w Persyi, ma taką czapkę zawsze obecną w pokoju *banui harem* pierwszéj żony, świadek jego łaski i wysokiego urzędu pani. Szanują ją jak domowego penata.

Tu pierwszy raz dowiedziałem się, że w Rudbarze istnieje po dziś dzień sekta Meragianów, którą jak widzieliśmy wyżéj jeograf Hemdullah posądza o należenie do kommunistów Mezdeka. Mieszkają oni rozrzuceni po rozmaitych wsiach, naliczniejsi w Weszte, Awirek i Espimurd. Nie łączą się związkiem małżeńskim z mohametanami i starannie kryją obrządki swoje. Tajemnicy téj nikt nie umiał mi wyjaśnić. Liczą wszystkiego do 400 rodzin, czyli 2,000 ludności obojéj płci. Żenią się w dojrzałym już wieku, nie chcąc korzystać z pozwolenia Mahometa poślubiać dziewięcioletnie dziewczątka. Słyną uczciwością i łagodnością charakteru, lubią psy i uważają rolnictwo za przedmiot jedynie godzien starań i pracy człowieka. Nie jedzą owiec kotnych i innych samek przed zlegnieniem. Podobają sobie w odzieży z płótna białego. Są trzeźwi, skromni i żyją długo. Nesrullah Chan dogadzający wszystkim chętkom moim posłał umyślnego o kilka fersehów dla sprowadzenia jakiegoś Molly Abkusa, co przeszedł na wiarę islamu i wiedział wiele szczegołów o Meragianach. Nieszczęściem nie znaleziono go i niczego więcéj nie mógłem się dowiedzieć o nich. „Któż ich prorokiem czy nie *Zerduszt* (Zoroaster)?" pytałem. „Nie wiem" odpowiedział Nesrullah Chan. „Unikają wszelkich sporów i rozmów o religii. Wiem tylko że ile razy mój ojciec, chcąc ich pomęczyć, śmiał się z Zerduszta, gniewali się bardzo.

Szanujemy ich uczciwość, płacą podatki lepiéj od naszych jednowierców, nie mięszają się do spraw naszych, więc zostawujemy ich w pokoju."

Rudbarski powiat liczy przeszło dziewięćdziesiąt wiosek. Oto jego granice: ku zachodowi Gilan, zaczynając od Baba-Mensur; ku wschodowi Alburz oddziela od posiadłości Kazbinu; ku północy kazbińskie podgórze (*Kupaje*) i teherański Talagan; resztą swoich granic dotyka gilańskich powiatów Raneku i Dejlem. Największa długość Rudbaru, od zachodu na wschód 16 fersechów. Rzeka Szahrud dzieli go wzdłuż na dwie nierówne części. Roczny podatek 6,000 tumanów. Handel głównie z Gilanem i najczęściéj na wymianę nie zaś na gotówkę. Rudbar wymienia swoje owoce, morwy, orzechy, winogrona, bawełnę i sól, na gilańskie ryż i jedwab przędziony.

..... *7. maja.* Nocleg w namiotach przy wsi Czengiel, 4 fersechy z Szehristanu ku wschodowi. Droga po górach ożywionych bujną wegetacyą, drzewa tylko w ogrodach, góry pokryte trawą. Na połowie drogi Lawedż, zwaliska niegdyś wielkiéj wsi z obszernym cmentarzem, dzisiaj pastwisko bez żadnego mieszkańca. Gorale wejrzenia zdrowego, wzrost mierny, oko jasno czarne, twarz szlachetna, owalna, nos orli. Odzież dobrze zastosowana do potrzeb pieszego życia po górach: Czapka śpiczasta walona (*nemed*) z wełny; kaftanik (*archaluk*) zostawujący szyję nagą i wyższą część piersi przykrytą tylko koszulą z grubego bawełnianego płótna, poły wsunięte w spodnie z oszkurem co, zamiast pasa, wpół ociska cienkiego gorala i ułatwia ruchy po urwiskach i kamieniach, gdzieby niepodobna przeskakiwać i biegać w szerokiéj, długiéj odzieży Persa. Chodaki z jednego kawałka skóry. Kamasze od kolan aż do kostki, z wierzchu do dołu obwiązane sznurkiem. Na zimno, deszcz i mgłę ma surdut (*kulidże*) bez szwów z walonéj wełny. Zawsze uzbrojony. U pasa długi prosty nóż (*keme*), w ręku u uboższych kij, u dostatniejszych strzelba i rożek z prochem, krzesiwo etc. przyczepione na oszkurze. Przejechawszy około wioseczki Pečeczan znaleźliśmy już rozbite dla nas namioty przy wiosce Czengiel. Był to ostatni nocleg w towarzystwie gościnnego Nesrullah Chana, który dał mi jednego z braci młodszych dla konwoju do granic gilańskich. Rozstanie się obficie skropione łzami „córki winnic Chullarskich" (*szyrazkiego wina*), przy odgłosie pieśni branych głównie z poetów mistycznych, którzy wino uważają za symbol wesela serc pobożnych. „Kochankiem" to jest przedmiotem naszéj miłości i jéj ideałem nazywają Boga a „zakochanym pijakiem" człowieka upojonego miłością łask bożych, rozmiłowanego w piękności stworzeń i Stworzyciela. „Przynieś mi dzban wina abym się umył do modlitwy. Modląc się obrocę twarz moję ku winiarni!" — „Gdy karawana wszech-świata przyjedzie na Jozefatową dolinę, w dzień ostatecznego sądu, co za zgiełk i nieład; jak rozwikłać wodze splątane w rękach jeźdźców tylu? Rożaniec nabożnisia i kaptur zakonnika i pijak wyga, wszystko się zmięsza."

..... *8. maja nocleg we wsi Szehul.* Dziesięć przeszło godzin dla zrobienia tylko pięciu fersechów. Piekielna droga. W tym jednym dniu

widziałem wszystkie pory roku: Upał 28 stopni Reaumura i zimno pod zerem; drzewa w kwiatach i drzewa sypiące zżółkłemi liściami jesieni, pączki ich tylko co pękające jak na wiosnę; brnąłem po kolana w śniegu, jadłem tylko co dojrzałe morwy, widziałem żnących jęczmień i to wszystko rozdzielane niewielu kwadransami czasu! Takie tu nagłe przemiany klimatu wedle tego jak się z gór zniżasz lub na nie wstępujesz. Konno i pieszo wieszaliśmy się nad przepaściami których trudno policzyć, trudniéj opisać. Trzydziestu gorali nam przewodniczyło.

Po pierwszych trzech godzinach drogi gromada skał *Nefleczak*, może dla tego tak nazwanych że na żółtém dnie skał wapiennych rdzawe plamy niby stłuszczone Naftą. Przewodnik moich mułów nazywał to miejsce „twierdzą Boga" (*kalei Chuda*). Zatrzymał nas zawał śniegu, trzeba było otwierać drogę i wstępnym bojem iść daléj. Góry i skały bez traw, tylko na wierzchołkach karłowe drzewa cisu i krzaki jadłowcu, jakby przypominały że tu się kończy kraj pastwisk, a wkrótce zacznie się kraj lasów. Potém, rozsuwając i łamiąc śnieg często tak twardy, że go rąbano kindżałami, wjechaliśmy w grupę skał *Eznaczak*. Skały łupkowe, strome, osypywały się pod kopytami koni i mułów, pięliśmy się na wierzchołek szyi (col „*gerdene*.") sławnéj zamieciami zasypującemi śniegiem karawany. Ztąd jéj imię pogrzebowe *kiefene kul* „całun na plecach." Zabobonniejsi podróżnicy jadąc tędy robią testament i wdziewają koszulę (*kiefen*) śmiertelną, to jest zapisaną suratami koranu, w któréj mahometanie grzebią swoich umarłych. Odsłoniło się Kaspijskie morze i jego leśne wybrzeża Gilanu i na nich tu i owdzie tumany mgły białéj. Wiatr grudniowy mroził nam twarze i ręce, przeszkadzał cieszyć się widokiem wielkiego krajobrazu.

Przez wierzch Kiefene kul idzie graniczna linia Rudbaru z gilańskim powiatem Raneku. Wiele rzek bierze źródło z pod tutejszych śniegów; płynące po pochyłościach południowych idą do Gilanu i Mazenderanu, po północnych zaś, do Rudbaru. Spuszczając się można było widzieć stopniowy postęp wegetacyi leśnéj: na najwyższych szczytach cisy, jadłowiec, cząmbry, trochę niżéj drzewa wyższe już i rozłożystsze wiązów, które tuziemcy nazywają z polska *wenz*. Potém lipy, dęby i oliwy i zamiast naszych jodeł i sosen których tu nigdzie nie masz, ogromne cyprysy (*serw*). Wjechaliśmy na łąkę pokrytą po litewsku niezabudkami, pierwiosnkami i zawilcami. Rzeka Pilorud wypływa z okolic Kiefenekulu, przez Raneku do morza. Spuszczaliśmy się jéj przepaścistym brzegiem, czy mówiąc dokładniéj, widzieliśmy ją daleko pod nami w głębi okropnego parowu. O półtora fersecha od Szuhul, miejsca naszego noclegu, spotkał nas Eszkiewerski namiestnik Kafur Beg na czele dwudziestu pieszych strzelców (*tufenkczi*). Wszyscy ubrani jak rudbarscy górale tylko że czyściéj i bogaciéj. Koszule jedwabne tkane ręką ich żon i córek, z jedwabiu własnego wyrobu. Długie rusznice z mnóstwem srebrnych skówek i u pasa *keme*, proste obosieczne kindżały, czy raczéj miecze na wzór robionych w Czerkassyi i Gruzyi. Wielkie zdrowe chłopy. Wioski ich. podobnie jak i kraj, zupełnie różne od tego co po drugiéj stro-

nie gór, w Persyi. Chałupy budowane z bierwion nakryte dachówkami, które często wiatr zrywa, dla tego na każdym dachu kamienie, jak na szaletach Szwajcaryi. Jesteśmy w podgórzu giłańskiém etc. etc.

Wypis ten robię głównie ażeby się usprawiedliwić dla czego i na jakich dowodach oparty pozwoliłem sobie nie raz odstąpić od zdania uczonego v. Hammera i czemu nie przyjmuję jego ortografii imion, osób i rzeczy, którym miałem zręczność przypatrzyć się i przysłuchać się w ich ojczyznie. Nie przeszkadza to zgoła mojemu najszczerszemu uważeniu i oddaniu sprawiedliwości pracom i wielostronnéj nauce sławnego orientalisty.

Aleksander Chodźko.

ŻYCIE KNIAŹNINA.

(Z manuskryptu pisanego w r. 1817.)

Franciszek Dyonizy Kniaźnin urodził się na Białéj Rusi 1750 roku w październiku, z Leona i Anastazyi Kniaźninów. Dawna ta rodzina niegdyś w Smoleńskiém województwie osiadłą była. Przodek jéj (jak o tém w odzie XIX księgi wspomina) mężnie się potykał broniąc twierdzy Smoleńska. A gdy to miasto i całe województwo odstąpione zostało carstwu moskiewskiemu za Jana Kazimierza, ród Kniaźninów korzystając z warowanéj obywatelom wolności wyniesienia się z pod obcego berła, porzucił dawne siedziby i przeniósł się w Witebskie. Część jednak familii osiedziała się w Moskwie, i zdaje się że pod wszelakiém niebem, pod wolnym lub samowładnym rządem, ród ten muzom przychylny wydawał ludzi udarowanych duszą niepospolitą. Razem prawie z naszym poetą, kwitnął za Katarzyny II imiennik jego Jakób Kniaźnin, znany dotąd dla tragedyi, w których czułość i szlachetne myśli największą są zaletą.

Franciszek Dyonizy wszedł do szkół jezuickich w Witebsku. Ojcowie ci starali się do swego zgromadzenia przyciągać młodzież, w któréj upatrywali większe zdolności. Nie uszedł więc i nasz Kniaźnin ich uwagi i wstąpił w 14 roku życia swojego do rzeczonego zakonu. Wkrótce użytym został do uczenia w klasach początkowych, a potém retoryki i filozofii. Przeniesiony jako nauczyciel do szkół jezuickich w Warszawie, wcześnie tam okazał uderzającą zdatność do poezyi. Było to właśnie w porze zniesienia Jezuitów. Zarzucają zakonowi jezuickiemu, że nie tyle w Polsce wielkich w naukach mężów wydał, nie tyle ważnych dzieł po sobie zostawił jak gdzie indziéj, z tém wszystkiém i Polska w tym względzie niemało mu winna. Jego staraniem zebrane znaczne majętności, niemniéj téż i umysłowe dla edukacyi i oświecenia zasoby, stały się po zniesieniu zakonu użytecznemi dla pospolitéj rzeczy. Lu-

dzie uczeni z grona Jezuitów rozsypani po kraju, wspierani i użyci przez rząd, ozdobili literaturę wieku Stanisława Augusta i byli celniejszymi narzędziami jego usiłowań, dla wychowania i nauk. Naruszewicz, Piramowicz, Koblański, Poczobut i wielu innych zostawili imiona niewygasłéj u nas pamięci.

W liczbie tych imion Kniaźnina pomieścić należy. W epoce zniesienia Jezuitów, nie będąc jeszcze księdzem wrócił do stanu i ubioru świeckiego. W ciągu dalszego życia z przyzwyczajeń zakonnego wychowania i z charakteru towarzystwa, z którego wychodził, nic prawie nie zatrzymał, prócz cichości, skromności, małych potrzeb i przywiązania do prac literackich. Rzucony na świat, bez żadnéj posady, znalazł Kniaźnin przytułek w domu ks. Adama Czartoryskiego G. Z. P., który ludzi uczonych, utalentowanych a niemających fortuny do siebie gromadził. Z tego domu już się więcéj Kniaźnin nie oddalił, w nim aż do końca dni swoich przebywał, w nim zaprzyjaźnił się z wielu znakomitymi wieku tego pisarzami, którzy tamże uczęszczali. Lecz najściślejsze zabrał związki z Zabłockim, który jednego prawie z nim wieku, acz temperamentu żywszego, jednakie miał skłonności i równy sposób myślenia.

Zabrana od pierwszéj młodości przyjaźń między ludźmi wyższego talentu, kiedy się ubieganiem o jeden wieniec nie oziębi, najtrwalszą bywa. Takim był węzeł, który połączał Kniaźnina z Zabłockim. Przyjaźń tak czysta zająć i utrzymać się tylko może w sercach bogatych w szlachetność i rzewną prostotę, która je daleko nad zawiść wynosi.

Kniaźnin zrazu do obowiązków sekretarza był użyty, lecz umysł jego ciągle i jedynie skłaniał się do poezyi. Nie był on zdolnym do żadnéj przymuszonéj i suchéj pracy. W nieokreślone i swobodne pola imaginacyi serce go porywało; niechętnie przemagał trudy wszelkiéj innéj zadanéj mu pracy. Umiano w tym domu szanować samowolne chęci istotnego talentu. Kniaźnin zostawiony sobie nie zaraz trafił na drogę prawdziwego gustu. Literatura polska otrząsała się dopiero z tylu wad zastarzałych i pomału oddalała się od najgorszego kierunku, na który zaszła przez czas nieporządku wewnętrznego i upadku politycznego zewnątrz znaczenia. Anarchia bowiem, kiedy się w stałe krajowe systema zamienia, przewracając wszelkie pojęcia i maksymy zdrowego rozsądku, znikczemnia także literaturę. Najrzeczywistszy talent niczém wielkiém nie obudzony musi stosować się do otaczających go okoliczności. Kniaźnin bez naprowadzenia, błąkał się zrazu. Samém czuciem wiedziony, na Erotykach naprzód pióra swego doświadczył. Wstydził się potém tych pierwszych swoich tworów, i największém jego staraniem było wygubić ich pierwsze wydanie. Ani po bibliotekach publicznych, ani w żadnych księgarniach znaleźć go już nie można. Swobodny, niepodległy umysł Kniaźnina wszelki obcy wpływ za ciężar uważał, sam tylko siebie mógł wydoskonalić, i na lepszą wyprowadzić drogę. Pierwszą pracą jego, do któréj lubił się przyznawać i którą się nawet chlubił, były żale Orfeusza nad Eurydyką. Przyjaźń wywyższyła talent jego i z kajdan złego smaku wyrwała. Zabłocki straciwszy ukochaną żonę, pogrążony

był w smutku, którego żal na całe już życie miał go obarczyć. Kniaźnin nieszczęściem przyjaciela przejęty, pierwszy raz dał poznać moc swojego talentu, który odtąd coraz się bardziéj rozwijał. Okoliczności, miejsce, społeczeństwo, w których żył, wiele się przyczyniły do tego szczęśliwego skutku. Ostatnie kilkanaście lat panowania Stanisława Augusta są miłém choć smutném i bardzo szczególném dla tych, którzy w ówczas żyli, przypomnieniem. Bolesne skutki zaburzeń i nieszczęść krajowych już były zniknęły w prowincyach jeszcze należących do Polski. Partykularni żyli w dostatkach i przyjemnéj swobodzie. Chciano być znaczącym, czynnym, chciano cnoty, niepodległości, znaczenia krajowego i samych tylko unaszających uczuć tych szanownych chęci doświadczano. Miłe wczasy zajmowały jedynie większą część życia cnotliwych i możnych obywatelów. Strojono przyszłość w najpochlebniejsze obrazy. Nadzieja, owe bóstwo Polaków, które oni częstokroć nad samą rzeczywistość przekładają, wówczas bez trwogi, zwyczajnéj swéj towarzyszki, nigdy im przyjemniejszych nie dostarczała marzeń. Trudności i goryczy działania, chybienia celu, srogich kar za omyłki, jeszcze nie znano. O możności zaguby kraju myśl nawet nie przychodziła. Po zacnych usiłowaniach bano się wrócić do saméj tylko spokojnéj i swobodnéj prywatnéj szczęśliwości, bez podniesienia kraju do należnego mu niepodległości stanu. Tak dni przed burzą w zdradliwéj lecz słodkiéj przechodziły ciszy. Łagodny charakter narodowy sprawił, iż jéj korzyści rozlewały się od klasy uprzywilejowanéj na miasta i wsie. Kraj w swéj politycznéj nicości, sobie zostawiony, rósł w dostatki i skoro w cywilizacyi postępował. Jeszcze naród nie był zatracił części dawnych swoich obyczajów i osobnéj swojéj postaci, ze szkodliwych przesądów otrząsał się, lecz własny skład, własne formy zachowywał. Narodowa oryginalność, azyatycki przepych i europejska oświata, umiarkowane i zmięszane razem, epokę tę nader interesującą czyniły. Chwila takowa w całéj Polsce, lecz szczególniéj w domu, w którym Kniaźnin przebywał, dla literatury imaginacyjnéj jakże powabną i przychylną była. Czczono w nim nauki, a poezya była najprzyjemniejszém panów domu i wszystkich domowych zajęciem. Świetne zabawy i literackie rozmowy dzieliły wczasy Puław. Tam codziennie siedzących u gościnnego stołu, lub przechadzających się po pięknym ogrodzie, można było zebranych ujrzeć Karpińskiego, Piramowicza, Kniaźnina i choć młodszych, do ich grona już przyjętych Niemcewicza i Matuszewicza. W przyjaznéj poufałości rozprawiali o losach przyszłych ojczyzny, o uczuciach serca i pięknościach poezyi i kunsztów. Patrząc na to grono, słuchając ich rozmów w tém od natury tak hojnie obdarzoném miejscu, trudno było nieuczuć się natchnionym. Nieraz się zdarzało, że domator zasiedziały, prawdziwy jeszcze Sarmata, przybywszy z daleka do Puław, po krótkim pobycie nie bez złożenia także kilku wierszy odjeżdżał. Sposób życia księstwa Czartoryskich w Puławach do okazałości dawnych staropolskich pańskich dworów, łączył wytworność i smak nowszych obyczajów. Ilość rodzin mieszkających w Puławach, liczba dworskich, odwiedzający sąsiedzi i

przyjaciele czyniły pobyt Puław świetnym zawsze i zaludnionym. Częste widowiska, uciechy, śpiewy, które miały za cel to krajowe, to familijne pamiątki, zdolne były zająć zupełnie lutnią Kniaźnina, którą tak często dla wynurzenia swéj wdzięczności nastrajał.

Mamy z pióra jego poema: *Balòn, Rozmaryn* — opery: *Spartanka, Cygani, Troiste wesele, Anakreon,* które wszystkie ze zdarzeń domowych powód wzięły. Wszystkie zaś dramatyczne jego sztuki w Puławach wystawiane były. Puławy stały się niejako Parnasem Kniaźnina. Zielone wzgórki, cieniste gaje, długie ulice, odległe widoki, Wisła płowa, strumienie do niéj wpadające, bawiły samotne przechadzki poety, zajmowały wyłącznie wyobraźnią jego; tém dla niego były czém niegdyś Tybur i Albanea dla Horacyusza. Pisma Kniaźnina są obrazem zabaw puławskich i ducha, który w Polsce panował w czasie kilkunastu ostatnich lat rządów Stanisława Augusta i istnienia Polski, gdy już nie kolizye trybunalskie i sejmikowe, lecz ważne całego kraju przygody stały się celem powszechnego czucia; Kniaźnin w tém szlachetném źródle nowych i ognistych podniet do swych prac zaczerpnął.

Miłość przez cały ciąg życia Kniaźnina wpływała także na jego tkliwą duszę. Niewinność i czystość jego uczuć żywszemi je i uniesienia zdolniejszemi czyniły. Lecz postać jego wątła, strój niestaranny, nieśmiałość do ostatniego stopnia posunięta, brak zupełny wszelkich zewnętrznych zalet mało go usposabiały do podobania się płci pięknéj. Miłość najognistsza i najskromniejsza przyczyną była jego nieustannych męczarni i z samym sobą walk namiętnych, które nigdy na jaw nie wychodzące, tém dotkliwiéj wewnątrz serca rozdzierającą burzę szerzyły. Pełne są jego dzieła smutnych wynurzeń nieszczęśliwego kochania i skarg zwyczajnie obracanych do Klimeny, pod któréj imieniem wspominał mało znaną osobę, któréj przez długie lata całe swe serce był poświęcił. Zabawy puławskie, uroczystości i widowiska, zebrane licznie młode i piękne kobiety, w poezyi kochające się, cześć im oddawana, doskonaląc grzeczną i rycerską zalotność, która w ówczas w Polsce panowała, musiały także przyczynić się do rozżarzenia w sercu Kniaźnina tych czystych i pięknych zapałów, które w pierwszych Trubadurach jaśniały. Do tych tylko bowiem uczuć można było uczucia Kniaźnina przyrównać. Odrzucony od celu przez siebie ukochanego, po kilkunastu latach Kniaźnin odzyskał swoją wolność, lecz na to tylko aby zmienił dawne więzy na nowe. W cichości i niewinności swojéj, coraz dalsze od siebie, lecz w jego rozumieniu doskonalsze wdzięki ubóstwiał.

Tak więc wdzięczność, przyjaźń, ojczyzna i miłość zajęły zupełnie jego umysł, i unaszały go na skrzydłach wyobraźni ponad ziemskie wszelkie okoliczności i uwagi Kniaźnin w sobie żyjący, nie wydołał nareszcie ogromowi czucia, którego ciężar sam tylko znosił. Nadeszła pora stanowcza, w któréj losy Polski miały być na zawsze rozstrzygnione. Kto ją zapamięta, niech sobie przypomni jaki zapał, jakie poświęcenie się, jaka ufność w słuszności sprawy panowały, a gdy ta omyloną została, jaka boleść powszechna okryła Polskę. To, co wszyscy niewypo-

wiedzianie czuli, jakież ciosy i zniszczenie musiało nieść sercu Kniaźnina. Jeszcze promień słaby nadziei był ocalał. Rewolucya Kościuszki posunęła wszystkie uczucia duszy do ostatniego kresu. Duch czysty i wyniosły niepokalanéj cnoty, w którym była rozpoczęta, przypominający najpiękniejsze chwile Grecyi i Rzymu, zapał najwyższy, ślepe poświęcenie się, pierwsze powodzenia, ostateczne klęski i rozpacz szlachetna, oto są owe gwałtowne zmiany, przez które w tak krótkim przeciągu czasu przechodziło serce Polaka. Lecz nie tu jeszcze koniec. Zgasła ostatnia iskra nadziei! Wszelkie nieszczęścia publiczne i prywatne, srogie poniżenie kraju i osób, urągania, gwałty i prześladowania znamionują te nieszczęśliwe czasy, których okropność ci tylko pojąć mogą, którzy sami jéj doznali. Nie dziw, że Kniaźnin nie mógł wytrzymać tak srogiego ciosu. Poeta politykował też podług swego serca i imaginacyi. Skłonny do nadziei w sprawie ojczyzny, wierzył w szczęśliwe jéj przeznaczenia, ufał w pomoc nieba; trzymał dobrze o rządzcach kraju, bo byli Polakami, i dobre chęci równemi przezorności, energii i talentom być rozumiał. Gdy wszyscy rozpaczali, on jeszcze miał nadzieję i cieszył innych urojonemi wnioskami. W czasie kampanii 1792 gdy wojska nasze wciąż się cofały, a nieprzyjaciel już zbliżał się do Wisły, Kniaźnin na wszystkich utyskiwania zwykł był mawiać: *„Ja ichmościów czekam pod Koziennicami“* [1]) bo uroił sobie, że umyślnie wojska polskie cofają się, aby tam walną bitwę wydać i nieprzyjaciela rozbić. *„Bóg dobry, wie on lepiéj co czyni“* była jego odpowiedź do ostatka rewolucyi. Lecz gdy wszelka możność spodziewania się ustała, gdy już nic daléj niepodobna było roić, gdy mu się zdało, że nas sam Bóg odstępuje, gdy się dowiedział że imie Polski jest zniweczone, że wzięto środki zatarcia nawet języka, gdy swych przyjacioł i tych, w których domu cały wiek przepędzał, ujrzał uciśnionych, nędzą prawie zagrożonych i swe Puławy zburzone: myśli się jego pomięszały. Nie zaraz poznano jego nieszczęście. Zwolna rozstrajały się władze umysłowe. Jeszcze pisał i nigdy górniéj, jak w tych ostatnich tworach, w chwili owego przechodu od rozumu do szaleństwa. Wówczas zajął się także wybraniem najlepszych wierszy Kochanowskiego i Zimorowicza, oraz przepisaniem wszystkich własnych dzieł. Rękopisma te złożył w ręce księżnéj Maryi Wirtemberskiéj. Widział on był tę panią w dzieciństwie, widział potém wzrastającą we wszelkie przymioty. Kniaźnin często w swych pieniach wielbił ją. Teraz z rękopismów starannie i ozdobnie własną ręką przepisanych ostatni jéj hołd złożył. Zdawało się, że przemagające pomięszanie zmysłów szanowało tę pracę jego, która miała dla potomnych ocalić wiele jego tworów, i że wstrzymało się póki jéj nie dokończył; wówczas dopiero uzupełniło okropne zniszczenie najpiękniejszych własności.

---

[1]) Słowa te stały się przysłowiem w okolicy Puław, które kilkanaście lat trwało. W jakimkolwiekbądź zawodzie tak publicznego jak i prywatnego życia zawsze ostatniéj nadziei czekano pod Koziennicami. Szczególność téj myśli równie jak źródło, z którego pochodziła, nadały jéj upowszechnienie.

Wszelkich użyto sposobów, aby uleczyć chorobę umysłową Kniaźnina. Przez lat kilka biegli lekarze wszystkich dokładali starań, lecz napróżno, pomnażało się pomięszanie. Zrazu poznawał swych przyjaciół i miewał przerwy zupełnego rozsądku. Lecz lada zdarzenie wpędzało go znowu w uniesienia zwyczajne. Nigdy w nich atoli z charakteru swego nie wychodził, zawsze był potulnym, czułym i łagodnym. Szaleństwo jego poetyczném było. Czasem zadawał sobie ćwiczenia cierpliwości, kładł się w ciemnym pokoju, i nie dozwalał, aby z twarzy i cierpiących oczu spędzano siadające muchy; tak okryty niemi leżał nieporuszony z oczami w jedno miejsce wlepionemi i nieprzerwaném milczeniem. Inny raz znowu ogniem nadzwyczajnym rozżarzony, to widział latawców po obłokach i z niemi rozmawiał, upędzał się za niemi, i pod sąd na sejm ich odsyłał. To znowu zdawało mu się, że w skrzydła porasta, że unosi się po powietrzu i nie czuł ciężkości swego ciała; wówczas uchodził strzegącym go i biegał po ogrodzie i polach. Przebaczy czytelnik, iż ręka kreśląca tę biografię zbyt się może zatrzymała nad szczegółami tyczącemi się Kniaźnina. Zdało mu się, że najmniejszy rys życia, charakteru i przygód Kniaźnina warto jest zachować dla czułéj potomności. Już, niestety, o jego życiu mało nam do powiedzenia zostaje. Stan jego coraz się pogorszał, coraz był dzikszym i nikogo nakoniec nie poznawał. Stan podobny wymagał dla bezpieczeństwa Kniaźnina ciągłego dozoru i baczności.

Dla większéj spokojności i oddalenia od niego wszelkich przyczyn i widoku dawnych pamiątek, które umysł jego już teraz tak boleśnie, bo po stracie ojczyzny, drażniły, postanowiono przenieść go z ludnych Puław do cichego ustronia Końskiejwoli. Tam przyjaciel jego młodości po długich życia burzach także się znalazł. Żabłocki zmierził sobie świat, i na zdrowiu podupadłszy, obrał stan duchowny i proboszczem został w Końskiéjwoli. Razem doznawszy pierwszych rozrzewnień młodości, oddaleni przygodami, potém zbliżając się ku zachodowi, oba ci ludzie znakomici znowu się połączyli. W jednym z nich nieszczęścia czasu przemogły tyle, że rozum postradał, w drugim że od świata i ludzi odchęcił się. Kniaźnin bez wiedzy własnéj, Zabłocki z własnéj chęci, jeden aż nadto świat ten poznawszy, drugi już o nim nie sądząc, w téjże cichéj ustroni spotkali się razem. Rozumiano, że przytomność przyjaciela ocuci Kniaźnina, lecz Zabłocki napróżno go odwiedzał, już on go nie poznał. Pogrzebowe do Boga za przyjacielem modlitwy, i pochowanie go na swoim cmentarzu, gdzie na jego prochy dotąd patrzy, były jedyną i ostatnią przysługą, którą Zabłocki mógł oddać Kniaźninowi. Umarł 1807. Pierwsze światła wracających dla Polski nadziei już niedoszły do jego pojęcia, ani ostatniéj chwili jego nie osłodziły. Na cmentarzu w Końskiéjwoli wystawiono mu grób w kształcie sarkofagu, na którego bokach następujące są wyryte napisy:

z jednéj strony:

FRANCISZEK DYONIZY

KNIAŹNIN.

OBYWATEL WOJEWÓDZTWA WITEBSKIEGO.

WIERSZOPIS,

który górnym, tkliwym i gładkim rymem,

MIŁOŚĆ OJCZYZNY I CNOTY

w sercach swoich braci zapalał,

tu

spoczywa w Bogu.

---

z drugiéj:

Tę

PAMIĄTKĘ

czułego wspomnienia

położył

A. ks. C. G. Z. P.

1809.

---

z trzeciéj

(pod wyobrażeniem lutni):

Jeźli nadzieją pochlebiać mam sobie,
Rzuci potomność kwiat na moim grobie.

---

z czwartéj:

Zaczął żyć

4go Października 1750.

przestał

25go Sierpnia 1807.

Kniaźnin był nizkiego wzrostu, słabéj kompleksyi, twarzy pociągłéj i bladéj, krótki miał wzrok, nosił się po polsku. Mimo wrodzonéj nieśmiałości i skromności miał w oczach i postaci jakiś wyraz wyższości i powagi. Łatwego był pożycia. Z dziecinną ochotą dzielił każdą w towarzystwie wymyśloną zabawę, przyczyniał się do jéj uprzyjemnienia. Najlepszym tego dowodem jest poema *Balon* przedsięwzięte dla zaprzątnienia w długich wieczorach osób zimujących w Puławach, i które się stało jednym z najmilszych tworów jego pióra. Chociaż od młodości skłonnym był do melancholii, lubił wesołość. Kiedy na balu znajdował się między swoimi, żadnego tańca nie opuszczał, i skakał do upadłego bez najmniejszego układu, zawsze obierając sobie tanecznice od wszystkich opuszczone. Już w ciągu téj biografii czytelnik widział główniejsze rysy jego charakteru; do nich dodać należy wielką prostotę umysłu, najżywszą miłość cnoty i prawdy, wzgardę dla podłości, i brak zupełny organu chciwości i własnego interesu. Kniaźnin z zakonu wyszedłszy

na świat, bawił się czytaniem francuzkich filozofów, naówczas od wszystkich wychwalanych. Ich pisma, acz nadały jego myślom więcéj rozciągłości i rozmaitości, nie zwątliły atoli bynajmniéj jego wiary i religijnych uczuć. Przez całe życie był przykładnéj i łagodnéj pobożności. Wiele wierszy jego do Boga świadczą jak umiał wznosić się do ojca i twórcy wszech rzeczy, i w nim jedynéj szukać pociechy w smutkach przemijającego życia. W ogólności pisma jego są zwierciadłem jego duszy. Celują one prostotą, czułością, jakowąś powagą i ulotami prawdziwie doznanego uniesienia. Kniaźnin przesiąkły był literaturą starożytną. Łaciński język doskonale posiadał, tak dalece iż mu równie łatwo było po łacinie jak po polsku pisać. Zostawił poezye łacińskie, które publiczności udzielone zostały w osobnéj edycyi.[1]) Chociaż język Grecki nie był mu tyle znanym, jednakże za pomocą uczonego swego przyjaciela Grodka, teraźniejszego professora w uniwersytecie wileńskim tyle się był w autorów greckich wczytał, że ich piękności w oryginale mógł poznawać, sam nawet dosłownie poezye Anakreonta przetłómaczył Chociaż niezmiernie rzadko mawiał po francuzku, literatura tego języka dobrze była znaną, nieuważał jéj jednak za wzorową dla nas, i sprzeciwiał się zawsze powszechnemu w tę stronę dążeniu. Dawnych naszych mistrzów Kochanowskich, Symonidesa & Kniaźnin z roskoszą odczytywał. Uznawał on w nich częsty brak gustu, lecz kochał się w ich poważnéj prostocie, w jędrności i trafności wyrazów własną siłą kształcącego się języka. W dziełach jego widać że był uczniem starożytnych klassyków i polskich Zygmuntowskich pisarzy. Żył w chwili kiedy rymotworstwo polskie nie doszło było do teraźniejszéj doskonałości. Nie umiano jeszcze tak wdzięcznie toczyć wierszy, ani tak dobranych wyszukiwać kadencyi. Zdaje się, że w téj mierze zbyt może daleko posunęliśmy nasze wymagania, i że teraz niedosyć się uważa na wartość myśli i obrazów, byle wiersz był gładki i rymy niepospolite; Kniaźnin przeciwnie staje się częstokroć winnym obrotów prozaicznych i rymów zaniedbałych. Nie oszczędzał jednak pracy na wyrobienie i doskonalenie swych wierszy; podług przepisu Horacego gotów był długo poprawiać i kilkakrotnie odmieniać; nie wzdrygał się nawet na nowo przelewać rzeczy już prawie dokończonéj, kiedy rozumiał że to jéj zalety doda. Lecz z naśladowania dawnych klasycznych i polskich autorów i z własnego charakteru lubiący prostotę i jak mawiał *„bonhomią“* niekiedy zbyt spadał i grzeszył przeciw gustowi, którą wadę dzieląc z Karpińskim, w niéj się wzajemnie utwierdzali. Częściéj jednak Kniaźnin podnosił się do stref prawdziwéj poezyi. Istotnym nawet jego rodzajem był rodzaj liryczny. Znał doskonale jego duch i zasady, a ci, co go o tém rozprawiającego słyszeli, nigdy nieodżałują że tego na piśmie nie wyłożył. Z tém wszystkiém wyznać należy, że w Kniaźninie

---

[1]) Fr Kniaźnin Carmina. Varsoviae in Typogr. aulica 1781. 8vo. 200 str. Są tu niektóre tłómaczenia, a między innemi przekład Trenów J. Kochanowskiego. (Bentkowski).

dostrzedz zawsze można więcéj czułości, słodyczy i powagi niż ognia; więcéj duszy niż geniuszu. Z ciężkością czasem pracował, i jemu jak wielu innym trafiało się, że najlepiéj wydane wiersze najmniéj usiłowań kosztowały. Jak w młodości wzbraniał się wszelkiemu obcemu kierunkowi, tak późniéj doświadczywszy swego talentu i mając już gust wykształcony, przyjmował owszem z rzetelną wdzięcznością rady przyjaciół i chętnie z nich korzystał. Jesień i zima były pory, w których najwięcéj pisał. Lato odbierało mu chęć do pracy, i w ciepłe dni lubił odpoczywać i próżnować. Zawsze mawiał że imaginacya czynniejszą jest i wyrazistszą względem rzeczy których już niema; że obecne uczucia są albo zbyt mocne, albo zbyt roztargnione aby je można dokładnie wydać, i że naprzykład piękności natury najlepiéj się w zimie wyobrażają. Pełne są dzieła Kniaźnina wierszy do prywatnych osób, i odwoływań się do stosunków i zabaw towarzystwa, w którém żył. Gdy pamięć ich zbyt świeża jeszcze zajdzie mgłą ubiegających lat, dzieła Kniaźnina nabędą nowego wdzięku i z pomnożoną ciekawością i smutkiem przez naszych wnuków czytane będą.

Rękopism (o którymeśmy już wspomnieli) własną ręką autora pisany, a złożony przez niegoż w czasie zaczynającego się obłąkania w ręce ks. wirtemberskiéj, zawiera pisma już wydrukowane w Edycyi poprzednio przez autora wydanéj, tylko innym porządkiem ułożone.

Oprócz tych, znajduje się w nim wiele ważnych i dotąd nieznanych płodów, tak w liczbie pieśni lirycznych, jako téż w osobnych poematach. Niemniéj poezye łacińskie i tłómaczenia niektóre, a mianowicie cały Ossian nierymowym wierszem przełożony. [1])

Wiele na tém literatura polska straciła, że nieszczęśliwe obłąkanie zniweczyło talent Kniaźnina, w chwili właśnie, gdy był zupełnie dojrzał, i gdy podnosząca się w Polsce krytyka byłaby go jeszcze bardziéj wydoskonaliła. Choćby Opatrzność nie była życia jego zamierzony kres przeciągnęła, dziesięć ostatnich lat niemało zapewne wydałyby drogich owoców prac jego. Każdy bowiem moment życia Kniaźnina nie mógł być jak zajętym sławą i chęcią stania się podług swych zdolności użytecznym ojczyznie.

---

[1]) Między pozostałemi papierami Kniaźnina po jego śmierci znajdują się alfabetyczne opisy poetów, mówców, polityków etc. polskich, z czego możnaby się domniemywać, iż miał na celu ułożenie historyi literatury lub dykcyonarz uczonych Polaków.

KSENIE.

Ksenie, były to w Grecyi drobne kartki z dwiema lub kilku wierszami, które właściciel domu przybyłym wręczał gościom. Dar ten zamykał w sobie jakąś maksymę, żarcik lub satyrę.

W niedawnych czasach wznowili je Szyller i Goethe. Ksenie te uważaćby można jako przysłowie wyższego rzędu i ztąd im są krótsze i treściwsze tém lepsze. Ileż to wielkich prawd wyrażonych w przysłowiach, stanowi dotąd całą filozofią ludu. Czemużby i ksenie choć w części nie miały być tak korzystnemi. Zawsze przecież wyższość pozostanie przy przysłowiach, bo ksenie tworzy poeta, ogólny zaś rozum i doświadczenie przysłowia. Nikt nie zna ich autorów, i nikt się jeszcze nie pochwalił, aby stworzył przysłowie.

Więzień.

Każdy z nas dostojnego więźnia w sobie kryje,
Kto go ciągle wyzwala, ten jedynie żyje.

Znikomość.

Zbyt krótki bywa przedział radości i żalu,
A śmierć tak szuka szczęścia, jak piorun metalu.

Zły nałóg.

Zły nałóg jest jak mucha niczem niepozbyta,
Odpędzasz ją — powraca — póki nie zabita.

Niebezpieczeństwo wyższości.

Jak świeca wciąż się paląc, przez swój płomień ginie,
Tak często się tu człowiek, tém gubi, czém słynie.

Obce rady.

Dać się ciągle w swém życiu obcym radom wodzić,
Jest to po cudzych wschodach, chcieć do siebie wchodzić.

Cnota.

Dopóki cnota ludzi *odznacza* na ziemi,
Dopóty zwać się jeszcze nie mogą dobremi.

Bieg dziejów.

Raz — jednego człowieka nie złożysz z tysięcy,
Drugi raz — jeden człowiek jednym światem więcéj.

Głos ostatni.

Dźwięk dzwonu pogrzebowego po nad trumną sławy,
Ostatnim już jest głosem wielkiéj świata wrzawy.

Raj.

Dopóki przez dwóch ludzi raj był zamieszkany,
Dopóty tylko istniał — i rajem był zwany.

Kłótnia.

Zawsze nas widok kłótni na cichszych zamienia,
Tak blask pożóg pomaga do pożóg gaszenia.

Jutro.

Kto całe życie *jutro* swego szczęścia czeka,
Temu zawsze *dziś* słońce chmurami powleka.

Natura Boga.

Nie będzie listek drzewem, ani drzewo listkiem,
Sam Bóg tylko jest razem jednością i wszystkiém.

Cudzy grzech.

Nie pytaj o grzech cudzy — mniéjbyś sam się cenił,
I ludzkiéj się natury sam w sobie rumienił.

Skrytość.

Jak się na jednym cieniu drugi nie odbije
Tak się łatwo brud duszy w tajném życiu kryje —

Boje.

Na co te krwi potoki, te trupów tysiące?
Cóż zostało z Farsalii? — jedno słowo brzmiące.

Wdzięczność.

Winni Ci wdzięczność, mówisz, — krzywdzące to długi,
Jeśli żądasz zapłaty, zniżasz się do sługi.

Małe życie.

Nie jesteś bliższym Boga, że stoisz na szczycie,
Można i małém życiem, wielkie kupić życie.

Węzeł wieczysty.

Wszystko się tutaj splata, życiem wiąże błogiem,
Ty z domem — dom twój z krajem — kraj z światem — świat z Bogiem.

Opór.

Jakże dziwnie opornym jest człowiek w niedoli,
Bóg go ciągnie do siebie, a on upaśdź woli.

Być potrzebnym.

Być potrzebnym dla drugich — niewiast to zalety,
Są one szczęściem, chwałą, i życiem kobiety.

Hipokryzya.

Nigdy się w cudzą skórę nie oblecze zwierze,
Sam tylko człowiek na się, różne maski bierze.

Zła sprawa.

Pysznisz się, żeś tak wielką sprawę wygrał z wrogiem,
Cóż żeś wygrał z człowiekiem, kiedyś przegrał z Bogiem.

Trwałość.

Co nie ciągle istnieje, to z czasem ustawa,
Dłużéj tu ptak poleci, niż największa sława.

Niebo i ziemia.

Unoś w niebo człowieka, lecz zostaw na ziemi
Bo tu je tylko może zdobyć czyny swemi;
Na ziemi to nam rosną zasług naszych plony,
Na niéj drzewo do krzyża, i cierń do korony.

Dziewice.

Nieba, czystość, wstydliwość na imię wam dały,
Nie utraćcież go w świecie, nawet za świat cały!

Litość.

Niech twe serce nieznanym nawet w pomoc leci,
Wszakżeś słońcu nieznany, a przecież ci świeci.

Modlitwa.

Gdy człowiek Boga swego w modlitwie przyzywa,
Co się wtenczas w nim dzieje, to modlitwą bywa.

Ciężar życia.

Nikt w świecie pod ciężarem życiaby nie dożył
Gdyby Bóg go na lata i dni nie rozłożył;
Nie dźwignie człowiek dębu zwalonego w lesie,
A dziecię w drobnych szczypach do domu go zniesie.

Cecha wieków.

Każdy wiek na pół w ślady zeszłego wstępuje,
I na pół, drogę nową przyszłemu toruje.

Wyższość.

Nie dość żeś zacny — w wyższéj zajaśnij ozdobie,
Przez czyn piękny, człowieka uzupełnij w sobie.

Cierpienia urojone.

I fantazya także ma swą boleść, jęki,
Nie przewyższa jéj cierpień rzeczywistość męki;
Cóż mi po tém, że sypiam z obuwiem na nogach,
Gdy we śnie ciągle stąpam po cierniach i głogach.

Skąd gadatliwość?

Kobieta wiele pyta — ztąd powiada wiele,
Jak wiatrak, co weń wsypią, to natychmiast miele.

Nadzwyczajność.

Nie wierz nadzwyczajności — płód to niezdarzony,
Dąb — karzeł bezowocny i u pnia skrzywiony,
Wciąż on się z wiatrem szarpie, w ciągłym miota szumie,
I same tylko dziczki z siebie puszczać umie.

Ułuda.

Napróżno się fałsz pięknym pozorem uwdzięcza,
Tak błąd stoi przed prawdą, jak przed słońcem tęcza.

Wieczna skarga.

Zawsze ta sama skarga brzmi w ustach człowieka,
Na starość, że nadchodzi — młodość, że ucieka.

Przebudzenie.

Wtenczas się tylko człowiek na dobre przecuci,
Kiedy wzrok swój z przeszłości na przyszłość przerzuci

Zbytek draźliwości.

Razi cię widok nędzy, spotkać się z nią boisz,
Spojrzyj w siebie, a pewno z nędzą się oswoisz.

Nadzieja.

Czemuż każda nadzieja zwykle tak trwożliwa?
Bo najczęściéj dziecięciem nieszczęścia tu bywa.

Myśl dobra.

Nieraz jedna myśl dobra w dziecię wkorzeniona,
Nie da mu w dalszéj drodze wyboczyć na lewo,
Jedna drobna gałązka w dziki pień wszczepiona,
Całe uszlachetnia drzewo.

Ciemny styl.

Ciemnych pism jak zmąconéj wody nienawidzę,
Co ztąd zda się głęboką, że jéj dna nie widzę.

F. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO.

TEXTE DU SACRE wydał *Louis Paris.* FAC SIMILE zrobił *J. B. Silvestre.* Paris 1852. [1])

Wydanie *Textu du Sacre* uskutecznili na początku wymienieni Francuzi, ale nakład udzieliła Rosya, jéj cesarz. Podobizna, któréj wykończenie wymagało długoletniéj pracy, jest wierną, gustowną i przedstawia się pięknie, ale przystępna będzie dla bardzo ograniczonéj liczby czytelników, albowiem jéj cena wynosi 70 franków. Szkoda że rząd rosyjski zupełnie wspaniałym być nie umiał. Takie dzieło nie godzi się robić przedmiotem handlu.

Rząd rosyjski dał poznać poważny zabytek piśmiennictwa Sławian. Nie możemy nie uszanować téj pobożności. Lecz pragnęlibyśmy, lecz byłoby dlań więcéj chwalebném i dałby lepsze świadectwo o swoich uczuciach, gdyby przy miłości dla mowy, która żyć przestała dawno, miał także miłość dla polskiéj mowy, która żyje, która ma nierównie więcéj zajmujące pomniki, któréj Dubrawski między wszystkiemi sławiańskiemi naznaczył pierwszeństwo. Niestety! z grobu wydobywacie zwłoki, lecz idą do grobu gwałtem świętokradzkim żyjące istności. Wydanie *Texte du Sacre* nie rozgrzeszy tych najdaléj posuniętych usiłowań zatracenia polskiéj mowy.

Bardzo długo nie wiedziano, czém był właściwie *Texte du Sacre*, to jest księga, na któréj podczas koronacyi dawni królowie Francyi przysięgali. Znaczenia i pisma odgadnąć nie umieli ani Piotr I. nazywany wielkim, ani niektórzy rosyjscy uczeni. Opłakano nawet zatracenie *Texte du Sacre*, który za dni pierwszéj francuzkiéj rewolucyi miał być zniweczony razem z innemi świętościami. Lecz szczęście mieć chciało, że *Texte du Sacre* ocalał, zaś odkrycie, czemby był, winniśmy niedawno zmarłemu Jastrzębskiemu. Poszukiwania, zkądby wyszedł rękopism, jakiemi drogami wstąpił do Francyi i takiéj niejako religijnéj nabył powagi, dotąd żadnéj nie wydały pewności. Wiek rękopismu także nie pozwolił się dokładnie

[1]) Pan L. Paris znany jest jako tłómacz kroniki Nestora Tłómaczenie jego wyszło w Paryżu r. 1835.

oznaczyć. Istniał domysł, jakoby część pierwsza przez ś. Prokopa opata Soczawy około 1030 pisana była; lecz za tym ujmującym domysłem nie przemawia dopisek kreślony literami wydającemi wiek czternasty.

Twierdzą dotąd niektórzy uczeni, że dawni Sławianie swojego pisma nie mieli, że kirilica była pierwszém ich pismem, a głagolica dopiero po kirilicy wynaleziona została. To mniemanie nie jest naszém, i chociaż nie uzbieraliśmy dosyć wyraźnych a stanowczych dowodów, zawsze wierzymy, że dawni Sławianie posiadali własne pismo. Grimm, wielka powaga głagolicy starszy wiek naznacza, a między jéj ciągami a fenickiemi upatruje niejakie podobieństwo. Helmold stanowczo twierdzi, że Sławianie Elby, Odry i Rugii mieli pismo, a gdyby to pismo było naśladowaniem, przerabianiem niemieckich, greckich, albo łacińskich liter, Helmold niezawodnie o tém byłby wiedział i nie zapomniał.

Wydawca *Texte du Sacre* zdaje się także przemawiać za starszym wiekiem, za pierwszeństwem głagolicy. Teraz nikomu niewolno dowodzić, jakoby głagolica dopiero w XIII wieku wynaleziona została.[1]) Glagolita Clozianus uczenie, starannie i ozdobnie wydany przez Kopitara, dotyka o wiek XI a może i X; zawsze jest dawniejszy nad ewangelie Ostromira. Jeżeli nie dawniejszość, spółczesność głagolicy i kirilicy nie ulega żadnemu wątpieniu. I wydawca *Textu* nasuwa domniemanie, za którém mocno jesteśmy, że kirilicę należałoby uważać za naśladowanie, za przerobienie, za przekręcenie głagolicy znanéj Sławianom. Na rękopismach kirilickich, najdawniejszych bulgarskich, litery początkowe wielkie ozdobniejsze brano z głagolicy, co widocznie dowodzi jéj spółczesności, jéj używania, jéj upowszechnienia. Nie jest prawdziwém, jakoby głagolica dla Sławian ulegających kościołowi rzymskiemu wynaleziona być miała. Najstarsze rękopisma głagolickie są u Sławian tych, którzy nachylili się ku temu, co nazwano wschodnim kościołem. Nasuwa się przeto wysokie podobieństwo, że kirilicę na to wynaleziono, albo na to jéj użyto, aby potłumić głagolicę znaną, poznaną powszechnie, a przyjemniejszą Sławianom uznającym kierunek Rzymu.[2]) Ruś czepiła się kirilicy, jako znaku odosobnienia, oderwania się.

Jest czyn, który upoważnia posunąć bardzo daleko wiek głagolicy. Roku 640 Chorwaci, Chrobaci, których pochodzenie, przesiedlenie się z Chrobacyi wielkiéj, białéj, z tych ziem, które późniéj wystąpiły pod nazwaniem Małéj Polski, historya niewątpliwa zaświadcza, pisali do papieża własnym alfabetem. Jakim? Nasamprzód nie kirilickim sporządzonym około 850—870.

Wydawca *Textu* nie śmie powtarzać bajki, jakoby kościół rzymski przeszkadzał narodowemu obrządkowi Sławian. Papież Jan VIII. upoważnił narodowy obrządek, a podczas mszy czysto sławiańskiéj, wprowadzonéj zapewne około r. 870, sama tylko ewangelia po łacinie czytana być miała, *propter majorem honorificentiam*. Była nawet chwila, że i Niemcy dla Sławian przekładali pewne części liturgii, modlitwy i śpiewy. Kopitar w swojéj głagolice zachował pomniki sławiańskiéj mowy, która jako wiadomo nieprzerwanym ciągiem, albo przez rozległe a potężne osady, dotykała Menu.[3])

Niektórym twierdzeniom wydawcy życzylibyśmy więcéj ścisłości. Metodiusz nazwany Grekiem. Więcéj podobieństw przemawia za sławiańskiém

[1]) Papież Innocenty IV 1248 pisał *in Sclavonia, litera est specialis*, który wynalazek podanie przyznaje ś. Hieronimowi, i pewnie nie bez niejakiéj zasady.

[2]) Jest biblia czeska pisana głagolickiemi literami, mówi wydawca *Textu*.

[3]) Pan A. W. Maciejowski ustanawia granice sławiańsko-germańskiéj rzeszy do Elby tylko. Jeżeliby kiedy a są ku temu niezmierne podobieństwa, dowiedziona została tożsamość Wenedów, Baltyku, Adryatyku, Belgii i Wandei, wyniknęłoby ztąd, że był czas kiedy Sławianie nie pomięszani, nie przedzieleni żadnym innym ludem, zajmowali ziemie północno-zachodnie całéj Europy. Posuwanie się Sławian na zachód w wieku pierwszym czyli czwartym, i nie przypuszczamy i nie rozumimy.

Metodiusza pochodzeniem. Metodiusz przez papieża do Sławian miał być posłany. Nie, Metodiusza i Kirilla wysłał nasamprzód Konstantynopol, a późniéj ich działanie Rzym upoważnił, prawowierném uznał. Chodziło o jedność, a Metodiusz i Kirilli poddali się téj jedności. Wydawca uważa, że najdawniéj Kirilla i Metodiusza nazywano nie apostołami Sławian, ale tylko doktorami, nauczycielami skromniéj, a wedle nas bliżéj prawdy. Tam gdzie przybyli, gdzie nauczali Kirilli i Metodiusz, znaleźli chrześcian, światła nie przynieśli, światło znalezione, wprowadzone przez Rzym rozszerzali. [1])

Dotąd wydawca umiał zachować stanowisko naukowe. Lecz prowadzić wydawnictwo wspierane przez cesarza Rosyi, a Rosyi nie uwielbiać, a prawdy historycznéj, a najpierwszych zasad europejskiéj cywilizacyi nie znieważyć, to jako widno było niepodobném dla niepodległości wydawcy: a przecież należało mu pamiętać, że jest katolikiem, że jest Francuzem, synem zachodu, na który Rosya wyrzuciła przekleństwo. Fatalne obłąkanie udzielające się tylko nawet wysokim umysłom na zachodzie.

Wydawca złudzony, albo nie znający przedmiotu, o którym chciałby wyrokować, mówi, ze Rosya ma narodowy obrządek. Jaki? Jakie ów mniemany narodowy obrządek Rosyi przyniósł korzyści? Wydawca nie rozbiera. Dlań jest to rzecz obojętna; ale dla prawdy, dla historyi, rzecz najpierwszéj ważności. Wydawca wierzy, że kirilica jet to język obrzędowy u Rosyan. To niesłychana przesada. Język cerkiewny jest językiem umarłym, uczonym, pod niejakim względem łaciną. Pocóż rozprawiać o narodowym rosyjskim obrządku, którego słów lud w znacznéj części nie rozumie. Może u innych Sławian narodowy obrządek rzeczywistszy? Niestety! Wydawca sam pisze, że u Sławian Turcyi księża, zwyczajnie Grecy, mszę czytają po grecku, a o ich zepsuciu, o ich umysłowéj nędzy, roztropnie ani spomina. Lecz to nic. Wydawca zajął się wyrachowaniem Sławian oderwanych, a jako uczony Joachim Lelewel mówi: „stronników wschodniéj cerkwi," ma ich być 50,000,000, a Sławian uznających Rzym tylko 25,000,000. A jaki wniosek naturalny? mniejszość powinna uledz większości, wejść do niéj a wyrzec się saméj siebie. Takie życzenie wynurza wydawca, ***non sine bona spe attrahendarum;*** nie bez nadziei przyciągnienia katolików żyjących pod kierunkiem Rzymu. Jest to zatém usprawiedliwienie tych sposobów przyciągania, których Rosya za Katarzyny II i Mikołaja I użyła, i którychby jeszcze użyć mogła. Wydawca najpewniéj nawet nie wie, że tylko u Sławian uznających Rzym, było umysłowe, religijne, prawdziwie historyczne życie, że reszta Sławian po części przez własne obłąkanie, a po części przez moc nieprzyjaznych wydarzeń, jest jeszcze ***rudis indigestaque moles***, świat przyszłości, świat czekający na swoje stworzenie. Wzrok wydawcy uderzony carskiemi jasnościami olśnął. Wydawca cesarzowi Rosyi udziela nazwania ***Numen,*** a Numen ogromnemi wydrukował literami, honor, którego Bóg nie dostąpił. To byłoby śmieszne, gdyby nie było smutném, ktokolwiek dotyka się Rosyi, ktokolwiek przez nią dotknąć się pozwoli, upada. Rosya ze wszystkiego korzysta, a tym, których używa, korzystać nakazuje.

Przy wydaniu ***Texte du Sacre***, znalazła się sposobność uwielbienia rosyjskiéj cerkwi, zapowiedzenia katolicyzmowi, że przeminąć musi i złożenia cesarzom czci niejako bałwochwalnéj.

---

[1]) Wedle wydawcy, Sławian mieszkających między Isonzo a Dunajem nazywano Karantanami, u tych Karantanów i dla nich, pismo święte przełożone być miało. Ci Karantanie przyjęli chrześciaństwo w VI wieku, a na mały czas przed zjawieniem się Metodiusza i Kirilla r. 837, niejaki Marcin, człowiek święty utwierdzał ich. Ale trzeba wyznać, że to nie było chrześciaństwo powszechne. Religia sławiańska powoli znikała.

KATOLICKIE NABOŻEŃSTWO, *na wszystkie niedziele, święta uroczyste i kościelne*, oraz *modlitwy po większéj części z Pisma ś. i Ojców kościoła wzięte, na większą chwalę Boga i dla dogodności wiernych* zebrał *Józef Łubieński*. Warszawa u Henryka Natansona. Część pierwsza domowa str. 490. Część druga kościelna str. 369.

Obszerny zbiór nabożeństwa katolickiego pracowicie przez p. Józefa Łubieńskiego ułożony, opatrzony jest zatwierdzeniem duchownėm ks. Eustachego Hawelskiego ex-prowincyała księży Paulinów i jmć księdza biskupa Fijałkowskiego. Dostateczna to powaga ze strony kościelnéj.

Wychodząc ze stanowiska wiernych świeckich, powiemy, że książka ta nabożna odznacza się starannym doborem modlitw, porządnym rozkładem i pewną zupełnością, co wszystko dowodzi, że pobożny autor brał dobre wzory przed siebie.

Bardzo jest piękny sposób słuchania mszy świętéj, składający się z pojedynczych modlitw wszystkich wielkich świętych, bardzo użyteczny ciąg modlitw na wszystkie dni tygodnia z drogą krzyżową na sobotę.

Każdego pewnie uderzy kilka modlitw zwłaszcza wierszowanych przez osoby z rodziny autora ułożonych. Wdzięczna to pamiątka rodzinna, wdzięczny podarek dla wiernych.

Przytoczymy modlitwę matki za małemi dziećmi:

Sprawco natury! O potężny Boże!
Szczodra twa dobroć nademną jaśnieje,
Dałeś mi dziatki, w których matka może
Szczęścia przyszłego pokładać nadzieje:
Za niemi Boże teraz modły czynię,
Niosąc ci dzięki za te drogie dary;
Ciebie ja błagam już o to jedynie
Byś swéj litości chciał dopełnić miary.
Niech młodociane wieku wychowanie
Pierwsze ich kroki do cnoty obraca,
By me nie było na próżno staranie;
Lecz się tém moja niech nagrodzi praca:
Obdarz je Panie cnoty darem drogim,
Niech Twoich zawsze łask będą pamiętni,
Niech znają litość nad nędznym, ubogim,
I niech nie będą na łzy obojętni.
Miłością Boga, bliźniego zajęci
Niech unikają co zbyt serca kaźni,
Ojca i matkę niech mają w pamięci
I czułéj od nich niech doznam przyjaźni.
Jeśliby z cnoty zstąpić mieli drogi,
To niech ja wprzody nieszczęśliwa matka,
Niźlibym miała widzieć ich błąd srogi
Już życia pierwéj dokonam ostatka.
Albo nie, raczéj ich, mój Boże miły
Wnet zaraz zabierz, i zgładź z tego świata,
Póki obrażać Cię nie mają siły
I niewinności jeszcze służą lata;
To mówiąc Panie lubo mówię szczerze,
Przecież łez wstrzymać nie mogę strumienia,
Ni żalu, który w sercu górę bierze:
Nie chciéj mieć za złe mojego zmartwienia,
Wejrzyj na matkę litośnie, o Boże!

Nie karz ich zaraz, niech zostają żywi;
Wszakże się w błędzie człowiek spostrzedz może,
Daj im Twą łaskę, a będą cnotliwi.
Udzielaj szczęścia do samego zgonu,
Wspieraj ich dzielnie w każdéj życia sprawie,
I chciéj Twą ręką z najwyższego tronu
Tak błogosławić jak ja błogosławię.

Jeden żal wynurzymy. Choć poprawnie, książka jest zbyt drobnemi charakterami drukowana. Nie każdy może jéj używać.

Wszelako rzecz to mała.

Czego nie możemy dosyć pochwalić, to pracowitéj usilności jakiéj było trzeba do ułożenia zbioru tak bogatego.

Cała książka pozostanie piękną pamiątką po chrześcianinie, który wiedział gdzie szukać pociech w ciężkich smutkach i innym dobry w téj mierze przykład pozostawił.

MELODYE *zastosowane do trzeciego wydania książki* pod tytułem: *ŚPIEWY NABOŻNE* przez *ks. Bogedain,* zebrał i ułożył na cztery głosy do śpiewania lub do grania na organach *T. Klonowski,* nauczyciel przy seminaryum świec. w Poznaniu. Poznań u braci Szerk 1853.

Jest to doskonała rzecz, zwłaszcza dla szkółek wiejskich. Pan Klonowski pozbierał i dobrze ponotował znane melodye śpiewów pobożnych, rozkładając je starannie na cztery głosy.

Pracę jego bardzo użyteczną a łatwego zastosowania, jak najusilniéj właścicielom wiejskim, księżom i nauczycielom polecamy.

KATALOG OGÓLNY KSIĄŻEK POLSKICH *drukowanych od roku 1830 do 1850* czyli *za lat dwadzieścia jeden,* zebrał i wydał *W. R.* Lipsk w komisie u J. A. Brockhausa. 1852.

W ogóle bibliografia piśmienna jest u nas bardzo zaniedbana. Jedyną całość znajdujemy dotąd tylko w szacowném, ale już niedostateczném dziele Bentkowskiego. Jochera ogromna praca zaryła się w ziemię i od połowy nieruchomie stoi, o innych nie słychać; bardzo więc radzi jesteśmy z ukazania się *katalogu.*

Katalog byle został uzupełniony i dobrze prowadzony przyda się nawet w przypuszczeniu, że praca Jochera zostanie ukończona. W istocie praca ta tylko po r. 1830 druki wymienia.

Tomik jaki teraz wyszedł uważamy za niezły początek.

Wiele mu brakuje pod względem szczegółów i objaśnień; próżno tam szukać wzmianki o dawniejszych wydaniach; opuszczeń znaczną ilość (pismo nasze wychodzące rok dziewiąty zostało pominięte, emigracyjnych publikacyi brak połowy) wskazać można. Wszelako widać dążenie do staranności w dokładném wypisaniu tytułów i w zamieszczonym na końcu rozkładzie alfabetycznym autorów wedle przedmiotów.

Wydawca wspomina w przedmowie *Podręcznik* Bruneta. Radzibyśmy żeby sobie wziął za wzór doskonałe to i jedyne w swoim rodzaju dzieło.

POWSTANIE POZNAŃSKIE *w r. 1848 w kształcie objaśnień do Jędrzeja Moraczewskiego powieści* opisał *Ludwik Mierosławski.* Paryż u L. Martinet 1852.

P. Mierosławski ogłaszając swoją broszurę musiał mieć jakiś cel przed oczyma. Nie sądzimy, żeby mu chodziło jedynie o obryzganie błotem dawnych przyjaciół lub o popisanie się z dowcipnemi lub mniéj dowcipnemi złośliwościami. Podobna rzecz byłaby sprawką studencką, nieprzypadającą do miary z uroszczeniami jego. Prawda znać, że *con amore* brzydkie portrety lub karykatury szkicuje, że się nie umie albo nie chce wstrzymać od konceptów niższego rzędu; wszelako to tylko niewstrzemięźliwość myśli i gadatliwość. Zamiar tkwi gdzieindziéj.

Może kto pomyśli, że pisząc miał na celu wyjaśnienie faktów przez p. Moraczewskiego mylnie wystawionych. Zapewne mogło mu w części chodzić o sprostowania; jednakże to mu pióra do ręki nie podało. Przyczyna rozmyślnie uczynionego skandalu leży gdzieindziéj.

Pan Mierosławski uważając się za jednego z naczelników ogólnéj rewolucyi w Europie, chce sobie zawczasu żywioły do użycia przygotować. W tym celu obraca się do jednéj części narodu, którą nazywa *demokracyą wojującą*, a którą wedle niego składają: pewna liczba mieszczan, ludzie dworscy i młodzież obecnie z kraju wychodząca, (włościan uważa za masę ciemną i nieożywioną). Klasie, o któréj mowa, pochlebia, drażniąc jéj namiętności; jéj na pastwę oddaje szlachtę odmalowaną w bezecnych kolorach. Cała książka jest napisana dla niéj i jedynie dla niéj; owoż dla czego uwagę na nią zwrócić należy.

Nie nam sądzić, czy p. Mierosławski zna ludzi, dla jakich pisze i czy porę dobrze obrał. W każdym razie uspakajamy się myślą, że P. Bóg złe zamiary jedném skinieniem zwykł obalać.

Mówimy o złych zamiarach, nie użylibyśmy tego wyrażenia, gdyby chodziło o jakikolwiek choć nierozsądny zamiar wyzwolenia ojczyzny i gdybyśmy mieli przed sobą człowieka z głębokiém przekonaniem, z fanatyzmem narodowym lub politycznym. Dla takich rzeczy mamy często współczucie zawsze wymiarkowane. Ale p. Mierosławski pisze bez wiary i bez uniesienia. Jeszcze kiedy mu o własną osobistość chodzi, umie chwilami targnąć za tę lub ową stronę uczuć ludzkich. W każdym innym razie przedstawia nam się jako chłodny deklamator, co wziął sobie za zadanie praktykować sztukę dla sztuki.

Miłość własna p. Mierosławskiego jest niepojęcie wielka. O sobie i o swoich czynach niby o czémś ogromnem w dziejach wspomina. Gdyby przyszedł i powiedział: miałem szczere chęci dla ojczyzny, okoliczności niosły mnie naprzód, dałem się postawić w pierwszym rzędzie, popchnąłem Księstwo do awantury która nie bez świetności przeszła, teraz pracuję by się postawić w możności zasłużenia sobie na wielkie położenie, wszyscyby z wyrozumiałością słowa jego przyjęli. Tak jak są, wywołują one tylko ochotę przypomnienia dziecińśtw z materacowemi machinami, fortyfikacyi bez armat i t. p.

To co powiedzieliśmy wystarczy. W rozbiór faktów choć wiele z nich jest mylnie opowiedzianych wdać się nie chcemy. Na takie rzeczy za późno albo za wcześnie. Również nie będziemy osobistości zaczepionych bronić. Nie mamy na to posłannictwa.

Pan Mierosławski mówiąc o historyi wypadków w *Przeglądzie* umieszczonéj wspomina, że mu brakuje wspólnego z *Przeglądem* języka. To prawda zupełna. Tam gdzie on bałwochwalczo pojęcie rewolucyi mieści, dla nas stoi P. Bóg i święte jego prawo, kodeks moralny ludziom podające.

LEGENDS OF THE MADONNA, *as represented in the Fine Arts.* London 1852.

Autorką tego kosztownie wydanego dzieła jest pani Jamieson, znana z dobrych przekładów, z niemieckiéj osobliwie literatury, a przytém wielka zwolenniczka sztuk pięknych i poczęści artystka. Podróżowała ona wiele, podróżując rysowała mianowicie z mistrzow sztuki katolickiéj, a rysując nauczyła się legend i szczegółów dotyczących wiary i kościoła katolickiego. Zasobów tych użyła do wydania kilku dzieł ozdobnych, mianowicie do przedsięwzięcia publikacyi, którego niniejsza książka trzecią tylko jest częścią. Oddział pierwszy pod tytułem *Sacred and Legendary Art* zawiera legendy o aniołach i archaniołach, o apostołach i ewangielistach, o świętych patronach i patronkach, o biskupach, dziewicach, pustelnikach i rycerzach chrześciaństwa. Druga część pod tytułem *Legends of the monastic orders* zajmuje się wszystkiemi zakonami począwszy od Benedyktynów aż do Jezuitów i Wizytek. Część trzecia zawiera legendy o N. Pannie, a właściwie objaśnione rysunkami opisanie wszystkiego, co sztuki piękne uczyniły ku jéj uwielbieniu. Przez protestantkę dla protestantów napisane dzieło dotyka głównie artystycznéj i historycznéj strony przedmiotu. O pracowitości autorki świadczy przyłączonych 29 wielkich a 152 mniejszych drzeworytów. W części historycznéj napotyka ona na szczegóły często drażliwe dla protestantow, i choć w przedmowie zapowiada, iż z tego powodu musiała już wstępować na najniebezpieczniejsze szczyty, już zgłębiać strasznie ciemne otchłanie, omija je jak może by i protestantom nie zawadzić, i katolików nie obrazić. Oczywiście, że ostatni nie mogąc żadnych półśródków przyjąć, korzystać będą z téj pracy tylko o tyle, o ile fakta historyczne i wizerunki artystyczne są prawdziwe. Co przecież jest rzeczywistą pociechą, to ten nowy dowód objawiający się przez tak kosztowne i pracowite dzieło, że protestanci angielscy, czy chcąc czy nie chcąc, wszystkiemi drogami pomykają się coraz blizéj ku kościołowi katolickiemu.

HIPPOLITUS AND HIS AGE, *by C. J. Bunsen.* London 1852. Cztery tomy.

Nigdy nie wkraczamy tak daleko w dziedzinę obcych piśmiennictw, abyśmy mieli zwracać uwagę na książki kontrowersyjne przez innowierców ogłaszane. W obecnym razie czynimy wyjątek nie tak przez wzgląd na dzieło jak na osobę autora. Od lat 12, pan Bunsen zajmuje posadę ambassadora pruskiego w Londynie. Z mnogości jego pism zdawałoby się, iż urząd przezeń sprawowany jest prędzéj literacki jak dyplomatyczny. Nie tyle téż zostaje w związkach z politykami, co z teologami. Jako reprezentant polityki pruskiéj, zwłaszcza przy częstéj zmianie ministeryów i niepewności pierwszych kroków na drodze konstytucyjnéj, mało byłby on w Anglii uważanym, ale jako przyjaciel osobisty króla, i kierownik dość już dziś wyraźnéj dążności w sferze religijnéj protestantyzmu, znakomite tam zajął miejsce w opinii publicznéj. Jakaż to jest dążność? Oto, w obec coraz bardziéj rozpadającego się protestantyzmu, przedstawić konieczność i naukę zdolną połączyć wszystkie sekty przeciw kościołowi katolickiemu. P. Bunsen, wyprowadziwszy Prusy na dostojeństwo takiego jednoczyciela w Niemczech, pracuje teraz nad tém, by Anglią i Stany Zjednoczone do pochodu w tymże samym kierunku przynaglić. Byle stawić czoło katolicyzmowi, nie pogardziłby i schyzmą, jak to okazały starania lat temu kilka podjęte, ale w samym zawiązku poronione. Tymczasem przestaje na mniejszych zdobyczach. W odwecie za klęskę odniesioną

w sprawie z arcybiskupem kolońskim, któréj niezręczne prowadzenie przyprawiło go o stratę posady ambassadora w Rzymie, udało mu się późniéj układy z Anglią o utworzenie biskupstwa protestanckiego w Jerozolimie do myślnego doprowadzić końca. Odtąd podwoił swe zabiegi. Czas, miejsce, urząd, zresztą znajomość języków starożytnych i wschodnich, a przytém niemała wprawa w pisaniu po angielsku, wszystko to zyskiwało mu coraz rozleglejsze posłuchanie. P. Bunsen jest archeologiem, pisał o Rzymie, mianowicie o Bazylikach, teraz kończy wielkie pięcio-tomowe dzieło o Egipcie. Czytał wiele o pierwotnych urządzeniach kościoła, sam nawet układał protestancką liturgią. Był sekretarzem i przyjacielem Niebuhra, którego powagą często się podpiera. Podniesiony temi zasługami, podjął zadanie utworzenia jakiegoś kościoła przyszłości (church of the future), który ma połączyć filozofią z religią a realizm angielski z idealizmem niemieckim, i objąć wszystkie wyznania jednością wiary. Jakżeż tego dokonać? Nie inaczéj, tylko dawnym trybem wszystkich nieprzyjaciół katolicyzmu, to jest dowodząc, iż tenże odstąpił od pierwotnego chrześciaństwa. Zobaczmy jaka ku temu nastręczyła mu się sposobnosć w ostatnich czasach i jak z niéj skorzystał by czterotomowém dziełem poprzeć swoje zadanie.

Między manuskryptami przywiezionemi niedawno do Paryża przez Greka, którego pan Villemain wysłał był na wschód w celu poszukiwania starych zabytków, znajdował się rękopism z czternastego wieku pod tytułem: *O wszystkich herezyach.* P. Emmanuel Miller, jeden z urzędników biblioteki królewskiéj, uderzony ważnością treści w nim zawartéj, zajął się rozpoznaniem dzieła i osądziwszy, iż je napisał Origenes, posłał je do ogłoszenia w drukarni uniwersytetu oksfordskiego. Skoro wyszło w 1851, p. Bunsen odkrył, a raczéj utrzymuje że odkrył iż ważny ten zabytek nie jest dziełem Origenesa, ale Śgo Hippolita, który był biskupem portu rzymskiego około r. 225. A że tenże Hippolitus był uczniem Ireneusza, który był uczniem Polykarpa współczesnego starości Śgo Jana, autor czyni wniosek, iż traktat ten zamyka jak najdokładniejsze objaśnienie pierwotnych czasów chrześciaństwa, i że napisany na sto lat przed koncylium nicejskiém wykłada czystą naukę apostolską zanim ta zaciemnioną i skrzywioną została przez pierwsze sobory kościoła. Na tém przypuszczeniu, które krytyka uczonych katolików wnet pewnie oceni, autor cały swój poprzednio wygotowany systemat ustawia, przyczepia cały tom luźnych aforyzmów o historyi, filozofii i religii, szykuje historyą pierwotnego kościoła przed kilką laty obszernie napisaną, a w końcu odbudowywa dawną liturgią, i wyprowadza Hippolita na scenę obecnych czasów by gadał o wielkości Anglików, chwalił Niemców, zalecał protestantyzm i wszystkie wyznania po kolei napominając do jedności napędzał. Wszystko to w rozmaitych kształtach ułożone, to w listach, to w oderwanych maksymach, przeplatane dedykacyami i niemieckiemi wierszami autora, tworzy najdziwniejszą mięszaninę i jasno tylko jednéj rzeczy dowodzi, to jest że czekał on rychło mu się zdarzy sposobność przyczepienia do czegokolwiek swych rozlicznych notat, urywków i rozmaitości, i że tę pochwycił za ukazaniem się rzeczonego manuskryptu. Sami nawet Anglicy, którym co chwila sypie tyle pochlebstw, narzekają na tę pstrociznę, a osobliwie na niezrozumiałe aforyzmy filozoficzne. Praktycznym ich rozumom nie przypadają do pojęcia takie naprzykład zdania jak następujące: „Myśl Boga o sobie samym jest to czynienie wiecznego przedmiotu podmiotem." My téż nie myślimy puszczać się z nim na to, co zowie sam ***otwartym oceanem wiary,*** (the open ocean of faith), ale że wyobrażenia tak wysokiego dostojnika pruskiego o przyszłości religijnéj w Europie i nas obchodzić muszą, pozwolimy sobie przytoczyć niektóre wyjątki:

„Chrześcianin (mówi autor zalecając konieczność ogólnego systematu „filozofii religii) musi poznać jako fakt rzeczywistéj historyi, wyjaśniony „przez rzeczywistą filozofiią, co Jezus z Nazaretu myślał o sobie samym „i swém osobistém boskiém posłannictwie i jaka była rozległość świętego „dzieła, dla którego żył i umarł, lecz które zostawił jako postępowy czyn „boskiego odrodzenia ludzkości, co ma dokonać duch Boga między wier„nymi. Nikt filozoficznie nie zdoła pojąć co uczynionem zostało w tych „18 wiekach dla urzeczywistnienia téj boskiéj idei, jeźli nie jest zdolnym „zmierzyć tego regułą zostawioną przez samego Chrystusa swym wyznaw„com. Lecz wierny i myślący chrześcianin musi zarazem znać prawa i „zasady, wedle których idea religijna, jako taka, rozwija się w historyi. „Wie on, jako wierzący, że jego religia jest prawdziwą, lecz nie powinien „zapominać téj ważnéj okoliczności, że żywioły, które działają w pra„wdziwéj religii nie są wolne od ogólnych praw ewolucyi w ich wnętrzu „zawartych. Antagonizmy w nich zamknięte dadzą się pogodzić, wady „wyrastające z ich naturalnego rozwoju dadzą się poprawić, lecz historya „religii chrześciańskiéj okazuje, że ani jéj obrządki, ani jéj podania, ani „kształty jéj rządu nie wyłączają się z ogólnych praw co do ich początku, „wykładu, przystosowania, ich postępu i upadku. Nie jest to już dziś „kwestyą teoryi lub prawdopodobieństwa, lecz rzeczą faktu i historyi. „Prawie dwa tysiące lat ewolucyi jest przed nami, możemy więc dosko„nale uczynić rachunek, i jeźli jaki ksiądz, lub zgromadzenie księży albo „doktorów, przypisuje sobie nieomylność albo wyłączne prawo sądzenia, „nie traćmy czasu na sporach z ich powagą, lecz wskażmy i całość i wiel„kie szczegóły tego rachunku, które przez ciąg tych ośmnastu wieków „wznoszą głos przeciw ich bezbożnym uroszczeniom. Jakakolwiek niedo„kładność w rachunku dowiedzie, że przywłaszczyciel nieomylności jest „w błędzie, a jeźliby jeszcze i potém przyznawał sobie takową powagę, „odkryje iż on jest tyranem albo szalbierzem, albo i tym i tamtym zara„zem. Boska natura chrześciaństwa nie objawia się przez niebytność tych „działalności, które zwykle przykładają się do rozwoju ludzkich instytucyi, „bo gdyby na tém zawisła, to Chrystus i chrześciaństwo stałyby się przed„miotem nie historyi ale bajki. Dowodzi ona siebie przez odnawiającą „potęgę ducha w żywém sumieniu wiernych. Jedność działania tego du„cha stanowi w całym rozwoju rzeczywistą, jedynie prawdziwą jedność i „nieprzerwaną ciągłość kościoła. Jeźli tego zaniedbasz, będziesz musiał „wybrać między przesądem lub niewiarą, a w obu razach stracisz religią."

„Odsuń ciemnotę, nieporozumienia, fałszerstwa, a pozostanie naga „prawda, — dzięki Bogu, nie jako upiór, któryby trzeba starannie zasła„niać, ale jako obraz boskiéj piękności, wieczną promienny prawdą. Prze„łam zapory oddzielające nas od związku z pierwotnym kościołem, przez „co rozumiem, wyswobódź się z późniejszych formuł, kanonów i konwen„cyjnych abstrakcyi, a będziesz mógł poruszać się bez więzów po otwar„tym oceanie wiary, obcować z duchami wszystkich bohaterów chrześciań„skiéj starożytności, i oznaczyć strumień jedności płynący bez przerwy „przez ośmnaście wieków pomimo skał i mielizn."

„Trudno jest powiedzieć, czy ustanowienia z pierwszych czasów „chrześciaństwa, przyznawane apostołom, mają więcéj wagi z powodu „tego, co urządzają, czy z tego, w czém żadnych przepisów i formuł „nie kładą."

„Nie mniéj są one ważne z przestrzeni, którą przez wiarę w działal„ność ducha w kościele, zostawiają ewangielicznéj wolności czy to zgroma„dzenia jakowego, czy pojedynczego człowieka. Dowodzą one przeto, „pośrednio i bezpośrednio, że bez wyzwolenia się z pod litery, odbudo„wany kościół, który będzie kościołem przyszłości, nie mógłby istnieć,

„równie jak bez ducha tego wielkiego chrześciańskiego pojęcia, które się „odbija w tych ustanowieniach.

„Między nami a tymi ojcami powstały próżne widziadła, które za- „ćmiewają wiek pierwotny; gdziekolwiek posępne te widziadła są „brane za światło, zamglą one jasność pierwotnéj starożytności i sfałszują „życie naszego czasu. Ciężka więc próba czeka tego, który spogląda „w oblicze pierwotnego chrześciaństwa. Zaraz na wstępie czeka go za- „gmatwanie, wahanie się i wątpliwość. Ludzie lekkomyślni, wychowani „w niewoli lub nie czujący potrzeby wolności, mogą się rzucić w bez- „wiarę, czyli to zrzekając się chrześciaństwa jako religii przyszłości, czyli „to uciekając się pod opiekę nieomylności, która jest zabójstwem wszelkiéj „myśli i wszelkiéj prawdziwéj wiary. Taki jest stan wyższych klas w pań- „stwach katolickich, taki grozi kościołowi pół-germańskiéj, pół celto- „romańskiéj Anglii.

„Cóż jest do czynienia? Czy mamy sobie zbudować nowy dom „z kilku kamieni pozostałych z wieku apostolskiego na ruinie tego domu, „w którym urodziliśmy się i żyjemy? Czy z obawy bezwiary i z bezsil- „ności materyalizmu, który jest rzeczywistą bezbożnością oprzemy się „wszelkiemu badaniu i roztrząsaniu życia i konstytucyi kościoła w jakim- „kolwiek kształcie?

„Mówiąc po ludzku, podobieństwo spokojnego i rzeczywiście odna- „wiającego, europejskiego rozwiązania téj kwestyi zależy w téj chwili od „Niemiec i Anglii, i od tego za Atlantykiem olbrzymiego odrostka Anglii, „który praktycznie coraz bardziéj rozwija w właściwym sobie sposobie „nasiona życia protestanckiego, odebrane od ziemi, z któréj pochodzi, a „umysłowo przywięzuje się coraz mocniéj i wewnętrzniéj do Niemiec.

„Niemcy już czują, że bezwiara i niewolnictwo idą za bałwochwal- „stwem nauk, — Anglicy, że nie ma życia chrześciańskiego bez wiedzy „i przekonania wewnętrznego i że Jezuici kryją się poza przesądném przy- „wiązaniem do średnich wieków. W ogólności, ogromny ruch, równie ducho- „wy jak polityczny, a nawet socyalny porusza dusze ludzkie, i narody prze- „konały się, że ani mogą być wolnemi bez biblii, ani otrzymać lub za- „chować biblii bez polityczněj wolności. Odrzucając z naszych przewi- „dzeń wszystkie podobne przypuszczenia rozpaczy, równie niegodne czło- „wieka jak chrześcianina, stanowimy dwie bezpieczne zasady. Pierwszą „jest, że we wszystkich kongregacyjnych i kościelnych instytucyach, wol- „ność chrześciańska, w granicach zgadzających się z biblią, jest najpier- „wszym warunkiem żywotnego odrodzenia. Drugą, że każdy kościół wi- „nien silnie trzymać się tego, co już posiada, o tyle, o ile to przedstawia „się jego sumieniu jako prawdziwe i skuteczne. Za pomocą pierwszéj „zespoli on rozum i biblią w należytych proporcyach. Za pośrednictwem „drugiéj rozróżni ducha od litery, ideę od formy.

„Wielkim dowodem boskiéj natury i prawdziwości chrześciaństwa „jest jego władza odnawiania świata. Moc ta odradzająca objawiła się „dwa razy w ogromnéj i świat cały odmładniającéj zmianie, sprowadzo- „néj przez duch chrześciaństwa, — naprzód w moralném i umysłowém „odżyciu starego świata po upadku cesarstwa rzymskiego w piątym wieku, „a późniéj przez moralne, umysłowe i polityczne odżycie nowego świata „po upadku wszechwładztwa papiezkiego Rzymu w szesnastym wieku.

„Narody chrześciańskie czy rzymskiego, czy greckiego, czy téż na- „rodowego, to jest protestanckiego zjednoczenia, mogą i powinny żyć obok „siebie w miłości i pokoju, ale zdołają to uczynić jedynie za pomocą „wielkiéj zasady reformacyi szesnastego wieku i wolnych politycznych „konstytucyi, które ona wydała i jeszcze wydaje. Wielką bowiem tu za- „sadą jest moralna odpowiedzialność każdego pojedynczego człowieka,

„zaszczepiona na osobistéj każdego wierze w Chrystusa i jego duch, które „odbijają się w sumieniu piersi ludzkiéj i w rozumie duszy ludzkiéj. Ta „wiara tworzy koniecznie odpowiedzialność względem siebie samego, a ta„kowa odpowiedzialność sprowadza rząd przez siebie samego (self„government), czém już jest sama właściwie. Rząd podobny czyni możebną i wykształca polityczną wolność, a ta jest jedyną tarczą, jako jest „owocem religijnéj wolności.

„Wiek jest teraz w mękach porodu, nie wiadomo czy na korzyść „zniszczenia czy zachowawczości, ale to pewna, że bynajmniéj dla nie„zmiennego ustalenia władzy fałszu i ucisku, ani téż dla utwierdzenia „pretoryańskiego imperyalizmu w sercu ucywilizowanéj Europy, lub jego „sprzymierzeńca, kłamliwego jezuityzmu. Z drugiéj jednak strony nie mo„żna ukryć, iż wyłączność starego kościoła i jeszcze większa średnich „wieków, nie da się ani obalić ani pominąć, chyba że całe europejskie życie „zostanie zreformowaném na zasadach chrześciańskich i ewangielicznych, „tak co do życia społeczeńskiego jako i czci religijnej, tak co do polity„cznego jak i kościelnego życia. Stary kościół wpadł w rytualizm, bo „społeczeńskie i polityczne życie wygasło. Średnie wieki nie mogły od„zyskać równowagi, bo rytualizm uczynił zbór księży panem świata. Naj„wyższe urzeczywistnienie idei religijnéj i poświęcenia samego siebie za„leży na wykonaniu w życiu obietnic czynionych w czasie czci religijnéj. „Nie ma różnicy między czynami, między dobremi czynami dla kościoła. Je„dynie bosko wysoki i dobry czyn jest żywot w wierze, wypełnianie czy „wzniosłych, czy niskich powołań, które każdy ma sobie przeznaczoném, „czy to powołanie księcia czy filozofa, czy kapłana czy szewca, według „legendy Śgo Antoniego tak uwielbianéj przez Lutra. Lecz jako urze„czywistnienie zasady chrześciańskiéj doskonalszém jest w stanie małżeń„skim jak bezżennym, w kongregacyi jak w domowém kole, tak téż do„skonalszém jest w ludzie, zebranym w naród za pomocą państwa utwo„rzonego na zasadach chrześciańskich, a zatém wolnego przez wszech„władne prawo, co jest najwyższym celem chrześciaństwa. Najszlache„tniejsze dusze i ludy usiłują teraz przyprowadzić do skutku to wszech„władztwo prawa, które jest boskiém prawem wszelkiego ludzkiego „panowania (sovereignty). Zwycięztwo jest pewném, jeźli ludy i rządy „spotkają się przed obliczem Chrystusa, do którego z obu stron się od„wołują. *Chrystus ma teraz zostać ludem, jako przed ośmnastą wieki stał „się człowiekiem,* bo tylko przez ludy i rządy, używające chrześciańskiéj „wolności może On stać się ludzkością. Lecz narody muszą wprzód przez „miłość dla Boga poświęcić się dla całości społeczeństwa, jeźli rządy „mają zrobić największe ze wszystkich poświęceń, to jest zrzec się wła„dzy dyktatorskiéj."

Powyższe wyjątki nie wybieraliśmy z całego czterotomowego dzieła, ale tylko z dwóch przedmów i zakończenia. Celem naszym nie była krytyka a najmniéj spór o jakiekolwiek artykuły wiary. Ktoby chciał pisać recenzyą, znajdzie aż nadto szczegółów do obalenia całego systematu autora, do wykazania mu całéj wątłości i śmieszności sposobu, który przyjął, zwłaszcza w ciemnych aforyzmach, a jeszcze więcéj w tém nieszczęśliwém wyprowadzeniu Śgo Hipolita, w roku wystawy londyńskiéj, na co autor szczególny przycisk kładzie, by się unosił nad potęgą i konstytucyą angielską, czynił wycieczki przeciw kardynałom Bonaldowi i Wisemanowi, bronił wystawy londyńskiéj, tłómaczył autora, że nie chce germanizować Anglii, a wreszcie wykładał jak kościół katolicki skrzywił wszystkie pojęcia i artykuły wiary i że nie katolicy ale protestanci zachowali wyobrażenie pierwotnego kościoła o transubstantacyi. Myśmy tylko chcieli wskazać jaka według jednego z najwyższych urzędników

pruskich przyszłość nas czeka. P. Bunsen jest liberalistą. Chce wolności konstytucyjnych. Podług niego, bez protestantyzmu nie ma konstytucyjnych swobód, a bez tych nie ma religii. Chrystus przed 18 wieki urodził się człowiekiem, teraz ma zostać ludem, a za zgodą narodów i rządów rozpłynie się, stanie się ludzkością. Religia będzie po połowie rozumem, po połowie wolnością ograniczoną tylko zasadami biblii, którą każdy wedle swego indywidualnego rozumu będzie mocen wykładać. Wszystko to nie nowe, a jeźli zadziwiające to tylko o tyle, że pochodzi od ambassadora pruskiego i kierownika protestanckich dążeń w całym germańskim rodzie obu światów. Pierre Leroux i wszyscy socyaliści, którzy szermują imieniem i podszywają się pod naukę Chrystusa, może z mniejszą oględnością i słodyczą, ale to samo od dawna już powiedzieli.

P. Bunsen, który był kiedyś napisał dzieło pod tytułem ***Konstytucya kościoła przyszłości,*** gotuje teraz do druku ***Synoptyczny tekst czterech Ewangielii, Krytyczne odbudowanie chronologicznego porządku dziejów ewangielicznych,*** zaczém ma nastąpić korona wszystkich jego prac i przedmiot jego rozmyślań i poszukiwań od lat dwudziestu: ***Żywot Jezusa Chrystusa.*** Autor, zajęty tylolicznemi pracami teologicznemi, rzadko dotyka bliżéj obecnéj polityki. Wyszłe jednak w Anglii w tych czasach, Żywot, listy i mniejsze pisma Niebuhra (The Life and Letters of Barthold George Niebuhr, and selections from his Minor Writings, edited and translated by Susanna Winkworth. Second Edition, in 3 volumes) zawierają w sobie list od p. Bunsena do edytorki, z którego następujące wyjątki, jako w związku z poprzedniemi, przytaczamy:

„Co do Niemiec, Niebuhr miał przekonanie, iż wojna trzydziestoletnia „rozbiła kraj ten jako całość. Lecz według niego protestancka ich część „przechowała zarodek odrodzenia przez organizowanie się pod patryotycznymi i oświeconymi książętami, którzy zbudowali pruską monarchią „z ruin niemieckiego cesarstwa. Poczęli oni od wzięcia ludu w opiekę „przeciw zdzierstwu i bezwstydnemu samolubstwu brandeburskich baronów i wprowadzili w życie zasady protestantyzmu za pomocą uczciwéj dyktatorskiéj administracyi, któréj nic równego historya przedstawić „nie może. Lecz jeźli rewolucya 1789 r. jest wybuchem miejscowéj choroby, właściwéj rzymsko-katolickim narodom i rządom południowéj Europy, trzeba ją było zaraz na wstępie uprzedzić wielkiemi i szczeremi „narodowemi reformami. Te przyszły w Prusiech, ale dopiero po klęskach 1806 i 1807 r. i nie otrzymały tak całkowitego urzeczywistnienia, „jak należało.”

„Konstytucyjna monarchia była dla niego nie początkiem lecz końcem, „nie korzeniem lecz dojrzałym owocem drzewa wolności. Zdaniem Niebuhra, podstawą politycznéj wolności były municypalności same się rządzące, lub, jak zwykł był nazywać wolna administracya (freie Verwaltung). Bez téj podstawy, prawodawcza władza samego parlamentu wydawała mu się jako ***mauvaise plaisanterie*** lub szkodliwa próba.”

„Tu przybyliśmy do samego środka konstytucyjnéj polityki Niebuhra. „To jest rdzeń na którym się obraca jego system polityczny. Uważał równie rzeczą bezrozumną i szkodliwą poczynać od parlamentarnego systematu, na wzór francuzkiéj rewolucyi i jéj naśladowców, jak stwarzać „a raczéj przywracać ***self-government*** nie dając zarazem konstytucyjnéj „wolności. Pierwszy błąd wydawał mu się jak gdyby człowiek zasadzał „drzewo bez korzenia, a drugi jak gdyby kto oczekiwał owocu z drzewa „któremu kwitnąć nie dozwolił. Mógłby on jeszcze był porównać pierwsze do szalonego pomysłu budowania domu od dachu, gdy drugie wychodziło na jedno co stawiać mieszkanie z dobrym fundamentem ale bez

„sporządzenia dachu w należytym czasie i potém dziwić się lub skarzyć „że mieszkańcom nie było w nim wygodnie."

„Niebuhr mało cenił teorye największéj części konstytucyonistów „w Niemczech lub gdzieindziéj, a jeszcze mniéj ich przystosowania wpro„wadzane po roku 1789. Pogardzał przeto konstytucyami w mniejszych „państwach niemieckich, wymuszone przez finansowe lub domowe konie„czności, lub inne chwilowe kłopoty, jak w Baden, Hesse-Darmstadt i Ba„waryi, wszystkie mniéj więcéj oparte na francuzkim systemacie wszystko „pochłaniającéj biórokracyi, a okraszone pewną dozą oder anych liberal„nych frazesów. Przewidział co się zdarzyło, że despotyczna część zo„stała działającą, a liberalne artykuły poszły pod przemazanie przez uka„zy mające siłę prawa, że każda rzeczywista wolność druku uległa pod „szykanami policyi, a w razie potrzeby, to jest gdy lud zaczynał być nie„spokojnym, pod grozą odwołania się do Związku Rzeszy!!

„Czego Niebuhr pragnął oprócz organicznéj podstawy i budowy o któ„réj mówiłem, było to aby w Prusiech uczyniono uczciwy postęp ku rze„czywiście konstytucyjnemu rządowi przez dwie izby. Drugą z tych chciał „mieć z wyboru bezpośredniego narodu, na zasadzie podatku i praw „korporacyjnych, ale ani złożoną z urzędników mniéj więcéj zależnych, „ani z kandydatów zalecających się wyborcom teoretycznemi reformami „lub demokratycznemi ideami o konstytucyi. Co do pierwszéj izby, ulu„bioną jego myślą było, aby tę wyprowadzić z reprezentacyj prowincyo„nalnych, stanowiąc ostatnie jako koła wyborcze. Mniemam iż jego więcéj „rozwinięte zdania w tym przedmiocie doszły do podobnych wniosków „jak następne: każdy z prowincyonalnych sejmów miał wybierać albo „na całe życie, albo na ciąg parlamentu pewną liczbę parów z koła ry„cerskiego; podobnymże sposobem stan rycerski w każdéj prowincyi miał „posyłać z pomiędzy siebie pewną liczbę do izby parów, jak to się dzie„je z irlandzkimi i szkockimi parami."

„Wiedział on bardzo dobrze, iż było niepodobieństwem utworzyć po„ważną izbę parów z tak małéj liczby urodzonych pa ów w państwie, ale „mniemał że zasada zbiorowego parostwa w połączeniu z wyborami pochodzą„cemi z ośmiu izb prowincyonalnych, zdoła wydać godną i narodową „pierwszą izbę. Jestem przekonanym że idea bezpośrędnich ludowych wy„borów do pierwszéj izby byłaby sprawiła w nim obrzydzenie."

Zdania powyższe, należące zarówno do Niebuhra jak do p. Bunsena nie są bez ważności, zwłaszcza w obecnéj chwili. Jednę tylko zrobimy uwagę. Zdawałoby się iż po próbach konstytucyjnych w Prusiech tak nieszczęśliwie prowadzonych od lat sześciu, p. Bunsen powinien był nieco zniżyć ton owych uręczeń, że tylko protestantyzm zgadza się z formą konstytucyjną, która jest koniecznem jego następstwem. Tymczasem utrzymuje on wciąż swoje i z równąż śmiałością zarzuca narodom katolickim iż są niezdolne przyswoić sobie formy konstytucyjnéj. By dowieść swego przytacza anegdotę bardzo wątpliwéj wartości, jako kardynał Latil miał w 1829 r. oświadczyć księciu Gagarinowi w poufnéj rozmowie, że Karol X. i on przyszli do przekonania, iż dwie rzeczy żadnym sposobem zgodzić się z sobą nie mogą, to jest kościół katolicki i karta konstytucyjna, i że ta karta musi być wkrótce zmienioną i przystosowaną do reguł katolickich. Skoro się o tém dowiedział p. Bunsen, zaraz doniósł swemu dworowi, a chcąc i Niebuhra przygotować do nadchodzących wypadków, począł listy swe do niego datować rokiem 1687., by mu dać do zrozumienia iż się zbliża dla Francyi rewolucya podobna angielskiéj z roku 1688. Niebuhr naprzód długo tych dowcipnych napomknień nie rozumiał, a potém nie chciał przypuścić podobieństwa zwiastowanéj zmiany. Na to mu pan Bnsen odpisał: „Jeśli przepowiadam rok 1688 dla Francyi, nie zapo-

„minam iż to nie będzie prawdziwy rok 1688, bo to być nie może bez poprzedzenia rokiem 1517, czyli reformacyą." Ciekawa byłaby rzecz zapytać się p. Bunsena, od jakich to błędów, śmieszności i niegodziwości data ta 1517 uchroniła Niemcy w roku 1848?

ROZMAITOŚCI.

DEOTIMA.

Warszawa, głodna wszelkich wzruszeń, mocno się od niejakiego czasu zajmuje młodą improwizatorką. Ciekawi tłumnie cisną się do salonu, w którym słyszeć można *Deotimę*, dzienniki wydzierają sobie jéj wiersze, a nawet wytrawni sędziowie witają w niéj nową dla naszéj literatury nadzieję. W obec tak powszechnego zajęcia nie wolno nam dłużéj milczeć, zwłaszcza że dziś w przytępioném umysłowo a zobojętniałém dla poezyi spółeczeństwie naszém, każdy ruch choćby najdrobniejszy, na troskliwą zasługuje uwagę.

Wyznajemy szczerze, żeśmy z wielkiém niedowierzaniem przyjęli pierwsze wieści o tém nadzwyczajném u nas zjawisku. Słyszeliśmy sławnych improwizatorów w obcych językach, mianowicie we włoskim i francuzkim. Żaden naszemu oczekiwaniu nie odpowiedział. Urosło w nas ztąd przekonanie, że w obecnych czasach, przesyconych mnogością arcy-dzieł poetycznych, a zatém wymagających koniecznie uderzającéj myśli, nie może być dobréj improwizacyi. Taką zaś nazywamy nie tę, która zależy na igraszce słów lub gimnastyce sprężystéj wielomowności, ale tę, któraby zdołała równie unieść słuchających, jak następnie zyskać pochwałę chłodniejszéj czytających rozwagi. Język nasz zdaje się nam daleko mniéj od innych sposobnym do tego rodzaju szermierki. Sprawia to trudność jego rytmów i końcówek, sprawia jego powaga, sprawia i ta chlubna właściwość, że nie tak w nim łatwo jak w innych ukryć ubóstwo myśli i brak natchnienia dźwiękiem toku lub błyskotliwością rymów. Wspólność tę mamy z Niemcami, a mianowicie z Anglią, w któréj niema i nigdy improwizatorów nie było. Wprawdzie był czas, gdy u nas wiele głoszono o improwizacyach Mickiewicza. Ci, którzy je słyszeli, cuda o nich rozpowiadali. Nikt jednak nie umiał ani jednego wiersza przytoczyć, nikt ani jednéj myśli od zapomnienia nie uratował. Jedyny wyjątek stanowi owo przemówienie, którém na danym sobie przez rodaków wieczorze odpowiedział Mickiewicz na obraźliwą zaczepkę Słowackiego. Przytomni znawcy dotąd powtarzają niektóre wiersze i świadczą niezatartém wrażeniem o znakomitości téj improwizacyi. Czas, drażliwa okoliczność, wezbranie osobistych uczuć, wszystko to tłómaczy dla czego podobny wybuch raz, ale tylko raz mógł się udać. W następnéj też improwizacyi, z tychże samych powodów powiedzianéj, już poeta nie wywołał ani w części równego pierwszemu wzruszenia. W owym pamiętném zdarzeniu, mówił on z siłą ale z najwyższą prostotą, raczéj dobitnie jak barwnie lub śpiewnie, mówił wciąż trzynastozgłoskowym wierszem, bez żadnéj wytworności w wyrażeniach lub końcówkach. Był on wreszcie podówczas w pełnéj dojrzałości geniuszu, z wprawą długiego poetycznego zawodu, bo już był napisał wszystko, z czego światu jest znanym. Wcale więc co innego jest, kiedy zaledwie z lat dziecięcych wychodząca panienka występuje od razu w najcięższéj roli, improwizuje trudne-

mi rytmy w najtrudniejszych przedmiotach, sięga w najwyższe sfery, wnika w najtajniejsze skrytości ducha, ubiegając się razem za dojrzałą myślą, wszechstronną nauką i wzniosłością natchnienia. Wydawało się to nam tak niepodobném, jak gdyby kto obiecował nam ukazać Ofelią, zadającą sobie i rozwiązującą najgłębsze Hamleta zagadnienia. Sądziliśmy nawet, że gdy nowość i sztucznie w salonach podniesione entuzyazmy przeminą, nic z tego zjawiska nie pozostanie, procz świeżego dowodu, jak łatwość wierszowania odmienną jest rzeczą od poezyi, i że gdy pierwsza zawcześnie lub dla popisu przychodzi, druga prawie nigdy jéj nie towarzyszy.

Dziś sądzić możemy z bliższą znajomością rzeczy. Doszło nas bowiem pełno wierszów Deotimy, częścią już drukowanych, częścią jeszcze w rękopiśmie krążących. Przeczytaliśmy je kilkakrotnie, i spieszymy wyznać, iż wbrew poprzednim naszym domysłom ujrzeliśmy w nich znamie zadziwiającéj zdolności poetycznéj. Wprawdzie, niektóre z nich uderzają tylko dla tego, że są tworem tak młodéj osoby, lecz znajdują się między niemi i takie, które przyniosłyby chlubę każdemu poecie. Im większą przeto była nasza wątpliwość, tem skwapliwiéj uznajemy ten podnoszący się talent, ale téż im widoczniejszym on jest, tém bardziéj wzmaga się w nas troskliwość czy w dobrym rozwija się kierunku. Niech więc nam będzie wolno kilkoma uwagami poprzedzić przytoczenia, które obficie damy przy końcu

Usuwamy naprzód zapytanie, czy którakolwiek z tych poezyi jest improwizacyą. Względ to niezmiernie podrzędny. To pewna, że na improwizacyą w ściślém znaczeniu wszędzie wiersz jest zbyt gładki, tok zbyt równy, wszędzie widoczniejszy namysł jak dorywczość, wszędzie więcéj nauki jak natchnienia. Jedynie więc dla ułatwienia ufności czytelnikom dodamy, że tylko trzy lub cztery z tych poezyi uchodzą za improwizacye, i to za improwizacye w nader dowolném znaczeniu, bo o ile nam wiadomo, Deotima mając sobie dany przedmiot usuwa się na osobność i dopiero po należytém przygotowaniu się wraca i recytuje, a przytém wiersze jéj nie tak występują w druku jak były mówione, ale jak je sama późniéj poprawiła.

Daleko ważniejszym jest wzgląd na przedmioty, które podejmuje. Zdałoby się, iż pierwsze uniesienia tak młodéj osoby, powinnyby być dla pięknych obrazów natury, dla sielskich uciech, dla domowych wypadków, ku rodzinie, ku ojczyznie, ku Bogu Tymczasem niemal wyłącznie zapuszcza się ona w głębokie zadania sztuki, bada istotę swego ducha, stąpa po wyżynach historyi, wyrokuje o przeszłych i przyszłych losach ludzkości.

Co jednak najwięcéj nas zastanawia, to sposób w jakim wykłada podjęte przedmioty. Nauka na pierwszym u niéj jest względzie. Wydaje się jak gdyby się ciągle radziła encyklopedyi. Kiedy przerwie swą umiejętną nomenklaturę, to się zacieka w najzawilsze rozumowania. Zarwała coś ze szkoły Hegla, coś z naszych sławiańsko-chrześciańskich filozofów. Wszędzie jakieś wytężone, ciemne, nieoznaczone wyobrażenia. Prostych, jasnych, katolickich pojęć nigdzie nie widać. W wierszu ***Snycerstwo*** mówi:

Któż wie, czyli wszystkie głazy
W swym głuchym, bezczynnym stanie,
Nie odprawiają pokuty
Za jakie grzeszne działanie.

Wiersz ***Taniec*** kończy temi słowy:

Przez sfer stopnie, dusze, światy,
Wiodą ciągle pląs skrzydlaty
Ku wieczności niezbadanéj,

Aż przed najwyższego tronem
Staną i zakończą tany
Odpocznieniem nieskończoném.

W poezyi *Krucyata* tak wykłada przyszłe losy ludzkości:

Każden nowym apostołem
Bez broni, z spokojném czołem,
Bezpośredniém zlaniem ducha
Mistrza z Nazaretu słucha.
. . . .
Aby w trzeciéj wieków dobie,
Jako trzecie prawdy zorze
Zmartwychwstało Słowo Boże.

Nie chcemy mnożyć wyjątków, ale któż w przytoczonych nie dosłyszy wyraźnego echa wałęsających się w naszym czasie błędów, urojeń i odstępstw od nauki kościoła. Gdyby autorka pamiętała na katechizm, to nie byłoby jéj wątpliwém, gdzie człowiek będzie pokutował za grzechy, nie prowadziłaby dusz i światów przez sfer stopnie, nie zapowiadałaby że Słowo Boże dopiero zmartwychwstać potrzebuje. Cóż znowu znaczy to *bezpośrednie zlanie ducha z mistrzem z Nazaretu?* Nie inaczéj mówią wszyscy twórcy nowych religijnych czy socyalnych systematów w naszym wieku, wszyscy marzyciele, którzy uważają pośrednictwo i powagę kościoła za niepotrzebne, pragną jego upadku jako przeszkody do nieograniczonego postępu, zapowiadają raj na ziemi, a uznając w Zbawicielu tylko *mistrza* i prawodawcę ziemskiego, naginają jego naukę do swych wymysłów, a wszystko wygodnie tłómaczą i w powagę ubierają bezpośredniém zlaniem z nim swego ducha. Jedyna wymówka dla autorki że nie rozumie co mówi, ale ślepo powtarza filozoficzną modą zalecone frazesa. A przecież zdaje się nam, iż dziecię, a osobliwie kobieta, powinna była uczuć instynktowy wstręt ku podobnym wyobrażeniom. Jakaż może być nadzieja dla gałązki, choćby najwcześniéj rozwitéj, ale wyrastającéj nie z żywotnego pnia uświęconéj prawdy, lecz z błędów, i to już powalonych, zepsutego wieku? Niech nikt nie sądzi, że nadajemy zbyteczną ważność chwilowym nierozmyślnym usterkom. Nieszczęśliwa moda tak już wpłynęła na jéj pojęcia, iż we wszystkiém obiera raczéj jakieś kosmopolityczne, nieoznaczone, ogólno-humanitarne, jak narodowe lub chrześciańskie stanowisko. Weźmy naprzykład wiersz *Snycerstwo.* Temat to nieosobliwy dla kobiety, ale kiedy go wzięła, należało się spodziewać, że chrześcianka, przedstawiwszy nam dzieła snycerskiéj sztuki w pogańskich czasach, podniesie jéj dążenie w chrześciaństwie, wskaże jéj najwyższy ideał w czystszych, duchowniejszych przedmiotach cześci odkupionego świata, bo jeśli snycerstwo dotąd nie osiągnęło odpowiedniéj wysokości, to może jeszcze dojść do niéj, a co jest możebném w sztuce, to poezya ma prawo przeczuwać i powinność przyzywać. Tymczasem autorka opiewa posągi egipskie, grobowiec Memnona, Kolos Rodyjski, rozwodzi się nad sztuką grecką, unosi nad Wenerą Praksytelesa i Apollinem Fidyaszowym, a przechodząc do chrześciaństwa zastanawia się tylko nad Mojżeszem Michała Anioła i aniołem Kanowy, potém znów wraca do Bogini Mądrości w Grecyi, prowadzi nas na wyspę Cejlan do posągu Buddy i kończy na Sfinksie, by z całéj téj podróży prędzéj pogańską jak chrześciańską co do posągów wywieść naukę, że

Zaszczyt to który na ziemi
Sam człowiek z Bogami dzieli.

Taki porządek i taki koniec, Sfinks nie Chrystus na szczycie, dostatecznie okazują jak mało udziału miała idea chrześciańska w całém pojęciu

przedmiotu. Zobaczmy czy uczucie narodowe większe w jéj wierszach znajduje powodzenie. Jeśli gdzie mogła je oddać niewinniéj, bez urazy miejscowym względom, a w całéj świetności i polotności wiekowi swemu właściwéj, to w wierszu poświęconym tańcowi. Córka narodu, który tyle ma poezyi w swych tańcach, powinna była zwrócić cały pęd swego opowiadania, zachować cały blask swych kolorów na końcowe przedstawienie téj naszéj wyższości nad innemi narodami. Dziwnym sposobem nie przyjęła tak naturalnie nastręczającéj się formy. Zaczyna od planet i komet, od słońca pląsającego z dwunastoma znakami Zodjaku, potém zszedłszy na ziemię, wystawia Dawida tańcującego przed arką, bajadery, derwisze, przechodzi po kolei wszystkie narody, własny zbywa temi czterma, najbiedniejszemi z całego ciągu wierszami:

A gdzie za jesienią piękną
Nadchodzi śnieżysta chmura,
Przy ognisku skrzypki brzękną
Do ochoczego mazura, —

i znów wraca na przestwór ludzkości, splata dłonie wszystkich ludów we wstęgę otaczającą ziemię jakby pierścieniem Saturna, a w końcu całą ludzkość wprawia w pląs ku wieczności niezbadanéj. Niemal każdy jéj utwór skrzywiła i zepsowała podobna opaczność w pierwotném pojęciu. Tę wadę tém dobitniéj wytykamy, że wszystkie talenta poetyczne, zwichnięte za młodu, od niéj poczynały swe zwątlenie, przerzucając się od razu z naiwności w wysilenie, z prostoty w naukę, z plastyczności w refleksyą, z rodziny w ludzkość, z miejscowości w nieskończoność przestrzeni. Prawdziwe i przyszłość mające talenta rozwijają się stopniowo, loicznie, nie tracą od razu świeżości, nie ma w nich téj wczesnéj dojrzałości a raczéj przejrzałości, którą marnieją owoce zawiązane w pączku nim jeszcze kwiat miał czas rozwić się w swobodną pełność. Wzgląd ten jest tak przeważny, iż jeszcze raz go przypomnimy po ukończeniu przytoczeń, do których przystępujemy.

Między podanemi jako improwizacya najkrótszy ale najpiękniejszy jest następujący wiersz, poświęcony jednemu z muzyków naszych:

Wszystkie uczucia trwogą i nadzieją
Drgają w twych pieśniach jak barwy w opalu
Serca słuchaczy oplatasz koleją
Bluszczem radości i cyprysem żalu!
W weselu, hymn twój w skrzydlatym popędzie,
Jako skowronek wzbija się w przestworze;
W tęsknocie, śpiew twój ma kształty łabędzie,
Z westchnieniem rzewném mknie po łez jeziorze.
Tkliwa melodya tak brzmi z pod twéj dłoni,
Jak brzmi szmer listków w pierwszych chwilach świtu,
Jako w jaskini kropla z kroplą dzwoni,
Zanim się zetną w filar stalaktytu.
Lecz gdy wypełnisz pierś harmonii grzmiącą;
Zda się, że serca nasze się roztrącą,
Jako w Jerycho rozpadły się mury,
Gdy brzmiały trąby i lewitów chóry!
Zapał twój czerpiesz w niebiańskim płomieniu!
Dowodzisz prawdy w słowach Salomona,
Gdy rzekł: „Czem szafir jest w złotym pierścieniu,
„Tem jest w śród uciech muzyka natchniona.“

Z improwizacyi *Snycerstwo* przytoczymy dwa te drobne ale nadobnie wyrażone ustępy:

W łonie ziemi kruszce lśkniące,
Wspaniale krysztaly, glazy,
Leżą jak myśli tysiące
Nie obleczonych w wyrazy.
. . . .
Jednak rozmiarów potęga,
O! nie jest piękności szczytem.
Grek to pojął, wnet z zachwytem
W niebo po inną myśl sięga!
I napotkał myśl wysoką:
Już ogromów nie chce sztuka;
Spragnione spoczynku oko
Łagodniejszych kształtów szuka:
Ich harmonia w dziele całém
Staje się dlań ideałem.
Wnet w pięknéj, greckiéj krainie,
Jakby w pierwszéj życia wiośnie,
Cudne bogi i boginie
Na świat wychodzą radośnie!

Taniec, jak już powiedzieliśmy, najmniéj nam się podoba. Wiersz ten tak się poczyna:

Wśród eterycznych przestrzeni bez końca,
Wirowym biegiem *pieszczone* planety,
W ochocze koła otaczają słońca!
W ruch fantastyczny pląsają komety.
W około ziemi na błękitnym szlaku,
Dwanaście złotych tancerek, tancerzy,
Trzyma w powietrzu przepaskę Zodjaku;
Słońce koleją do każdego bieży,
Z każdym się zetknie w wymierzonym biegu,
I w rok obiega cały krąg szeregu.
Grzmi w niebie światów harmonia wspaniała,
Od dnia gdy twórcza dłoń popęd im dała,
W taniec wiekowy idą jasne ciała.

Podkreśliliśmy wyraz *pieszczone*, bo może przez omyłkę w druku położono go zamiast *puszczone*, gdyż na chlubę autorki powiedzieć należy, iż nigdy za żadną szczególnością lub przesadą w wysłowieniu nie ubiega się. Jako dopełnienie powyższego obrazu wypada z téj improwizacyi przytoczyć jeszcze następujący wyjątek:

I tak każden naród świata
Ma pieśń pląsów ukochaną;
Ale kiedyś razem staną,
I dłoń z dłonią się posplata!
Wtedy gdy wszystkie narody
Pójdą w jeden taniec zgody,
Ta wstęga ludów wesoła,
I wstęga Zodjaku górna,
Otoczą ziemię w dwa koła
Jako pierścienie Saturna.

Poezya, już nie improwizowana, która znawców najmocniéj zastanowiła, nosi tytuł *Krucyata.* Oto część jéj pierwsza:

Od jerozolimskiéj bramy,
W pośród łąk skropionych rosą,
Spłakane niewiasty niosą
Wonne zioła i balsamy.
Przy odblasku zorzy białéj
Widząc grobowiec w oddali,
Niespokojne zapytały:
„Któż nam kamień ten odwali?“
Lecz o dziwy cóż się stało?
Grób otwarty, znikło ciało.
Tylko w świetle dwaj anieli,
Z błyskiem w oku, z szatą w bieli,
Przed niewiastami stanęli.
Kamień zwalony na ziemi.....
A niebianie co go strzegą
Rzekną: „Czegoż żyjącego
Szukacie między zmarłemi“
Tam od wschodu czy widzicie
Rubinowy blask o świcie?
Czy widzicie wśród ogrodów,
Co mirtami wonnie kwitną,
Ten minaret, co z nad grodów
Strzela w niebios toń błękitną?
Lecz jaki to brzask zamglony,
W ciemnościach zachodniéj strony,
Jakby z drugich zórz ogniska
Krwawą łuną się rozbłyska?
Iskrzą się mieczów tysiące,
Tarcze w złocie gorejące,
Błyszczą jeźdźce i rumaki,
Każden swoją
Miga zbroją,
Białą chorągiew ma w dłoni,
Twarz pod osłoną ze stali,
A na piersiach krzyż się płoni,
A w sercu wiara się pali!
Gdzież wśród téj światła powodzi
Chcą biedź ci rycerze młodzi?
Czy chcą zatknąć te sztandary,
Uwieńczone godłem wiary,
Gdzie złoty półksiężyc wschodzi?
Gdzież pędzicie? „Gdzie pędzimy?
Na wschód, do Jerozolimy.“

Któż święte męztwo oceni,
Jakiém pałali rycerze,
Co za morza poniesieni,
Dla wiary żyli w ofierze;
Żyli w czynie, — lecz jeżeli
Zbawiciela znaleźć chcieli,
Aby ludy jego siłą

Oświecić w prawdy zaraniu,
Czyliż go po *zmartwychwstaniu*
W grobie znaleźć można było?

Trudno na piękniejszy natrafić pomysł. Autorka dobrze go rozwinęła aż pod koniec przytoczonéj części. Tu pada pierwszy ton fałszywy. Skądżeż to pocieszne przypuszczenie, że jacy krzyżowcy mogli myśleć, iż idą do ziemi świętéj, by samego Chrystusa w grobie szukać, i ta jeszcze pocieszniejsza przestroga, że go tam znaleźć nie mogli po zmartwychwstaniu. Oto ztąd, że autorka, ubiegająca się wciąż za nadzwyczajnością, opuściła koléj prostą, loiczną i nadobną pomysłu, by go weprzeć koniecznie na tor swojéj trzeciéj doby wieków. Mogła i powinna była pozostać przy swéj pierwotnéj myśli, że jak niegdyś zbrojni rycerze wiary biegli wyswobodzić grób Chrystusa, tak dziś i zawsze, w każdym z nas, w każdéj myśli i czynie chrześciańskim wieczna trwa krucyata. Ale koniecznie chciała prorokować o przyszłych losach ludzkości, o rycerzach, za których sprawą ma dopiero zmartwychwstać Słowo Boże, i tém przesiągnięciem za swój przedmiot, cały utwór skrzywiła.

Chociaż to ciągłe kołowanie po niezmierzonych obszarach ludzkości i nieskończoności wieków, wydaje się nam szkodliwém natężeniem i przejęciem smutnéj choroby wieku, w którym każdy zwichnięty umysł woli rozpływać się w wszechświat i wszechduch, jak baczyć obowiązku lub szukać myśli bożéj w ciaśniejszém swego powołania zakresie, nie przeczymy jednak iż autorka w tym kierunku napotyka czasem na chwile wysokiego natchnienia. Oto co mówi w wierszu pod tytułem *Geniusz:*

Mknie gwiazda za gwiazdą w eterów przezroczy,
Mknie chmura za chmurą na niebie Ossyana,
Mknie fala za falą, a Wisła je toczy,
Mknie dusza za duszą, a każda spłakana.

Kolosie wiekowy,
Co łzawe masz rysy,
Co nosisz strój wdowy,
I w wieńcu cyprysy, —
Ludzkośći strudzona
Wśród wichrów, wśród burzy,
Dzień wstaje, dzień kona,
Ty zawsze w podróży.

I skała za skałą ci staje przed drogą,
I burza za burzą wre, niesie potoki,
Lecz skały i burze wstrzymać cię nie mogą,
Ty dążysz i ufasz i patrzysz w obloki.

Co wieków téż kilka
Drży ziemi posada,
Grzmot, burza umilka,
Błysk, piorun wypada.
Duch w światłości z purpury,
Jak orle olbrzymie,
Z rozdartéj zbiegi chmury,
Geniusz mu na imie.

I kolos geniuszu jak bóstwo sam stoi,
On jeden silniejszy od wieków kolosu,
On burzom rozkaże, on bóle ukoi,
Przyszłości odsłoni widnokrąg jej losu!

Bardzo to wzniosłe i prześlicznie wyrażone, ale my wolimy wiersze, które nam dają bliżéj poznać autorkę i w domowém stawiają ją kole. Jeden z jéj wierszów tak się poczyna poetycznie a swobodnie:

Zamyślona na ganek wychodzę wieczorem,
I któż nie lubi dumać wśród ciszy i chłodu,
Gdy widnokrąg owiany perłowym kolorem
Mleczne blaski przelewa w ciemne tło ogrodu.
W tych szumnych zdrojach liści, w tych światłach miesiąca,
Myśl tam moja bujała senna i marząca.
Na ganku blada lampa ze szklem szafirowém,
Rzucała na powietrze modrych świateł wstęgi,
W około niéj na stole rozrzucone księgi
Zdawały się brzmieć tajnie poetyczném słowem,
I taka była luba w ich kartach ponęta,
Że od gwiazd odwrócona do ksiąg przyciągnięta,
Jedną z nich otworzyłam.....

Wiersz *Sen* również ujmującym otwiera się wstępem:

Pod jasném oknem jedwabna zasłona
Chwieje się z lekka, na wpół uchylona.
Spoglądam, słucham harmonii zegarów —
Tajemna północ, duchów monarchini,
Zwija opony obłocznych sztandarów
I u sklepienia powietrznéj świątyni
Zawiesza łzawą pochodnię księżyca.
Ogród połyska śniegami lśniącemi:
Całe przestworze niebiosów i ziemi
Jest jak liljami usłana kaplica.
Mgła się ulewa w posępne postacie,
Niby z kadzideł mknący tuman woni,
Mój duch je widzi, me oko je goni,
A serce wielbi noc w jéj majestacie.
W te puchy śniegu, w te puste lazury
Rzucam myśl moją i bujam w zachwycie,
Pieszczę się z tobą, poezyo natury,
Bo ja poezyi chcę święcić me życie.

W dalszym ciągu wiersz ten mniéj już swobodnie i jasno się rozwija, bo prowadzi nad same otchłanie tajemnic ducha, ale tak uderzające są w nim ustępy, iż niektóre z nich umieszczamy:

Już otrętwienie zimne mię owiało,
Gdy gradem iskier przeszyły mnie dreszcze,
W sen zapadałem trwożliwie, nieśmiało,
Widząc już wieczność, w czasie idąc jeszcze.
W tém, jako w chwili igła skał z pod fali
Rozbija czółno, łamie maszt, drze żagle,
Tak ja się wstrząsłam i pojęłam nagle
Co to jest stanąć i nie módz iść daléj.
W tém skamienieniu czułam przerażona,
Że to czuć musi istota co kona.

. . . .

Nad moim duchem była światłość wielka,
Co przelewała się złotym potokiem,
Ku mnie nie mogła żadna spaść kropelka.
Niżéj niż duch mój w przestworzu głębokiém

Była noc straszna jak czarne jezioro,
Ale cień żaden nie mógł wzbić się ku mnie.
Wśród dwóch tych wirów ja z trwożną pokorą
Stałam jak posąg na chmurnéj kolumnie;
Patrzyłam z szczytu wiecznego poglądu
Na światłość z żalem, na ciemność ze wstrętem,
Nie byłam z światłem, nie byłam z odmętem,
Bo ja dopiero stałam w strefie sądu.

. . . .

Ziemskie wyrazy określić nie mogą
Okropnych uczuć téj stanowczéj chwili,
Gdy dusza czeka rozdzierana trwogą,
Słów sądu, w których w wieczność się przesili.
W téj niepewności w koło rzucam okiem,
Chcąc choć na chwilkę pod zewnętrznym wpływem
Zerwać ciąg myśli, w zapomnieniu żywém.
U stóp mych otchłań w swém łonie głębokiém
Toczyła głazy w czarnych dymów fali,
W głębi czerwone, jak węgle tlejące,
Pływały kształtów potwornych tysiące,
Jak na dnie morskiém gałęzie korali.
Dziki ten widok, zwłaszcza w chwili takiéj,
Jeszcze mnie żywszym przejął niepokojem,
Tam więc spojrzałam, gdzie ponad gwiazd szlaki
Światła tryskały nadpowietrznym zdrojem.
Na tle z szmaragdów w tym ruchomym blasku,
Z promienném licem, w roziskrzonéj szacie,
Pływały w światłach przezrocze postacie,
Jak na dnie rzeki prąd złotego piasku.
Wśród tych mieszkańców promienistéj sfery,
Wsparta na chmurze z brzegi szkarłatnemi,
Postać nadobna, wzlatując w etery,
Czułe wejrzenie zwracała ku ziemi.
W fałdach jéj sukni kwitły fiołków pączki,
Godło cichości — zgodnéj z losem woli,
A nad jéj czołem pół ślubnéj obrączki
Połyskiwało, jak pół aureoli.
Bo berło śmierci, ostrze rozdwojenia,
Strzaskało nagle tę obrączkę złotą,
Anioły w niebo wzięły pół pierścienia,
A pół na ziemi zostało z tęsknotą.

. . . .

Z rzewnym zachwytem tonąc w tym widoku,
Na chwilkę mojéj zapomniałem troski,
Wtém śrebrnopióry błysł w świateł potoku,
Niósł wielką księgę, gdzie w ogniste głoski
Wyrok najwyższy skreśliły niebiosy,
Sąd co o mojéj wieczności stanowi.
Czekając słów tych, które anioł powie,
W trwodze, w ufności, drżałam o me losy;
Anioł miał czytać, światło się zaćmiło,
Śmiertelne we mnie wrzało przerażenie,
Chciałam się przemódz — całą ducha siłą,
Krzyknęłam nagle... i znikło widzenie.

Zimne grobowe przebiegły mnie dreszcze,
Z snu wychodziłam, trwożliwie, nieśmiało,
Lecz serce moje z radości zadrzało,
Czując że mogę przebudzić się jeszcze.

Niezawodnie są to wszystko błyski silnéj imaginacyi. Co nas jednak najwięcéj ujmuje i co każdemu z czytających na zawsze w pamięci zostanie, to ten wdzięczny, łagodny wizerunek, który one jakby złocistemi ramy otaczają, obraz nadobnéj postaci, owianéj suknią, w któréj fałdach, godło cichości, pączki fiołków rozkwitają. Wskazujemy go, by zwrócić uwagę na bardzo szczęśliwy przymiot autorki, która umie często jednym ry em, jednym drobnym wyrazem, charakter osoby wystawić. Z tego względu przytoczymy jeszcze to, co gdzieindziéj mówi o Szopenie:

Pieśń Szopena, łza natchniona,
Spada w otchłani goryczy,
On, jak łabędź tajemniczy,
Całe życie śpiewa, kona.

Wszystkie te wyjątki dostatecznie okazują rozliczność i stopień poetycznych autorki przymiotów, a jednak nie dowodzą one jeszcze, iżby umiała te władze nastroić w harmonią i piękną bez żadnéj skazy utworzyć całość. Jakoż w istocie tém łacniéj przyszło nam ograniczyć się na przytoczeniu miejsc tylko wyborniejszych, że w żadnéj z wymienionych dotąd poezyi nie znaleźliśmy równego i harmonijnego ciągu. Nie możemy przeto lepiéj zakończyć naszego sprawozdania, jak zamykając je wierszem, który i tę zaletę w z upełności posiada.

Pielgrzym.

Z ubogą szatą, z dalekiéj strony
Idzie gościńcem pielgrzym strudzony.
Na boku drogi, w chacie brzmią śpiewki,
Zwinna gosposia zastawia stoły,
W wieńce z bławatków stroją się dziewki,
Śmieje się w tańcu młodzian wesoły,
Starszyzna siedzi, dawny czas chwali —
Pielgrzym zapłakał — i poszedł daléj.
Tuman na drodze, — z trąbami w gwarze,
Hej jadą konie, zwycięzkie szyki.
Strojne chorągwie — szczęśliwe twarze —
Echa radośne niosą okrzyki,
I dzwonią szable, i brzmi chrzęst stali —
Pielgrzym zapłakał — i poszedł dléj.
Na boku drogi, stoi dwór pana,
W oknie otwartém, zasłony, kwiaty,
W bogate księgi ozdobna ściana.
Pan z księgą siedzi w środku komnaty,
A wzrok się jego mądrością pali —
Pielgrzym zapłakał — i poszedł daléj.
A idąc cicho, nucił te żale:
Smutno mi w drodze, gdzie wiejska chata,
Krótko brzmi szczęście, długie boleści,
Krew bliźnich płynie w rycerza chwale,
Pan w księgach siedzi, lecz mądrość świata
Złudny fałsz wplotła do prawdy treści.

Więc poszedł daléj, przez łany świeże,
Kędy się czerni las za kościołem,
Na boku drogi mur stoi kołem,
U bramy widzi trawy i krzyże,
I jacyś ludzie z trumną zjechali —
Pielgrzym zapłakał — i nie szedł daléj.
O nie nad trumną, ale nad temi
Płakał, co za nią idąc płakali,
Lecz chociaż we łzach, nie poszedł daléj
Pomnąc że wszystko znika z pod słońca,
A radość pierwsza ucieka z ziemi;
Tu zaś to znalazł co nie ma końca —
Wieczność spoczynku — we śnie wesele —
Tu więc położył kres swéj podróży,
I przy cmentarzu, i przy kościele
Żył sobie zdala od świata burzy.
Sami go zmarli już odwiedzali,
A on i z nimi poszedł gdzieś daléj.

Na tym prześlicznym wierszu, a jedynym ze znanych nam Deotimy utworów, który wyłączając z pod zarzutów co do ogólnego jéj kierunku, moglibyśmy zarazem jako kontrast stawić na usprawiedliwienie nasze, kończymy, wynurzając raz jeszcze jak najprzychylniejsze uznanie tak znakomitéj zdolności. Uznanie to jest warunkowe, admiracya nasza względną. Powtarzamy jak najdobitniéj, iż z wymienionych na wstępie powodów nie jesteśmy bez obawy widząc tę zdolność nie rozwijającą się swobodnie, ze skromnych początków, w warunkach koniecznych dla wzrostu do doskonałości, ale w tém samém otoczeniu, pod parciem tych samych wymagań, na tym samym torze, na którym tyle już u nas z równą świetnością zapowiadających się talentów zmarniało. O jakiémże to mówimy otoczeniu, o jakich wymaganiach? Oto o tym istnym terroryzmie, który bezwzględni wielbiciele nieograniczonemi pochwałami i zapowiedziami cudów wywierają. Nic zaiste piękniejszego jak admiracya. Jest ona jedną z najwznioślejszych stron duszy. Chroni od zazdrości, pobudza do szlachetnych usiłowań, podnosi niższe zdolności w coraz wyższe sfery, niemal równa wielbiących z wielbionymi. W życiu publiczném jest dowodem że naród rozwinął swą istotę na rozległą skalę, że ma w sobie żywioły silnéj i długiéj przyszłości, że wyszedł z zakątków małoletności na jaw dziejowego znaczenia. Ale ku temu potrzebuje ona być szczerą, spokojną, wolną od wszelkiéj wystawności i samolubstwa. Jakże jeszcze u nas mało podobnéj. Natomiast jakże wiele nastrojonéj, gorączkowéj, samolubnéj. Są tylko koterye, których uczestnicy wielbią się nawzajem, rozdają sobie patenta nieśmiertelności, wykluczając ościenne kółka od wszelkich zaszczytów. Jeśli po nad temi zaściankowemi wyłącznościami zjawi się jaki przedmiot ogólnego interesu, wnet go otoczy tłum tuzinkowych wielbicieli, szukających byle zajęcia, byle przerwy w niezatrudnioném życiu i przemieni go w cel mody, zabawy, gorączki karnawałowéj. Jedni drugich poduszczają w uniesieniach, szukają własnego znaczenia w roznoszeniu wieści, w udzielaniu powierzonych sobie tajemnic, w zapowiadaniu nastąpić mających nadzwyczajności, im kto więcéj zapowie tém ważniejszym się staje, rośnie budowa fałszywego entuzyazmu i zwodnych nadziei i w końcu pada druzgocząc najczęściéj bożyszcze na swym szczycie osadzone. Niechże Bóg broni aby tak miało być w razie niniejszym. Widzimy jednak to samo nastrojenie, samolubstwo i gorączkowość entuzyazmu. Dzienniki Warszawskie wyczerpały już słownik pochwał. Dla każdego z nich Deotima jest *geniuszem*. Prąd elek-

tryczny doszedł już do Krakowa i do Lwowa. Oględny zwykle *Dziennik Literacki* umieścił pismo z Warszawy, które dowodzi, że przez Deotimę mówi *cnota*, *wiara i pokora w najwyższych potęgach swoich*. Lecz w Warszawie wszelki entuzyazm jest władzom podejrzany. Niczem więc jeszcze są wyrazy dzienników w porównaniu z tém co się pokątnie mówi. Jedni zapowiadają już całkiem nowe i dotąd niepojmowane losy literaturze, drudzy widzą w tém zdarzeniu wyraźny cud. Są i tacy, którzy już w niém zorzę zbawienia ojczyzny witają. Obok takiego chóru głos nasz może się wyda obojętnym a nawet uwłaczającym. Sumiennie jednak przekonani jesteśmy, iż on zgodniejszym jest z dobrem literatury, z dobrem samejże autorki, niż te wszystkie uwielbienia bez miary. Chcielibyśmy tylko aby nasze zarzuty były przyjęte razem z naszemi pochwałami i aby miały dzielność owéj włóczni Achillesowéj, która goiła rany, które zadawała, a nawet uzdrawiała niemi cały organizm. Jeśliby więc głos ten doszedł kiedy do panny Jadwigi Łuszczewskiéj, bo takie jest właściwe nazwisko Deotimy, tobyśmy pragnęli, aby wysłuchała następujących naszych życzeń i rady. Niech odrzuci to miano Deotimy, [1]) niech się strzeże wszelkiéj przybranéj nadzwyczajności, wszelkiéj wystawności, niech nierozprasza swego daru w improwizacyach, lub w dorywczych utworach. Prawdziwy talent powinien mieć wstydliwość dziewictwa. Nikłe to natchnienie, które się budzi w parnéj atmosferze napełnionego ciekawymi salonu. Trwale spływa z góry tylko w cichéj samotności. Jedna skromna pochwała pątryarchy wieszczów naszych, który starą ręką pobłogosławił jéj, powinnaby jéj wystarczyć i uczynić ją obojętniejszą na liczne wieńce lada niepoświęconą dłonią składane. Niech się miarkuje w polocie po tych szlakach bez granic, na których tak zbłądzić łatwo, i przyjmie do serca przestrogę, którą tenże wieszcz sędziwy przy błogosławieństwie dał jéj w tych słowach:

Skieruj ku ziemi i lot i źrenice,
Są na niéj ciernie, ale są i kwiaty,
Wieńcz niemi siebie, braci i rodzice.

Niech przedewszystkiém da sobie czas namysłu, i w cichości a pokorze rozważy, czy te przejęte od innych wyobrażenia w najważniejszych życia zadaniach, z których tak często wychodzi, zgadzają się ściśle z tą wiarą, co jest podstawą wszelkiego szczęścia i dobra na ziemi a rękojmią zbawienia, i czy już przypadkiem w jéj pojęcia, że jéj własnych słów użyjemy, mądrość świata nie wplotła złudnego fałszu do prawdy treści. Na cóżby się zdały te wczesne tryumfy, ta świetność talentu, gdyby jéj powołanie, jéj przyszłość, nietylko jako autorki, ale co nieskończenie ważniejszém jest, jako kobiety, żony i matki, zwichnięte być miały? Nader niebezpiecznem byłoby złudzenie, jeśliby myślała, że można bezkarnie dla jakiéjś tam

---

[1]) Naród włoski najwięcéj wydał i najpochopniejszym był zawsze w wielbieniu improwizatorów. Najwięcéj téż na nich stracił. Upadek literatury włoskiéj w ośmnastym wieku, mnogości improwizatorów przypisać należy. Był to czas, gdy poklaskiwano Lorenzemu, który na przedmioty z fizyki podane improwizował, gdy się unoszono nad Perfettim, który jednego wieczora dwanaście tematów naukowych bez przygotowania wierszem rozwiązał, gdy wreszcie sztuka ta zeszła do niewiast, do dziewcząt, do dzieci. Były wtedy sławne Livie, Fortunaty, jedna z najsławniejszych nazywała się Amaryllis Etrusca, druga Corilla Olympica. Któż o nich teraz wie, cóż po nich pozostało? Ostatnią uratował od niepamięci romans pani Stael, która w nią utwór własnéj imaginacyi pod imieniem Korynny wcieliła. A przecież wieńczono ją laurami wśród okrzyków rzymskiego ludu. Oto opis, który zda się dla Deotimy i wielbicieli, o których mówiliśmy: „Nakoniec cztery białe rumaki, które ciągnęły wóz Ko„rynny przeparły nawał tłumu. Korynna siedziała na tym wozie, zbudowanym po sta„rożytnemu, a młode dziewice, ubrane w bieli, szły przy nim. Wszędzie, skoro się „ukazała, rzucano obficie wonie w powietrze, każdy spieszył do okna, by ją ujrzeć, „wszyscy krzyczeli: Niech żyje Korynna! niech żyje geniusz!“

próżności umysłowéj lub dla rozszerzenia krańców poetycznemu biegowi, puszczać się na niepewne drogi i że późniéj się powstrzyma, błędy odrobi, zboczenia doświadczeniem wyprostuje. Jakie dziś bowiem przyjmie nagięcie, takie już jéj pozostanie, bo

Młodość, wieszczu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jéj dłuta wiecznotrwały.

KORRESPONDENCYA.

List do wydawcy Przeglądu.

Recenzya broszury mojéj: *O powodach upadku majątku obywateli w Księstwie Paznańskiém,* zdawała mi się wyczerpaną przez rozmaite krytyki, które tak w pismach publicznych krajowych jako i zagranicznych o tém małém pisemku się wysłowiły. Prócz recenzyi umieszczonéj w *Czasie,* na którego uwagi odpisać byłem zmuszony, tak przez szacunek dla tego dziennika jako i ku własnéj obronie, mimo puściłem poboczne pociski i pochwały.

Milczenie długie redakcyi Przeglądu zdawało mi się dobrą wróżbą, przyjmując w miłości własnéj autorskiéj aksyoma dawne, *qui tacet consentire videtur.* Z drugiéj strony przyznać muszę, że i owe milczenie opaczne mniemanie mi podawało, to jest że nie warto wspomnąć o dziełku które się na kilkunastu kart druku ogranicza. Widzę jednak że się w obu mych sądach pomyliłem, i chociaż szanowna redakcya z trochę surową krytyką w ostatniém półroczu się odezwała, wdzięczny jéj jestem za obszerne zajęcie się treścią méj broszury, oraz za pochwały, które mi tak szanowne pismo udziela.

Niemogąc się jednak przyznawać do wszystkich grzechów o które obwiniony jestem, proszę o wysłuchanie méj obrony co do przedmiotów z których łatwo mi będzie się uniewinnić, oraz i o przyjęcie się za winnego w tych, które słusznie szanowny recenzent zganił.

Postępując więc z czytelnikiem owego artykułu Przeglądu, i mijając wstępną ogólną naganę, która się przez szczegółowe późniejsze objaśnienia może sprostować da, zacznę od przypisku na stronnicy 200 umieszczonego.

1) Nader słuszną zasadę objawia szanowny redaktor; to jest że *prawdziwy obywatel z obowiązku, nie dla nadgrody pracuje, i jeżeli pragnie czego, to jedynie możności stania się użytecznym krajowi.* Zupełnie na to się zgadzam i zdaje mi się, że własnym przykładem stwierdziłem, iż się trzymałem zawsze téj drogi; mniemam nawet że znaczna część rodaków moich téj przynajmniéj sprawiedliwości mi nie odmówi.

Lecz w zasadzie którą w pisemku wyraziłem i w przykładzie który przytoczyłem, bynajmniéj nie twierdziłem, że obywatel *dla tego tylko* przyjmować musi urzędowanie aby sobie wdzięczność współobywateli uskarbić, lub unikać musi posady na którą go powołują, aby niewdzięczności nie doznawać? Jedno lub drugie nie powinno być dla niego pobudką do przyjęcia lub odmówienia urzędu, chciałem jedynie przekonać czytelnika,

że jest dla Polaka niepodobném żądaniem, przyjęcia w naszém Księstwie urzędu administracyjnego. [1])

Wyłuszczyłem powody téj niemożebności, które są jak mi się zdaje nader jasne dla każdego, który z praktycznego zapatrywania się przedmiot ten uważa i zna obowiązki urzędnika administracyjnego. Pozwolę sobie jeszcze następującą uwagę: dla czegóż to rząd sobie życzył aby Polak stał na czele prowincyi? aby przez stosunki, narodowość, związki i t. d. mógł doprowadzić tę prowincyą do amalgamacyi obu narodowości, i dać dowód że uwzględnia wnioski tylekrotnie na sejmach powtarzane.

Systematu jednak swego pewno zmienić nie myśli, lecz chciał zrobić próbę, czy coś korzystniejszego dla Rządu się z tego wywiąże. Ofiarą téj próby byłby ów wybrany rodak naczelny prezes, któren musiałby słuchać i wykonywać rozkazy władzy wyższéj; opozycye i remonstracye nie bywają uwzględnione. Sprężystość administracyjnych władz nie cierpi oporu; urzędnik takowy jest wykonawcą woli wyższéj, rozkazy które odbiera nie są oparte w ogóle na artykułach prawa, jak u sędziego, lecz na królewskich lub ministeryalnych reskryptach, które w ogóle nie są drukiem ogłaszane. Ileż to podobnych reskryptów odebrały władze wyższe naszego Księstwa, które Polakowi ku swym rodakom wykonywać byłoby zbrodnią, a urzędnikowi obcemu naszéj narodowości przyjemną się stały powinnością.

Postawmy się więc w miejscu Polaka piastującego urząd naczelnego prezesa prowincyi, któren takie odbiera rozkazy; jeżeli je wypełni lub wypełnić każe, czy uskarbić sobie może szacunek swych rodaków, i czy się sam nie skala? Skoro tak będzie, to go rząd już jako urzędnika nie potrzebuje, bo go jedynie na téj osadził posadzie, że mniemał, iż mając szacunek i zaufanie swych rodaków przez swój wpływ tychże rządowi przychylnych zrobi. Nie udało się; staje się niepotrzebnym, gdyż rządowi na zdatnych i uległych urzędnikach nie zbywa. Jeżeli by się jednak ow rodok, naczelny prezes, oparł rozkazom ubliżającym przekonaniu i obowiązkom ku swéj narodowości, to go natychmiast oddalenie czeka, gdyż jak wyraziłem się w oryginalnéj broszurce, rząd każden tylko takich administracyjnych urzędników potrzebować może, którzy słuchają rozkazów bez oporu; nasz więc rodak tego charakteru i sposobu myślenia, co ci o których wspomniałem, ani tygodnia na téj posadzie by nie urzędował, bez znalezienia się w podobném położeniu. Nie potrzeba na to próby; dodać tu muszę jeszcze że takowa nieszczęśliwa istota byłaby otoczoną gronem zazdrośnych i niechętnych urzędników innéj narodowości, oraz i szpiegami śledzącymi każden krok uczyniony przez tegoż ich naczelnika, coby położenie jego już tém samém nieznośném czyniło.

Niemogę więc, mimo opinii szanownego redaktora, zmienić mego przekonania opartego na praktyce, i sądzę że zastanowiwszy się, słuszność przyzna założonéj przezemnie zasadzie, że nie z obawy niewdzięczności rodaków, i choć przy najlepszéj chęci stać się użytecznym krajowi, ciż wspomnieni obywatele odmówili tę posadę, jedynie z powodu niemożności zadosyć uczynienia swym obowiązkom, jako Polacy.

A któż o tém wątpi, co szanowny redaktor wyraża, że gdyby otwartą była karyera urzędowa naszéj młodzieży, niedoznalibyśmy takiego upadku i rozdrobnienia majątków? wszak ja to między klęskami kraju liczę? lecz sposób jaki szanowny redaktor ku zapobieżeniu téj klęski podaje, zdaje mi

---

[1]) Co do faktu samego, że ofiarowano **naczelne** prezesostwo w Księstwie Poznańskiém kilku **rodakom, przyjął szanowny recenzent** za dowiedziony. Na poparcie jednak rzeczywistości tego faktu, odsyłam **jeszcze** czytelnika do lipskiéj gazety, **Allgemeine Zeitung, Beilage** Nr. 260 z dnia 17go września 1842 i do gazety Królewieckiéj **z dnia 10go** października t. r. Nr. 236.

się nieskutecznym i nawet niemożliwym. My się mamy trzymać legalności a rząd ma szanowne osoby na urzęda obsadzać? zdaje mi się podług podanych wyżéj powodów, że ta rada jest niepraktyczna i sprzecwia się zasadzie rządowéj a przeto nie jest do uskutecznienia.

Przy wyliczaniu korzyści rządowych w skutku regulacyi włościan nabytych, zapomniałem uposażenie szkółek wiejskich oraz i sołtysów, kosztem obywateli. Szkółki wiejskie dostały każda kilka, czasem i kilkanaście morgów roli I. lub II. klasy i to z gruntów dominialnych; korzyść tego uposażenia jedynie służy gminie uregulowanych gospodarzy.

Również i grunta któremi uposażono sołtysów za ich policyjne urzędowanie z terytorium dominialnego były tymże wydzielone; gmina dawniéj ich sama opłacała, dziś kosztem dominium są uposażeni; na tém rząd zyskał, bo cudzym kosztem szkółki wiejskie opatrzył, na któreby z funduszów publicznych o tyle więcéj łożyć musiał, również i nabył bez płatnych sług policyjnych przez ufundowanie sołectw.

3) Obwinia mnie szanowny recenzent o pessymizm, i że kreślę rozpaczliwy obraz dzisiejszych stosunków? być może ze się wyraziłem z nadto wielką goryczą, lecz pozwól szanowny redaktor ze powiedzieć sobie, że ja dobrze pamiętam dawne stosunki rólnicze w naszym kraju. Żyłem w owych czasach, żyłem między rólnikami, i porównywać dawny stosunek z dzisiajszym mi się godzi.

Nie trudniłem się wówczas opisywaniem bied naszych, lecz rolą i stosunkami wiejskiemi. Wspomina szanowny redaktor, że jest rzeczą niewątpliwą, że przy pańszczyznie i bez separacyi gruntów, poprawnego gospodarstwa prowadzić nie można? również że podniesienie wartości gruntów mamy regulacyi do zawdzięczenia; nie raczył szanowny redaktor z uwagą moje twierdzenia zgłębić; pozwolę sobie takowe w krótkości powtórzyć.

Mamy dziś zaciągi ręczne, zupełnie równe dawniejszym, tylko uciążliwsze dla włościan i kosztowniejsze dla właścicieli dóbr; bydelne zaprzęgi nasze są silniejsze, lecz téż o wiele kosztowniejsze stosunkowo. Co do separacyi gruntów, któż nam zabraniał separować dworskie od chłopskich i przy zaciągach dawnych? A tam gdzie przezorny obywatel świadomy skutków regulacyi w Prusach w roku 1811. nakazanych, zniósł przed rokiem 1819. wszelkich zaciężnych włościan, przyłączając grunta ich do folwarku swego (jak się to w wielu miejscach stało), czy nie ma teraz również poprawnego gospodarstwa jak ten, który z chłopami folwarki swoje dzielić musiał? Jak to, dla tego że wiele chłopskich posad własnością się tychże stały kosztem obywateli, dla tego dobra poszły w górę? czyli raczéj te dobra nie dla tego wyższéj nabyły wartości, że obywatel w skutku regulacyi krocie w nie nakładu włożyć był przymuszonym. Niemam żadnego w tém uprzedzenia, tylko uważam stosunek z ogólnego widoku kraju. Zdaje się zaś, że szanowny redaktor całą prowincyą sądzi z okolicy którą zamieszkiwa i która w wyższym stopniu kultury i oświaty między włościanami być musi, jak inne; z takowegoż widoku zapatrywał się autor książki *Krysztopora.* Chociaż to dzieło jest nader ważne, szczególnie dla Polski, jednak zupełnie mylnie skreśla autor stosunki regulacyjne w Prusach, i to z nieznajomością skutków prawa z roku 1823. oraz i późniejszych rozrządzeń; tobym mu dowiódł teoretycznie i praktycznie; osądził skutki regulacyi w całém Księstwie Poznańskiém, z okolic które zwiedził i podług opinii osób z wykonaniem tego prawa nie obeznanych.

Nie mogę się również zgodzić z szanownym redaktorem, że spekulacye na majątkach ziemskich upadkowi obywateli dopomagają w teraźniejszych czasach; mógłbym mu (gdyby to stósownie było) wskazać imiona wielu naszych rodaków, którzy jedynie winni majątku swego kilkakrotne powiększenie, kupnu dóbr w ostatnich dwudziestu latach; spekulacye i frymarki

dobrami zawsze były. Najszkodliwsze istniały w naszéj prowincyi od roku 1800. do 1806., lecz któż mógł i naówczas przewidzieć wypadki, jakie w końcu roku 1806. nastąpiły? również któż mógł i teraz przewidzieć rewolucye z r. 1848.? iluż to obywateli przez kupna dóbr, ciężkie ponieśli straty przez ostatnie zaburzenia? Uważam powód ten (równie jako i te, o których szanowny redaktor wspomina przy końcu swego artykułu), jako podrzędne, tu i owdzie trafiające się, lecz do ogólnéj krajowéj klęski liczyć ich nie mogę. Tylko takowe wypadki za główne i kraj cały niszczące uważać należy, których nikt prawie uniknąć nie potrafił.

5) Z niemałym przyznać się tu muszę żalem wspominam o ustępie szanownemu redaktorowi co do *emigracyi*. Zupełną przymuszony jestem oddać słuszność krytyce, która z tego powodu na moją broszurkę padła, chociaż mam przekonanie, że publikacya mego dziełka w niczém niepogorszyła położenia tych nieszczęśliwych rodaków. Żałuję jednak szczerze, żem o nich wspomniał i w tych wyrazach; liczbę podaną tychże nieprzesadziłem, gdyż urzędową udało mi się przypadkiem widzieć księgę, w któréj imiennie i pod numerami wyrażeni byli emigranci; nie przytoczyłem zatém żadnego *fałszu*, jak się podobało szanownemu redaktorowi wyrazić. Mógłem fałszywe konsekwencye wyciągnąć z faktów prawdziwych, lecz moje podanie co do liczby jest z prawdą zgodne; nie pozwoliłem sobie, jak szanowny recenzent mniema, ani *ironii* ani *niechęci* w wysłowieniu się nad klęskami, których kraj nasz doznał z powodu emigracyi.

Odsłoniłem ranę nagą i jeszcze nie zagojoną, i dla tego jest przykro na nią się zapatrywać; mam dla nieszczęśliwych ofiar naszych wypadków politycznych najwyższy szacunek i szczerą sympatią: starałem się przez kilkadziesiąt lat czynami to udowodnić, o ile mi sposobność dozwoliła; lecz dla tego zataić nie mogę klęsk krajowych, które ich bytność za granicą i w kraju pomnożyła i sprowadziła. Pisząc o powodach upadku majątków obywateli, nie mogłem ominąć wysileń patryotycznych, które jedne z najchlubniejszych cnót naszéj szlachty stanowią, lecz téż strat z ego pochodzących zataić nie mógłem.

Czy może znaleźć szanowny redaktor w méj broszurce jakikolwiek *wyraz*, jaki *peryod*, w którymbym był wyraził żal lub naganę z położonych ofiar materyalnych na ołtarzu ojczyzny? ganić sobie pozwoliłem równie jak i on sam złe, szalone pomysły, nierozsądne wybryki, pozorem patryotyzmu wykonane. Za surowo mnie więc szanowny redaktor sądzi, mniemając, że ja potępiam to, co kraj i obywatele uczynili tak w duchu patryotycznym jako i dla emigracyi. Umieściłem tam wydatki i policzyłem je w poczet ekspensów nadzwyczajnych majątki nadwerężających. Mniemanie szanownego redaktora, że jako rezultat mych uwag stanowię, że trzeba wszelkich wysileń, datków i poświęceń zaprzestać, niezgadza się bynajmniéj z duchem mego pisemka; ja nikogo uczyć lub na dobrą drogę naprowadzić nie pochlebiam sobie; taka zarozumiałość nie powstała w méj myśli. Wiem dobrze, że historya przeszłości nikogo nie naucza, i tylko własne doświadczenie ludzi naprawia, lecz na nieszczęście dopiero wtenczas, gdy już nie mają nic do stracenia. Chciałem jak się wyraziłem w wstępie méj broszury, sprostować twierdzenia autorów artykułów w Gońcu umieszczonych, którzy upadkowi majątków mylne lub podręczne dawali powody. Wytknąłem fakta, spisałem jakoby rejestr ekspensów naszych od roku 1792, i między temi ekspensami musiałem wspomnieć i wyłuszczyć wypadki, które te ekspensa sprowadziły; żałuję jednak, żem się tak obszernie w téj materyi wyraził.

Przesyłając niniejsze objaśnienia i wytłómaczenia się moje z zarzutów głównych mi uczynionych, zostawić muszę szanownéj redakcyi użytek z tego przypisku zrobić, jaki jéj się podobać będzie; po znanéj nam, czytelnikom

Przeglądu, nieparcyalności redakcyi, mniemałbym, że umieszczenie w przyszłym poszycie by się należało. Nie kładę atoli tyle wartości w tém żądaniu, aby naglić szanowną redakcyą ku urzeczywistnieniu onego, i powtarzam, że za żadną krzywdę sobie mieć nie będę, choćby i milczenie z jéj strony nastąpiło.

Berlin, dnia 1. Marca 1853.

Autor broszury: *Uwagi nad powodami upadku majątków obyw. w W. Ks. Pozn.*

NEKROLOG.

Ludwik Jastrzębski, o którego pracach i zasługach nieraz mówiliśmy a mianowicie lat temu dwa w polemice z korespondentem *Gońca Polskiego,* podpisującym się literami S. M. — odebrał sobie życie w Rzymie, gdzie właśnie zajmował się wydaniem zebranych przez siebie dokumentów. Przygnębiony długą a mozolną pracą, drażniony niemożnością ogłoszenia swego zbioru, udręczony tęsknotą do kraju, często on zapadał w chorobę, która go przytomności pozbawiała. W jednéj z takich chwil obłąkania sam pozbawił się życia. Wiadomo iż zaraz z początku emigracyi oddał się archeologii, a osobliwie paleografii. W tym celu pobierał nauki w szkole francuzkiéj *des Chartres.* Odkrycie że sławny rękopism, zwany *Text du Sacre,* na który królowie francuzcy przysięgali podczas uroczystości koronacyjnéj w Rheims, a którego co do języka najpierwsi uczeni zbadać nie byli zdolni, jest ewangelią pisaną w pierwszéj części cyrylickim, w drugiéj głagolickim charakterem, zrobiło mu imię między europejskimi archeologami. Namiętnie przywiązany do rzeczy ojczystych, udał się on w roku 1844 do Rzymu, by tamże w bogatych bibliotekach i archiwach wypisywać dokumenta mające jakąkolwiek styczność z dziejami polskiemi. Niepodobna zmierzyć pracy i starań, które w tym zamiarze łożył. W lat kilka nagromadził pełno wypisów. Brakło mu funduszów na wydanie już przygotowanych do druku, a coraz nowe odkrycia przybywały. Troszczyło go to niezmiernie, zwłaszcza gdy zamożniejsi rodacy przybywający do Rzymu na swoją rękę przedsiębierali te same poszukiwania i ubiegali go w ogłaszaniu onych. Układ jego z p. Leonem Rzyszczewskim, co do odpisów do dzieła które ostatni wydaje p. t. *Codex Diplomaticus,* nie przyszedł w zupełności do skutku. Zacny Aleksander Przezdziecki, nie mógł się także z nim porozumieć i sam dokonał odpisów, także pozbierał wiadomości do ogłoszonego w *Bibliotece Warszawskiéj* katalogu. Ku zespoleniu pojedynczych usiłowań i uniknienia podwójnéj częstokroć pracy, zawiązało się w Rzymie towarzystwo historyczne polskie w 1847 r. Jastrzębski został sekretarzem, a właściwie był jego kierownikiem i główną podporą. Za pośrednictwem tegoż towarzystwa udało mu się dawniéj już rozpoczętą negocyącyą z hr. Adamem Potockim doprowadzić do pomyślnego końca. Miały wyjść trzy spore tomy dokumentów historycznych. Wypadki 1848 r. zniweczyły i ten układ. Jastrzębski ciągle zawodzony w swych nadziejach coraz bardziéj smutniał. Nie ustawał jednak w trudach. Zbierał medale, ryciny, wszelkiego rodzaju pamiątki, szperał po wszystkich klasztoracb, dochodził fundacyi kościołów i kaplic i ważne w téj mierze dla Pol-

ski poczynił odkrycia. W ciągu roku zeszłego pisał do nas z prośbą o ułożenie się z jakim drukarzem co do wydania części jego zbioru. Właśnie dobiegaliśmy kresu naszych starań w tym względzie, gdy doniosł nam, że zebrał dostateczne fundusze i że sam w Rzymie zatrudni się drukiem. Obiecował nam przytém napisać obszerną wiadomość o zakonnikach i zakonnicach polskich, którzy w mieście tém albo długo przebywali, albo życia dokonali. Smutny koniec przerwał wszystkie zamiary. Jeszcze nie wiemy czy się kto zajął ubezpieczeniem jego papierów i jaki los je spotka. Zapewnie przejdą do biblioteki polskiéj w Paryżu. Między drukowanemi jego pismami, znane są powszechnie, broszura pod tytułem *Notice sur le manuscrits de la Bibliotheque de Rheims*, tudzież rzecz o wprowadzeniu Wizytek do Polski w Rzymie wytłoczona poprawnie, wpierw w Portfolio Maryi Ludwiki kosztem Edwarda hr. Raczyńskiego wydana. Jastrzębski pochodził podobno z Wołynia, miał około lat 48, w pożyciu był nader łagodnym, tylko nieco drażliwym w przedmiotach swego powołania, co wspólném jest wszystkim prawie archeologom i zbieraczom ciekawości; był przytém gorącéj pobożności, a wszelką przychylność i posługę umiał płacić szczérą i wytrwałą wdzięcznością. Dawni koledzy i współpracownicy, jak np. p. Karol Sienkiewicz powinniby podać bliższą wiadomość o jego życiu i pozostałych po nim zbiorach.

SPRAWY PUBLICZNE.

FRAKCYA KATOLICKA NA SEJMIE BERLIŃSKIM, *a mianowicie w izbie IIgiéj.*

Nieprzewidziane wypadki z r. 1848 przypomniały wszystkim, że jedynie na wiecznych podstawach religii czy zachowywać czy odbudowywać można; ztąd ów ogromny zwrot do P. Boga, o jakim dawno dzieje niepamiętają, ztąd owe głośne przejścia na katolicyzm i owo niesłychane ożywienie panujące w obszernéj sferze wiary.

Chcąc społeczeństwu ludzkiemu wybitnie wskazać gdzie droga i gdzie zbawienie, P. Bóg w miłosierdziu swojém przeznaczył, aby burza, która zatrzęsła wszelkiemi instytucyami i teoryami ludzkiemi, rozbiła się o podnoże ś. katolickiego kościoła. I oto kościół, który się ani na chwilę niezachwiał, kiedy wszystko koło niego padało, stoi silniéj jak kiedykolwiek. Nawet śród zawieruchy odzyskał wolność koniecznie mu do życia potrzebną. Co więcéj wolność z wielkiéj części świata nadużyciami wygnana, przyszła się schronić pod cień kościoła i ztamtąd wróci oczyszczona.

Wielka przewaga religii śród spraw doczesnych dzisiejszego świata widoczna jest szczególniéj w Niemczech a śród Niemiec w Prusach.

W królestwie Pruském rok 1848 zachwiał wszystkiém co istniało, jednego kościoła katolickiego nie naruszył.

Kościół katolicki długo poniżony, odzyskał już był nieco powagi w czasach wielkiego zatargu o małżeństwa mięszane. Późniéj pobłogosławił mu Pan Bóg darząc kraj episkopatem jakiego nigdy Prusy nie miały. Tak że kiedy przyszła chwila próby, nietylko on ją umiał, ale i mógł wytrzymać.

W ostatnich czasach widzieliśmy głośne nawrócenia, ożywienie piśmiennictwa katolickiego, wzbudzenie bractw, a co nadewszystko liczne missye dozwalające, by się w massach światło wiary szerzyło.

Gdy jednak życie kościoła katolickiego poczęło tak silnie wzbierać, ludzie stanu i uczeni protestanccy co pierwéj ze względu na polityczne pożytki milczeli, ocknęli się i poruszyli. Ci zwłaszcza z pomiędzy nich, którzy wierność tradycyjno-dziejowéj podstawie państwa zachowują, zaczęli głośno na rząd napierać, by użył władzy na powstrzymanie zbyt silnego rozwijania się życia katolickiego. Wkrótce też ukazało się, że rząd wzbrania się wprowadzić w życie zasadę wolności kościoła przez konstytucyą wyrzeczoną i zawarowaną.

Ale życie raz rozbudzone bodźca tylko w przeciwnościach dostało. W obec niechęci rządowéj, coraz widoczniejszéj, pokryły się całe Prusy stowarzyszeniami katolickiemi: Śgo Bonifacego, Śgo Wincentego, Piusa, za pomocą których ludność katolicka przemawiała całemi masami i działanie swego episkopatu, co do wywalczenia swobód kościoła, najsilniéj wspierała.

Na polu politycznėm długo nie było można dostrzedz ruchu katolickiego. Tak zwana frakcya katolicka parlamentu frankfurckiego, była tylko gałęzią pomocniczą i narzędziem stronnictwa zachowawczego, to samo powtarzało się w parlamencie erfurtskim, i izbach berlińskich aż do ostatnich wyborów. Stronnictwa katolickie były tam bez żadnego znaczenia, niejako rzeczą przypadku.

Rok dopiero 1852gi, miał wywołać katolików, w ich właściwym charakterze, na pole działania politycznego. — Liczne misye jezuickie, odbywane w rozmaitych prowincyach państwa, obudziły obawę a zarazem niechęć ludzi, których stanowisko wyżéj określiliśmy, a parcie ich na rząd, tyle uzyskało, że w maju i czerwcu 1852go ukazały się reskrypta ministrów spraw wewnętrznych i wyznań, jeden ograniczający wolność odprawiania misyi katolickich w okolicach przeważnie protestanckich, drugi czyniący, wolność odbywania studyów teologicznych w Rzymie, lub w instytutach pod zarządem Jezuitów zostających, zależną dla poddanych pruskich od specyalnego pozwolenia tychże ministrów. Dwa te reskrypta boleśnie dotknęły ludność katolicką państwa, widocznėm bowiem się stało, że rząd nie uznaje następstw prostych zasady wolności kościoła, konstytucyą orzeczonéj. Dziennik koloński *Volks-Halle* najlepiéj wyobrażający w Prusach interesa katolickie, silnie popierał podanie zbiorowe przez biskupów całego kraju, do króla przeciw rzeczonym reskryptom zaniesione. Głośno téż oświadczyły się w licznych petycyach stowarzyszenia religijne, a ostatecznie sejmy prowincyonalne nadreński i westfalski. Gdy jednak kroki te, na tak rozmaitych drogach i przez tak rozmaite organa czynione, innego nie przyniosły skutku, jeno tłómaczenia ministeryalne, że reskrypta pro informatione władz podrzędnych wydane, tylko porządek policyjny, zcentralizowanie kontrolli nad życiem katolickiém na celu mają, a o cofnięciu ich mowy nie było, ludność katolicka znalazła się w konieczności, w obowiązku, stanąć na legalném polu, w obronie swobód zaręczonych swemu kościołowi. Nie mogła zaś tego na innéj drodze uczynić, jak posyłając swych reprezentantów do izb obu, a wpierw jeszcze starając się, by w tychże izbach najliczniéj być reprezentowaną.

Takiém następstwem wypadków, najprzód rozbudziło się życie katolickie w Prusach, powtóre ludność katolicka znalazła się w konieczności *porachowania się*, a następnie przeprowadzenia w wyborach swych kandydatów, bezwzględnie na odcienia zasad politycznych.

Prowincye Nadreńskie i Westfalia, najpierwsze dały przykład. Potworzyły się tam zaraz komiteta wyborcze, biskupi ogłosili listy pasterskie, a wszystkie stowarzyszenia religijne zajęły się wyborami. I stało się że

dwie te prowincye, zupełne w wytkniętym sobie celu, osiągnęły zwycięztwo i przysłały do izb prawie samych katolików z mandatem bronienia zasady wolności kościoła, nie ograniczając zresztą w niczém wolności przekonań politycznych. W innych częściach katolickich monarchii, nie było tych zachodów, katolicy też wszędzie zostali przy wyborach w mniejszości, czy to w Prusach zachodnich, czy u nas w Księstwie, czy w Szlązku, mimo że w wszystkich tych trzech prowincyach, ludność katolicka tak przeważnie jest w większości.

W Prusach zachodnich nie było ani komitetu wyborczego katolickiego, ani też odezwy w tym względzie władzy kościelnéj, to samo u nas w Księstwie, chociaż jesteśmy mocno przekonani, że gdyby piękny list naszego arcypasterza, napisany do wyborców Ostrowskich, był się ukazał przed wyborami powszechnemi, niezawodnie w Księstwie byłby katolikom zwycięztwo w wyborach zapewnił, a w naszych stosunkach zwycięztwo to byłoby było dwojakiém. W Szlązku, zmarły książe biskup-kardynał, milczał w kwestyi wyborów. Jego nawet wpływowi przypisywaną bywa, bierność w téj materyi episkopatu katolickiego na północy monarchii. Utworzył się jednak na Szlązku komitet elektoralny katolicki, na którego czele stanął sekretarz konsystoryalny pan Rintel, ponieważ jednak nie było odezwy biskupiéj, ponieważ nie wszyscy katolicy dzielili zdania polityczne pana Rintel, a komitet mimo urzędowego charakteru osoby pana Rintel, nie miał żadnego urzędowego stosunku do stolicy biskupiéj, przeto wpływ jego pokazał się żadnym. Komitet ten prawie nigdzie kandydatów swych nie przeprowadził, sam nawet prezes przy wyborach pobity został. [1]) W stosunku do ludności w żadnéj prowincyi katolickiéj takiéj klęski nie poniesili jak na Szlązku, bo że kilku wielkich panów wyznania katolickiego wybranych zostało, to pochodzi z położenia ich towarzyskiego, a nie z myśli która nad Renem i w Westfalii wyborami kierowała.

Pomimo jednak, że w większéj połowie monarchii wybory katolickie z braku organizacyi i zachodów, niekorzystnie wypadły; przecież zaraz po otwarciu izb, utworzyła się w izbie II. frakcya katolicka, z 64 członków złożona, nie licząc w to głosów frakcyi polskiéj, które naturalnie, w wszelkich kwestyach katolickich, zapewnione jéj były. Program frakcyi katolickiéj, na dwóch punktach się opiera: pierwszym, obrona praw i swobód kościoła katolickiego, drugim, solidarność działania frakcyi w wszelkich kwestyach katolickich, zostawując wolność przekonań i kierunku pojedynczym członkom w materyach czysto-politycznych. Do dyrekcyi frakcyi wybranymi zostali i dotąd w niéj zasiadają, bracia Reichensperger, baron Waldbott, hr. Stollberg, Ketteler, Osterrath, Rohden.

Utworzenie się frakcyi katolickiéj w izbie pruskiéj musiało uderzyć umysły. Prusy już to ze swojego pochodzenia, już też z całego kierunku politycznego, stojąc na czele protestantyzmu w Niemczech, w całéj Europie, za tak przeważnie protestancki kraj były poczytywane, że objaw podobnéj siły katolickiéj i to już na pole polityczne występującéj, nie mógł

---

[1]) Od czasu zwołania izb, pan Rintel wydał ciekawe dziełko o stratach kościoła katolickiego w Szląsku, Prusach zachodnich i Wielkiém Księstwie Poznańskiém od czasów zaboru pruskiego, które dziełko deputowanym izb obu przesłał. W przedmowie rozszerza się nad stanowiskiem swém politycznêm, oświadcza że dziś jak dawniéj jest konserwatystą, ale dziś konserwatyzm głównie zależy na niezmiennêm utrzymaniu konstytucyi. Deputowanym katolickim radzi silne zorganizowanie się w odrębną frakcyą, nieprzyzwolenie na żadną zmianę konstytucyi. — Ważna broszura p. Rintel nosi tytuł: ***Die Verluste der katholischen Pfarrseelsorge in den Provinzen Westpreussen, Posen und Schlesien, auch Lauenburg-Bütow, seit der preussischen Besitznahme.*** (Breslau 1853.) — Statystyczne szczegóły wyjęte z niéj osobno podamy.

nie zadziwić, [1]) a przeciwników katolicyzmu i wolności kościoła, nie przerazić. Jakoż od pierwszéj chwili jednym głosem potępienia odezwały się przeciw objawowi, jak go nazywały, ultramontańskiemu a więc obcemu, nieomal wszystkie dzienniki Niemiec. Najsilniejsze jednak zaczepki, zupełną wojnę wydała frakcyi katolickiéj, *Nowo pruska gazeta* krzyżową zwana, co naturalném było, bo właśnie dziennik ten reprezentuje stronnictwo zachowawcze silnie się trzymające tradycyi historycznéj staro-protestanckiéj.

Odpór wszelkich tych, różnorodnych i różnostronnych zaczepek, podejmowała kolońska *Volks-Halle*, jędrnie i gorliwie broniąc katolików w izbie we frakcyą związanych. Polemika świetnie prowadzona przyczyniła się do silniejszego rozbudzenia życia katolickiego. Treścią zasadniczą tych żwawych, nieustających a gruntownych zapasów było, czy Prusy są państwem zapewniającém równość wyznań. Katolicy utrzymywali że tak, ich przeciwnicy twierdzeniu stanowczo przeczyli. *Gazeta Nowo pruska*, głównie broniła charakteru protestanckiego państwa pruskiego, uznając jednakże najpierw zupełne równouprawnienie katolików co do swobód politycznych, uznając powtóre wielkie korzyści dla państwa ze wszystkiego co podnosi moralność ogólną, uznając ostatecznie w ruchu jaki się objawia w katolicyzmie korzyści dla samego protestantyzmu, w którym przez oddziaływanie duch wiary się obudził.

Polemika, o któréj mowa, najsilniéj się streściła w liście otwartym professora Walther z Bonn, do p. Gerlach, broniącym zasady, przez katolików stawianéj, a z drugiéj strony w tak zwanym Poglądzie p. Gerlach z 31 stycznia r. b. w gazecie *Nowo pruskiej*, gdzie silnie broni charakteru protestanckiego państwa, gdzie stara się dowieść, że Prusy tylko jako państwo protestanckie, mogą katolikom sprawiedliwość wymierzyć, czego osobiście najmocniéj pragnie. Gdyby bowiem według zdania p. Gerlach, Prusy były państwem parytetyczném, jako państwo nie miałyby wyznania, nie miałyby religii, czego najmocniéj obawia się, jako rzeczy najzgubniejszéj, tak dla państwa jako i dla wszelkich wyznań.

Ale i z pośród katolików odezwały się głosy przeciw utworzonéj frakcyi katolickiéj, mianowicie głosy panów Bloemer i hr. Fürstenberga, członków obecnéj izby II., oba oni wystąpili w listach otwartych z obawą rozdarcia państwa na stronnictwa religijne, z obawą, że utworzenie frakcyi katolickiéj w izbie, może wywołać utworzenie frakcyi protestanckiéj, a zatém wywołać walkę konfesyonalną. Zdaniem ich, ostatecznie korzystniéjby było dla sprawy kościoła katolickiego, aby katoliccy członkowie izb, rozbiwszy się po rozmaitych frakcyach politycznego charakteru, według przekonań swych politycznych, w tychże frakcyach osobistego swego wpływu dla dobra kościoła używali.

Co do hr. Fürstenberg, bardzo szanowanego w świecie katolickim człowieka nie znamy powodów, które go skłonić mogły do zajęcia podobnego stanowiska, do ogłoszenia podobnego zdania; domyślamy się jednak, że jego osobiste stosunki w najwyższych sferach, nie zostały tu bez pewnego wpływu.

Inaczéj się ma rzecz z panem Bloemer, jego przeszłość łatwiéj tłómaczy sąd obecny i rady udzielone frakcyi katolickiéj. P. Bloemer był sekretarzem urzędowym jen. Radowitz w ciągu całéj jego urzędowéj czynności. Taktyka, którą zaleca frakcyi katolickiéj, jest tą samą, którą jen. Radowitz wmówił w katolików w parlamencie frankfurtskim i za pomocą któréj długo tam

---

[1]) Ukazanie się frakcyi katolickiéj w izbach pruskich i w stolicy chrześciaństwa w Rzymie, wielki interes wzbudziło: dowodem tego sympatyczne i otuchy dodające sprawozdania o czynnościach téjże frakcyi w poważném piśmie katolickiém w Rzymie wychodzącém: *Civita catolica*.

w wszelkich frakcyach wpływ wywierał. We Frankfurcie zostali wygodném narzędziem osobistém p. Radowitz, bez żadnego jednak znaczenia jako katolicy. Owoż chodziło o to samo w Berlinie.

Cóżkolwiekbądź pan Bloemer otrzymał silnie sformułowane votum niezaufania od swych wyborców z licznemi podpisami, między któremi czytaliśmy nawet nazwiska pastorów protestanckich. Z drugiéj strony na frakcyą kotolicką listy otwarte panów Bloemer i hr Fürstenberg ten błogi skutek wywarły, że o ile się dało jeszcze silniéj się zorganizowała. Obok tych dopiero co dotkniętych, odzywały się jeszcze inne głosy i to z łona najgorliwszych katolików, którzy z innego względu na organizacyą frakcyi katolickiéj wpłynąć chcieli, żądając by frakcya zawsze w wszelkich uchwałach, głosowaniach politycznych, dla ciągłego udowodniania siły swojéj, solidarnie występowała. Zdanie to pojąć łatwo; rzeczywiście wtenczas niezawodnie frakcya katolicka miałaby w swych rękach wszelką decyzyą izby II., i to by stanowiło najwydatniejszy a ciągły dowód jej siły i znaczenia; niepodobna przecież żądać jedności co do zasad i zdań politycznych, w tak liczném ciele nie mającém odrębnego politycznego interesu, albolitéż naczelników, którzy są zupełnemi sztandarami jak kiedyś O'Connel w Irlandyi lub późniéj hr. Montalembert we Francyi.

Wspomnieliśmy pokrótce, jakie przyczyny spowodowały utworzenie się frakcyi katolickiéj, teraz przystąpmy do opowiadzenia dotychczasowéj jéj czynności.

Nasamprzód frakcya katolicka, dwukrotnie przy wyborze bióra izby II. stawiała kandydata swego na prezesostwo, nic nie wskórawszy w pierwszym razie, w znacznéj większości, przy drugiém głosowaniu wstrzymała się od głosu, co prawéj stronie izby, w osobie pana Uhden zwycięztwo zapewniło; w drugim razie po podobnéjże próbie głosowała w większości za hrabią Schwerin, zapewne z niechęci przeciw panu Kleist, prezesowi prowincyi nadreńskiéj, kandydatowi strony prawéj, który w urzędowém swém działaniu nie jest przychylny ludności katolickiéj. Ztąd poszła równość głosów między dwoma kandydatami, a los za hr. Schwerin rozstrzygnął. Na pierwsze wiceprezesostwo w obu razach obrany został jeden z naczelników frakcyi katolickiéj baron Waldbott, wyznajemy tylko, że nas zraziło, iż przy powtórnym wyborze biórа w styczniu r. b. stali naprzeciw siebie dwaj kandydaci katolicy, p. Waldbott i p. Osterrath. Nie wiemy o ile to było winą katolików, ile że łatwo przypuścić, że to był wypadek taktyki stronnictw przeciwległych, z których każde postawiło kandydata katolika, zasadami politycznemi sobie więcéj zbliżonego, by frakcyą katolicką za sobą przeciągnąć, zawsze jednak nie mogło to przeciwstanie dwóch katolickich kandydatów, nie zrobić niemiłego wrażenia na katolickiéj publiczności.

W wnioskach, dyskusyach, głosowaniach treści politycznéj, frakcya katolicka w znacznéj większości należała do umiarkowanéj opozycyi, kilkunastu tylko jéj członków ściśléj z prawą stroną się wiązało a i to nie zawsze, np. w kwestyi zwoływania sejmów co dwa lata wszyscy członkowie frakcyi z opozycyą głosowali. Więcéj powiemy, jeden z tych, co politycznie zupełnie do prawéj strony należy, baron Ketteler, z trybuny oświadczył, że żaden katolik na to zezwolić nie może, aby niecorocznie otwartém było to miejsce, z którego praw kościoła bronić, krzywdy jego głosić, jest możliwém. W ogóle głos zabierając w wszelkich kwestyach politycznych, członkowie frakcyi katolickiéj wszelkich odcieni politycznych, co na pochwałę ich wspomnieć musimy, nigdy nie tracą z oczu dobra i praw a szczególniéj powagi kościoła i wszędzie i zawsze z wybitnego katolickiego stanowiska przemawiają.

Z czynności specyalnie w zakres działania frakcyi katolickiéj należących dwie dotąd są najważniejsze.

1. Petycya podana do tronu, przez członków frakcyi o odrębnego naczelnika katolika wydziału spraw katolickich w ministerstwie wyznań i oświecenia. Na petycyę tę dotąd nie nadeszła odpowiedź.

2. Wniosek do izby II., zwany wnioskiem Waldbotta, który go pierwszy podpisał, aby izba II. uchwaliła adres do tronu z prośbą o rozkaz cofnięcia znanych dwóch reskryptów ministeryalnych, z artykułem konstytucyi wolność kościoła zapewniającym, niezgodnych.

Najrozmaitsze wpływy, starały się przyjściu do skutku wniosku tego przeszkodzić; otwartość jednak i śmiałość w działaniu frakcyi katolickiéj przemogły, wniosek podanym został do izby drugiéj, opatrzony 75 podpisami katolików Niemców i 12 podpisami deputowanych naszych, którzy zgodni co do treści, ale niezgodni co do redakcyi, w odrębnéj formie rzecz podpisami swemi poparli.

Uderzyło wszystkich, że z katolickiéj arystokracyi szlązkiéj, należącéj do ostatecznéj prawéj, nie znaleźlismy żadnego nazwiska pod wnioskiem, wyjąwszy hr. Ziethen, zkąd inąd znanego jako gorliwego katolika. Wyraźnie panowie ci, w chwili wniesienia wniosku, nie mieli jeszcze odwagi dla wyznania swego religijnego, na niełaskę ministeryalną się narazić.

Dla wielkiéj ważności wniosku, najprzód, co nie jest zwykłym biegiem rzeczy, rozebrano go obszernie w wydziałach; cała więc izba z treścią dokładnie się zaraz na wstępie obznajomić mogła, poczém dopiero komisya centralna z wydziałów do ułożenia raportu wybrana została. Przy wyborze, komisyi już się jak najwyraźniéj okazała nietylko nieprzychylność, ale wyraźna niechęć izby, ale brak wszelkiego względu na słuszność. Na 14tu członków komisyi, tylko 3ch katolików do jéj grona dopuszczono, chociaż ci ostatni rachując na wzajemność, w jedynym wydziale gdzie są w większości, obok katolika na drugiego członka komisyi wybrali protestanta i to p. Gerlacha. W łonie komisyi, główna walka toczyła się między panem Gerlach a panem Reichensperger, pierwszy bronił zaczepianych reskryptów, drugi popierał i uzasadniał wnioskiem wyrażone żądanie katolików. Obecni ministrowie w komisyi dawali najuroczystsze zapewnienia, że w niczém nie myślą nadwerężać wolności kościoła katolickiego, że reskrypta te nie są prawem, tylko pro informatione dla władz podrzędnych wydanemi zostały, najsilniejsze jednak argumenta katolików nie mogły skłonić ministrów do obietnicy cofnięcia rzeczonych reskryptów.

Komisya jak się można było spodziewać po jéj składzie, oświadczyła się 11tu głosami przeciw 3m, aby izbie proponować, według życzenia ministrów przejście do prostego porządku dziennego czyli proste odrzucenie wniosku. Sprawozdawcą komisyi, wybranym został pan Gerlach. P. Gerlach ułożył raport w formie wywodu adwokacko-prawnego, nie szczędząc wyrazów i zapewnień uszanowania dla praw kościoła katolickiego. Główny jednak przycisk w téj sprawie, na to kładąc, że reskrypta jedynie Jezuitów tyczą. W tém leżała skazówka wyraźna, na jakie pole dyskusyą przenieść zamyśla.

Zanim wniosek przyszedł pod rozbiór, użyto najrozmaitszych środków, namów, wpływów, prywatnie i publicznie, aby frakcya katolicka, po tak zaspakajających oświadczeniach ministeralnych w komisyi cofnęła wniosek, do czego naturalnie, silnie przy dobrém swém prawie stojąc, skłonić się nie dała.

Walka została stoczona dwunastego lutego. Kilka tygodni naprzód, publiczność zamawiała sobie wstęp do trybun (tak wielkim był interes do téj kwestyi), które téż w ciągu téj dyskusyi, tak się wszystkie bez wyjątku napełniły, jak nie pamiętają od czasu istnienia izb pruskich.

Dyskusya trwała bez przerwy 9 godzin, co także prawie niepamiętném, a namiętności najmocniéj rozbudzone nie dopuściły by na chwilę zmę-

czenia. Pierwszym mowcą był jak zwykle sprawozdawca komisyi *pan Gerlach.* Zaczął on od twierdzenia, że oświadczenia ministrów dane w komisyi, zniosły w zupełności wszelki cień niebezpieczeństwa, że z drugiéj strony reskrypta cofniętemi być nie mogą, bo tak jak zostały objaśnionemi przez wspomnione deklaracye, nie należą do rzędu atrybucyi, ale do rzędu obowiązków ministerstwa. — Ponieważ jednak reskryptami temi dotknięta była boleśnie część katolicka kraju, przeto nie może poprzestać na suchym, prawnym wywodzie swego drukowanego raportu, owszém głębiéj kwestyą tę poruszyć i objaśnić czuje swym obowiązkiem, zastrzegając jednak sobie, by dyskusya nie została rozciągniętą na wszystkie gravamina kościoła katolickiego przeciw rządowi, bo z takiemi mogłaby wystąpić i strona protestancka i niepodobnoby granic obu stronom zakreślić, co ztąd pochodzi, *że państwo biurokratyczne z natury swéj, w ogóle wolnosć kościoła zbyt często nadwerężyć musi.* Dyskusyi obecnéj się nie lęka, owszém dumą go napełnia, że Prusy mają wielkie powołanie, obok tylu innych historycznych żywiołów jeszcze i tę największą korporacyą świata to jest kościół katolicki, i to wolny, w swém łonie mieścić. W tém widzi ogromny postęp od czasów Fryderyka Wilhelma Igo. Dumnym daléj i z tego względu się czuje, że może w żadnym kraju katolickim nawet, podobna kwestya z taką wolnością dysputowaną by być nie mogła, a co według niego najwięcéj o obszernych rozmiarach wolności religijnéj dowodzi to, że drobne kwestye policyjne reskryptami objęte już tak poruszają. W obronę reskryptu tyczącego się ograniczenia misyi, wcale się nie wdaje, bo według niego tylko policyą uliczną ma na celu. Przechodząc do drugiego, tyczącego się ograniczeń co do wychowania teologów katolickich w Rzymie i instytucyach jezuickich, szeroko się rozwodzi nad historyą zakonu jezuickiego, zaczynając od wynurzenia osobistego współczucia, wspominając chwile wielkości, prześladowania przez dwory katolickie, które za to potępia, wreszcie zniesienia zakonu. Co się tyczy stosunków zakonu jezuickiego do Prus, dotyka najprzód jakiegoś układu (treści układu nie podaje) arcybiskupa kolońskiego Spiegel, który co do jezuitów wymódz miał na rządzie pruskim przyjęcie zasady w reskrypcie wyrażonéj. Wspomina daléj, że gdy kwestya o Jezuitów toczyła się w parlamencie frankfurtskim, jen. Radowitz w imieniu katolików przeciw przypuszczeniu ich do Niemiec się oświadczył, w okolicznościach w których onby niezawodnie chociaż protestant, w obronie Jezuitów był stanął, bo wtenczas była pora głos silnie podnieść, a nie dziś przeciw łagodnemu pruskiemu rządowi. Ale daléj rzecz prowadząc, ani nieomylny papież Klemens XIV, ani arcybiskup koloński, ani jenerał Radowitz z zastępem katolików parlamentu frankfurtskiego nie są dla rządu pruskiego stanowczemi powagami, więcéj daleko znaczą w tym względzie raporta o misyach i działaniu Jezuitów w kraju, raporta tak pochlebne władz różnych prowincyi, i to władz protestanckich (tu zamieszczone jest długie przytoczenie z urzędowego raportu, który dostał od ministrów). Zebrawszy w ten sposób najwybitniejsze sprzeczności, bo sądy katolickie Jezuitom przeciwne a protestanckie tak pochlebne, kończy p. Gerlach twierdzeniem, że w sprawie téj stałego nie wyrzeka sądu, i wątpi by ministerstwo uczynić to mogło i dla tego rząd wciąż baczne oko mieć winien, co reskryptami sobie zastrzegł. Cofać ich nie należy, takie jest zdanie komisyi, w któréj imieniu o odrzucenie wniosku p. Waldbotta wnosi. W mowie téj wyraźnie przebija dążenie zepchnięcia dyskusyi z pola prawnego, trudnego do bronienia na pole dyskusyi o zakonie jezuickim. Zresztą bardzo tam zgrabnie przeciwstawione sądy i zdania a złośliwo-dowcipnie wmięszany w tę kwestyą jenerał Radowitz. W ogóle przyznać musimy w tym razie panu Gerlach oględność w sądzeniu spraw katolickich, uszanowanie ciągłe dla praw i wolności kościoła katolickiego.

Po sprawozdawcy wystąpił pan Waldbott, którego imię wniosek nosi. P. Waldbott zrzekł się wyłącznéj własności wniosku, który wspólną własność frakcyi katolickiéj stanowi; przy téj sposobności odparł zarzuty przeciw utworzeniu téjże frakcyi. Referentowi zarzucił, że dyskusyą przenosi na pole religijne, pole sporu o zakon jezuicki, kiedy wniosek rzeczywiście tylko dwie ma strony, prawną i polityczną, ostatnią w tym zakresie, że tylko wolność kościoła może społeczność znów schrześcianić a tém samém rany zadane wstrząśnieniami politycznemi zagoić. Celem wniosku podanie lekarstwa państwu na kościelném polu; lekarstwem tém stworzenie jedności przez wolność, przez odjęcie powodów niezaufania w kraju na dwie połowy co do wyznania rozdzielonym. Tylko pod takiemi warunkami Prusy mogą być państwem pierwszego rzędu. Powód do cofnięcia reskryptów w tém głównie widział, że noszą podpis ministra wyznań, a więc nie są tylko policyjnemi środkami ostrożności. Ograniczenia misyi rząd tylko w porozumieniu z biskupami i tylko przez nich mógł legalnie otrzymać, jeźliby tego miała się okazać potrzeba, czemu stanowczo zaprzeczył. Na wywód o Jezuitach tyle tylko panu Gerlach odpowiedział, że są oni gałęzią kościoła katolickiego i że sobór trydencki nazwał ich pobożnym zakładem. Dla katolika to zupełnie wystarcza. Twierdzeniu ministrów i komisyi o znaczeniu reskryptów o tyle stanowczo zaprzeczył, że dotąd cała prasa i urzędnicy tak jak wnioskodawcy je zrozumieli. Powtórzył w końcu prośbę, by wniosek był przyjętym, bo jeźli będzie i nadal w kraju 10 milionów uprawnionych obok 7miu milionów nieuprawnionych, państwem pierwszego rzędu Prusy pozostać nie mogą.

Minister spraw wewnętrznych, który po Waldbocie mówił, zaczął od tego, że reskrypta źle zrozumianemi były przez publiczność, bo téż wcale nie były dla publiczności przeznaczone, że nie zawierały w sobie deklaracyi żadnych praw i są tylko wskazówką dla władz podrzędnych. W żadnym z reskryptów zakaz się nie mieści, tylko możność wkroczenia władzy w potrzebie. Dowód na to, że misye wszędzie się odbywały bez przeszkód, przyczém wyznaje pan minister, żaden nieporządek ni zaburzenie nie nastąpiły. Możność jednak zaburzenia istniała i dla tego było obowiązkiem rządu poinformować władze.

Co do studyów zagranicznych teologów pruskich poddanych, nie masz równie żadnego w tym względzie zakazu, tylko przepisy z stanowiska policyi krajowéj, nie będące w związku z uznaną wolnością kościoła katolickiego.

Po ministrze spraw wewnętrznych długim wywodem kwestyi zatrudnił izbę pan Bethmann-Hollweg. Jego zdaniem izby nie powinny się trudnić kwestyami religijnemi, w obecnym téż przypadku widzi kwestyą prawną konstytucyjną, wcale nie religijną. Referentowi zarzuca, że zatopiwszy się w bystre przeciwstawienie sądów i zdań przeciwnych, zapomniał przedmiotowéj sprawiedliwości. W ogóle jest przeciw reskryptom. W szczególnym przypadku reskrypt ograniczający misye w okolicach protestanckich ma za zupełnie sprzeczny z konstytucyą, drugi reskrypt co do teologów pruskich w Rzymie lub u Jezuitów się wychowujących tak uważa, że w kwestyi sporu, równie państwo jak i kościół równouprawnione w swych żądaniach, i szukać trzeba sposobu zniesienia sprzeczności téj. Zdaniem mowcy rzecz rozstrzygniętą być musi układem rządu z biskupami. O Jezuitach wspominając nie potępia ostrożności, widząc w nich przyczynę wojny w Szwajcaryi, co wywołuje zaprzeczenie z strony katolickiéj. Życzeniem jego sprowadzić zgodę, porozumienie; ku temu celowi nie widzi stosowną drogę obraną przez wnioskodawców, bo decyzya N. Pana mogłaby jedno lub drugie wyznanie dotknąć; zgadzając się więc na odrzucenie wniosku Waldbotta, przedstawia następną jego zmianę: „aby rzecz odesłać do całego mi-

„nisterstwa z żądaniem, by powtórnie się nią zajęło i załatwić starało, w in„teresie tak dobrze zgody wyznań, jako i wolności religijnéj, konstytucyą „zawarowanéj, dając tłómaczenie reskryptu z 22. maja, któreby podrzędne „władze oświeciło, że misye mogą być odprawiane w katolickich gminach „nawet takich, które się znajdują w czysto protestanckich okolicach."

W tém stadyum dyskusyi przyszła koléj mówienia na Augusta Reichenspergera, który w obszernéj mowie żądania katolików miał wyłożyć, twierdzenia komisyi i ministrów odeprzeć. Zaczął on od wyrażenia lepszéj otuchy co do przyszłości, kiedy takie kwestye tak żywo publiczność zajmują; jest to, powiedział, dowód, że obumiera najgorszy rak, co społeczeństwo toczyć może, to jest indyferentyzm w religijnych sprawach. Dyskusya mu pożądana, bo tylko objaśnić, bo tylko zbić wiele przesądów, bo tylko pouczyć nieświadomych może. Dawszy tłómaczenie co są misye w kościele, zacytował reskrypt Fryderyka Wielkiego tyczący się misyi w dyecezyi Płockiéj, dla dowodu że misye nawet w Prusach nie są rzeczą nową i że w różnych dyecezyach są fundusze na ten cel przeznaczone, i które na ten cel użytemi być winny. Przebiegłszy daléj ostatnie wypadki, wskazał jak w skutku nich wszystko dla uspokojenia, zagojenia ran społeczeństwa ku religii się garnęło, jak rząd dał w tém przykład, ożywiając ile mógł ruch kościoła protestanckiego. Katolickim misyom przyznaje rząd w swych raportach błogie skutki, jednakże stawia je pod osobnym policyjnym dozorem. Czemuż to przypisał? Tu trzeba otwartości i szczerości, o to *Jezuitom*. Cały tok obecnéj dyskusyi dowodzi że tak jest. Daléj mowca dotknął kwestyi rzuconéj przez sprawozdawcę o nieomylności papieża razem po zniesieniu zakonu, kładąc przycisk na okoliczność, że zniesienie przez breve a nie przez bullę nastąpiło, a więc że papież nie ex cathedra przemówił. Uznając zresztą głośno nieomylność Klemensa XIV w rzeczach wiary, zwrócił uwagę, że gdyby ją w téj materyi przyjąć można, zachodziłaby sprzeczność między nią a nieomylnością 26ciu papieży przed i po nim panujących, którzy zakon jezuicki wznawiali i cenili; tego więc argumentu katolicy przyjąć nie mogą. Co do Jezuitów odwołał się do sądu protestanckich historyków Jana Müllera, Rankego i Macauleya.

Zresztą, pomijając przeszłość ile że izba to nie trybunał historyi, odwołał się do powag dzisiejszych, do powagi księcia biskupa wrocławskiego kardynała Diepenbrock, który Jezuitów i ich misye, wziętością swą podparł, a któremu rzeczone reskrypta ostatnie dni życia zatruły (ta wzmianka mocno poruszyła izbę.) Co do jen. Radowitz i oświadczenia jego w Frankfurcie, przyznał prawdziwość, ale tłómaczył, że wtenczas gdy chodziło o wyrzeczenie zasady wolności kościoła, katolicy nie chcieli dla obrony niepopularnéj części to jest Jezuitów, narażać całości, to jest wolności kościoła, że użyli wyrazu na teraz, zrzekając się powołania Jezuitów do Niemiec; że przyznaje iż zbłądzili, ale że okoliczności to nakazywały, trudno bowiem było mówić o Jezuitach w Izbie, gdzie ze strony wysokiego urzędnika mógł się był pojawić wniosek o zniesienie bezżeństwa księży katolickich (wniosek p. Flottwella).

Co do pierwszego reskryptu, tyczącego się ograniczeń misyi, zaprzeczał ministrom, aby go tak zrozumiano, jak go tłómaczy minister i żeby tylko pro informatione w razach nieprzewidzianych służył; jako dowód, podaje zajścia w Kościanie, gdzie dla odbycia misyi, władze miejscowe 8 stóp wysokim płotem cmentarz otoczyć kazały; wymaganie, które, skoro proboszcz kościański aż do ministra się odwołał, wszystkie hierarchiczne zwierzchności potwierdziły. Fakt zrobił na izbie wrażenie, a pan Reichensperger dowcipnie zapytał, jakiéj wysokości płot byćby musiał n. p. w Królewcu, kiedy w katolickiéj mieścinie 8 stopowego żądano; przytoczył daléj, że w témże samém miejscu utrudniono szkołom udziału w misyi, że wręcz

odmówiono, by i w domu poprawy w Kościanie się znajdującym odprawioną być mogła, dla więźniów. Oba reskrypta według niego, obrażają katolicką ludność, a są prawami podejrzliwości względem katolików i zakonu Jezuitów, czego tém mniéj się spodziewać mogliśmy po rozkazie gabinetowym z roku 1841, tyle swobód kościołowi naszemu przyznającym. Owoż rzekę i dziś, do serca monarchy udać się postanowiliśmy. Co co kwestyi arcybiskupa kolońskiego, chociaż biskup może się omylić, p. Reichensperger wręcz zaprzeczył twierdzeniom i podaniom sprawozdawcy, a to tém stanowczéj, że choć miał otwarty przystęp do akt ministeryalnych ni dat ni faktów nie podał. Lepiéjby jednak był zrobił p. Gerlach, były jego słowa, gdyby był wcale téj kwestyi nie poruszył, bo to przypomina smutne dzieje zabiegów rządu, by rokować i układać się z biskupami, po za plecami Ojca śgo, co tych biskupów którzy w rokowania podobne wdali się, do rozpaczy i do wielkiego żalu a pokuty przywiodło. Biskupi nasi często zesłabnąć mogą, przez dążność pojednawczą w walce z całą potęgą państwa, reprezentowaną przez akatolicką biurokracyą, nie wywołujcież nas na to pole, statystyki konfesyonalnéj urzędników kraju. Co do zarzutu, że katolicy tylko dla siebie chcą wolności odpowiedział p. Reichensperger, że pomimo braku współczucia, dla sekt dysydenckich, wolności religijnéj tych sekt, o ile ona na prawie się opiera, bronić jest gotów. W końcu wyrzekł, że katolicy nie rachowali i nie rachują na większość w obecnéj izbie, ale że się tém nie kłopocą. Jedynąby tylko niespokojność mieć mogli, a to czy dokładnie spełnili swój obowiązek, przyszłość bowiem do nich należy, gdyż wierzą w słowo, *magna est veritas et praevalebit.* Mowa trwała blisko dwóch godzin, i ciągle z natężoną uwagą słuchaną była.

Po p. Reichenspergerze wszedł na mownicę p. Wentzel, który tłómaczył głosowanie za wnioskiem części strony lewéj, powodami li prawnemi i konstytucyjnemi. Wspomniał on że się nie wdaje w sąd kwestyi religijnéj, obiecał zarazem w imieniu swoich przyjaciół równą gotowość, gdyby podobne wnioski ze strony żydów lub dysydentów ukazać się miały.

Przed p. Wentzel deputowany Hahn z Gdańska w kilku odezwał się słowach, by wynurzyć obawę, że misye zrodzą niepokój śród małżeństw mięszanych, że z tego względu są niebezpieczne, wreszcie by zaprzeczyć wspomnionemu przez jednego z mowców faktowi, jako w czasie misyi w Gdańsku armaty wytoczone być miały.

Gdy w ten sposób stosunek rozmaitych stronnictw do wniosku, przez usta panów Gerlach, Bethmann-Hollweg, Reichensperger i Wentzel, objaśnionym został, zajął głos pan Raumer minister wyznań i oświecenia, który zaczął od zapewnienia, że z ciężkiém sercem byłby do izby wchodził, gdyby miał przekonanie, że prawa katolikom nadwerężonemi zostały, ale że tak nie jest; rząd bowiem nie zapomniał, że uszanowanie tych praw jest dla niego nietylko obowiązkiem, ale zadaniem obchodzącém część Prus obecnych. Dyskussyi, powiedział, nie lęka się, owszem myśli, że ona się przyczyni do wzajemnego oświecenia, a jest pewnym, że jakakolwiek wypadnie decyzya, chwała Boża na tém zyska. Udział swój w podpisie reskryptów tłómaczył zakresem swego wydziału. Zajście obecne, rzekł, nie jest winą ani państwa ani kościoła katolickiego. W dziedzinach, w których państwo z kościołem się spotykają, zajścia podobne widzimy od początku chrześciaństwa. W Prusach zajścia tém łatwiejsze, że naprzeciw 6ciu milionów katolików, stoi 10 milionów protestantów. Ale właśnie wielkiém zadanie Prus, mimo niesłychanego przeciwieństwa zgodę i jedność utrzymać. Do roku 1848 stosunki były łatwiejsze, bo się opierały na podstawie różnych układów, istniała więc podstawa prawna do usunięcia różnie zdań się pojawiających. Rok 1848 i konstytucya wyrzekająca zasadę wolności kościoła układy te obaliła, dziś nastała chwila przejścia, gdzie dopiero no-

we układy wyrobić się muszą na zasadzie wyrażonéj w artykule 15tym konstytucyi. Artykuł 15ty przyznaje kościołowi niepodległość, to prawda, ale i państwo ma swoją niepodległość, a nie jest łatwém oznaczyć granicę, gdzie skutkiem wyrzeczenia téj zasady obowiązki jednego się kończą, a drugiego zaczynają. Jest grunt wspólny państwu i kościołowi, na którym znajdują się przedmioty dzisiejszéj dyskusyi, grunt to policyi i wychowania. W kwestyach podobnych, państwo musi stawiać się na stanowisku ogólném państwa chrześciańskiego, takiém jakie wypływa z traktatu westfalskiego. Przechodząc do reskryptów, oświadczył minister, że pierwszy jak już wyjaśniono, trudni się porządkiem policyjnym ulicznym, z powodu wiadomego naprzód zwykłego zbiegowiska licznych mas na misye katolickie, drugi centralizuje tylko nadzór rządu zastrzegając dla ministerstwa wyłącznie, prawo udzielania paszportów teologom pruskim za granice kraju. Reskrypta mogą mieć błędy redakcyjne, ale praktyka dowodzi, że źle zrozumianemi w ogóle nie były, bo jedyny wyjątek co do Kościana, właśnie dowodzi reguły, że tylko o kwestye policyjne nie o religijne chodziło. Nie umiem osądzić, czy władze w Kościanie w tém lub owém za daleko się nie posunęły, ale co pewnego, to że środki przez władze przedsięwzięte nie miały religijnego charakteru, wypłynęły ze stosunków miejscowych narodowych prowincyi. Co się tyczy zajść w Sigmaringen, ministerstwo bezzwłocznie sprostowało błąd władzy tamecznéj. W kwestyi studyów teologicznych w Rzymie i w instytutach, któremi zarządzają Jezuici, biskupi kraju napisali memoryał do tronu, tyle jednak innych ważnych przedmiotów w nim dotknęli, że ministerstwo jeszcze nie mogło dać odpowiedzi, która jednakże niezadługo nastąpi. Wszelako i reskrypt tu odnoszący się, bynajmniéj nie jest zakazem, ale jedynie nadzór rządowi zastrzega. Rząd pruski wspiera ruch religijny w kraju więcéj może jak kto na kontynencie, minęły już dzięki Bogu, niepowrotnie czasy, w którychby rząd mógł lub chciał się zająć opieką małżeństw mięszanych, lub wynoszeniem jakiego teologicznego systematu kosztem drugich systematów. Kościół protestancki nie potrzebuje dziś środków zaradczych przeciw innym wyznaniom, bo i w nim nowe życie, nowe siły się rozbudziły. Racyonalizm i tym podobne przekonania spoczywają w graciarniach, a misye katolickie i ten owoc przyniosły, że w gminach protestanckich ducha wiary i miłości obudziły. Obowiązkiem jest rządu, na raz obranéj, dobréj drodze postępować, bo tylko zastrzegając swoje prawa, może uszanować prawa kościołów. Właśnie rzeczone reskrypta zapewniły spokojny bieg misyi katolickich w kraju, bo zaspokoiły ludność protestancką i władze, że tam gdzie się odbywają, nie ma się co obawiać zaburzeń. Kwestye, o których mowa, poruszyły nietylko ludność katolicką, ale i ludność protestancką. Rząd ma przekonanie, że prawa swego granic nie przekroczył, jednakże dla tego że nastąpiło takie poruszenie umysłów, kilkakrotnie sprawę tę rozbierał i rozbierać jeszcze będzie, by każdemu sprawiedliwość wymierzoną została. Dyskusya obecna przeniesie się niezawodnie po za mury téj sali, tego się nie lękam, walczmy o prawa nasze ale jako bracia w Chrystusie, który nas ochrzcił, krwią swą odkupił, i ostatecznie sądzić będzie. Specyalnie zaś katolików proszę, by chociaż zdania mego nie podzielą, zapewnili swych wyborców, iż rząd w niczem a niczem praw kościoła katolickiego ograniczać nie myśli.

Po kilku słowach hr. Ziethen, który o wniosku biskupów przez ministra wspomnionym zaczął mówić, gdy mu przerwano dla tego, że żądał głosu do porządku dziennego a nie z kolei zapisanych mówców, i po odrzuceniu wniosku o zamknięciu dyskussyi, zajął trybunę Dr. Bayer. W niesłychanie długiéj mowie, w któréj przeszedł historyą zakonu Jezuitów, a nie dotarł do jéj kresu, ile że mu prezes dwa razy przerwał, zwracając uwagę jego, że nikt go nie słucha, i że trzeba by o rzeczy mówił, pokazał Dr. Bayer,

że doktorat swój zyskać musiał pilnie studiując *Żyda wiecznego*, Eugeniusza Sue. Co nas uraża, to że mimo swoich dywagacyi schodząc z mównicy, oklask strony prawéj otrzymał, chyba że ci panowie klaskali dla tego, *iż skończył*.

Hr. Stollberg-Stollberg mowca katolicki, nastąpił po panu Bayer, i jak oczywiście, na argumenta poprzednika nie odpowiadał. Mowa pana Stollberg była więcéj namiętną jak mowy innych mowców. Zaczął od skarg na sprawozdawcę, że obce przedmioty wciągnął do dyskusyi, co nie było zamiarem katolików. Główną raną serc katolickich w Prusiech, zawołał, jest dotykalny brak równouprawnienia. W wielu prowincyach katolickich nie spotykamy ani jednego urzędnika administracyjnego katolika, a ogólna liczba urzędników administracyjnych katolików w państwie wynosi 108 na 1227, poczynając od ministrów do landratów włącznie. To właśnie sprawia brak zaufania, to przeszkadza, że Prusy nie mogą się tak rozwinąć jakby powinny. Brak zaufania będzie ranił i toczył Prusy, póki katolikom nie zostanie wymierzona sprawiedliwość. Równouprawnienia żądać musimy do ostatniego tchu życia. Jesteśmy przyłączeni do korony pruskiéj, ale z serca Prusakami na zachodzie monarchii zostać nie możemy, póki nie będziemy mogli z dumą wyrzec, że jesteśmy katolikami Prusakami.

Wyrażenie to ogromną burzę na stronie prawéj izby wywołało. Prezes ostrzegł mowcę, by się miarkował dla dobra własnéj sprawy. Prusy, mówił znowu hr. Stollberg, mają posłannictwo pojednać, w państwie na drodze sprawiedliwości i praw uznania przeciwieństwa konfesyonalne. Z walki obecnéj cieszę się, bo walka na polu duchowém tylko do zwycięztwa prawdy przyczynić się musi. Jako Prusak dopełniłem obowiązku, główną ranę ciało państwa toczącą, nie uważając na to, że boli, odkrywając. Walki duchowéj pragniemy, niech nam tylko nie stawiają przeszkód papierowych jak reskrypta, albo płotów z desek. Prawda ostatecznie zwycięży. Jeśli izba chce dowieść, że się nie lęka zapasów religijnych, niechaj za wnioskiem głosuje. W mowie téj całéj widać człowieka mocnych, a gorących religijnych przekonań.

W tém stadyum dyskusyi panowie szlązcy, zapisani w księgach ludności jako katolicy, jeszcze raz chcieli się z trudności wyśliznąć, przekładając przez usta hr. Renard, by izba nad wnioskiem, w skutku tak zaspakajających oświadczeń ministeryalnych, przeszła do porządku dziennego. Propozycyę z taką słuszną pogardą przyjęto, że jéj nawet nikt ze strony protestantów nie poparł.

Ale ogólna dyskusya została zamkniętą i tylko pomniejsze utarczki w kolei osobistych rozpoczęto. Pierwszą była uwaga p. Gustawa Potworowskiego, który oświadczył, że jest żywo dotkniętym słowami ministra oświecenia, jako przeszkody misyi w Kościanie, w narodowości polskiéj powód miały, i że widzi w tém oświadczeniu pana ministra potwierdzenie jego nieprzyjaznych dla narodowości polskiéj, któréj szkół odmawia, usposobień. Z innéj strony, rzekł p. Potworowski, pociesza mnie cała okoliczność, gdyż to wszystko dowodzi, jak jest żywotna narodowość polska. Zobaczycie ją silną tak długo, jak długo jedno dziecko przy piersi macierzystéj oddychać będzie. Minister odrzekł, że nikogo osobiście dotknąć nie myślał, i że wspomniał tylko, że w Księstwie musi ostrożność władz być większą po wypadkach roku 1846go i 1848go. Prawa strona izby zżymała się okrzykami przeciw uwadze p. Potworowskiego, a prezes osądził, że p. Potworowski przekroczył granice uwagi osobistéj. Wszystko to jednak słów wyrzeczonych nie zatarło. Może dla tego zabrał głos deputowany Baerensprung dyrektor policyi z Poznania. P. Baerensprung również w formie uwagi osobistéj przemówił, broniąc kolegi swego landrata Madai z Kościana, że musiał być ostrożnym w czasie misyi w Kościanie, bo chodziła wieść,

że Polacy skorzystają z téj sposobności, by uczynić manifestacyą narodową. Pan Baerensprung twierdził daléj, że niespokojności w ludzie w Księstwie wywołanemi zostały przez większych właścicieli i kazania kościelne. Co do ostatniego faktu, wspomnimy, że wolno podobne rzeczy twierdzić deputowanemu ale nie dyrektorowi policyi Poznania. Dalsza część mowy również pełna błędnych twierdzeń, naprzykład że właściciele więksi weszli w stosunki z właścicielami większymi w *Węgrzech*, by Jezuitów z Galicyi sprowadzić. Zkąd tu Węgrzy wmięszani, nie rozumiemy. Utrzymywał jeszcze pan Baerensprung, że ci sami właściciele udali się z proźbą o pozwolenie misyi do naczelnego prezesa, któréj on udzielił pod pewnemi warunkami. Otoż z proźbą do naczelnego prezesa nikt się nie udawał, bo to nie wchodzi w zakres jego władzy, i zależy od arcybiskupa, z którym porozumiawszy się sprowadził do kraju pierwszą misyą, nie żaden właściciel większy za pośrednictwem Węgier, ale szanowny proboszcz z Krobi ksiądz Masłowski, za co mu kraj wdzięczność winien. Władze zaś świeckie póki się same jak w Kościanie nie wmięszały, nie miały nic do czynienia z misyami, chyba że przeglądały paszporta misyonarzy. Innego stosunku w żadnym razie być nie mogło i nie było.

Ostatnia uwaga osobista była hr. Stollberg-Wernigerode, który jako Prusak i protestant wyrzekł się gwałtownie wspólności opinii z noszącym to samo imię hr. Stollberg-Stollberg i o rozróżnienie nazwisk prosił.

Po zakończeniu téj części sesyi, zajął głos p. Piotr Reichensperger w imieniu wnioskodawcy Waldbotta, któremu z prawa przy końcu dyskusyi głos służył. Mowa jego trwała dwie i pół godziny. Przeszedł w niéj wszystko co dotkniętém lub zaczepioném w dyskusyi dnia całego było.

Piotr Reichensperger zaczął od powinszowania sobie i izbie, że przynajmniéj ten owoc obecna dyskusya przyniosła, iż z wszystkich ust słychać wyraz przekonania, jako odtąd katolicy mają być rządzeni według praw i ustawy konstytucyi, a nie według biurokratycznego widzimisię. Jakikolwiek zresztą, były jego słowa, wyrok większość wyda, *prawo* katolików nienaruszone zostanie. Życzę wszelako by co rychléj uznaném było, bo każde nieodpokutowane bezprawie, staje się koniecznie matką długiego szeregu bezprawiów, które państwu korzyści przynieść nie mogą. Kościół musi być wolnym, jeźli ma odpowiedzieć obecnemu zadaniu swemu, zgniecenia anarchii i socyalizmu, wykorzenienia pogaństwa.

Według mowcy kościół dziś, mimo przeciwnych twierdzeń nie jest wolnym, bo pozostaje pod niestosowną opieką policyi, co już patentom okupacyjnym z roku 1815. wbrew się sprzeciwia. Przyznaje przeciwnikom, że kościół w Prusiech nie jest dziś *ecclesia pressa*, ale w części przypisuje to krwi wylanéj w XVII. wieku, wojnie trzydziestoletniéj. Nie trzeba się jednak łudzić, by katolicy nie mieli powodów wszechstronnéj skargi. Reskrypta, o których dziś mowa, dla tego tylko stały się podstawą téj skargi i dzisiejszego poruszenia ludności katolickiéj, że są najwybitniejszym symptomatem pogwałcenia praw katolików. W długim wywodzie mowca wyjaśnia nieprawność obu reskryptów, daléj dotyka zniesienia Jezuitów i praw ich dzisiejszych w państwie na mocy konstutucyi. Rzeczone reskrypta, woła tutaj, uważa część protestantów za wał obronny, ale biada protestantyzmowi, jeźliby nie miał innéj żywotności, jak obronę policyi. Z samegoż więc względu na cześć protestantyzmu, reskrypta cofniętemi być winny. Interesem monarchii jest państwo chrześciańskie a nie protestanckie stanowić, tylko w ten sposób zgoda w kraju między wyznaniami nastąpić może, bo nie wierzcie panowie by sztandar trzykolorowy sąsiedniego państwa wydawał nam się tęczą koniecznego pojednania, by orły na tych sztandarach siedzące były koniecznie w oczach naszych gołębiami pokoju. Kato-

likami być nie przestaniemy, praw naszych żądać nie przestaniemy, póki nam się zadość nie stanie; pomnijcie więc, że w waszych rękach zaspokojenie nas, pomnijcie daléj, że w wieku XIX. nie powinna już toczyć się walka wyznań, bo wszyscy walczyć musim za Chrystusa przeciw antichrystowi. Ateizm i rewolucya pooraly państwo i społeczeństwo, kościół szedł za pługiem zniszczenia i siał ziarno swoje; nie przeszkadzajcie by wzrosło, a tylko w ten sposób nie przeszkodzicie, gdy prawa nasze uznacie i pomożecie nam głosy waszemi zanieść skargę naszą przed stopnie tronu.

Długa ta pełna siły mowa, ogromne sprawiła wrażenie. Jeszcze raz na nią minister Raumer odpowiadał, powtarzając w krótkości, co już wpierw wyłożył o konieczności zajść kościoła i państwa, o konieczności działania wszystkich w interesie zgody konfesyonalnéj, zakończył wreszcie zapewnieniem, że jakkolwiek wypadnie decyzya izby co do wniosku, prawa katolików ani żadnego uszczerbku nie doznają, bo są oparte na uczuciu sprawiedliwości N. Pana i reprezentującego go rządu. Sprawozdawca p. Gerlach skorzystał jeszcze ze służącego mu przywileju przemówienia na ostatku, nie zapuścił się przecież w rozbiór tylu dotkniętych materyi i tylko zrezumował dyskusyą, czyniąc wydatną zgodę powszechną na równouprawnienie katolików i na konieczność szanowania praw im służących. Co do kwestyi w pierwszéj mowie przezemnie poruszonych, wyrzekł: nie żałuję żem je na stół wyprowadził. W specyalnym przypadku deklaracyi katolickiéj o Jezuitach we Frankfurcie, powtarzam że byłbym w ich obronie wystąpił. Nie sądzę także, by oni byli przyczyną wojny w Szwajcaryi jak pan Bethmann powiedział. Owszem w kraju tym Jezuici stali po stronie prawa i wolności. W rzeczy reskryptów samych, myślę że szczególniéj po objaśnieniach uroczystych ze strony panów ministrów, tak są one niewinnemi, iż cofnięcie ich musiałoby większe wywołać poruszenie jak ich pozostawienie, wnoszę zatém by izba przyjęła wniosek komisyi, czyli odrzuciła wniosek katolicki. Między mowcami zapisanymi do głosu za wnioskiem Waldbotta, którzy odcięci zostali od słowa zamknięciem dyskusyi, widzimy imię Augusta Cieszkowskiego, ponieważ się zapisał po 1éj mowie ministra Raumer, zapewne głównie jemu co do Księstwa odpowiedzieć zamyślał, ale pewnie i w ogóle byłby treści wniosku dotknął.

Po krótkiéj dyskusyi nad postawieniem kwestyi, przystąpiono do głosowania. Za wnioskiem Waldbotta oświadczyło się 123 głosów, przeciw, czyli za komisyą, 175 głosów. Po głosowaniu p. Bethmann-Hollweg cofnął swoją poprawkę. Nie rozumiemy czemu tego wpierw nie uczynił, głosując za komisyą. Katolicy w izbie, wszyscy, z wyjątkiem jednego, który wcale nie głosował, głosowali za wnioskiem. Dajemy obszerne sprawozdanie z téj dyskusyi, bo ma ona ważność europejską, jako dyskusya katolicka w izbach pruskich. Cechami ogólnemi występowania katolików były śmiałość, otwartość, silne i odważne obstawanie przy prawach swoich; ze strony rządu i protestantów, obchodzenie trudności, przenoszenie dyskusyi na inne pole, zawsze przecież obok wynurzenia uszanowania dla praw i wolności kościoła katolickiego.

Moralne zwycięztwo jest niewątpliwie po stronie katolickiéj, chociaż i pod względem numerycznéj klęski; *Volks-Halle* kolońska dziwny i uderzający robi rachunek. Według niéj p. Bethmann-Hollweg w imieniu stronnictwa swego tylko z formalnych powodów, to jest z powodu niestosowności adresu do tronu, był przeciw wnioskowi katolickiemu. Odciągając więc 25 głosów tegoż stronnictwa od większości, znajdujemy 148 przeciw 150 głosom, czyli większość ministeryalną dwóch głosów, to jest głosów ministrów autorów reskryptów. W obec takiéj walki przez katolików stoczonéj, wybryki biurokratyczne naprzeciw kościołowi naszemu, nie będą już tak łatwe. Reskrypta ministeryalne objaśnieniami uroczystemi najniebezpie-

czniejszą część ważności swéj straciły. Frakcya katolicka ośmieliwszy się raz, porachowawszy się, niezawodnie nie ominie żadnéj sposobności, by bronić praw katolickich. Najlepsze po niéj rokujemy sobie nadzieje, gdy przy budżecie przyjdą kwestye funduszów szkolnych i kościelnych, których tyle w naszéj prowincyi na obce cele użytych bywa, mimo braku tak dotkliwego zakładów edukacyjnych. Jak przewidzieli mowcy stron obu, walka rozpoczęta toczyć się daléj nie przestanie. W izbie już wystąpili protestanci z wnioskiem żądającym ogromnych summ dla swego kościoła, przedstawili go deputowani Nöldechen i hr. Stollberg-Wernigerode, licznie poparci. Po za izbą dyskusya nie ustała, *Volks-Halle, Nowo pruska gazeta* podejmują spór zaczęty, chociaż w pierwszéj chwili oba te dzienniki konfiskacie podległy. Pisma te zadowolnione są z wypadku dyskusyi: *Volks-Halle* dla tego, że wyjaśniono położenie i krzywdy katolików; *Nowo pruska gazeta* z tego głównie powodu, że religijne kwestye ogromny interes budzą, że taka wolność religijna w Prusach i podobne dyskusye mogą mieć miejsce. Pogląd z 28. lutego w téjże gazecie trudni się głównie przedmiotem o którym mowa. Artykuł ten zaczepia znów jenerała Radowitza o deklaracyą jego frankfurcką, któréj, jak powtarza pan Gerlach, chociaż protestant, nigdyby nie był uczynił. Ale czas skończyć rys dotyczasowych działań frakcyi katolickiéj. Niezawodnie w ciągu obrad izb obecnych zdarzy się jeszcze sposobność mówienia o niéj i chwalenia jéj działalności.

Trzecie sprawozdanie ze składki na Dom Biblioteki narodowéj w Paryżu.

Wyszło z druku trzecie sprawozdanie komisyi trudniącéj się zbieraniem składki na dom biblioteczny w Paryżu. Sprawozdanie to nosi datę 30. Grudnia. Z dwóch pierwszych sprawozdań wiemy, że było już wpierw złożonych 21,893 franków. Teraz przybywa 10,197 franków. Ma więc komisya w swojem ręku summę 32,090 franków, trzecią część summy jaką zebrać potrzeba.

Bardzobyśmy radzi zachęcić osoby, które dotąd nic niezłożyły a złożyć myślą, aby pospieszyły z datkiem. Im prędzéj się zapewni bibliotece należyty przytułek, tém lepiéj będzie. Zresztą godne szacunku zabiegi osób trudniących się całą rzeczą na uznanie i na pomoc zasługują.

KRONIKA ZDARZEŃ W ŚWIECIE KATOLICKIM.

RZYM.

Nawrócenie biskupa protestanckiego Dra Yves.

Wielkie sprawiło wrażenie w stolicy świata katolickiego, wielkie wrażenie w Ameryce, nawrócenie na wiarę katolicką Dra Yves biskupa anglikańskiego Północnéj Karoliny w Stanach Zjednoczonych.

Dr. Levi Yves był od lat kilku uważany za naczelnika puzeistów w Ameryce Północnéj, gdzie ta sekta tak wyraźnie nachylająca się do

wiary katolickiéj na trzydziestu dwóch anglikańskich biskupów, dziewięciu zwolenników liczy. Dr. Yves zarządzał dyecezyą Nowéj Karoliny od lat dwudziestu jeden, dając przykład cnót i pobożności. Koło niego kupiło się liczne grono przykładnych księży (wielu z nich przeszło już na katolicyzm). Dr. Yves zalecał duchownym protestanckim bezżeństwo i spowiedź: sam w ostatnich latach spowiadał się regularnie.

Wszystko to gniewało protestantów dawnéj szkoły w Nowéj Karolinie, zwołali więc w maju 1851. r. konwencyą w dwóch trzecich częściach z laików złożoną i ta naganiła głośno biskupa.

Dawny spowiednik Dra Yves, Dr. Forbes, który przeszedł od lat niewielu na katolicyzm, został był proboszczem jednéj z parafii katolickich, w Nowym Yorcku. Do niego przed kilkoma miesiącami udał się Dr. Yves z wątpliwościami jakie miał w umyśle. Czas jakiś pisywali do siebie, następnie Dr. Yves przyjechał do N. Yorcku i wszedł w stosunki z arcybiskupem katolickim. Od sześciu miesięcy we wszystkich kościołach katolickich Stanów Zjednoczonych modlono się do Boga o nawrócenie które wielką pociechę kościołowi sprawi: nikt nie wiedział, że chodziło o nawrócenie Dra Yves. Nareszcie w październiku Dr. Yves wyrzekł się błędów protestanckich w ręce arcybiskupa N. Yorcku Dra. Hughes. Pierwszy to przykład nawrócenia biskupa protestanckiego, będącego na urzędzie.

Przeszedłszy na łono kościoła żądał Dr. Yves żeby nawrócenie jego do czasu pozostało tajemnicą. Chodziło mu o żonę gorliwą protestantkę, nie domyślającą się niczego, chciał także sam Ojcu ś. dobrą wiadomość zanieść. Owoż w listopadzie wypłynął z N. Yorcku do Włoch w towarzystwie żony i dwóch innych dam.

W Rzymie Dr. Yves wszedł w stosunki z księdzem Gill, także nawróconym protestantem, dziś biskupem katolickim Wirginii w Stanach Zjednoczonych i przed nim za upoważnieniem Ojca ś. uroczyste wyprzysiężenie się błędów uczynił. Bierzmowania chciał mu udzielić sam Ojciec ś. ceremonia odbyła się 26. grudnia w kaplicy prywatnéj papieża. Dr. Yves złożył Ojcu ś. swój krzyż i swoję pieczęć, mówiąc: „Ojcze ś., oddaję ci oznaki przywłaszczonéj godności."

Żona Dr. Yves żywo uczuła przejście męża i dotąd opiera się jego przełożeniom, by sama katoliczką została. Jedna z jéj towarzyszek podróży już się nawróciła.

Dr. Yves jest krewnym Dra Berian proboszcza protestanckiego z N. Yorcku, którego syn został katolikiem.

W ogole można się wielu nawróceń w Stanach Zjednoczonych spodziewać.

List okólny Ojca ś. za chrześcianami w Bośnii i Hercegowinie.

Ojciec ś. rozesłał do wielkich mocarstw chrześciańskich okólnik błagający opieki dla srogo przez Turków uciśnionych chrześcian Bośnii i Hercegowiny. Rzecz ta nie jest w bezpośrednim związku ze sprawą montenegryńską: okólnik odszedł zanim wojenne kroki w Montenegro nastały.

Pobyt biskupa genewskiego w Rzymie.

Wygnany od lat kilku ze Szwajcaryi świątobliwy pasterz dyecezyi genewskiéj (obejmującéj Fryburg, Lausanne i Genewę), ksiądz Marilley, przybył w tych czasach do Rzymu. Ojciec ś. przyjął go z wielkiém uczuciem.

Ks. Marilley znalazł w Rzymie innego wyznawcę, ks. arcybiskupa z Cagliari, także wygnańca.

W téj chwili toczą się układy o powrót ks. Marilley do Szwajcaryi·

Spodziewane nominacye kardynałów.

W ciągu marca oczekiwany jest konsystorz do mianowania kardynałów. Mają zostać ozdobieni purpurą: Arcybiskup prymas węgierski, arcybiskup z Tours, ks. Viale-Prela nuncyusz w Wiedniu, ks. Brunelli nuncyusz w Madrycie (ten co konkordat negocyował), ks. Giusto Recanati biskup *in partibus*, ks. Santucci, ks. Canterini i ks. Savelli minister spraw wewn. Ks. Recanati Franciszkanin surowego życia wielkiéj wziętości u Ojca ś. używa.

KOSCIÓŁ POLSKI.

ARCHIDYECEZYA GNIEŹNIEŃSKA i POZNAŃSKA.

Smierć ks. kanonika Gajerowicza.

W dniu 3 stycznia umarł w Poznaniu ks. Stanisław Gajerowicz, prałat i dziekan kapituły. Ks. Gajerowicz urodził się w Poznaniu r. 1784. Nauki pobierał u Cystersów w Koronowie. Do stanu duchownego przysposobił się w seminaryum poznańskiém. Po wyświęceniu na kapłana został mianowany sekretarzem i kapelanem przy arcybiskupie gnieźnieńskim Raczyńskim, potém mansyonarzem przy kościele Śgo Wojciecha w Poznaniu, potém jeszcze penitencyarzem przy katedrze poznańskiéj i rejensem konsystorza za czasów arcybiskupa Górzeńskiego. Z Poznania przeniesiono ks. Gajerowicza do Gniezna, gdzie dostał kanonią i urząd oficyała. W końcu otrzymał godność prałata i dziekana kapituły archimetropolii poznańskiéj.

List okólny J. O. Arcypasterza z powodu śmierci księcia kardynała v. Diepenbrock.

J. O. Arcypasterz dyecezyi wydał pod datą 25. stycznia 1853. r. list okólny do duchowieństwa i wiernych, który tutaj skwapliwie umieszczamy.

Ks. Leon Przyłuski *ze zmiłowania Bożego i świętéj Stolicy Apostolskiéj łaski arcybiskup gnieźnieński i poznański, legat urodzony* i t. d. Wszystkiemu duchowieństwu i wiernym Chrystusowym pozdrowienie i błogosławieństwo pasterskie.

Niepojęty a wszechmocny i łaskawy w sądach swoich Pan życia i śmierci dotknął co tylko ciężkim ciosem pobratymczą, sąsiednią, dyecezyę wrocławską. Pasterz jéj dostojny, szanowany i wielbiony powszechnie, jego eminencya, kardynał książę biskup hr. Melchior Diepenbrock zasnął z rana dnia 20. b. m. po długich i dolegliwych cierpieniach na zamku johannisbergskim w Panu i przeniósł się do lepszego żywota.

Urodzony dnia 9. stycznia 1798. r. w Westfalii z rodziny odznaczającéj się od dawna wiarą i cnotami tak religijnemi jak obywatelskiemi, od kolebki katolickiemi karmiony zasadami, obrał najprzód zawód wojskowy. Gdy tenże przecież nie zdołał go zaspokoić, poświęcił się dzierżąc stopień oficera jazdy, studiom teologicznym w Monachium Bawarskiém, gdzie téż i święcenia odebrał i niedługo godnością kanonika w Regensburgu zaszczyzony został.

Zapał religijny, życie nieposzlakowane, usilna staranność o dobro kościoła ś., a przy tém wszystkiém konserwatyzm i prawy sposób myślenia, zjednały mu nawet po za granicami dyecezyi i kraju, w których żył i działał, imię i szacunek. Przez najjaśniejszego króla jegomości przedstawiony na kandydata biskupstwa wrocławskiego, został na dniu 21. kwietnia 1845. r. przez tamtejszą kapitułę obrany księciem biskupem.

S. p. Melchior na tém nowém stanowisku, w ciężkich a obfitych w nadzwyczajne przygody czasach, nieposполity rozwinął talent i zadziwiającą energią. Za to, w uzna-

niu wysokiéj gorliwości i niezmordowanego starania o dobro kościoła naszego ś. i powierzonéj sobie dyecezyi, wyniósł go, szczęśliwie dotąd rządzący kościołem papież Pius IX. w 1850. r. na dostojeństwo kardynalskie i dał mu nadto kilkakrotne dowody zaufania i poważania swego

Przez śmierć męża tak zacnego, wszystkiemi przymiotami serca i duszy obdarzonego, utraciła dyecezya wrocławska godnego ze wszech miar pasterza i ojca, chrześciaństwo nieugięty filar, kościół mężnego i gorliwego obrońcę, który w szczęśliwy sposób łączył w sobie obywatelską pracowitość z najgorętszym zapałem dla sprawy religii. Osierociała trzoda, jak długi czas jednogłośnie starała się szczeremi modłami wyprosić mu u Boga przedłużenie żywota, tak dziś niemniéj zgodnie po jego skonie nieukojone łzy leje.

Ogłaszając wam kochani w Chrystusie bracia i wierni Chrystusowi niniejszém tę smutną i bolesną nowinę, poczytujemy sobie za miły obowiązek braterskiéj miłości, sąsiedztwa i świętego węzła, łączącego między sobą rządzców dyecezyj, jak niemniéj za obowiązek wysokiego szacunku i poważania, jakieśmy ku temu dostojnemu mężowi za życia mieli i zawsze mieć będziemy, wezwać was wszystkich, abyście z modłami naszemi połączyli i wasze modły, błagając Pana Zastępów o litość i miłosierdzie nad duszą jego, o przebaczenie mu wszelkich słabości i uchybień, jakim w ziemskiéj pielgrzymce wszyscy mniéj więcéj podpadać zwykliśmy.

W szczególności zaś zobowiązujemy wszystkich rządzców parafii, aby po odebraniu niniejszego pisma okólnego 1) ogłosili treść jego w najbliższą niedzielę lub święto wiernym z kazalnic i wezwali ich do gorących a kornych modlitw za duszę ś. p. Melchiora; 2) oznaczyli czas, w którym najmniéj trzy razy we wszystkie dzwony dzwonić się będzie; 3) aby każdy nareszcie z duchownych, bądź to w ten sam dzień, bądź w najbliższy, stosownie do okoliczności, odprawił za duszę ś. p. nieboszczyka mszą ś. śpiewaną lub przynajmniéj czytaną.

List okólny J. O. arcypasterza wzywający duchownych o nadesłanie wykazu statystycznego zmarłych na cholerę.

J. O. arcypasterz rozporządził, ażeby trzymając się przykładu dawniejszego, proboszcze nadesłali do konsystorza dokładny wykaz liczebny zmarłych na cholerę w przeszłym roku w obrębie archidyecezyi.

POLSKA POD RZĄDEM ROSYJSKIM.

Sprawy duchowne w Królestwie w ciągu r. 1851.

W Nrze 12. ***Pamiętnika religijno-moralnego*** za rok zeszły, znajdujemy rzecz pod napisem: ***Rzut oka historyczny na upłyniony rok 1851. pod względem administracyjnym i spraw duchownych,*** z któréj przytaczamy co następuje:

W r. 1851 zszedł z tego świata ks. Mikołaj Blocki, administrator dyecezyi augustowskiéj, biskup nominat dyecezyi kujawsko-kaliskiéj. Kapituła katedralna w Sejnach obrała administratorem dyecezyi augustowskiéj ks. Bonawenturę Butkiewicza prałata, kustosza katedry sejneńskiéj, rektora akademii rzymsko-katolickiéj w Warszawie. Ponieważ zaś ks Butkiewicz jako nieobecny w kraju, nie mógł objąć administracyi dyecezyi, przeto w zastępstwie jego tymczasowo zarządza dyecezyą ks. Dąbkowski prałat kapituły katedralnéj w Sejnach

Otrzymali order ś. Anny II. klasy: Ks. prałat Marszewski, administrator dyecezyi kujawsko-kaliskiéj; ks. prałat Dąbkowski zarządzający dyecezyą augustowską; ks. prałat Myśliński asesor duchowny przy kom. rz spraw wewnętrznych i duchownych; ks. prałat Mulzów archidyakon dyecezyi kujawsko-kaliskiéj; ks. prałat Janicki scholastyk dyecezyi sandomirskiéj; ks kanonik Naruszewicz asesor przy K. R. S. W. i D.; ks. kanonik Szydoczyński wice-rektor akademii duchownéj rzymsko-katolickiéj, i ks. kanonik Szelewski profesor radny akademii rzymsko-katolickiéj.

W ciągu r 1851. posunięto na prałatów katedralnych 3 duchownych, na kanoników katedralnych 4, na kanonika kolegialnego 1, na kanoników honorowych 2, na dziekanów 9, na proboszczów 39. Uznano za kwalifikowanych do posiadania beneficyów 97. W duchowieństwie zakonném wybrano i zatwierdzono: prowincyałów 3, przełożonych pojedynczych klasztorów 29.

Wszystkich kościołów parafialnych w Królestwie w r. 1851. było 1638: filialnych 113, oddzielnych 12, kaplic 377.

Co się tyczy restauracyi, komisya rządowa następujące anszlagi zatwierdziła: a) na reparacyą kościołów w dobrach rządowych anszlagów 18 na rubli sr. 13,377 kop. 2½; b) w dobrach prywatnych anszlagów 45 na r. sr. 51,003 kop. 16½; c) na reparacyą cmentarzy w dobrach rządowych anszlagów 5 na rubli sr. 1169 kop. 76½; d) w dobrach prywatnych anszlagów 11 na summę r. sr. 5873 kop. 26½; e) na reparacyą zabudowań plebańskich w dobrach rządowych anszlagów 2 na r. sr. 998 kop. 61; f) w dobrach prywatnych anszlagów 6 na r. sr. 3026 kop. 22. Nadto na wzniesienie nowych kościołów: a) w dobrach prywatnych anszlagów 3 na rub. sr. 17,599 kop. 47½; b) na wzniesienie nowych zabudowań plebańskich w dobrach prywatnych anszlagów 4 na r. sr. 5533 kop. 72½

Z robót rozpoczętych ukończono: 1) Budowę nowego kościoła we wsi Chociszewie gubernii płockiéj za r. sr. 1325 kop. 82 ze składek od parafian, 2) we wsi Wąsoczu gubernii warszawskiéj za r. sr. 3177 kop. 77½ ze składek od parafian.

Oprócz tego zatwierdzono anszlagi kosztów na następujące reparacye katedr i klasztorów: 1) Na reparacyą klasztoru i kościoła panien Bernardynek w Przasnyszu na r sr 2307 kop. 98: koszta pokryte zostały z dobrowolnych ofiar, a brakujące r. sr. 1955 z woli Najwyższéj z funduszu do dyspozycyi rady administracyjnéj zostawionego, 2) na reparacyą kościoła kss. Bernardynów w Ostrołęce na r. sr. 1125 kop. 85 z funduszu ekstraordynaryów supresyjnych, 3) na reparacyą kościoła panien Sakramentek w Warszawie na r sr. 4620 kop 62½ z funduszu do dyspozycyi rady administracyjnéj na zasadzie decyzyi J. O. ks. Namiestnika, 4) na reparacyą kościoła kss. Dominikanów w Warszawie na r. sr. 1813 kop. 26 w podobnyż sposób, 5) na reparacyą dachu na kościele kss. Dominikanów w Lublinie na r. sr. 1125 kop. 41½ z funduszu oszczędności supresyjnych, 6) na reparacyą kościoła i dzwonnicy kss. Augustyanów w Warszawie na r sr. 4607 kop. 83½ z funduszu do dyspozycyi rady administracyjnéj na zasadzie decyzyi J. O. ks. Namiestnika, 7) na obmurowanie cmentarza przy kościele ś. Wojciecha w Kielcach na r. sr. 636 kop. 2½, koszta pokryte być mają dobrowolnemi ofiarami, 8) J. O. ks. Namiestnik, przychylnie do prośby familii ś. p. prymasa Woronicza, zezwolić raczył na wzniesienie dla niego kosztem familii pomnika w archikatedrze ś. Jana w Warszawie, wedle zatwierdzonego planu.

W r. 1851. było zgromadzeń zakonnych w Królestwie:

mękzich	152
żeńskich	33

Hierarchia duchowieństwa świeckiego liczyła:

Biskupów dyecezalnych	2
Sufraganów	3
Administratorów dyecezyi	6
Prałatów	35
Kanoników	61
Członków konsystorza	45
Dziekanów	131
Proboszczów	1343
Administratorów parafii	313
Komendarzy, kapelanów, mansyonarzy, altarzystów, prebendarzy	60
Wikaryuszów	550
Nauczycieli przy szkołach	28
Profesorów seminaryum	49

Emerytów 65
Demerytów 25

Wyłączywszy kapłanów świeckich posiadających więcéj jak jednę godność duchowną (326), tudzież zakonników pełniących obowiązki parafialne (67), znajdowało się rzeczywiście księży świeckich 2273.

W klasztorach męzkich znajdowało się zakonników:

Przełożonych 166
Kapłanów 797
Kleryków 381
Lajków czyli braciszków 301
Nowicyuszów 44

W klasztorach żeńskich:

Przełożonych 36
Zakonnic 347
Nowicyuszek 46

W r. 1851. pod dozorem policyjnym zostawało księży 30.

W warszawskiéj akademii duchownéj znajdowało się w roku 1851. alumnów 36. Z téj liczby ukończyło nauki 6. Uczęszczało na kursa zakonników 9.

W jedenastu seminaryach było alumnów 279.

Wyświęcono na księży świeckich 63.

Wszystkich mieszkańców rzymsko-katolickiego wyznania znajdowało się w Królestwie w roku 1851.:

Płci męzkiéj	1,824,126
„ żeńskiéj	1,944,751
Razem	3,768,877

W téj liczbie jest nowonarodzonych:

Płci męzkiéj	79,106
„ żeńskiéj	79,897
Razem	159,003

Umarło:

Płci męzkiéj	59,354
„ żeńskiéj	59,891
Razem	119,245

U spowiedzi i kommunii było:

Płci męzkiéj	1,255,276
„ żeńskiéj	1,380,028
Razem	2,635,304

W ogólności wedle raportów władz lud do kościoła uczęszcza regularnie i wszelkie obowiązki religijne akuratnie dopełnia.

W ciągu r. 1851. przyjęło religię katolicką: z wyznania ewangelickiego osób 45, z wyznania mojżeszowego osób 63.

Z zapisów przez rząd zatwierdzonych przybyło:

W gubernii warszawskiéj	r sr. 4,624 kop. 50
„ radomskiéj	„ 3,421
„ lubelskiéj	„ 3,200
„ płockiéj	„ 2,700

Z pozostałości po zmarłych beneficyatach ulokowane zostały w banku tytułem $\frac{1}{3}$ części obowiązkowéj na fundusz wieczysty reparacyi kościołów r. sr. 3499 kop. 83.

Z końcem r. 1850. zostało remanentu w banku polskim funduszu pokladnego rub. sr. 48,799 kop, 6½. W ciągu r. 1851. wpłynęło do banku polskiego r. sr. ,4154 k. 40½. W tymże roku użyto na reparacye kościołów i na cmentarze r. sr. 1246 kop. 61½. A zatém z dniem 1. stycznia 1852 r. pozostaje remanentu r. sr. 51,706 kop. 79.

Z oszczędzonych dochodów w czasie administracyi wakujących probostw, tytułem funduszu interkalarnego pozostało w banku z końcem r. 1850. r. sr. 16,489 kop. 58,

wpłynęło w r. 1851. r. sr. 3839 kop. 55, że zaś z tego funduszu wydano r. sr. 2479 kop. 36, pozostaje zatém w banku na dalszym procencie r. sr. 17,849 kop. 79.

Z dniem 1. stycznia 1851. r. znajdowało się funduszów duchownych ulokowanych w banku polskim: w listach zastawnych złp. 8,682,400 czyli r. sr. 1,302,360, w gotowiznie r. sr. 473,441 kop. 71½; w ciągu roku wpłynęło w listach zastawnych rub. sr. 6270, w gotowiznie r. sr. 43,151 kop. 8½.

A że wydano na potrzeby instytutów duchownych r. sr. 14 574 kop. 18½, pozostało zatém z końcem roku w listach zastawnych r. sr. 1,3 08,630, w gotowiznie r. sr. 502,019 kop 61½.

Oprócz powyższych funduszów na reparacyą zabudowań kościelnych i plebańskich jeszcze są dwa fundusze, któremi komisya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych rozrządza: 1) fundusz po poznański z procentu zaległego od kapitałów do Ks. Poznańskiego odpadłych, 2) właściwy skarbowy na pokrycie składek z tytułu kollacyi i dziedzictwa od skarbu królestwa na budowle kościelne i plebańskie przypadających corocznie wydzielony. Obydwa mieszczą się na etacie kasy głównéj Królestwa.

Fundusz po-poznański z końcem r. 1850. przedstawiał remanentu r. sr. 19,781 k. 88. W ciągu r. przybyło z etatu do dyspozycyi r. sr. 5880 kop. 6, a że wydano rub. sr. 10,470 kop 59, zatém pozostało r. sr. 15,191 kop. 35.

Drugi czyni rocznie r sr. 15,000, w zupełności jest dysponowany i żaden remanent z niego nie pozostał.

Na drodze sądowo-cywilnéj pertraktowało się w roku zeszłym za pośrednictwem prokuratoryi Królestwa o kapitały i inne fundusze duchowne spraw 1525 (summy pieniężne wynoszą r sr. 1,214,917) Ukończono spraw 202 pozostaje spraw 1323.

W r. 1851. było spraw o unieważnienie małżeństwa w pierwszéj instancyi 40 (unieważniono 9), w drugiéj instancyi 7 (unieważniono 3). Spraw o rozłączenie co do stołu i łoża było w pierwszéj instancyi 42 (rozłączono na czas nieograniczony 12), w drugiéj instancyi 2 (rozłączono 1).

W ciągu roku przesłano do Stolicy Apostolskiéj o rozmaite łaski prożb 67, otrzymano odpowiedzi 41, pozostaje 26.

Biskup wileński.

J. W. Wacław Żyliński biskup wileński wydał w roku zeszłym trzy listy pasterskie do duchowieństwa i wiernych dyecezyi swojéj, pełne światła i namaszczenia apostolskiego. Ostatni z nich udziela pociechy religijne z powodu wybuchłéj cholery i zagrzewa bogatszych do niesienia pomocy biednym i osieroconym. (*Pamiętn. Relig.-Mor.*)

KOŚCIOŁ POLSKI POD RZĄDEM AUSTRYACKIM.

Zakony w archidyecezyi lwowskiéj.

Dyecezya arcybiskupstwa lwowskiego jak donosi *Salz. Kor.* liczy obecnie 22 Jezuitów, 8 klasztorów Dominikanów i w nich 30 zakonników, 3 klasztory Reformatów z 35 zakonnikami, 7 Bernardynów z 83 zakonnikami, 1 Rekoletów z 11 zakonnikami, 2 Kapucynów z 10 zakonnikami. Zakonów żeńskich znajduje się w 8 klasztorach Benedyktynek 25, Sakramentek 16, dam du Sacré-Coeur 27, Sióstr miłosiernych 56.

EUROPA.

ANGLIA.

Sprawa doktora Newman.

Wniosek Dra Newman by uzyskać pozwolenie na nowy proces, został odrzucony, nie mniéj okoliczności do tyla się zmieniły, że co się wpierw obawiano surowego wyroku na mocy dawnego wyrzeczenia przysięgłych, wyrok ten w obecnéj chwili wypadł bardzo łagodnie. Ogłoszenie nastąpiło 31. stycznia. Dr. Newman skazany został na zapłacenie 100 funtów szterlingów (4000) złp.) kary, przyczém sędzia Coleridge który obwieścił powody, uznał głośno, że Dr. Newman w dobréj wierze oskarzenie podniósł, że niemiał złéj woli osobiście przeciw Drowi Achilli, że jedynie chciał bronić swojéj wiary i że tylko dowody a świadectwa jakich dostarczył nie są tego rodzaju by mogły być przed sądem przyjęte.

Wyrok podobny i sposób w jaki go ogłoszono, moralnie wygraną stanowi.

Dr. Achilli upadł całkiém w opinii. Wszyscy go się teraz wyrzekają.

Co jest bardzo pomyślne, to, że koszta procesu jakkolwiek znaczne, dadzą się zupełnie z zebranych składek pokryć.

Nawrócenia.

Znowu kilka znacznych osób na wiarę katolicką przeszło. Wymienimy tu pana Francis Wegg Prosser dawnego członka parlamentu z hrabstwa Hereford, członka uniwersytetu oxfordzkiego (ma on za sobą siostrę hr. Sommers para, która jest jeszcze protestantką), panią Dayman żonę dawnego podrektora kollegium Exeter w Oxford, dzisiejszego rektora w Shillingstone i p. H. G. Bowden syna nawróconego wpierw p. H. Bowden, (młody p. Bowden przyjęty został na łono kościoła w Gibraltarze).

Agitacya irlandzka przeciw katolikom którzy przyjęli posady od ministerstwa.

Wiadomo, że w epoce wprowadzenia billu o tytułach kościelnych utworzyła się liga ku obronie praw kościoła katolickiego w Irlandyi. Liga ta była bardzo czynna w czasie wyborów po rozwiązaniu izby przez ministerstwo Derby zarządzonych i wtedy kandydaci katoliccy przyjęli wzgledem niéj i względem wyborców pewne zobowiązania co do postępowania swego w obec rządu. Przeszły wybory, upadła administracya lorda Derby i nastało ministerstwo lorda Aberdeen, które oddało ważne posady kilku katolikom a mianowicie pp. Keogh i Sadleir. Owoż najwojenniejsza część ligi tak nazwana brygada irlandzka gwałtownie przeciw tym panom za niedopełnienie zobowiązań powstała. Usiłowania brygady tyle wskórały, że p. Sadleir stracił miejsce w parlamencie. Odtąd nie uśmierzyły się niechęci. P. Lucas w piśmie katolickiém *Tablet*, p. Duffy w dzienniku *The Nation* i p. Gray w dzienniku *Freeman's* nie przestają agitować umysłów, zebrane nawet meeting w Meath by potępić postępowanie katolików urzędników *jako nikczemnie niewdzięczne, haniebnie zasad odbiegające i zasługujące na najsilniejsze oburzenie.* Chodzi o to, czy zobowiązanie (pledge) tych panów miało charakter nienaruszalny, czy też od okoliczności zależy. Jesteśmy za tém ostatniém zdaniem. Maurycy O'Connel odpisał odmawiając przybycia do Meath: „znam tych panów i mam przekonanie, że nie byliby przyjęli posad

„gdyby tego nie mogli byli uczynić w warunkach zaszczytnych dla siebie, a korzystnych dla Irlandyi.” Zresztą znaczenie brygady irlandzkiéj z każdym dniem słabnie. *Tablet* pismo istniejace od lat dwunastu, odbija tylko 3500 egzemplarzy, kiedy nowa tygodniowa umiarkowańsza publikacya *Weekly Telegraph* drukuje ich 25000.

BELGIA.

Smierć ks. Ritzinger.

Dnia 13. grudnia umarł w Liège u Redemptorystów O. Ritzinger, znany z gorliwych prac apostolskich i z prac artystycznych ku ozdobie kościołów. Miał on dopiero lat 40. Do zakonu wstąpił r. 1843.

FRANCYA.

Otwarcie kościoła Stéj Genowefy.

Dnia 2. stycznia dawny Panteon przywrócony pierwszemu a właściwemu swemu przeznaczeniu (odprawiało się tam nabożeństwo od r. 1823 do 1830), znowu stosownie do rytuału poświęcony został. Nazajutrz dzień nastąpło uroczyste rozpoczęcie nabożeństwa. O godzinie 9téj przyniesiono procesyonalnie z katedry do kościoła Śtéj Genowefy relikwie téj świętéj od r. 1830 w katedrze chowane. Przyjął je arcybiskup i umieściwszy na wystawieniu pod kopułą, mszę u wielkiego ołtarza odprawił. Podczas *Gloria* odbyła się installacya duchowieństwa do kościoła przywiązanego. Po mszy arcybiskup z infułą na głowie i pastorałem w ręku wystąpił na ambonę, zkąd gorąco przemówił. Uroczystość zakończono odśpiewaniem *Te Deum*. Przez cały czas długiéj ceremonii ogromny kościół napełniony był ludem.

Wszyscy zgadzają się na to, że nowe urządzenia i ozdoby nie odpowiadają wspaniałości gmachu, na którego ścianach już jaśnieją malowidła *al fresco* Gerarda i Grosa.

Relikwie Śtéj Genowefy są małe bardzo. Arcybiskup paryzki ks. de Quelen otrzymał w r. 1822 jednę kość z Sainte Génévieve des Bois w dyecezyi orleańskiéj, gdzie ich dwie od wieków posiadano i czczono. Wielkie relikwie w r. 1793 spalono, przyczém wysłańcy Heberta i Chaumette'a zabrali sławny a bogaty relikwiarz sporządzony w VIII. wieku.

Wiadomo jest, że w kościele Śtéj Genowefy a dawnym Panteonie spoczywają zwłoki Voltaira i Jana Jakóba Rousseau. Wyrzucić tych zwłok nikt nie myśli, ale o co się dopominają katolicy to o zdjęcie z frontonu płaskorzeźby przedstawiającéj Francyą rozdającą wieńce sławnym ludziom jak Voltaire, Rousseau, Montesquieu i t. d. i napisu: *Aux grands hommes la patrie reconnaissante*. Płaskorzeźba jest dłuta Davida, który w niéj ułana polskiego z rysami Mickiewicza umieścił.

W grobach podziemnego kościoła Śtéj Genowefy leży jeszcze wiele innych zwłok kardynałów, ministrów, senatorów i jenerałów z czasów Napoleona. Wymienimy tu kardynała Caprara, Portalisa i marszałka Lannes. Za tych wszystkich nieboszczyków arcybiskup kazał odprawiać cotygodniowe żałobne nabożeństwo.

Sobór prowincyi Remeńskiéj.

Odbył się nowy sobór prowincyi Remeńskiéj w Amiens, pod przewodnictwem kardynała Gousset. Zasiadali na nim ks. ks. biskupi z Beauvais, z Soissons i z Amiens (de Salinis), także prokurator sędziwego biskupa z Châlons, w licznéj assystencyi wyższego duchowieństwa (wspomnimy tu księdza Gerbet officyała w Amiens). Uroczyste otwarcie od-

było się dnia 10 stycznia w katedrze w Amiens. Mszę świętą do Ducha śgo, podczas której biskupi i ojcowie soboru przyjmowali najśw. komunią, odprawił kardynał. Po mszy nastąpiły poważne a przejmujące obrzędy jakie się w takich okolicznościach praktykują. Odśpiewano psalm *Salvum me fac Deus*, kardynał odmówił wspaniałą modlitwę *Adsumus Domine, Sancte Spiritus adsumus*, następni i kardynał i biskupi legli na ziemi, a tymczasem śpiewano litanię Świętych, i ewangelię śgo Łukasza o mocy danéj apostołom; daléj kardynał zaintonował *Veni Creator*, i przemówił po łacinie, daléj jeszcze odczytano dekret *de aperienda Synodo* i ustawy synodu, także dekret *de professione fidei*, zaczém kardynał uczynił głośne wyznanie wiary, a potém siedząc w krześle postawionem na stopniach ołtarza z otwartą na kolanach ewangelią wyznanie wiary od ojców soboru przyjmował. Zakończyło obrzędy uroczyste błogosławieństwo i odśpiewanie *Te Deum*. Zebrawszy się na narady ojcowie soboru rozdzielili się na cztery kongregacye: dekretów, zwyczajów, studiów i stanu świeckiego a duchownego. Pracowali usilnie tak, że w tydzień u kresu robót stanęli. Uroczyste zamknięcie soboru odbyło się tak jak i otwarcie w katedrze wspaniale na ten dzień przystrojonéj. Przybyli na ten obrzęd do Paryża biskupi z Louisville (w Stanach Zjedn.) i z Ajaccio. W czasie mszy śtéj znowu ojcowie soboru do najśw. komunii przystępowali. Po mszy odśpiewano psalm *Deus venerunt gentes*, ewangelią śgo Łukasza o rozesłaniu uczniów, i *Veni Creator*, następnie ogłoszono najważniejsze dekreta soboru: *de conciliis provincialibus*, *de scholis et educatione* i *de angelis*. Kardynał wtedy wszedłszy na kazalnicę przemówił W przemowie swojéj wspominał, że ojcowie soboru modlili się za kościół, za papieża, za biskupów i księży, za władzę świecką i za lud wierny. „Powiem wam teraz, były jego słowa, czém zajmowaliśmy się w czasie soboru. Azaliż tam chodziło o ratunek zagrożonego dogmatu? Bynajmniéj, wypadało tylko ostrzedz wiernych o tém, co ich wiarę podkopuje. Potrzebowaliżeśmy prawdy zasadnicze moralności zasłaniać? I to nie, ale należało wskazać wam nadużycia, które świętość moralności ewangielicznéj kalają. Radziliśmy co czynić, by się mnożyły miłosierdzie i łagodność, rozważając zalecenie Śgo Chryzostoma: jeśli stosując prawo trzeba od litery odstąpić, niech się raczéj w zbytek łagodności jak w zbytek surowości popada. Rozbieraliśmy téż pilnie kwestye dyscypliny kościelnéj..... Jak wiecie w czasie soboru odprawionego w Soissons (r. 1849) nakazaliśmy przywrócenie liturgii rzymskiéj. Dekret ten w całéj prowincyi w życie wchodzi, dzięki gorliwości biskupów i ochoczości ze strony duchowieństwa..... Sobór nie zaniedbał pobożnych instytucyi; owszem polecił usilnie, stowarzyszenie do rozkrzewiania wiary, stowarzyszenie ratunku dziatek (la Sainte-Enfance), bractwo S. Franciszka Regis i bractwo Ś. Wincentego a Paulo....." Przemową zakończyła się błogosławieństwem. Skoro zszedł kardynał z ambony odśpiewano *Te Deum*, odmówiono tak nazwane akklamacye (rodzaj supplikacyi za kościół, papieża, biskupa, panującego i t. d.) i gdy od kardynała począwszy ojcowie kościoła oddali sobie pocałunek pokoju, uroczystość się zakończyła.

W kilka dni późniéj ks. de Salinis biskup z Amiens wyjechał do Rzymu, by dekreta soboru Ojcu św. do potwierdzenia przełożyć.

Wstąpienie do Dominikanów p. Feliksa Martin.

P. Feliks Martin autor dziełka o wojnie węgierskiéj w latach 1848 i 1849 tudzież kilku pomniejszych prac historycznych, wstąpił do klasztoru Dominikanów w Glavigny. P. Feliks Martin ma dopiero lat 22. Opu-

szczając świat napisał do dzienników: „Jestem mało znany, niedługo „o mnie zapomną, że jednak pisma moje uzyskały pochwały i miały „czytelników, poczuwam się do obowiązku odwołania wszystkiego, co „się w nich przeciwko prawowierności katolickiéj napotkać może.

Biskupi i dziennik Univers.

W chwili obecnéj zaszło w kościele francuzkim nieporozumienie, które przybrało znaczne rozmiary i które wszystkich gorliwych katolików zasmucić musi. Widzimy biskupów rozdwojonych, namiętny spór toczący się między wiernymi, dziennik zasłużony sprawie religii potępiony przez władzę duchowną, wszystkie rzeczy jakich nie można jeno za ciężkie dopuszczenie Boże uważać.

Całéj kwestyi wolelibyśmy nie tykać: podnosimy ją żeby rodakom o ile z nas jest dać tłómaczenie zajścia bolesnego i trochę gorszącego.

Wspominaliśmy dawniéj mówiąc o sporze co do klasyków, kiedy już rozdwojenie podobne dzisiejszemu wybuchło, że wszystkie różnice jakie wśród świątobliwego duchowieństwa francuzkiego widzieć można, odnoszą się do owéj reszty kwasu gallikańskiego, jaki utaił się głęboko ale się jeszcze nie dał wyrzucić.

Gallikanizm choć pokonany na drodze rozumowéj przez hr. de Maistre, ma jeszcze licznych i potężnych choć nieśmiałych zwolenników i broni się na rozmaitych drogach.

W kościele francuzkim rozróżnić dzisiaj można trzy odcienia. Jedni przyjęli śmiało tak nazwany ultramontański kierunek, tu wymienimy kardynała Gousset, ks. arcybiskupa aweniońskiego, ks. biskupa z Amiens, ks. biskupa z Arras (Parisis) i kilku innych, drudzy tkwią w gallikanizmie jak ks. arcybiskup paryzki, ks. biskup orleański, ks biskup z Chartres i t. d. Ogromna większość biskupów stoi w środku. Między laikami poważnymi trudniéj o Gallikanów. P. de Montalembert, p. Nicolas, p. de Falloux, p. Ozanam, p. Lenormant, dziennik *Univers* nieraz się przeciw gallikanizmowi oświadczali. Zasłaniają go tylko a zasłaniają nieśmiało pisma *Ami de la religion* i parę innych pomniejszych.

Taki jest stan rzeczy w gruncie. Pozornie wszyscy się prześcigają w oświadczeniach przychylności dla stolicy apostolskiéj, i ktoby chciał w dzisiejszych Gallikanach, dawnych Gallikanów widzieć, tenby popełnił najgrubszą omyłkę.

Univers który zbyt zaczepnie, zbyt szorstko przeciw gallikanizmowi nie będącemu herezyą występuje, raz już uległ naganie arcybiskupa paryzkiego. Wówczas załagodzono sprawę na wezwanie z Rzymu. Póżniéj ks. biskup Dupanloup znaczną część episkopatu przeciw niemu poruszył. Teraz kiedy jeszcze nie ucichło wrażenie tamtéj zamieszki, ks. arcybiskup paryzki na nowo przeciw niemu potępienie ogłosił.

W tym ostatnim razie taki był przebieg całéj sprawy:

Ks. Gaduel officyał z Orleans wystąpił w *Ami de la religion* z szeregiem artykułów oskarzających p. Donoso Cortes o wielką liczbę herezyi. *Univers* którego stosunki ze sławnym hiszpańskim pisarzem są wiadome, jak oczywista spór podniósł.

Ks. Gaduel w każdym razie niewłaściwą obrał drogę; pisarza téj znamienitości, tego położenia, takiéj głośnéj uległości dla kościoła, nie godziło się zaczepiać w ten sposób w piśmie czasowém. Raczéj należało udać się do niego samego, albo sprawę do indexu do Rzymu odesłać. Co gorsza to że pisma gallikańskie nie mogąc przebaczyć dziennikowi *Univers* wyższości talentu i obszerności wpływu, wdały się w tę polemikę drażniąc a wyzywając. Najzaczepniejszy pokazał się dziennik *Ami de la religion*, który niedość że udzielił gościnności księ-

dzu Gaduel, ale jeszcze za pomocą pióra ks. Cognat nie przestał ognia rozdmuchiwać, zaczepiając między innemi publikacyą przedsięwziętą dawniéj przez p. L. Veuillot pod tytułem *Bibliotheque nouvelle*, publikacyą, w któréj dzieło p. Donoso Cortes wydrukowano.

P. Donoso Cortes umieścił zrazu w piśmie *Univers* list trochę dumny, oświadczając, że się w polemikę z nieznajomymi nie wdaje, dodając zarazem że we wszystkiém zdaniu kościoła chce bezwzględnie podlegać. Późniéj w szlachetném a pokorném natchnieniu udał się wprost do ks. Gaduel, oznajmując mu że pisma swoje cenzurze duchownéj przedłożył. *Univers* nie miał obowiązku upokorzyć się i dzikie bo niesłychanie przesadzone zarzuty odepchnął. Swoim zwyczajem domieścił do tego wiele goryczy, wiele ironii, wiele obraźliwych dla przeciwników (zapomniał, że ks. Gaduel jest księdzem) dowcipów. Owoż ks. Gaduel zaskarżył artykuły *Universa* przed arcybiskupem paryzkim, który wydał list pasterski pod datą 17. lutego zakazując duchownym swojéj dyecezyi pisać w dzienniku *Univers*, a nawet czytywać to pismo.

Głównego redaktora p. L. Veuillot nie było wtedy w Paryżu, wyjechał był kilkanaście dni wprzód z ks. de Salinis biskupem z Amiens do Rzymu. Inni redaktorowie ogłosili pod datą 20 lutego zbiorowe oświadczenie, jako p. Veuillot będzie się łatwo mógł w Rzymie dowiedzieć, co mu zrobić pozostaje.

Odtąd ks. arcybiskup ogłosił jeszcze przestrogę dla innych pism religijnych rzeczywiście nowe potępienie dziennika *Univers* (pod datą 23 lutego), w którém powiada, że demagogia wygnana z towarzystwa świeckiego wkroczyła do kościoła, w kształcie prezbyteryanizmu i laicyzmu chcąc biskupów od zarządu dusz usunąć i że przywdziewa larwę wyłącznego oddania się papieztwu by się potém przeciw samemuż papieztwu zwrócić.

Któż tu nie dopatrzy namiętnéj przesady, nie przypadającéj do miary wysokiemu kościelnemu dostojeństwu.

Niebawem pokazały się inne oświadczenia biskupie. Ks. ks. biskupi z Verviers, z Chartres i z Verdun oświadczyli się przeciw dziennikowi *Univers*, biskupi z Châlons, i z Moulins także arcybiskup z Avignon za tém pismem.

Tu przychodzimy do najsmutniejszego szczegółu. Ks. arcybiskup paryzki zaskarżył list kolegi swego z Moulins do papieża, ale co najgorszego skargę swoją podał do dzienników wpierw jeszcze nim ją papież mógł otrzymać.

Cóż teraz będzie, pytają wszyscy; co Rzym w téj sprawie uczyni? My mniemamy z ks. biskupem z Châlons, że postępowanie Rzymu łatwo przewidzieć: „Odpowiedź z Rzymu można odgadnąć, powiada sędziwy prałat, niechaj tylko Bóg da, by ją zrozumiano. Papież wszystkim „nam powie *Pax vobis.*"

Podróże do Rzymu.

W téj chwili wiele znacznych osób z pomiędzy katolików udało się do Rzymu. Pojechał tam ks. Gaume, pojechali ks. biskup z Amiens wiozący do potwierdzenia uchwały soboru i p. Ludwik Veuillot redaktor naczelny dziennika *Univers*, pojechał w końcu arcybiskup z Rouen którego podróż ma być w styczności z negocyacyą o przybycie papieża do Francyi.

Zdanie sprawy rocznych prac stowarzyszenia dam trudniących się wspomaganiem biednych chorych.

Wyszedł z druku raport ks. Etienne przełożonego jeneralnego Lazarystów i Sióstr Miłosierdzia o usiłowaniach stowarzyszenia damskiego

ś. Wincentego, którego jest dyrektorem. (*Rapport des travaux de l'Oeuvre des pauvres malades pendant l'année 1852.*) Raport nosi datę 30. stycznia 1853. r.

Stowarzyszenie o którém mowa, istnieje od lat 13. W r. 1851. liczyło w Paryżu 311 dam wizytujących a 208 dam zbierających fundusze (tresorières), w r. 1852. liczyło pierwszych 352, drugich 224. W r. 1851. towarzystwo pracowało w 21 parafiach dyecezyi, w r. 1852. w 25 parafiach.

Do r. 1852 wydało stowarzyszenie na wspomożenie chorych 338,574 franków, w r. 1852. rozdzieliło 42,892 franków.

Wszystkie szczegóły sprawozdania są budujące, ale co nas szczególniéj uderzyło, to ustęp, który tu przytoczymy:

„Duch, jaki stowarzyszenie ożywia, pisze ks. Etienne, pociągnął „w nasze szeregi, jest to zaszczytem dla nas a korzyścią dla religii i „dla ubogich, damy polskie, które poruszone widokiem nędzy i opu„szczenia wielkiéj liczby współrodaków swoich wygnańców w Paryżu mie„szkających, powzięły myśl zawiązać się w komitet, by nieść im pomoc „w potrzebach duchownych tudzież cielesnych. Odnawiajac piękne przy„kłady tych Polek, co przed dwoma wiekami przyszły natchnień miło„sierdzia wśród dam otaczających ś. Wincentego a Paulo szukać, po„wzięły one myśl udania się do tego samego źródła, by zaczerpnąć „gorliwości a poświęcenia i tak powodzenie pobożnemu swemu przed„sięwzięciu zapewnić. Damy te proszą aby je przypuścić do stowarzy„szenia w nadziei, że duch w niém panujący i tradycya nauk ś. Win„centego nauczą je, jak wypełnić zamiary miłosierdzia bożego wzglę„dem nieszczęśliwych współbraci. Początki ich robót przedstawiają po„myślny wypadek. Przekładając mi to, dołączyły te panie uwagi tak „poruszające, iż mi żal że nie mogę ich pisma w całości powtórzyć i że „się muszę ograniczyć do kilku słów końcowych Owo co piszą:

„Wyjątkowe położenie nieszczęśliwych naszych rodaków oddalonych „od ojczyzny, cierpiących od lat dwudziestu tysiączne niedostatki, cierpią„cych w sercu tysiączne a coraz nowe boleści, dotknęło nas do żywego. „P. Bóg rzucił okiem miłosierdzia na biednych wygnańców i pozwolił by „bractwo ś. Wincentego przyszło ich skryte nędze opatrzyć. Kiedy zaś „ujrzeli oni koło siebie starania cielesne, a jeszcze bardziéj starania du„chowne, dusza ich otwarła się dla nadziei i dla miłości Boga, zaczęli „chwalić Opatrznośc Boską za te pociechy sobie zesłane. Dziś błogosła„wią gościnną ziemię, na któréj doznają tyle i takich dobrodziejstw. O szla„chetna Francyo! tyś ukochana od Boga, który ci udzielił daru miłosier„dzia! Twojéj panie przełożony jeneralny miłości oddajemy skromne sto„warzyszenie polskie, nie odmawiaj mu błogosławieństwa, a wy panie nie „zapominajcie o nas w modlitwach waszych niebu przyjemnych, aby dzieło „rozpoczęte pod wezwaniem ś. Wincentego, mogło się na większą chwałę „Pana Boga rozszerzyć."

„Od dnia 2. lutego r. 1852., kiedy komitet dam polskich zebrał się „po raz pierwszy w domu ś. Kazimierza, wspomożono 60 rodzin, które „odwiedzono razy 1443, ochrzcono 9 osób, 4 nieprawe związki błogo„sławieństwem kościoła uprawniono, przywiedziono 96 osób do tego by „przystąpiły do sakramentów, postarano się by 4 umierających opatrzyć „sakramentami kościoła, umieszczono 1 młodego chłopca w seminaryum „*puerorum*, dwóch młodych chłopców na pensyi a dwóch innych w szkole „rólniczéj, umieszczono także 6 młodych dziewcząt na pensyi. Komitet „zebrał dotąd 12,000 franków, wydał 10,500, pozostaje w kasie 1500 fr.

„Piękne są te początki i godne waszego interesu. Dowodzą one że „płomień miłosierdzia, lat temu dwieście przez ś. Wincentego a Paulo

„w sercach dam polskich zatlony, nie został przytłumiony wielkiemi nie-„szczęściami, tak okropnie i od tak dawna ciążącemi nad ich nieszczę-„śliwą ojczyzną, i że dzisiejsze Polki pozostały godnemi swoich poprze-„dniczek tudzież świętéj religii, która była zawsze chwałą imienia pol-„skiego. Pierwsze powodzenia każą nam się większych jeszcze spo-„dziewać. Zobaczymy późniéj, jak nauczywszy się między wami pełnić „miłosierdzie, pójdą one na obszerniejsze pole, do swojéj ojczyzny, zbie-„rać bogatsze i obfitsze żniwo dobrych uczynków.“

NIEMCY.

Listy pasterskie biskupów moguńckiego, trewirskiego i paderborneńskiego, także arcybiskupa Kolonii.

Biskupi moguncki, trewirski i padeborneński ogłosili listy pasterskie napominające żeby nie czytać książek przeciw wierze i obyczajom. W liscie pasterskim biskupa Arnoldego z Trewiru jest wyborny ustęp o czytaniu romansów.

W liście swoim pasterskim na post wydanym, kardynał arcybiskup koloński zaleca misye, stowarzyszenie ś. Bonifacego i stowarzyszenie do rozkrzewiania wiary.

Prusy.

Śmierć i pogrzeb kardynała wrocławskiego.

Śmierć kardynała v. Diepenbrock dotknęła wszystkich katolików, ale najcięż́éj katol.ków wrocławskich. My żałujemy straty wielkiego dostojnika kościoła, co świecił szczególniejszą cnotą i pobożnością, co oprócz tego umiał dobro kościoła nad inne względy kiedy chodziło o Polaków przekładać; w dyecezyi wrocławskiéj płaczą prawdziwego ojca duchownego. Lament jest powszechny i między ludnością niemiecką i między biedną polską ludnością Górnego Szlązka, dla któréj wysoki zmarły czynił wiele. Długa słabość kardynała przygotowała trzodę jego do ciosu, a jednak cios ten silnie uderzył.

Majątek swój książę kardynał na cele pobożne i dobroczynne testamentem, deductis legatis, przeznaczył.

Pogrzeb odbył się z wielką uroczystością we Wrocławiu. Celebrował arcybiskup pragski książę kardynał Schwarzemberg. Króla reprezentował książę Bogusław Radziwiłł.

Administratorem dyecezyi mianowany został ks. kanonik Foerster. Spodziewają się, że kapituła wkrótce listę kandydatów ułoży. Wymieniają naprzód wiele osób, między innemi prałata rzymskiego księcia Hohenlohe, biskupa moguńckiego barona v. Ketteler (dawnego proboszcza w Berlinie), księdza Foerster i t. d.

Deutsche Volkshalle w Kolonii.

Redakcyą zasłużonego pisma: *Deutsche Volkshalle* objął p. de Florencourt, a to od 1go lutego, w pełen skromności a uczucia sposób do czytelników przemawiając.

Wielkie Księstwo Badeńskie.

Zajścia uniwersyteckie we Frejburgu Bryzgawskim.

W skutek śmiałych katolickich w kwestyi naprawy uniwersytetów wystąpień profesora Schlecer, rząd złożył go z posady. Fakultet teologiczny przedstawił wówczas trzech kandydatów, a na czele Dra Alzog; wszelako biskup oświadczył, że nie uważa miejsca za wakujące. Rząd na teraz nie przedsiębierze dalszych kroków.

Drugi wyobraziciel téj samej idei profesor Buss, jest pod śledztwem z powodu przekroczeń prasowych, tyczących się reformy naukowego wykształcenia księży.

WŁOCHY.

Królestwo Neapolitańskie.

Otworzenie trumny pierwszéj żony królewskiéj.

Pierwsza żona dzisiejszego króla neapolitańskiego, księżniczka sardyńska z domu, umarła lat temu szesnaście *in odore sanctitatis*. Odtąd wiele osób modliło się o jéj przyczynę i coraz głośniéj o łaskach otrzymywanych mówiono. Pobudzona temi okolicznościami władza duchowna, rozporządziła by grobowiec otworzyć. Znaleziono ciało nieboszki królowéj najdoskonaléj zachowane. Słychać, że ma być zrobiony wniosek do Rzymu o beatyfikacyą.

Piemont.

Stan rzeczy wedle listu biskupa z Annecy.

Z listu biskupa z Annecy do p. de Montalembert, o którym wspomnieliśmy w pierwszym artykule, wyjmujemy cały ustęp tyczący się spraw piemontskich. Brzmi on jak następuje:

Młode Włochy, zgodziwszy się z młodą Europą by ruch przyspieszyć, potrzebowały wsparcia od duchowieństwa, a przynajmniéj mogły się niém korzystnie posłużyć. Hasłem obu stowarzyszeń stało się wychwalać Piusa IXgo i stawiać pod jego opiekę rewolucyą, któréj nie mógł ani znać ani chcieć. Prawie całe duchowieństwo włoskie dało się porwać temu ruchowi. Patronizowana nie przez papieża, lecz przez jego imię, wspierana przez część arystokracyi i przez cały stan średni, rewolucya, czyniła postępy olbrzymie, co jeśli nie widzieć, to się przeczuwać ze wszech stron dawało. Nieszczęśliwy Karol Albert, uwiedziony ideą włoską, udzielił wsparcia związkowi w przekonaniu iż tylko dla Włoch pracuje.

Aby zadość uczynić żądaniom reformy, które zewsząd słyszano, zapowiedział mnóstwo praw, jako już przygotowanych do wyjścia, a z tych niektóre zawierały dążność wyraźnie przeciwną wolności religijnéj katolicyzmu. Prawo gminne odmawiało duchowieństwu głosowania ze współobywatelami na miejscowych administratorów. Ta publiczna zniewaga, uczyniona stanowi najoświeceńszemu w narodzie wzbudziła w nim żywe uczucie, i równie żywy onego objaw. Prawo, które miało rozszerzyć wolność druku, utrzymywało pod cenzurą okólniki biskupów. Ci protestowali, i ks. Charvaz, biskup z Pignerol, wolał podać się do dymisyi jak żyć pod rządem, który zdawał się całą swą surowość wymierzać tylko przeciw piastunom prawdy religijnéj.

Tu, panie hrabio, ujrzysz potwierdzenie twojéj idei o niebezpieczeństwie dla wolności religijnéj, grożącém ze strony władzy absolutnéj, która wpadła w ręce kilku ministrów, nieprzyjaciół kościoła, a przynajmniéj oddanych tym, którzy są mu nieprzyjaźni. Zamachy na wolność religijną tak się codzień wzmagały, że duchowieństwo musiało przedewszystkiém obawiać się, aby się nie utwierdził despotyzm anti-religijny, naprzeciw któremu wiara znalazłaby się bez obrony. Wtedy zaczęło życzyć sobie, a przynajmniéj nie lękać się systematu reprezentacyjnego, coby mu pozwolił podnosić głos i znajdować posłuchanie dla krzyku przerażonych sumień.

Osmego lutego 1848 r., Karol Albert nadał swemu państwu konstytucyą i systemat dość obszerny reprezentacyi, który gdyby chciano, mógł był się stać rzeczywistą reprezentacyą narodową. Pierwszy artykuł statutu opiewa, że religia katolicka, rzymsko-apostolska, jest jedyną religią stanu.

Ogłoszenie statutu wydało się duchowieństwu pewnym środkiem do uniknięcia grożącego mu ucisku. Niektórym objawiał się ten statut jako zwrot do dawnych wolno-

ści, których kościół i lud używał przed 16stym wiekiem. Nowa ta swoboda nie była zdobytą przez gwałtowność, nie była skutkiem rozruchu, ani nawet owocem zwycięzkiéj rewolucyi. Monarchia, która niegdyś zapewniała prawa daleko liberalniejsze, jakim nigdy statut nie sprosta, zachowywała i tą razą wszystkie swe przywileje i tradycye zwykłe dynastyi Sabaudzkiéj. Jak niegdyś, król przywoływał poddanych do udziału w głównych sprawach swego rządu.

Przekonany o szczerości w tém nadaniu swobód (a któż mógł był wątpić o niéj w duszy monarchy) biskup z Annecy posłał podziękowanie dostojnemu królowi, który zdawał się chcieć, jak jego poprzednicy, skojarzyć się w jedno z swym ludem, a przedewszystkiém rządzić po katolicku naród wyłącznie katolicki.

Statut w sobie samym nie miał nic złego; religijny i katolicki w swém wysłowieniu, liberalny w swym duchu, zdawał się sposobnym do wywołania praw zdolnych zapewnić szczęście narodu.

Niestety! Dawno już powiedziano i tyle razy powtórzono, że najlepsze prawa stają się złemi w złych rękach. Niema praw tyrańskich, kiedy są tylko uczciwi urzędnicy, i przeciwnie, niema dobrych praw przy woli występnéj.

Demagogia pochwyciła statut i przez jeden z tych fortelów, których zdolni są tylko jéj zwolennicy, przemieniła ustawę wolności i opieki w ustawę despotyzmu i prześladowania.

Nowe hasło zabrzmiało. Położono słowo *duchowny*, które miało szerszy zakres w miejsce wyrazu *Jezuita*, któremu gmin dawał ciaśniejsze znaczenie, i okrzyknięto bój przeciw stronnictwu duchownemu.

Od téj chwili wojna przeciw kościołowi i księżom nie ustała, a zawsze w obec pierwszego artykułu w statucie. Wolne ustawy były za katolikami, ale wolność jeno dla protestantów, żydów i całego orszaku ludzi bez wiary, którzy prowadzą do rozwiązłości powszechnéj. Jest rzeczą nader ciekawą iść krok za krokiem téj pracy nakręcania, dokonanéj przez adwokatów na prawie, które się zdawało i które było w istocie jaśniejszém niż dzień. Gwałcić sumienie kapłana, żądając od niego czynów które jego wiara potępia, więzić, rugować, wypędzać biskupów za to, że mieli odwagę zostać wiernymi religii stanu, wyganiać zakonników, zabierać ich dobra, wyrzucać ich z kraju, gdzie żyli pod opieką praw cywilnych, prawa religijnego, prawa fundamentalnego, rozpraszać biedne zakonnice, które ze wszystkich swobód ogłoszonych przez statut domagały się tylko wolności modlitwy i ukrycia w swych klasztorach, — oto co zdołano uczynić w obec rządu reprezentacyjnego i statutu, na który nie trudzono się nawet zarzucić zasłony, ile że każdy akt tyraniczny dokonywano w imieniu ustaw liberalnych.

Nie dość. Przez uległość dla stronnictwa rzeczypospolitéj Mazziniego, która nie może się urzeczywistnić tylko pod warunkiem obalenia władzy doczesnéj papieża, utrzymywano wojnę nieustanną przeciw Stolicy Apostolskiéj, z zręcznością która zasługiwałaby na inne imię. Jeśli kiedy układy zdawały dobiegać do końca, to wnet znaleziono sto sposobów by na nowo je rozpoczynać. Aby tém pewniéj uczynić pokój niepodobnym, wniesiono prawa widocznie herezyą nacechowane i zamierzono rozrządzić dobrami kościoła, aby tém łatwiéj ujarzmić jego kapłanów.

Cóżby się pokazało, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie samowolne czyny władzy, która mniema że jéj wszystko wolno w armii, administracyi, wychowaniu i wszędzie? Ale to nie nasz cel; my tylko o wolności religijnéj mówimy.

Patrząc na śmiertelne pociski, którym ona codzień podlega, przymuszeni jesteśmy zapytać się siebie, na co służy statut? Nie możemy odpowiedzieć tylko że na to, by się stał potężną bronią w rękach nieprzyjaciół wolności. Kryją się oni za nim, strzelają na wolność przykładając broń do samych jéj piersi, i czekają na jéj śmierć by utworzyć rzeczpospolitę powszechną.

Powiadasz nam, panie hrabio, że wolność trybuny i wolność prasy mogą zrodzić wolność religijną. Nasz przykład dowodzi że się dzieje przeciwnie. Dobra sprawa nie została opuszczoną w naszym kraju. Wiele dusz pobożnych modliło się, wiele serc chrześciańskich jęczało tajemnie, wielu odważnych pisarzy broniło zasad sprawiedliwości, wielu prawych urzędników nie uległo wymaganiom, które ich zacność potępiała, wiele umysłów rozsądnych i oświeconych podawało rady, kilka głosów wymownych i szlachetnych protestowało na trybunie, a przecież złe idzie dalej. Widząc że władza, która powinna była dać przykład wierności dla statutu, gwałci go bezustannie, że odmawia ludowi wolności przyrzeczonéj mu przez prawo fundamentalne, wątpliwość wkradła się w umysły. Poczęto niedowierzać statutowi, za nieufnością poszła niechęć, może nawet nienawiść. Statut, za pomocą którego można było stanowić dobre prawa, dawać wolność bez poduszczania swawoli, administrować w postępie bez dezorganizowania, znosić nadużycia bez ucisku dla składających podatek, utrzymać honor narodowy bez urazy czterech milionów katolików, rządzić nareszcie narodem bez zepsucia go, statut ten przestał już dla wielu osób być prawdą. Czyjaż w tém wina?

Nim streszczę ten list za długi, trzeba powiedzieć, gdzie przyszliśmy w téj wielkiéj walce, pięć czy sześć lat temu poczętéj.

Zwyciężona we Francyi i w Niemczech, młoda Europa jeszcze nie upadła we Włoszech, chociaż już w nich nie panuje.

Z drugiéj strony, młode Włochy ukryte pod nazwiskiem stronnictwa umiarkowanego, zostają u steru w Piemoncie, tylko w skutek swego związku z socyalizmem Mazziniego. To stronnictwo umiarkowanych pochlebiało sobie, że gdy zechce w istocie, przeważy nad swym sprzymierzeńcem, a tymczasem samo się wlecze za nim i przymuszoném jest prowadzić przeciw kościołowi wojnę, którą potępia jego prawdziwy interes.

W tém położeniu cóż mieli czynić biskupi i szczerzy katolicy w państwie? To co uczynili. Walczyć z dążnością do schizmy, potępiać prawa napiętnowane herezyą, opierać się o ile można ujarzmieniu kościoła, wstrzymać przez swą gorliwość demoralizacyą, którą demagogowie uważają za sprzyjającą nierządowi, jako przednią straż ku dopełnieniu swych zamiarów. Oto co uczynili katolicy. Bezwątpienia, stawiali oni w tém wszystkiém opozycyą rządowi reprezentacyjnemu, może nawet parlamentarnemu systemowi, który obwiniali, słusznie czy nie, o złe które lud uciska. Czy ich poganisz, panie hrabio? Owszém ja się spodziewam, że przyklaśniesz ich postępowaniu.

BIBLIOGRAFIA KATOLICKA

i wiadomości z działu sztuk pięknych.

— Ks. Lewandowski proboszcz w Jarocinie wydał: *Mały Katechizm rzymsko-katolicki dla niższych klas elementarnych* (Poznań u Merzbacha r. 1853), tudzież: *Podróż na wozie pocztowym, czyli nie sądź czego nie znasz*, z niemieckiego (tamże).

Katechizm jest bardzo krótki, mimo tego znajdujemy w nim określenie, które nas zastanawia. Pytanie 51 brzmi jak następuje: *Co jest piekło?* Odpowiedź tłómaczy: *Piekło jest to ogień wieczny, gdzie najokropniejsze boleści duszę trapić będą.* Owoż wyrażenie *duszę trapić będą* wydaje nam się w sprzeczności z dogmatem zmartwychwstania ciał.

Uwagę naszą z nieśmiałością posuwamy, zwłaszcza że katechizm nosi *imprimatur* zwierzchności kościelnéj; zdało nam się jednak, że należało ją uczynić.

W *podróży na wozie pocztowym* bardzo jest dobrze i przystępnie w formie potocznéj rozmowy wyłożona kwestya spowiedzi katolickiéj.

— W Warszawie w drukarni kks. misyonarzy wyszła w r. z. mała książeczka pod tytułem: *Koronka przeciw nałogowi przeklinania*. Jest to bardzo dobra rzecz przez jednego z Ojców Kapucynów ułożona. Pobożny zakonnik daje rady jak się modlić by uniknąć pokusy przeklinania i uczy jak odmawiać koronkę, któréj rysunek znajduje się na okładce. Jak słyszeliśmy nabożeństwo to bardzo się rozszerza. Niechże P. Bóg daje mu wzrost i trwałość, boć żeby lud nasz od złego uchronić, trzeba go przedewszystkiém odprowadzać od dwóch rzeczy, od przekleństw i od pijaństwa.

— Także u misyonarzy w Warszawie i także w r. 1852 wydrukowano broszurkę pod tyt.: *Dzieje proboszcza wiejskiego*. Jest to przekład z francuzkiego rzeczy napisanéj z uczuciem a pobożnością. Radzibyśmy aby tę broszurkę rozpowszechnić u nas można.

Z tego samego francuzkiego pisarza (p. L. Veuillot) inny ustęp na polski język wytłómaczony, wydrukowany został w r. z. u Günthera w Lesznie pod tyt.: *Dola biednych*

— Jeden z Ojców Jezuitów, co gorliwie na misyach w Poznańskiém Słowo Boże opowiadał, ogłosił książkę pod tyt.: *Handbuch der von Seiner Heiligkeit Pius IX errichteten Mässigkeits-Bruderschaft, unter dem Schutze des Festgeheimnisses Maria Lichtmess, enthaltend die bezüglichen Urkunden, Satzungen und Andachten, wie auch die zweckmässigen Belehrungen über die Einführung und Leitung der Filial-Bruderschaften* (Breslau 1852), str. 379. Książka ta ozdobiona pięknym sztychowanym obrazkiem Oczyszczenia N. Panny, a przypisana księciu kardynałowi v. Diepenbrock, zawiera w pierwszéj części zatwierdzenia papiezkie i biskupie statuta, tudzież starannie ułożony zbiór modlitw dla bractwa, w drugiéj dzieje bractwa, nieco o bractwach w ogólności, bliższy wykład statutów, w końcu rozmaite uwagi i rady dotyczące się wstrzemięźliwości. Publikacya to bardzo użyteczna i spodziewać się należy, że zostanie także na polskie wyłożona. W części historycznéj próżno szukaliśmy wzmianki o usiłowaniach O Brzozowskiego.

— W połowie lutego rozprzedano w Paryżu galeryę obrazów po księciu Orleańskim. Był to zbiór bogaty obrazów żyjących francuzkich malarzy jak Ingres, Delaroche, Ary Scheffer, Decamps, Delacroix i t. d. Wspomnimy tutaj, że znany obraz Ary Scheffera *Chrystus pocieszyciel*, (le Christ consolateur) w którym jedno z najgłówniejszych miejsc między nieszczęśliwemi postać Polaka zajmuje, przedany został za 52,000 franków do muzeum rotterdamskiego.

— W ostatnich latach na wielu placach publicznych miast i miasteczek Francyi powznoszono statuy znakomitych ludzi, którzy się tam porodzili. Jest to godna pochwały staranność i rzecz godna uwagi, że wypadki r. 1848 wcale nie przeszkodziły przedsięwziętym tu i owdzie robotom. Wspomnieliśmy w swoim czasie o wystawionym na cześć Ducange'a pomnika w Amiens, wspomnimy jeszcze pomniki Jana Racine w La Ferté Milon; Cuvier'a w Aix; Laplace'a w Caen; O. Bourdaloue i Cujasa w Bourges; Buffona w Montbard; Fenelona i Montaigne'a w Perigueux; kardynała Rohan w Besançon; malarza Poussin w Andelys; kardynała Chévérus w Bordeaux; Descartes'a w Tours; biskupa Belmas w Cambrai; Joanny Hachette w Beauvais i t. d. Wiele innych wkrótce się wzniesie.

W téj chwili wzniesiono pomnik innego rodzaju, pomnik grobowy w kaplicy szpitalnéj Angoulême, dokąd przed dwoma laty przeniesione zostały zwłoki Jana Ludwika de Balzac jednego z założycieli akademii francuzkiéj i jednego z naczelników wielkiego a pobożnego ruchu umysłów za Ludwika XIII., pisarza wysokiéj znamienitości, człowieka godnego uczczenia. Balzac umarł w r. 1654.

Przed pobłogosławieniem pomnika, ks. biskup z Angoulême miał mszę i przemówił do przytomnych.

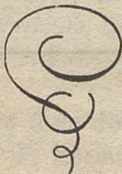
Z mowy jego wyjmujemy co następuje:

„Balzac był nietylko restauratorem mowy francuzkiéj jak go nazy„wa Malherbe, ale jeszcze ojcem całego pokolenia pisarzy co stanowią „wiekuistą chwałę naszéj literatury, naczelnikiem szkoły w któréj ucznio„wie więksi od mistrza zowią się Descartes, Pascal i Bossuet i z któréj „wyszli także autorowie Polyeucte'a i Atalii."

„Słusznie rozróżniono w piśmiennictwie naszém dwa prądy, które „chwilami zbiegają się, ale się nie mięszają. Jeden płynie od rozpu„stnych romansistów średniowiecznych, od cynika Rabelais i od niedo„wiarka Montaigne'a i prowadzi nas do szkarad Voltaire'a i do bezbo„żnego śmiechu, co go P. Bóg w łzach i krwi wielkiéj rewolucyi przy„dusił. Drugi powstawszy ze szczęśliwego zlania się: starożytnéj wymo„wy, nauki ojców kościoła, poezyi ksiąg świętych i potężnéj dyalektyki „doktorów średniowiecznych, poczyna się na Balzaku by w Bossuecie „dojść do największéj siły. Tu wszystko jest szlachetne i poważne. „Wdzięk wygnany nie został, ale nawet uśmiech ma godność. Znać że „to szkoła Jezusa Chrystusa, o którym jak uważa ś. Chryzostom, nie sły„chać, żeby kiedykolwiek śmiał się albo nawet uśmiechał.

„Balzakowi brak naturalności, jego następcy więcéj mają prostoty, „swobody, zaczém więcéj wdzięku i prawdziwéj piękności. Cóżkolwiek„bądź dziś wszyscy przyznają, że on jest naczelnikiem wielkiéj owéj „szkoły."

(10 marca 1858 roku.)



POMYŁKI

jeszcze niepoprawione albo mylnie wskazane w ostatnim podwójnym poszycie z roku zeszłego.

Stron. 403	w. 14	od góry	*zamiast*	stiria	*czyt.*	storia
— „	- „	—	—	l'enceslao	—	Venceslao
— „	- 16	—	—	*Italas*	—	*Italus*
— 404	- 5	—	—	*Civita*	—	*Civilta*
— „	- 6	—	—	*Civitta*	—	*Civilta*
— „	- 27	—	—	-	—	-
— „	- 43	—	—	-	—	-
— 405	- 32	—	—	Beyer	—	Boyer
— 411	- 33	—	—	inkunabał	—	inkunabuł
— 412	- 20	—	—	krotyngi	—	kretyngi
— 419	- 4	—	—	sprawę	—	sprawcę
— 421	- 38	—	—	Wygneno	—	Wygnanie
— 429	- 6	od dołu	—	Ikonostacach	—	Ikonostazach
— 430	- 8	od góry	po	Teraszkiewicza	dodaj	biskupa
— 431	- 3	—	*zamiast*	na to	*czyt.*	nadto
— -	- 26	—	—	de Planey	—	de Plancy
— -	- 39	—	—	*Rems*	—	Rémi
— -	- 3	od dołu	—	chaldasikie	—	chaldaickie
— 432	- 13	od góry	*przed*	ksiąg	*połóż*	z
— 435	- 32		*zamiast*	*Reflexione*	—	*Reflexions*

Niektóre omyłki druku w poszycie bieżącym.

Stron. 20	w. 3	od dołu	*zamiast*	de Brogli	*czyt.*	de Broglie
— 26	- 10	od dołu	—	du	—	des
— 27	- 14	od góry	—	Regii	—	Regis
— 38	- 15	od góry	—	l'enoie	—	l'envie
— 50	- 8	od dołu	—	te	—	to
— 65	- 12	od dołu	*przed*	nie	*połóż*	nic
— 71	- 6	od góry	*zamiast*	z podbnego	*czyt.*	z podobnego
— 75	- 13	od góry	—	Sofohl	—	Sofokl
— -	- 22	od góry	—	*Rousarda*	—	*Ronsarda.*
— 76	- 12	od dołu	—	Amerynka	—	Amerykanka
— 84	- 2	—	—	que	—	qui
— -	- 2	—	—	panégérique	—	panégirique
— 129	- 6	od góry	—	przysłowie	—	przysłowia
— 130	- 8	—	—	pogrzebowego	—	pogrzebnego